

europa czyta/

Człowiek, który pokochał
Yngvego

TORE
RENBORG

akcent

Tore Renberg

**CZŁOWIEK,
KTÓRY POKOCHAŁ
YNGVEGO**

Przełożyła Katarzyna Tunkiel

Wydawnictwo AKCENT

Why am I going out of my mind

whenever you're around?

The answer is obvious

love has come to town

Talking Heads, „Uh-Oh, Love Comes to Town”

Nie można mieć właściwie żadnych wątpliwości, że koniec lat osiemdziesiątych i początek lat dziewięćdziesiątych zakończył pewien etap w historii, a zarazem zapoczątkował nowy.

Eric Hobsbawm, *Wiek skrajności*

Mathias Rust Band

istotą życia jest terażniejszość

Tomasz Mann

Okej - nie istnieje UE, nie istnieje Rosja, nie mówi się: *Either you are with us or you are with the terrorists*. Nie ma wojny w Zatoce ani ludobójstwa na Bałkanach, a żaden nastolatek nie umiera od LSD. E-mail to science fiction, a internet jest tylko teorią. Nikomu nie śniło się wypalanie własnych płyt kompaktowych. Nikt nie słyszał, jak Kurt Cobain śpiewa „Smells like teen spirit”, grunge wcale się nie liczy, w gazetach nie można przeczytać, że Cobain zmarł z przedawkowania. Świat nie poznał Spice Girls, Boyzone czy Destiny’s Child, Bono podczas trasy koncertowej nie prowadził rozmów na żywo z najważniejszymi przywódcami państw, a chłopcy z Blur nie kłócili się z Oasis o nowy britpop. Keanu Reeves nie pokonał siły ciężenia w *Matriksie*, nikt też nie zobaczył, jak Ernst Hugo Järegård stoi na dachu kopenhaskiego Królestwa^[1] i - wymachując pięścią w stronę Bałtyku - wykrzykuje: „Ci cholerni Duńczycy!”. Ross, Monica, Chandler, Rachel, Phoebe i Joey nie przykuwają 20- i 30-latków do telewizorów w każdy wtorkowy wieczór. Nikt nie mówi o projektowaniu stron internetowych, nie można znaleźć pracy jako gospodarz chatroomu, nikt nie słyszał też o SMS-ach. Bill Clinton nie musiał przyznać, płacząc na konferencji prasowej, że uprawiał seks ze stażystką, księżna Diana nie występowała w telewizji jako anorektyczka, poza tym nadal żyje. Żyje także Greta Garbo, żyje Astrid Lindgren, żyje Pol Pot i żyje też król Olav. Angielscy chłopcy Robert Thompson i Jon Venables nie zamordowali dwulatka Jamesa Bulgera w pociągu w Manchesterze, osiemnastoletni Eric Harris i rok młodszy Dylan Klebold nie zastrzelili dwunastu uczniów i jednego nauczyciela w Columbine High School w Jefferson County, Colorado.

Pojmujesz, że nic z tego się nie wydarzyło?

Myślisz, że to brzmi dobrze?

To się nie wydarzyło.

Po głębszym zastanowieniu - brakuje ci tej przeszłości? Czy równie dobrze mógłbyś bez niej żyć? Wyobrazasz sobie życie bez tych wszystkich zdarzeń - zarówno tych dobrych, jak i złych? Czy chciałbyś pożegnać się ze wszystkim naraz - Slobodanem Miloseviciem i

wrzącymi Bałkanami, Leonardem DiCaprio i Kate Winslet na pokładzie Titanica, Garym Barlowem, Robbie'em Williamsem i pozostałymi chłopakami z Take That?

A co z resztą? Ze wszystkim co twoje? Z tą chwilą, kiedy kilka lat temu szedłeś przez szpitalny park, zatrzymałeś się pod wielkimi dębami, by nagle pojąć: *Boże mój, zostanę pedagogiem specjalnym, nie będę aktorem*. A co z dniem, gdy wróciłeś z wakacji spędzonych u przyjaciela na Sycylii, a mama powitała cię w drzwiach słowami: *Tata i ja się rozwodzimy, chcesz mieszkać z nim czy ze mną?* Co z festiwalem Roskilde, kiedy miałeś 20 lat i wypaliłeś tyle trawy, że w uszach czułeś ciepło, a wszystkie kończyny miałeś bezwładne; późno w nocy oglądałeś Primal Scream w pomarańczowym namiocie i stwierdziłeś - przy okazji całując się z jakąś dziewczyną z Malmö, której imienia, ku własnej irytacji, nigdy potem nie mogłeś sobie przypomnieć - że Bobby Gillespie jest na większym hajcu niż ty?

Czy również tego możesz się pozbyć? Zmarłej przed paroma laty ukochanej babci, która gotowała marchewki, aż stawały się miękkie jak banany, i miała duży ogród ze stokrotkami, które zbierałeś jako dziecko? Możesz sobie wyobrazić życie bez tęsknoty za nią?

Możesz?

Okej - więc nie istnieje UE, nie istnieje Rosja, nie mówi się: *Either you are with us or you are with the terrorists*.

Istnieje EWG^[2] i jesteśmy jej przeciwni, istnieje Związek Radziecki, który zmienia się z dnia na dzień, trwa pierestrojka, rozbrojenie i głośność^[3]. Amerykańskie oddziały wysyła się przeciwko panamskiemu dyktatorowi Manuelowi Noriedze, Intifada na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Gazie zaczęła się dwa lata temu, a całkiem niedawno wojsko chińskie wjechało czołgami na plac Tian'anmen w Pekinie z gazem łzawiącym, amunicją ostrą i smugową, otworzyło ogień i zgładziło tysiące demonstrantów. Nie mamy telefonów komórkowych, ale istnieje grupka dzianych tatuśków wożących się z przenośnymi telefonami w samochodach, mało kto ma w domu komputer, a jeśli nawet to raczej nie do gier, zaczęto jednak pozbywać się maszyn do pisania z biur, a ludzie chętnie chodzą wieczorami na kursy informatyczne. Na czasie jest także zastępowanie kolekcji płyt winylowych kompaktami. Bruce Springsteen to znaczące nazwisko, dwudziestoletnia Celine Dion z Kanady wygrała konkurs Eurowizji, a R.E.M. będą wkrótce znani szerszej publiczności, nie tylko grupce fanów indie. Chodzimy w czarnych płaszczach i arafatkach, jeżeli uważamy się za zwolenników lewicy, a reszta społeczeństwa trzyma się trwałej, fryzury na czeskiego piłkarza, ciasnych Lewisów 501 i wąsów. Nie ma nikogo, kto nie widziałby *Ostatniego cesarza*, wszyscy zgodnie twierdzą, że Tom Cruise jest znakomity w *Urodzonym 4 lipca*, a *Pelle Zwycięzca* to prawdziwy tryumf kina skandynawskiego. Margaret Thatcher dziesiąty rok z rzędu jest premierem Wielkiej

Brytanii, Michaił Gorbaczow przemawia do Zgromadzenia Ogólnego ONZ na temat końca zimnej wojny, jeździ dookoła świata, opowiadając o rozbrojeniu, i zostaje wybrany przez „The Times” człowiekiem dziesięciolecia. Uczucia narodowe wzbierają w małych grupach etnicznych i podczas gdy republiki bałtyckie walczą o niepodległość, kraje komunistyczne jeden za drugim ogłaszają mniej lub bardziej bezbolesne przejście na kapitalizm i demokrację parlamentarną. Gorączka reform panuje w państwach bloku wschodniego i ani Biuro Polityczne, Stasi, Ceaușescu, Egon Krenz, Układ Warszawski, ani potężny 28-letni mur berliński nie potrafią się przed nią ochronić. Cały świat, sposób myślenia, całe krótkie stulecie walą się w gruzy na naszych oczach, a my nie wiemy, co zrobić ze zgliszczami. Natura robi to, co chce - orkan Hugo sieje spustoszenie w Stanach Zjednoczonych i na Karaibach. Reagan wygłasza przed amerykańskim Kongresem ostatnie przemówienie, w którym nie kryje dumy, że udało mu się przyczynić do przywrócenia amerykańskiego poczucia własnej wartości. George Bush w swojej mowie rozpoczynającej prezydenturę wyraża pragnienie, by Amerykanie stali się łagodniejszym i przyjaźniejszym narodem - apeluje o lepszą współpracę, więcej przyjaźni i lojalności oraz prawdziwszą moralność. W Norwegii Gro Harlem Brundtland^[4] kończy 50 lat i mamy nowy rekord wysokości bezrobocia. W Szwecji 42-letni Christer Petterson zostaje aresztowany za zamordowanie premiera Olofa Palmego, skazują go na dożywocie, ale wychodzi na wolność już po kilku miesiącach. Pogoda jest dobra, zdaniem wielu nawet zbyt dobra, a to przez dziury w warstwie ozonowej, które powstały zresztą z naszej winy. Młodzi zapisują się do organizacji ekologicznych i piszą na brązowym, poplamionym papierze z odzysku. Próbuje też uczyć swoich hołdujących konsumpcjonizmowi rodziców recyklingu, ponownego wykorzystywania torebek na chleb - *Mamo, masz je wypłukać, potem wysuszyć i użyć ich na nowo... Boże, jak można być aż takim egoistą?*

Myślisz, że coś z tego będzie, czy wszystko szlag trafi?

Czy ojciec przestanie w zimowe poranki zostawiać włączony silnik, bo córka mówi, że to niszczy środowisko? Czy sprzeda drugi samochód i zacznie dojeżdżać do pracy rowerem? Optymiści twierdzą, że można nas jeszcze uratować, jeśli wreszcie krytycznie na siebie spojrzymy i zrozumiemy, co jest złe - *zanieczyszczenie środowiska, AIDS, zimna wojna i komunizm* - pesymiści zaś widzą, jak szybko rośnie dziura ozonowa, i mówią, że wszystko zmierza właśnie w tym kierunku. To jak nadchodzący wierzyiciel, który bezlitośnie wzywa do zapłacenia rachunków. Przyznanie się do błędów na łożu śmierci nic nie da, może jedynie zwiększyć wyrzuty sumienia w chwili zakończenia życia...

A ja?

Ja jestem małym mężczyzną z małego miasta w małym kraju, w sumie to ledwie mężczyzną - wkrótce skończę siedemnaście i pół roku, bez ubrania o poranku ważę 69 kilogramów, mam metr siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, pryszcze wokół ust i na szyi, lekkie skrzywienie prawej stopy, a od pięciu miesięcy dziewczynę. Mieszkam w Stavanger, norweskiej stolicy ropy naftowej, małym mieście handlowym, które w ostatniej dekadzie nieźle się wzbogaciło i zapewniło rodzicom wielu spośród moich znajomych pracę w przemyśle naftowym albo w gospodarce, po dwa samochody i co najmniej jeden domek letniskowy na wsi, a często także łódkę w porcie miejskim albo na południu kraju. Nastrój w Stavanger jest równie pogmatwany jak wszędzie indziej - wizja apokalipsy towarzyszy niestrudzonej wierze w przyszłość i beztrudnej radości inwestycji. W domu kultury w centrum miasta stoi wyrzucony z pracy urzędnik kościelny ze swoim synem, trzymając tablicę obwieszczającą czas końca - *Jezus nadejdzie wkrótce*. Pamiętam, że widziałem ją tu także rok i dwa lata temu, podczas gdy w mieście stale buduje się nowe hotele, które mają być tak eleganckie, jakby Jezus rzeczywiście miał nadejść w tym roku.

Mieszkam w Bjergsted, dzielnicy zlokalizowanej niedaleko centrum, z rozwiedzioną matką, i chodzę do drugiej klasy liceum w najstarszej szkole w mieście, Kongsgård, położonej w samym sercu miasta. Nazywam się Jarle Klepp - Klepp to panięskie nazwisko matki, które mówi osobom przykładającym do tego wagę, że nasza rodzina pochodzi z Jæren. Według lokalnej mitologii powinniśmy - dzięki geograficznemu i duchowemu dziedzictwu - być nieco smutni, refleksyjni i skłonni do rozmyślań. Jednak żadne z nas - ani mama, ani ja - nigdy nie mieszkało w Jæren i nie czuję, żeby te cechy w jakikolwiek sposób mnie opisywały. Jestem niecierpliwy i względnie impulsywny, po ziemi stąпам twardo, choć często także krzywo. A na pytanie, jak się mam, mógłbym chyba odpowiedzieć, że dobrze. Jestem może trochę nerwowy, dość zmęczony szkołą, stale w opozycji, ale tak: mam się dobrze. Taka jest moja odpowiedź.

Nieprawdaż?

Mam przecież dziewczynę, mam przyjaciół, plany, fascynacje i ambicje. Tak, chyba mam się dobrze? Mam przecież matkę i ojca - wprawdzie to dziwaczna historia i straszliwe przymierze, które na szczęście już się skończyło, jednak oboje muszą ze względu na mnie zachowywać pewną dyplomację we wzajemnych stosunkach. A zatem mam się całkiem nieźle w tym miejscu, gdzie dorastam mniej lub bardziej świadomie, w czasach, które mój nauczyciel historii zwykł na każdej lekcji nazywać „wyjątkowymi”, jako że coraz częściej uczy nas historii najnowszej, najzwyczajniej w świecie omijając tematy z programu, pełen podziwu dla życia w obecnych czasach, *właśnie teraz*, kiedy aż wrze na Bliskim Wschodzie,

kiedy Gorbi jeździ po całym świecie ze swoim znamięm na czole, naprawiając demokrację, i kiedy już za chwilę - jak twierdzi historyk uwielbiający przepowiadać przyszłość - coś wydarzy się na Bałkanach.

A ja, Jarle Klepp, chyba mam się dobrze? Czyż nie? Czy czegoś mi brakuje?

Przyszłości. Jak zawsze. Tego, co się nie stało. Przypadków, które wypełniają życie, mijających dni, nadchodzących wyników tego, co już od dawna jest zaplanowane - wszystkiego, czym w ten lub inny sposób rządzi moje pożądanie. Tego mi brakuje, tego nie znam - przyszłości. Muszę ją teraz wymazać, spróbować cofnąć się znów do tamtych czasów - jest zima, nastał styczeń 1990 roku i właśnie zacząłem drugi semestr w Kongsgård. Mam dziewczynę, jestem dość arogancki, wydaje mi się, że pozjadałem wszystkie rozumy, i uważam, że ponad 80% moich rówieśników to niedorozwinięci, konserwatywni, niedoinformowani debile. Jeżeli czemuś miałbym być przeciwny, to jest to z pewnością EWG, nie lubię też chrześcijan, a zwłaszcza dzieciaków z Ten Sing^[5], nienawidzę komercjalizmu, braków w wiedzy o ochronie środowiska, popularnej muzyki i kapitalizmu.

Lubię ludzi robiących to, czego nie robią inni. Jeśli ktoś się na coś zgadza, możesz być pewny, że Jarle Klepp się temu sprzeciwi. Jeśli zbyt wiele osób lubi nowy album, np. R.E.M. czy The Cure, Jarle Klepp na pewno stwierdzi, że kapela kiedyś grała lepiej, *nie, wypalili się*. Tak, lubię tych, co idą pod prąd powszechnej opinii. Tych, którzy robią to, czego nie robią inni.

Taki Mathias Rust, czy ktoś go pamięta?

Czy ktoś pamięta tego dziewiętnastolatka, który wylądował małym samolotem Cessna tuż koło Kremla i Placu Czerwonego w Moskwie? Rust leciał z Hamburga pożyczoną maszyną, miał międzylądowania w Norwegii i Helsinkach, nim zmienił kurs na Związek Radziecki. Niewiarygodne, jak udało mu się przedostać na terytorium radzieckie i wylądować w samym sercu komunizmu. Pamiętam, że widziałem go w telewizji w roku 1987, miałem wtedy piętnaście lat i pomyślałem, że Rust jest genialny. Gdy parę miesięcy później postawiono go przed radzieckim sądem, wyglądał jak zwyczajny młody człowiek - nosił okulary, niebieską kamizelkę oraz krawat i twierdził, że jego przelot i lądowanie w centrum Moskwy było działaniem na rzecz pokoju, mającym poruszyć światową opinię publiczną. Wyciąłem sobie jego zdjęcie i zawiesiłem je na tablicy korkowej w swoim pokoju.

- Kto to jest? - spytała mama.

- To Mathias Rust.

Myślałem, że zakpił sobie z nich wszystkich, myślałem, że jest genialny. Został skazany na cztery lata w radzieckim obozie pracy. Ale był przecież dobry, nie? W

konsekwencji tego przelotu zdymisjonowano radzieckiego ministra obrony i dowódcę obrony przeciwlotniczej - nieźle, co? Rust stał się dla mnie ikoną, podniosłem go do rangi ideologa i ustawiłem w jednym szeregu z innymi opozycjonistami z mojej galerii bohaterów: Che, Bakuninem, Marksem, Arafatem. Tak, dokładnie takich ludzi lubię.

Mówię to właśnie mojemu najlepszemu kumpłowi. Jest koniec lat osiemdziesiątych, a my popijamy piwo w lasku Ullandhaug w piątek po szkole. Mamy dopiero po szesnaście lat i jesteśmy w pierwszej klasie liceum.

- Kurde, Helge - mówię. - Jeśli kiedyś założymy zespół, to nazwiemy go Mathias Rust Band, co?

- Nie założymy żadnego pieprzonego zespołu - odpowiada Helge. - Przecież nie umiemy grać.

- No nie - mówię. - No ale jednak, co? Mathias Rust Band?

- Raczej W Pizdę Szatana Anarchokomando - stwierdza Helge.

- Kurde, a może jednak?

- Co?

- Zrobić coś takiego jak on? Tak po prostu przelecieć i wpaść w sam środek ZSRR.

- Ach - mówi Helge, otwierając nowe piwo. - To tylko drobnomieszczańskie pieprzenie, równie dobrze mógł wpierdolić się tą Cessną w Biały Dom i zostawić komuchów w spokoju.

Nigdy nie zrobiłem czegoś takiego jak Mathias Rust, ale cały czas chodziliśmy z Helgem na wszelkie możliwe marsze protestacyjne, a ja kupiłem sobie gitarę i po prostu żyłem. W Stavanger trwała zima, szkoła właśnie zaczęła się po przerwie świątecznej i dookoła mnie istniał prawdziwy świat, prawdziwe wydarzenia - ceny ropy wróciły do dawnego poziomu, zmarł Samuel Beckett, bezrobocie rosło, w Rumunii stracono Ceaușescu, Vaclava Havla wybrano na prezydenta Czechosłowacji, NRD za chwilę miało przejść do historii po otwarciu muru 9 listopada i wielu ludzi twierdziło, że właśnie teraz wszystko dzieje się w zawrotnym tempie, tak szybko, że jest już tego zbyt wiele, tak szybko, że musimy kupić jeszcze jeden samochód, aby nie zostać w tyle, a inni, jak mój nauczyciel historii, kochali te czasy, w których przyszło im żyć.

To, co się nie wydarzyło, było przyszłością.

Jest rok 1990 - *pojmujesz to?*

Nie mamy XXI wieku, jest wczesny ranek, piątek 19 stycznia 1990 roku, a ja jadę w deszczu na rowerze do szkoły.

Za parę sekund moje życie wywróci się do góry nogami.

^[1] Autor ma na myśli Szpital Królewski w Kopenhadze, miejsce akcji serialu *Królestwo* Larsa von Triera [przyp. tłum.].

^[2] EWG - Europejska Wspólnota Gospodarcza [przyp. red.].

^[3] Głasnost (ros. jawność) - reformy Michaiła Gorbaczowa, które miały na celu ujawnienie ocenianych wcześniej informacji na temat faktów historycznych, politycznych i gospodarczych ZSRR [przyp. red.].

^[4] Gro Harlem Brundtland - norweska polityk, pierwsza kobieta premier w Norwegii [przyp. red.].

^[5] Ten-Sing - pochodzący z Norwegii międzynarodowy, chrześcijański ruch młodzieżowy, skupiający przede wszystkim grupy muzyczne [przyp. tłum.].

Piękny chłopak

kryję się w wietrze

który całuje twe usta

Bob Hund

Czy to takie niezwykle? Czuć, jakby od szczęścia dzielił cię jeden pocałunek?

Usta Yngvego. Miał pełne wargi, mocne, wcale nie kobiece, subtelnie wydęte, tworzące lekko dziewczęcy łuk. Kąciki ust delikatnie opadały, co na pierwszy rzut oka sprawiało smutne wrażenie. Lecz kiedy Yngve się uśmiechał, ten mały szczegół zmieniał całą jego twarz. Kąciki opadały jeszcze bardziej, by przeistoczyć się w uśmiech zaciśniętych warg.

Jego usta miały kolor ciepłej czerwieni na tle bladej, ładnej i nieco wrażliwej skóry. Nad jasnymi zuchwami policzki pałały rumieńcem, który jednak nie był tak intensywny jak czerwień ust - zdawał się raczej jej słabą imitacją. Policzki Yngvego zazdrościły jego ustom, chciały się do nich bezskutecznie upodobnić, lecz stać je było jedynie na tę mizerną kopię, chroniczny rumieniec.

Ze wszystkich rzeczy, których nie zrobiłem, chociaż miałem okazję, ta jedna trapiła mnie najbardziej. Usta Yngvego. Dlaczego ich nie pocałowałem? W moim własnym świecie ta czynność zdawała się oddzielać moje życie od szczęścia.

Nie, nigdy nie zobaczyłem Pixies na żywo. Nigdy nie zapytałem dziadka o jego dzieciństwo, nim było za późno. A jednak nic nie może równać się z tymi ustami, które powinienem był pocałować.

Próbuję sobie przypomnieć tamtego Jarlego Kleppa, ucznia drugiej klasy liceum Kongsgård, właśnie teraz, w piątek, w styczniu 1990 roku, kiedy jest panem świata, który zaraz zawali mu się na głowę. Za chwilę przydarzy mu się parę zwariowanych, gorączkowych tygodni. Teraz zaś jedzie na rowerze z Bjergsted do szkoły, żeby zdążyć na pierwszą lekcję dwadzieścia pięć po ósmej. Próbuję go sobie wyobrazić i pytam: *Jarle, dlaczego tego nie zrobiłeś? Jeden pocałunek?* Mam wrażenie, jakbym stał tuż koło niego, wykonywał te same ruchy, te same mniej lub bardziej kontrolowane czynności, w napięciu towarzysząc mu,

prosząc, by uczynił właśnie to, czego pragnie - pocałował Yngvego.

Czyżby Yngve ciągle się uśmiechał? Tak, zdawało się, jakby uśmiech na stałe był przytwierdzony do jego twarzy. Wcale nie zarozumiały, bezczelny czy sztuczny, a raczej odrobinę niepewny, bez rozchylania ust.

Znałem wielu piękniejszych drugoklasistów. Dziewczyny bez wątpienia wybrałyby Ingara z 2D. Nie można było mu się oprzeć. Już wtedy, kiedy większość z nas nadal walczyła z niezdarnym brakiem pewności i proporcji późnego okresu dojrzewania, Ingar był jak wykuty z granitu. Odpowiednio zaokrąglone rysy, wystające kości policzkowe, wyraźna szczęka. Postawę miał równie dobrą jak wygląd. Zarzucanie tornistra na ramię było w jego wykonaniu najnaturalniejszą w świecie czynnością. Kiedy siadał na rowerze, miało się wrażenie, jakby siodełko czekało na niego cały dzień. Wszystko, co Ingar robił i czego dotyczył, dostosowywało się do niego, stając się równie pewne siebie jak on. Męczyłem się z Ingarem od podstawówki, pochodził z tego samego przedmieścia co ja i tak było już od pierwszej klasy: dziewczyny kłębiły się wokół niego jak wróble wokół okruchów chleba. Skąd się to, kurczę, brało? Może wydzielał z siebie coś, czemu dziewczyny nie potrafiły się oprzeć? Kiedy na imprezie bożonarodzeniowej w 1983 zagrał na flecie prostym, dziewczyny uznały flet za najwspanialszy instrument. Kiedy biegł przez boisko, wzdłuż linii bocznej zawsze stały grupki chichoczących i robiących balony z gumy dziewczyn. Gdy Ingar pod koniec gimnazjum zaczął grać na gitarze, dziewczyny stały się jego strunami. Powiedział, że nie pójdzie do liceum, że może będzie *pracować*, a może *podróżować*, ale nie - znów musiał się tu znaleźć. *Ingar, Ingar*. Oczywiście wylądowaliśmy w tym samym ogólniaku, gdzie co dzień doświadczałem powtórki z dzieciństwa: *o, Ingar, o, Ingar!* Pieprzony Ingar! Był jak gąbka chłonna współczesność, jakby współczesność w nim zamieszkała. W latach osiemdziesiątych on pierwszy odkrył breakdance, a teraz czekało nas nowe dziesięciolecie, lata dziewięćdziesiąte, które oczywiście znów należały do *niego*. Ingar zaliczał się do tych przewidujących postaci, które można by posądzać o to, że widziały przyszłość. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że wszystko, co robią, wydaje się właściwe? Miało się wrażenie, jakby Ingar już przebywał w przyszłości, wiedział, jak należy wyglądać w latach dziewięćdziesiątych, jeszcze zanim dekada nabrała swojego charakteru, że plerezę należy skrócić, a pastelowo zieloną jedwabną koszulę oddać Armii Zbawienia.

Yngve był całkiem inny. Jego piękno było nieświadome swego istnienia. Nie przypominało w niczym wyrazistej, proroczej, uwodzicielskiej manieri Ingara, nie imponowało ani nie frapowało, ale nie było też niezdarne czy słodkie, jak u Ovego, drugiego spośród zwycięzców tego rocznika. Ove, mały chłopak z Flekkefjord, wyrastający ledwie

metr i sześćdziesiąt pięć centymetrów nad powierzchnię ziemi, przyciągał dziewczyny swą całkowitą bezradnością. Wygrywał tym, że był niezdarny i dziwny, a w drugiej klasie nauczył się to wykorzystywać i odtąd na zawsze zmienił słabość w swój największy atut. Zauważywszy reakcje dziewcząt na swoją osobę, stał się profesjonalnym nerdem^[6]. Owe zaczął nosić okulary w grubych oprawkach, jakie widział na amerykańskich filmach o nastolatkach, zawsze w obecności innych potykał się na schodach prowadzących do klasy, zmienił gust muzyczny z lekkich kapel na nieco dziwaczne, alternatywne brzmienia indie - takie zespoły, jak The Sundays czy House of Love. To w zupełności wystarczało mu w roku 1990 - wybrane dziewczyny lgnęły do niego jak pszczoły do miodu, zachwycone tajemniczością odosobnienia o świadomie niezdarnym zabarwieniu.

Yngve był całkiem inny. Nie był niezdarny. Uśmiechał się, usta miał zaciśnięte, z łukiem ledwie wydętym nad dolną wargą, i był niepewny siebie. Wystraszony. Nie zauważało się tego od razu. Ale po pewnym czasie można było zdać sobie sprawę, że w środku jego prostoty i piękna tkwił strach. To dlatego się uśmiechał. Może dałoby się powiedzieć, że miał w sobie coś niepokojącego? Nie straszego, lecz niepokojącego - trzeba było na niego uważać, w oczekiwaniu, że coś się wydarzy. Yngve nie był zabawny. Yngve nie był twardy. Yngve był piękny i niepokojący.

Wtedy o tym nie myślałem, ale teraz uderza mnie jego zadziwiający brak wyrachowania. Błada karnacja, czerwone policzki, ciepłe usta, wąski nos, błękitne, ufne oczy. Prosta, trochę krzykliwa grzywka z niewielkim przedziałkiem z boku blond czupryny. Nie było w nim fałszu ani próżności, niemal jak u małych dzieci czy ludzi niedorozwiniętych. Ale Yngve nie był małym dzieckiem, nie był też w żaden sposób upośledzony. Był zwykłym uczniem, chodzącym razem ze mną do klasy o profilu społecznym. Tak było w drugiej klasie, w semestrze letnim 1990 roku.

Przez pierwsze półrocze, semestr zimowy 1989, jeszcze go z nami nie było. Dołączył po świętach do klasy C, podczas gdy ja chodziłem do B. Yngve przeprowadził się do naszego miasta z Haugesund, mówił ładnym zachodnim dialektem o wyraźnych samogłoskach. Był od nas o rok starszy, urodził się w 1971, a mimo to chodził do klasy razem z nami. Mówiono, że jego rodzina przez rok podróżowała i dlatego zaczął trochę później. Yngve był pierwszym haugesundczykiem, jakiego poznałem. Jego ojciec, jak wielu innych w tamtym okresie, dostał pracę w branży naftowej w Stavanger i rodzina przeprowadziła się trochę dalej na południe - z mniejszego naftowego miasta do większego.

Co mógł wiedzieć Yngve o uczuciach, jakie wywoła w innym człowieku? I co ja mogłem wiedzieć - pedałując wzdłuż Vågen w drodze na pierwszą lekcję - o tym, co się

wydarzy?

Niespodzianki kryją się przed nami i to właśnie dlatego zaskakują. Inne wydarzenia, o mniejszej sile, nie przestają się zdradzać, niczym niecierpliwe gaduły zaczynają szeptać o tym, co się stanie, miasto aż huczy od plotek o ich nadejściu, a ludzie drżą w oczekiwaniu. W przeciwieństwie do niespodzianek, które często rodzą dobre historie i którym zawsze towarzyszy nutka nostalgii, ponieważ opowiada się o nich tak samo czule jak o dawnych wspomnieniach, owe niecierpliwe zdarzenia często wyczerpują się, jeszcze zanim nadejdą. Z niespodziankami tak nie jest. Chociaż jak wszystko inne stosują się do mitologicznych wzorów, są wielkie, brutalne i szokujące. *Jak to się im udaje?* Być tak dumnym, potężnym, często niebezpiecznym, a kiedy indziej wspaniałym, i ani przez chwilę się nie zdradzić, aż wreszcie pewnego dnia uderzyć właśnie ciebie?

Był piątek, 19 stycznia 1990 roku. Zegarek nad zaciśniętą na kierownicy pięścią, poniżej mankietu swetra i pod mającą chronić przed silnym wiatrem puchową kurtką wskazywał prawie wpół do dziewiątej.

Stare, pomalowane na biało, drewniane budynki szkoły Kongsgård znajdują się w samym centrum Stavanger, tuż koło katedry i stawu Breiavannet. Nie ma na ziemi miejsca piękniejszego niż ów trójkąt nauki, chrześcijaństwa i wody - jak mawiają miejscy patrioci. Rzeczywiście ładnie tu - jak mawiają turyści, którym zawsze należy bardziej wierzyć. Niektórzy z nich twierdzą, że centrum Stavanger przywodzi im na myśl islandzki Reykjavik - Przez ten staw, kościół i góry. Między tymi miastami istnieje jakieś podobieństwo, gdyż oba mają około 110 000 mieszkańców i leżą nad morzem.

Budynek główny Kongsgård pochodzi z XII wieku. Na starym fundamencie wznosi się silna, biała konstrukcja z drewna. Kiedy chodziłem do szkoły, czasem męczyło mnie uczucie, że jestem tylko małym człowieczkiem w strumieniu wydarzeń. Uczucie to rzadko pojawiała się, gdy szedłem ulicą koło szkoły, gdzie nic wyraźnie nie łączyło mnie z przeszłością. Serwetki z bistro Oscars w koszu na śmieci nie opowiadają dawnych historii. Lecz we wnętrzu liceum czułem, jak jestem mały. Świadomość, że - jak mówi legenda - w budynku mojej szkoły w średniowieczu zwykł zatrzymywać się król, kiedy akurat przejeżdżał przez Stavanger, że przed wiekami mieszkali w nim zarządcy okręgu administracyjnego, onieśmiała mnie. Z kolei myśl, że Kongsgård pełniła funkcję instytucji oświatowej od roku 1826, zarówno mnie fascynowała, jak i drażniła. Trudna to tradycja, trudna historia - gdzie w niej miejsce dla nas, dla mnie, dla naszego życia, dla roku 1990? Obecność 900-letniej historii nie miała związku z duchami, była jak najbardziej konkretna, jawiła się jako potężna liczba lat, gigantyczny zbiór ludzi i zdarzeń, królów, zarządców, uczniów szkoły łacińskiej,

mieszkańskiej, licealistów - a teraz istnieliśmy w niej my, urodzeni w roku 1972, w Norwegii, przyszczaci, z rodzicami na głowie, zadaniami domowymi powyżej uszu, w świecie, który ktoś z nas zmieni, lecz przede wszystkim z własnymi zmieniającymi się osobowościami.

Jechałem w stronę targu rybnego, minąłem róg przy Ankerbygget, a wiatr uderzył mi w twarz z taką siłą, jak gdyby chciał przegonić mnie z powrotem do domu. Nacisnąłem mocniej pedały w drodze pod górę z Vågen. Stałem na nich, wyężając mięśnie łydek, na plecach czułem ciężar plecaka, a na twarzy wiatr, który przyciskał ją, jakby ktoś owinał mnie folią i ciągnął do tyłu, podczas gdy ja mozolnie pokonywałem ostatnie metry dzielące mnie od szkolnej bramy. Na szczycie, lepiej osłonięty od północnego wiatru, wjechałem na dziedziniec i zatrzymałem się pod zadaszeniem.

Pierwszą lekcją był norweski, więc - zakładając blokadę na tylne koło - usiłowałem w myślach odmieniać nowonorweskie^[7] czasowniki, a jednocześnie utrzymywać szczegóły debaty językowej w okresie międzywojennym. Mam dobrą pamięć krótkotrwałą, szybko się uczę i zapamiętuję materiał na około dobę. Również tego ranka skorzystałem z tej umysłowej ściągawki i pewnie sporo bym dzięki niej zyskał, gdyby coś innego nie uderzyło mnie jak grom z jasnego nieba. Dostałbym dobrą ocenę, zapewne piątkę, po kwadransie nauki poprzedniego wieczoru i krótkiej powtórcie przy śniadaniu.

Zapinałem blokadę, gdy najpierw usłyszałem odgłos, a po chwili ujrzałem koła zatrzymującego się tuż koło mnie roweru.

Kiedy wstałem, spojrzałem prosto w *jego* twarz.

Zobaczyłem zamknięte usta, czerwone wargi, rumiane policzki na tle bladej skóry oraz niebieskie oczy.

Yngve uśmiechnął się, zaciskając usta, ostrożnie skinął głową i odszedł w kierunku jednego z wejść.

Zostałem w tym samym miejscu. Wokół mnie hulał wiatr.

Yngve wszedł do szkoły, lecz ja nadal widziałem przed sobą tę uśmiechniętą twarz, ostrożnie kiwającą głowę. Na dźwięk dzwonka przebudziłem się i poczułem drżenie kącików ust. Ścisnęło mnie w piersiach, nie mogłem złapać oddechu.

Co takiego się stało?

Przyszedłem na lekcję norweskiego. Nie pamiętałem żadnej odmiany czasowników, debaty językowej, nic z rzeczy, o które miała zadbać moja pamięć krótkotrwała. Siedziałem w czwartym rzędzie i byłem bardzo zdenerwowany. Chciałem kogoś zapytać, czy wie, co się stało - jak gdyby naprawdę wydarzyło się coś rewolucyjnego, coś poważnie dotyczącego

wszystkich - *do szkoły przyszedł nowy chłopak*. „Kim jest? - chciałem zapytać. - Skąd pochodzi?”

W klasie szukałem innych zafascynowanych osób, koniecznie musiałem podzielić się z kimś swoimi myślami. Chciałem, aby wszyscy czuli to samo co ja, nie mogłem zrozumieć, dlaczego pozostałych 26 uczniów nie zainteresowało się nowym chłopakiem. Koło mnie nie było nikogo, kto wyglądałby inaczej niż dzień wcześniej. Wszyscy jak zwykle okazywali zmęczenie i znudzenie nowonorwesкими czasownikami. Był piątkowy ranek i uczniowie wyczekiwali weekendu. Pragnąłem wstać, stanąć przed nimi i zapytać, czy naprawdę niczego nie zauważyli. Jak możecie tak siedzieć, jak gdyby świat był cały czas taki sam? Kiedy liście wróciły na drzewa, chmury wchłonęły deszcz, promienie słońca przeszyły mgłę, przez szkolny dziedziniec przeszedł człowiek, zostawiając za sobą złoty pył, a wy tak po prostu siedzicie, sądząc, że wszystko jest jak dawniej?

Myślałem tylko o Yngvem. Nie potrafiłem przestać. Czulem jedynie zdenerwowanie i ciepło.

Pod koniec drugiej lekcji zacząłem myśleć racjonalniej, ponieważ nadchodził czas długiej przerwy i Yngve z dużym prawdopodobieństwem mógł pojawić się na dziedzińcu. Chciałem odkryć, do której klasy chodzi, czy ma jakichś przyjaciół, a może także, jak ma na imię. Zacząłem zerkać na zegarek, nie pragnąc już, jak na początku, by wszyscy poczuli to co ja. W krótkim czasie Yngve przeistoczył się z kogoś, kim chciałem podzielić się ze światem, w moją własną tajemnicę. Tak miało pozostać na długo.

Oczywiście nie wiedziałem, że wkrótce się zakocham. Żadna z myśli, które teraz przywołuję, nie pojawiła się w mojej świadomości. Pamiętam tylko to, co widzę: wydartego światu Jarlego Kleppa, który nagle zaczyna tracić nad wszystkim kontrolę, ale sam jeszcze o tym nie wie.

Nie mogłem trzeźwo spojrzeć na swoje myśli i stwierdzić, co oznaczają. Przecież Yngve był chłopakiem. I ja też nim byłem. Nie jestem gejem. Wręcz przeciwnie - zawsze szalałem za dziewczynami, a w dniu, w którym spotkałem Yngvego, ubóstwiałem je, jakby były ucieleśnieniem dobroci i piękna. Od pięciu miesięcy miałem dziewczynę - Katrine, w której byłem zakochany i która była zakochana we mnie. Nie byłem homofobem, a moje poglądy polityczne uwzględniały liberalne spojrzenie na kwestię homoseksualistów - no dalej, mówiłem, niech się pobierają, mają dzieci, proszę bardzo - ale sam trzymałem się od tych spraw z daleka. Nie byłem taki. Nie myślałem o chłopakach. Nie uważałem, że są piękni. Czy brzydzy. Po prostu nie myślałem o nich w ten sposób. Moje dziecięce fascynacje lat osiemdziesiątych androgynicznymi angielskimi artystami, takimi jak Nick Rhodes z Duran

Duran, Martin Gore z Depeche Mode czy Boy George, już dawno minęły. Miałem siedemnaście lat i myślałem o dziewczynach. Miałem matkę, którą kochałem, babcię, którą szanowałem, i myślałem o dziewczynach. Zawsze i wszędzie. Kochałem wszystko, co z nimi związane: to, jak chodziły, sposób, w jaki trzymały ołówek, ich jasne głosy, małe piersi, duże piersi, długie włosy, które zbierały na karku, pochylając się nad ławką, by coś zapisać, krótkie, zaczesane włosy - wszystko. Bez wahania wziąłbym cokolwiek - drewniany patyk, pasek klinowy, blaszaną puszkę - o ile dotykała tego dziewczyna. I wtedy pojawił się Yngve.

Zadzwoniono na przerwę. Ciało zareagowało, nim nauczyciel Hagen zdążył powiedzieć „dziękuję na dziś” i zanim sam tego chciałem, więc gdy zerwałem się z krzesła, zupełnie straciłem panowanie nad sobą. Helge, który siedział za mną, spojrzał na mnie zza długich, brązowych, przetłuszczonych włosów.

- Boże - powiedział. - Uspokój się, Jalla, musisz sobie zwalić, czy co?

- Strasznie chce mi się łać - odparłem i popędziłem do drzwi.

Za sobą usłyszałem głos Hellego:

- Za mnie też zrób.

Byłem pierwszy na dziedzińcu.

Gdzie on jest?

Zachowywałem się jak żelazo przy magnesie, a nie jak osoba taktowna i dyskretna. Byłem pozbawioną wszelkiej kontroli marionetką zakochania, kierowała mną ogromna żądza, czysta fascynacja. Cała moja istota tańczyła w rytm melodii zakochania, nawet gdy usilnie próbowałem tego uniknąć. Poczulem, że wszystkie dni nadchodzących tygodni, począwszy od tego styczniowego poranka, podporządkowane będą jednemu - zbliżeniu się do niego. Byciu tam gdzie on, robieniu tego co on. Nie opracowałem przy tym żadnej strategii - jedyne co mną powodowało, to magnes, żądza, zakochanie Jarlego.

Rozglądałem się po dziedzińcu. Ścisnąłem niecierpliwie opuszki palców.

Gdzie on się podział?

Klasa pojawiła się za mną.

- Kurna, szybko ci poszło - Helge wyciągnął opakowanie Marlboro. - Fajkę?

- Ee... nie - wymamrotałem. Nie patrzyłem na niego i pragnąłem, aby choć raz znalazł się z dala ode mnie.

Na przerwach zazwyczaj trzymałem się z Helgem. Czuliśmy się lepsi od innych. Arogancy, upolitycznieni, punkowi. Dobrze do siebie pasowaliśmy. Dyskutowaliśmy o polityce, filmach, muzyce, literaturze, dziewczynach i piwie, obaj sądziliśmy, że U2 już dawno się wypalili i stali się komercyjni, sądziliśmy, że literatura prezentowana w szkole to

konserwatywny szajs, uwielbialiśmy *Ćmę barową* Charlesa Bukowskiego, The Smiths, Dead Kennedys, Jima Jarmuscha, Stanleya Kubricka i mówiliśmy NIE wszystkiemu, co nie pasowało do naszego alternatywnego światopoglądu. Dla takich jak my liczyły się w tamtych czasach zasady, a wśród nich najważniejsza - aby być takim jak my, a nie takim jak oni. Dzięki niech będą tym, którzy pomogli zdefiniować nas jako innych. Gdyby nie oni - czy to społeczeństwo, czy politycy, drętwiaki, rodzina, chrześcijanie czy bogacze - Helgemu i mnie byłoby ciężko. Było nas niewielu i korzystaliśmy z tego oraz ze swojej alternatywności. Staliśmy obok siebie na dziedzińcu szkolnym, pałac Marlboro i dyskutując o ochronie środowiska, nowej płycie Nicka Cave'a lub jednej z piosenek Mathias Rust Band.

Założyliśmy zespół, z którego Helge śmiał się wtedy w lasku Ullandhaug. Ten pomysł ciągle za mną chodził, aż pewnego dnia kupiłem gitarę i zacząłem nią drażnić Helgego - dołączasz czy nie? Mówiłem, że musimy coś zrobić, chcieliśmy być kapelą ciężko grającą, inteligentną i upolitycznioną. Helge twierdził, że nigdy się nam nie uda, powtarzał, że ma jeszcze gorszy słuch ode mnie - i kto w ogóle będzie nam, kurwa, pisał piosenki? Ale z czasem się zgodził. Helge był naszym perkusistą, na basie grał jego znajomy z liceum St. Svithun, Andreas. Nie pisał piosenek i nie przejmował się kształtowaniem zespołu, był basistą. Dobry człowiek. Spokojny, wyważony, w jego obecności zawsze można było czuć się bezpiecznie. Helge i ja potrzebowaliśmy kogoś takiego. Ale Mathias Rust Band to była nasza sprawa, więc przez sporą część przerw rozmawialiśmy o kapeli, a te dyskusje często przeradzały się w kłótnie. Helge stale twierdził, że nasze brzmienie jest zbyt łagodne, chciał więcej punka i hardcore, bardziej w stylu Hüsker Dü, podczas gdy ja trzymałem się mieszanki popu i nowej fali. Uważał, że musimy wziąć się do roboty i zacząć śpiewać po angielsku, a gdybyśmy zyskali jeszcze drugiego dobrego gitarzystę, wtedy ja mógłbym skupić się na śpiewaniu - bo, szczerze mówiąc, Jalla, nie umiesz grać na gitarze. A skoro już o tym mowa, to nazwę, przeciw której Helge protestował od samego początku, należałoby, jego zdaniem, zmienić, i to szybko. Nadal uważam, że W Pizdę Szatana Anarchokomando pasuje - twierdził.

Ale teraz nie odpowiadało mi, że Helge stoi obok, częstuje mnie Marlboro i chce dyskutować o EWG albo zespole.

Rozejrzałem się wokół.

- Za kim się tak, kurde, rozglądasz? Katrine?

Skinąłem głową. Helge wybuchnął śmiechem. Zerknąłem na dziedziniec, nie pojmując, z czego się śmieje, i niezbyt mnie to obchodziło. Nic nie mogło powstrzymać mojego spojrzenia.

Helge dalej się śmiał, słyszałem go za plecami.

- Halo, przecież ona tu stoi.

Nie zrozumiałem, co ma na myśli, i odwróciłem się rozdrażniony. Katrine stała koło niego.

- Okej, tu jesteś! - powiedziałem z nerwowym uśmiechem. Katrine zrobiła parę kroków w moją stronę i mnie przytuliła. Objąłem ją i nagle uświadomiłem sobie, że dawno nie czułem, jak bardzo ją kocham. Spojrzałem na nią. Uważałem, że jest piękniejsza niż zwykle, zwróciłem uwagę na włosy do ramion i zastanowiłem się, czy je ścinała. Miała na sobie czerwony sweter, którego chyba wcześniej nie widziałem. Jej policzki były świeże. Zakochanie, które wcale jej nie dotyczyło, teraz przeniosło się na nią.

Do końca przerwy rozmawialiśmy o EWG. Helge przypomniał nam o referendum z 1972 roku. Zapytał, czy poparliśmy wówczas Jana Pedera Sysego^[8], i powiedział: *Sluchajcie, oto twierdza sił europejskiej prawicy*. Katrine się z nim zgadzała, „z historycznego punktu widzenia”, ale sądziła również, że Helge rozumuje zbyt jednotorowo: *Dużo pozytywnego wynika też z prób organizowania się*. Wiedziała, co powiedzieć, by się w nim zagotowało. *Organizowania się! Dżizas! Okres na mózg ci padł, czy co? Myślisz, że to jest organizacja zawodowa?! Boże, Katri!* Tylko się zaśmiała. Ja zachowywałem sceptycyzm „zwłaszcza ze względu na kwestię samostanowienia”, sądząc, że wszyscy powinniśmy nieodpłatnie pracować na rzecz sprzeciwu wobec EWG. Później się uspokoiłem, bo obejmując Katrine, czułem jej ciepło i w jakiś sposób udało mi się uznać je za znak od niego - przenikało przez nią ciepło Yngvego. Już nie spoglądałem tak często na dziedziniec, nie udało mi się go dostrzec.

- To nowy sweter? - zapytałem tuż po tym, jak Helge przedstawił kilka niezbitych argumentów przeciwko polityce zagranicznej EWG.

- Nie, Boże - odpowiedziała z uśmiechem. - Mam go od lat.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem jej, że ładnie dziś wygląda.

- Tylko tyle - dodałem.

Kiedy mieliśmy już wracać na lekcje, pocałowałem Katrine. Dłużej niż zwykle. Mocniej niż zwykle. Przyciągnąłem ją do siebie i ostrożnie przycisnąłem się do niej podbrzuszem. Później cofnęła się ode mnie o krok, spojrzała ze zdziwieniem, lekko przekrzywiła głowę, wysunęła podbródek, na jej twarzy na chwilę pojawił się grymas, słabo się uśmiechając, delikatnie marszczyła brwi.

Ostatni raz zerknąłem na dziedziniec. Nie było go tam. Więc raz jeszcze pocałowałem Katrine.

Dlaczego nie wyszedł na przerwę? Nie miał odwagi? Niezręcznie było mu wśród tyłu

nowych ludzi, więc wolał zostać w klasie? Gdy nie widziałem go przez ponad pół dnia, zacząłem odczuwać ból, zaschło mi w ustach, a myśli nerwowo kłębiły się w głowie.

Na każdej przerwie ścisnąłem Katrine, aż zareagował na to Helge: - Kurna, ale z ciebie przylepa - powiedział.

Czy w środku jesteśmy maszynami? Czy mieścimy w sobie koła zębate, dźwignie i przyciski, które w odpowiedni, wcześniej zaprogramowany sposób, uruchamiają się, gdy coś się dzieje? Mój mechanizm właśnie ruszył: im bardziej opętany byłem myślą o Yngvem, tym bardziej zakochiwałem się w Katrine. Czego nie mogłem wziąć od niego, brałem od niej. Czego nie mogłem mu dać, dawałem jej. Ten manewr substytucji działał niczym rodzaj kamuflażu. Przeżywałem swoje zakochanie razem z Katrine, żywiłem je, pozwalałem mu na niej rosnąć jak pasożytowi.

Obejmując Katrine, czułem się bliżej Yngvego, Katrine zaś czuła się pożądana bardziej niż kiedyś i odwzajemniała tę żądzę, co umocniło nasz związek. Na początku.

Ale gdzie on się podział?

- Ciekawe, jak ma na imię - myślałem, całując Katrine.

Na czwartej przerwie zapytałem Helgego i Katrine, jakie męskie imiona im się podobają.

Oboje dziwnie na mnie spojrzeli.

- No, nie... po prostu jakie imiona wam się podobają?

- Kurde, będziecie mieć dziecko, czy co? - zapytał Helge, zapalając papierosa. - Będziesz teraz na dużej przerwie karmić piersią?

- Nie! - powiedziała Katrine ze śmiechem.

- To jakie imiona wam się podobają? - nie dawałem za wygraną.

- Helge - powiedział Helge.

- Nie żartuj - odparłem. - Mówię poważnie.

- Pål - powiedziała Katrine. - I Gorm.

- Gorm? Gorm?! - zawołał Helge i przyłożył dłoń do ucha na kształt słuchawki telefonicznej: - Tak, tu Helge Ombo, chciałbym zamówić ofiarę szkolnej fali. Gorm, tak, zgadza się, Gorm.

Przez całą przerwę przierzucaliśmy się męskimi imionami. Obejmowałem Katrine, uśmiechając się do niej i głaszcząc po policzku. Rozmawialiśmy o męskich imionach, a ja rozglądałem się po szkolnym dziedzińcu. Arne. Tom. Inge. Tarald, jak ojciec Katrine. (Helge: - Tarald! Tarald?! Nie starczy nam jej ojciec?) Stein. Kristoffer. Rolf. (Helge: - Rolf! Rolf? Chcesz, żeby twój dzieciak był przestępcą?) Wszystkie te imiona uspokajały mnie. Pamiętam,

że czułem wielką radość, wyobrażając sobie w nich jego i obejmując Katrine.

Pojawił się po piątej lekcji.

Yngve stał sam tuż przy środkowym wejściu do podłużnego budynku szkoły.

„Kim jesteś? - pomyślałem. - Jak się nazywasz?”

Szczupły, bezimienny chłopak stał wyprostowany, z rękoma po bokach, lekko przekrzywioną głową i delikatnym uśmiechem na ustach. Oczywiście z odległości około sześćdziesięciu metrów nie widziałem wyraźnie rysów jego twarzy, ale zdawało mi się, że spogląda w górę, unosząc głowę, a jego wargi ledwie się ze sobą stykają.

Nikt z nim nie rozmawiał. Nikt z nowych kolegów go o nic nie pytał. Stali w swoich zamkniętych grupach, tych wzajemnie wyłączających się systemach, hierarchicznych państwach, regularnie obalanych zamachami stanu, ku wielkiemu cierpieniu niektórych obywateli. Chrześcijanie, młodzieżówka socjalistyczna, członkowie Amnesty i organizacji na rzecz ochrony środowiska, drętwiaki. Wszyscy zdawali się nie zauważać samotności Yngvego. Ale ja ją zauważyłem.

Jak mogłem się do niego zbliżyć? Przerwa trwała tylko dziesięć minut. Stałem na szczycie schodów z Helgem i Katrine, którzy na autopilocie dyskutowali o ochronie środowiska. Co mogłem zrobić, by stać się jego pierwszym znajomym - pierwszym przyjacielem Yngvego w szkole?

- Helge, ty jesteś tylko mocny w gębie - powiedziała Katrine z irytacją.

- Jak to w gębie? - zareagował Helge.

- Przecież ty nic sam nie robisz. Latem byłeś w Oslo i poszedłeś do McDonalda, prawda?

- A co z nim nie tak? - odparł Helge i wydmuchał dym.

- No widzisz. - Katrine wywróciła oczy. - Sam dobrze wiesz, że McDonalds przyczynia się do wycinania lasów deszczowych. Ochrona środowiska to nie tylko poglądy, lecz także czyny. Prawda, Jarle?

- Hm? McDonalds? Tak, pewnie - odrzekłem.

- Bzdury gadasz, Katri - powiedział Helge. - W czasie, który ty poświęcasz na dyskusje, ja zrobiłem wszystko, nad czym zastanawiasz się latami.

- Teraz zwyczajnie kłamiesz - stwierdziła Katrine.

Helge się zaśmiał. Przerwa dobiegała końca i za chwilę znów miałem stracić Yngvego z oczu. Spojrzałem na wiatę rowerową. Nasze rowery stały obok siebie, ale ja byłem tu, a on sześćdziesiąt metrów ode mnie.

- O kurde - powiedziałem nagle, podczas gdy Katrine odpytywała Helgego z

segregacji śmieci.

- Co? - zapytała.

- Rower - odparłem.

- Co z nim? - zdziwił się Helge.

- Chyba zapomniałem go zapiąć.

- To chodźmy to zrobić - powiedział Helge z rezygnacją, a Katrine skinęła głową.

O Boże. We troje będziemy zapinać rower. Nie miałem wyboru, nie mogłem im zabronić, aby zeszli po schodach, przeszli przez dziedziniec w stronę wiaty i minęli Yngvego w odległości dziesięciu metrów. Może pięciu, jeśli udałoby mi się przeciągnąć ich trochę na lewo.

Zapiąć rower.

„Świetny pomysł” - pomyślałem, zły na siebie. Zeszliśmy po schodach. Idąc przez dziedziniec, mijaliśmy wiele osób, również Yngvego, który stał ledwie osiem metrów ode mnie, kiedy znalazłem się na jego wysokości. Zwolniłem. Reszta zachowała normalne tempo. Nie potrafiłem iść szybciej. Ścisnęło mnie w żołądku, a serce podskoczyło do gardła.

Doszliśmy do wiaty. Rower był oczywiście zapięty. Helge klepnął mnie w tył głowy.

- No tak, głupku. A wyłączyłeś rano ekspres do kawy?

Za parę minut zabrzmiał dzwonek. Widziałem, że Yngve stoi w dokładnie takiej samej pozycji jak wcześniej. Ta sama postawa, ten sam uśmiech. Wybrałem najgłośniejsze, najbardziej niezręczne, ale też najszybsze rozwiązanie. Gdy nieco go minęliśmy, niezdarnie uderzyłem się dłonią w czoło, mówiąc, że muszę dać coś Arvemu z klasy C, którego znałem z gimnazjum. Jego klasa znajdowała się za drzwiami, przy których stał Yngve; razem chodziliśmy na fakultet z fotografii. Pobiegłem.

Zatrzymałem się pod drzwiami, udając, że bardziej brak mi tchu i bardziej mi śpieszno niż w rzeczywistości. Ledwie rzuciłem okiem na Yngvego, który na mnie nie spojrzał, po czym otworzyłem drzwi do prowadzącego do sal lekcyjnych korytarza na parterze. Siedziało tam trzech uczniów z otwartymi książkami na kolanach. Jeden z nich popatrzył na mnie, a ja pokręciłem głową. Na szczęście nie zobaczyłem Arvego. Wycofałem się o krok, zamknąłem drzwi i stanąłem tuż obok Yngvego. Póki co wszystko szło zgodnie z planem.

- Kurde - szepnąłem sam do siebie, ale wystarczająco głośno, by Yngve mógł mnie usłyszeć i zwrócić na mnie uwagę.

Nie zrobił tego.

Zatrzymałem się. Odwróciłem głowę w jego stronę, ale on patrzył jedynie po skosie w górę, z delikatnym uśmiechem na twarzy. Otworzyłem usta, chciałem coś powiedzieć, jednak

szczęki zacisnęły się, jak gdyby Yngve był zbyt piękny, by móc z nim porozmawiać.

Co ty ze mną robisz?

Odchrząknąłem. Stałem już tak długo, że zaczynało to być nienaturalne. Yngve opuścił głowę i spojrzał na mnie. Uśmiechał się.

Musiałem coś powiedzieć.

- Nie... nie widziałeś może Arvego? - wydusiłem z siebie.

- Nie, jestem tu nowy.

Jestem tu nowy.

Jego głos nie był ani jasny, ani ciemny, ale miał wyraźne brzmienie. „Przypuszczalnie dobrze nadaje się do śpiewu - pomyślałem - wyraźny dialekt z Haugesund”. Odprężyłem się.

- Jesteś nowy. Ach tak... okej.

Podąłem mu prawą dłoń. „Chwyć ją - pomyślałem. - Chwyć ją”.

- Jarle.

Wyciągnął do mnie białą dłoń o długich palcach. Chwyliłem ją, ścisnąłem i puściłem.

- Yngve.

Oczywiście, że masz na imię Yngve.

- Haugesund? - zapytałem.

- Tak. - Skinął głową. - Tak, właśnie się tu przeprowadziłem. To właściwie mój pierwszy dzień.

- Okej. To... podoba ci się tu?

- Tu? W szkole?

- Tak, tu, i w mieście.

- Tak, jest ładnie, całkiem jak w domu, tylko wszystko większe - odparł.

Spojrzelśmy na siebie. Oczy miał jasne, bardziej dziecięce niż resztę twarzy. Yngve musiał być pięć do siedmiu centymetrów wyższy ode mnie, był też szczuplejszy. Jak mnie postrzegał? Czy byłem dla niego przypadkowym chłopakiem, który wyjrzał zza drzwi, ponieważ wcześniej kogoś szukał? Jednym z rówieśników, którzy minęli go w pewne piątkowe, styczniowe przedpołudnie? Tak sędzę. Nie mógł spodziewać się, że oto ma przed sobą człowieka, który się w nim zakochał, który był gotów zrobić dla niego wszystko. Sam przecież tego nie wiedziałem. Po prostu działałem.

- A więc masz na imię Yngve.

Skinął głową z uśmiechem, opatulając się mocniej niebieską kurtką i chroniąc się w ten sposób przed wiatrem.

- Witamy u nas - powiedziałem i zauważyłem, jak niezgrabnie zabrzmiały te słowa.

- Dziękuję. - Yngve rozejrzał się wokół. - Nie znalazłeś go?

- Co? - Potrząsnąłem prędko głową. - Kogo?

- Tego... jak mu było? Tronda?

- Co?

Stałem na żwirze przed nim, nad nami wisiało niebo, chmury przesuwaly się nad naszymi głowami, a wiatr kłuł w policzki.

Zadzwoił dzwonek. Rozległ się nad dziedzińcem niczym syrena zagrażająca Yngvemu i mnie. Wszystko nam zagrażało.

- To nic - powiedziałem. - Znajdę go później.

Yngve zrobił krok w bok i chciał wejść do środka. Stałem tam jak głupek. Wtedy się zatrzymał.

- Czy ja cię już gdzieś widziałem? - zapytał, marszcząc brwi.

- Nie - odparłem. - Nie sędzę.

Spojrzał na mnie. Po raz pierwszy jego wzrok się zmienił, wyostrzył się, a Yngve zaczął mi się przyglądać. Czy byłem piękny?

- Nie, chyba nie - powiedział. - Okej, to do pogadania.

- A tak w ogóle - dodałem prędko. - Jak masz na nazwisko?

- Lima - odpowiedział.

Yngve odwrócił się, zmieszał z pozostałymi uczniami i wszedł do środka.

- Yngve - szepnąłem. - Nazywasz się Yngve Lima i widziałeś mnie dziś rano.

Byłem jednym z ostatnich, którzy weszli po tej przerwie do szkoły. Czekala mnie lekcja historii. Przeszedłem po żwirowym dziedzińcu, wspiąłem się po schodach do wejścia, zbliżyłem się do drzwi i wyciągnąłem rękę. Zatrzymałem się. Dłoń zawisła w powietrzu, parę centymetrów od klamki. Tej samej, którą parę minut temu ścisnął Yngve. Nie chciałem, żeby dotykała czego innego.

Po lekcjach wypatrywałem Yngvego wśród wychodzących uczniów. Nie znalazłem go. Kiedy podszedłem do wiaty, zobaczyłem, że jego roweru już nie było.

- Ale wiem, jak się nazywasz - pomyślałem.

Podszedł do mnie Helge.

- To co, weekend?

Odwróciłem się i powiedziałem, że chyba jednak nie pójdę w sobotę na koncert w Folken. Grały tam trzy lokalne kapele, Sild, Krokodill and the Saltpastill; Bever i Helvetes Forgård^[9]. Kumpel Helgego z trzeciej gimnazjum był perkusistą w HF.

- Nie pójdziesz? Kurde, musimy się pokazać, nawet jeśli sami nie gramy!

- To nie dlatego - odpowiedziałem. - Nie jesteśmy przecież jeszcze gotowi, żeby się pokazać innym.

- Nie, ale niedługo będziemy. O co, kurna, chodzi? Gra Helvete!

Na oczekaniu zmyśliłem, że muszę pomóc tacie przenieść trochę rzeczy z magazynu do mieszkania, które właśnie kupił w Forus:

- W końcu muszę utrzymać przymierze z ojcem, a poza tym - powiedziałem - dość mam wychodzenia na miasto co weekend.

Helge spojrzał na mnie z powątpiewaniem. Nigdy wcześniej niczego takiego nie mówiłem, wręcz przeciwnie - należałem do tych, którzy usilnie wrywali się do klubów, chociaż mieli tylko siedemnaście lat.

- Boże, to jakiś nowy styl? - Wzruszył z irytacją ramionami. - Ale w niedzielę? Ćwiczymy?

- Tak, jasne - odparłem.

Przyszła Katrine i pogadaliśmy trochę, kiedy Helge już nas opuścił. Rozmawiając z nią, czułem odrętwienie. W drodze z dzielnicy kolejny raz ją przytuliłem, ale dużo mniej entuzjastycznie niż na poprzednich przerwach. Powiedziałem, że trochę kiepsko się czuję i wolałbym posiedzieć wieczorem w domu.

- Jesteś pewien?

Dziewczyna ze szkolnego teatru przeszła obok nas, mówiąc, że dziś grają ostatnie dodatkowe przedstawienie. Była Pukiem w *Śnie nocy letniej*.

- Ach tak. - Katrine spojrzała na mnie. - Chyba musimy pójść, co?

Przypomniała mi się sarkastyczna uwaga Hellega - *Sen nocy letniej? Sen nocy letniej? Cholerna farsa, dlaczego nie wystawią Brechta* - i zasłoniłem się nią:

- Nie, to nie dla mnie - powiedziałem.

- To widzimy się jutro? - zapytała Katrine, kiedy dziewczyna ze szkolnego teatru sobie poszła.

- Taa... zobaczymy, może będę musiał pomóc w czymś tacie - powiedziałem i pocałowałem ją. - Ale zadzwonię.

Usiadłem na rowerze i pomknąłem w dół w stronę Vågen. Za rogami zacząłem pedałowac wzdłuż nabrzeża. Nad fiordem ciemniały chmury. Kierunek wiatru zmienił się w ciągu dnia, teraz znowu podmuchy uderzały w moją twarz, trudniej było mi naciskać na pedały. Zebrałem siły, nogi ruszały się prędzej, obręcze kół stukały po bruku, flagi wzdłuż Vågen łopotały, ludzie okręcali się wokół własnej osi, ściskając porywane wiatrem parasole, a ja mrużyłem oczy w bladym słońcu, które usiłowało przebić się na niebie, przepędzane przez

nadciągającą burzę. Miałem otwarty umysł i ciało, szumiało mi w uszach i gdybym nie wiedział, że te dźwięki pochodzą od podmuchów wiatru uderzających w czerwone, zimne chrząstki i przedostających się do organu słuchu, pomyślałbym, że ten hałas rodzi się wewnątrz mnie. Moja twarz pojaśniała, uśmiechnąłem się, stanąłem na pedałach. Właśnie od tej chwili zaczęło się moje życie. Nie byłem już odrętwiały.

^[6] Nerd - człowiek nieprzystosowany do życia w społeczeństwie, izolujący się od innych, niedbający o wygląd, zainteresowany wyłącznie fantastyką, grami komputerowymi itp. [przyp. red.].

^[7] *Nynorsk*, dosłownie „nowonorweski” - jeden z dwóch oficjalnych pisanych języków norweskich. Językiem używanym przez Jarlego jest drugi z nich, *bokmål* („język książkowy”) [przyp. tłum.].

^[8] Jan Peder Syse (1930-1997) - norweski polityk związany z konserwatywną prawicą, premier w latach 1989-1990 [przyp. tłum.].

^[9] Sild, Krokodill and the Saltpastill; Bever i Helvetes Forgård - Śledź, Krokodyl i Słona Pastyłka; Bóbr i Przedsiębiorca [przyp. tłum.].

Ojciec Hebbelille nie żyje

everybody knows it hurts to grow up

but everybody does

Ben Folds

Kiedy wróciłem w tamten piątek do domu, zadzwoniłem do taty, aby powiedzieć mu, że nie odwiedzę go w weekend.

- Mam tyle do roboty - tłumaczyłem. - Wiesz, dużo pracy w szkole.

- Aha - odparł, nieco urażony, chociaż wiedziałem, że cieszył się, kiedy w weekendy nie spotykałem się z nim, a zostawałem u mamy. Pasowało mu to, bo nie musiał silić się, by mnie nie stracić, nie musiał w te śmieszne weekendy być pomysłowym superojcem, nie musiał specjalnie gotować obiadu dla swego utraconego syna, nie musiał ścielić łóżka w pokoju gościnnym, ścierać kurzy i sprzątać, mógł robić, co chciał - jechać do miasta i podrywać kobiety, w samotności pić wódkę do późna w nocy, o czwartej nad ranem zadzwonić do Gørild, młodszej siostry mieszkającej w Molde, i nawymyślać jej przez telefon, przypomnieć starą śpiewkę o tym, że jest zdrajczynią, bo wyprowadziła się z miasta i zostawiła w nim wszystkich, wypomnieć, że nigdy ich nie odwiedza, zapytać z wyrzutem, czy kiedykolwiek da im poznać swoje dzieci i czego szuka tam w Molde, festiwali jazzowych? Przecież kiedy była młodsza, nigdy nie lubiła jazzu. I dlaczego musiała głosować na Czerwonych? Później tata mógł zasnąć na kanapie, bełkocząc i słuchając starych płyt Louisa Armstronga, obwiniając się i użalając nad sobą, a w niedzielę przespać kaca moralnego - robić wszystko to, co spowodowało, że półtora roku wcześniej mama zebrała się na odwagę, spakowała walizki i go opuściła.

- To do zobaczenia za parę tygodni - powiedział z radością w głosie. - Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak - odparłem. - Miłego weekendu.

Już miałem odłożyć słuchawkę. Ulżyło mi, poszło gładko.

- Hej? A może pójdziemy w tygodniu do kina, co?

Boże. Zawsze to samo. Kiedy ze sobą rozmawialiśmy, na przykład przez telefon, na początku szło jak po grudzie. Wiecznie te same, suche pytania. Jak szkoła. Jak ma się mama. A jak babcia. Co porabiasz. A ja odpowiadałem: *No, dobrze* i *No, w porządku*. Lecz kiedy mijał czas i rozmowa wyraźnie dobiegała końca, przez tatę zaczynały przemawiać wyrzuty sumienia. *Zrobimy coś razem? Ty i ja, Jarle, co?* Czasem nagle wydobywał jakieś stare wspomnienie, jakieś zdarzenie, które w jego wybiórczej pamięci rozjaśniało ciemne lata: *Pamiętasz? Jak pojechaliśmy rowerami do klasztoru Utstein, jedliśmy lody na promie i oglądaliśmy rybki przy molo?* Najczęściej groteskowo przejawiał te wspomnienia, które nie przypominały już żalonych, prawdziwych zdarzeń - to, co niegdyś było mętne, może bolesne, teraz stawało się czyste i piękne, jak wyjęte z wakacyjnego programu dla dzieci, gdzie ludzie jeżdżą na rowerach na grubych oponach i zbierają mleczko. Zawsze tak robił, a tym razem jego fantazja podpowiedziała mu wyjście do kina.

- Nie grają teraz przypadkiem nowego filmu z Jamesem Bondem? - usłyszałem.

Jakby kino z tatą było dla mnie wymarzoną rozrywką na wieczór, jakbym chciał narażać się na to cierpienie, jakim było snucie się po ulicach Stavanger i wystawanie w kolejce do kina w domu kultury razem z moim żalonym ojcem, jeszcze raz niezdarnie próbującym naprawić mi dzieciństwo. Przepraszam, tato, jest już za późno, nie pomoże ci postawienie siedemnastolatkowi popcornu i coli i zabranie go na film z Bondem. Poza tym i tak na pewno nie spodobałby mi się film, który on chciał zobaczyć - rzeczywiście grali właśnie *Licencję na zabijanie*, ale Bond figurował na mojej najczarniejszej liście masowej, idiotycznej rozrywki, więc w tym przypadku tata spudłował. Zresztą nie robiłoby różnicy, gdybyśmy poszli na film wybrany przeze mnie - coś politycznego albo artystyczne kino belgijskie - bo tylko pogłębiłoby to i tak już dramatyczną przepaść między rodzicem a potomkiem. Gdybym zgodził się na którąś z jego propozycji, których jedynym celem było pomóc jemu samemu, ryzykowałbym, że zobaczy mnie ktoś z klasy, w najgorszym przypadku Helge, a nic nie wydawało mi się bardziej kompromitujące. Że ktoś mógłby zobaczyć tatę i mnie, dwóch ludzików drepczących po mieście, jak na wystawie, dwóch durniów usiłujących się do siebie zbliżyć.

Tak, oto Jarle i ojciec.

- Niece, nie sądzę, nie mam czasu - powiedziałem.

- Nie, nie - pośpieszył tata z odpowiedzią. - Po prostu... *my name is Bond. James Bond*. Tak. Ale następnym razem, jak przyjdiesz, pójdziemy na wycieczkę, co? Tylko ty i ja, jak kiedyś. Możemy pojechać do Jæren, co?

- No - powiedziałem. - Do usłyszenia.

Odłożyłem słuchawkę.

Rzadko czułem lęk przed tatą podczas naszych weekendowych spotkań sam na sam, bo widywaliśmy się w kontrolowanych okolicznościach, jakby z łaski sądu, który wyznaczył mi na to czas. Nie miałem się też czego obawiać, chyba że poniżenia i przytłaczającej nudy, gdybym poszedł z nim do kina, bo byliśmy przecież wśród ludzi. Miałem wtedy nad nim przewagę, a podczas naszych rozmów przez telefon to ja rozdawałem karty.

Podszedłem do mamy. Stała w kuchni z fartuchem przewiązanym w talii.

- To był twój ojciec? - zapytała, odwrócona do mnie plecami. Zawsze tak mówiła: „twój ojciec”, jak gdyby nigdy nie miała z tym człowiekiem nic wspólnego.

- Mhm.

Przez parę sekund panowała cisza. Widziałem ciało mamy nad kuchenką i patelnią, napinający się kark i żyły widoczne na wierzchu dłoni trzymającej patelnię.

- Kotlety mielone? - zapytałem łagodnym głosem.

Napięcie karku zniknęło, dłoń odżyła, a mama odwróciła się. Skinęła głową z uśmiechem.

- Kapitalnie - powiedziałem i przytuliłem ją. - Nakryję do stołu.

Mama wychyliła się i wyjrzała przez okno.

- Popatrz na to - odezwała się.

Drzewa na zewnątrz skrzypiały, a wiatr ostro i zdecydowanie dął przez ulice.

- Chyba będzie burza - powiedziała mama.

Zostawiliśmy temat. Rozmowa o tacie tylko zepsułaby nam wieczór. Zamiast tego cieszyliśmy się sobą. Tak niewiele było nam potrzebne.

Zjedliśmy razem. Nie smuciłem się, nie byłem krnąbrny, ale też nie mówiłem zbyt dużo. Częstowałem się kotletami, buraczkami, zasmażanym masłem, gotowanymi warzywami i ziemniakami. Był początek lat dziewięćdziesiątych, ale wszystko wyglądało nadal jak w poprzedniej dekadzie, a mama gotowała właśnie takie obiady - norweskie domowe posiłki, których już niemal się nie przyrządza. Nie żeby ciężko strawna, niezdrowa, bazująca na sosach kuchnia norweskiej socjaldemokracji smakowała mi bardziej niż jedzenie, które dzisiejsi rodzice przygotowują swoim dzieciom - wręcz przeciwnie, odczuwam tylko straszliwy smutek na samą myśl, że zniknęła. Tylko tyle. Że kiedyś przyrządzano takie obiady, gotowała je moja matka, a teraz już nikt tego nie robi.

Jadłem powoli. Zwykle wyglądało to inaczej - mówiłem dużo i jadłem szybko. Teraz próbowałem naśladować Yngvego. Byłem pewien, że on spożywał posiłki wolno i nie mówił tyle co ja podczas obiadów z matką. Wyciągnąłem głowę, lekko ją przekrzywiłem,

próbowałem być cichy i łagodny, ozdobić twarz prostym uśmiechem. Wyobraziłem sobie, że mam wyraźne czerwone usta, bladą skórę i zarumienione policzki.

- Co ci się dzisiaj stało? - zapytała mama po chwili. Odłożyła nóż i spojrzała na mnie.

- Nic - odpowiedziałem.

- Czy chodzi o... - Odchrząknęła. - Twojego ojca?

Potrząsnąłem przyjaźnie głową.

- Nie, on... - mama sama się powstrzymała.

Znów potrząsnąłem głową i uśmiechnąłem się do niej.

Podniosła nóż, przekroiła ziemniaka. - Tak, coś ci jest. - Nagle spoważniała. - Chyba nie chodzi o Katrine, co?

Mama bardzo lubiła Katrine, nazywała naszą znajomość moim pierwszym „poważnym związkiem”, wyobrażała sobie, że to z nią się ożenię, że to ona będzie matką moich dzieci, że to Katrine będę się zajmował tak, jak tata nigdy nie zajął się nią samą. W pewien sposób się z nią zgadzałem - tworzyliśmy udaną parę.

- Nie, nie, spokojnie - powiedziałem. - Katrine ma się dobrze. Jestem tylko trochę... to nic takiego.

Później zaparzyłem kawę. Zaniósłem ją mamie, która siedziała w zielonym fotelu i czytała gazetę. Co jakiś czas odkładała ją na kolana i wyglądała przez okno. Wiatr wiał między murami, a drzwi wejściowe zaczęły stukać.

- Dobrze być w taką pogodę w domu - powiedziała mama.

- Mhm.

- Gdy na dworze wieje.

Spojrzałem na nią.

- Może pójdziemy kiedyś do kina, co?

- Razem? - Mama popatrzyła na mnie zaskoczona. - Tylko ty i ja? Chcesz?

- Tak - odrzekłem.

Tak wtedy między nami było. Dobrze. Tylko mama i ja. W domu byłem zupełnie inny niż gdzie indziej. Nie musiałem niczego udowadniać, nie musiałem okazywać swojej arogancji, nie miałem nic do stracenia. Nie byłem tym Jarlem, który mówił „nie” chwilę po tym, jak ktoś powiedział „tak”. Chociaż mama pod wieloma względami reprezentowała tę samą mieszczańskość, której tak często jawnie nienawidziłem, przy niej się uspokajałem. Mieliśmy wspólny system, którego trzymałem się przez większość czasu. Ja parzyłem kawę, mama przygotowywała posiłki.

- Kto by pomyślał, że zechcesz iść ze mną do kina - powiedziała z uśmiechem.

Pozwoliłem jej wypić kawę w fotelu, a sam zmyłem naczynia.

Czasem na nią spoglądałem. „Mama jest piękna” - myślałem. - „Świetna z niej dziewczynka”. Tak, często myślałem o niej jak o małej dziewczynce, może dwunastoletniej. Nie wiem dlaczego, to mi do niej po prostu pasowało. Nadal tak myślę, chociaż mama jest już o trzysta lat starsza i ma prawie 58 lat. Cały czas przypomina dziewczynkę. Chociaż trochę przytyła i nie wygląda już tak lekko jak wtedy, gdy zbliżała się do pięćdziesiątki, a włosy ma teraz krótsze i srebrzystosiwie, ja cały czas czekam, aż nagle wstanie, zacznie mówić jak mała dziewczynka, wybiegnie do ogrodu, na łąkę, nazbiera polnych kwiatów, podskoczy, zrobi gwiazdę, przebiegnie przez trawnik, zatrzyma się przy linii kolejowej, obejrzy przejeżdżające pociągi, pobiegnie do lasu, znajdzie drzewo, na które można się wspiąć, malinę, którą można położyć na język, plażę, po której można się turlać, skałę, z której można skoczyć do wody, chłopca, na którego można się gapić. 57-letnia pani, powszechnie uważana za radosną duszę, wielka miłośniczka muzyki klasycznej - przede wszystkim utworów fortepianowych - oraz literatury rosyjskiej - zwłaszcza Dostojewskiego - a także José Saramago, Selmy Lagerlöf, Halldóra Laxnessa i szwedzkich pieśniarzy, Nilsa Ferlina, Cornelisa Vreeswijka, towarzyska, szczególnie wśród starszych ludzi, których tak bardzo kocha.

- Lubię starszych ludzi - powtarza często. - Przy nich czuję się bezpieczna.

- Chociaż są chorzy i przestraszeni? - zapytałem kiedyś.

- Tak - odparła mama. - To porusza się w nich życie. Myślę też, że są mądrzy. Jak twoi dziadkowie. Spójrz na nich.

- Tak - zgodziłem się. - To prawda.

- Wiesz, oni swoje przeżyli. O to właśnie chodzi. Swoje przeżyli.

Po posiłku obejrzałem z mamą serial detektywistyczny *Bergerac*. O przemyśle, w który wplątani byli ludzie z wyższych sfer. Niczego więcej nie chciałem. Gdybym oglądał go z kim innym, na przykład z Helgem albo Katrine, musieliby przebrnąć przez odcinek, wysłuchując serii moich tyrad o tym, jak prymitywny, idiotyczny, dramaturgicznie nie do zniesienia i amatorski pod względem gry aktorskiej jest ten film. Nic z tych rzeczy nie powiedziałem podczas oglądania go z mamą, a już na pewno nie tego wieczoru, gdy próbowałem naśladować Yngvego. „On taki nie jest” - myślałem.

Później leciały Mistrzostwa Europy w łyżwiarstwie na 5 tys. metrów w Heerenveen, ale wyłączyliśmy je w oczekiwaniu na wieczorne wiadomości, bo zarówno mamie, jak i mnie przypominały one o tacie, który - jak większość mężczyzn z pokolenia powojennego - interesował się łyżwiarstwem i tak samo jak oni ubolewał nad tym, że ten sport nie jest już

taki jak kiedyś. Dokładnie tak samo kolejni mężczyźni będą ubolewać w przyszłości nad tym, że skateboarding nie przypomina już tego z dawnych czasów. Mama wyjęła parę gazet z kończącego się tygodnia, a ja poszedłem do kuchni po czekoladę.

- Oj - usłyszałem głos mamy z salonu.

- Co? - zapytałem.

- Ojciec Hebbelille nie żyje - powiedziała, wyraźnie poruszona.

- Ojciec Hebbelille? - Wszedłem do pokoju, gdzie mama rozkładała stronę dziennika „Stavanger Aftelblad”.

- Zawsze był taki zabawny - odparła i wskazała palcem artykuł.

- A tak, ten aktor, Albert i Herbert, ci od sklepu ze starzyzną. Zmarł?

- Tak, w niedzielę. Uwierzysz? - zapytała.

Usiadłem. Na zdjęciu w gazecie widniał Sten-Åke Cederhök, kochany przez publiczność aktor. Miał 76 lat. Wydawało mi się, że wygląda na przestraszonego. Spojrzałem na mamę, która z prawdziwym zainteresowaniem czytała o ojcu Hebbelille. Artykuł traktował o starych filmach i jego karierze w rewii. Nazywano go szwedzkim „królem teatru ulicznego”.

- No tak - powiedziała mama. - Tak to już jest.

Chciałem tylko spokojnie z nią posiedzieć, poczytać gazetę, jeść z niebieskich pucharków lody z polewą karmelową, częstować się kawałkami mlecznej czekolady z talerza na stole, oglądać telewizję i myśleć o Yngvem. Byłem tego wieczoru niezwykle wyciszony. Po tak roztrzęsionym, pełnym emocji dniu, pozostawałem spokojny, nieco zmęczony i bardzo pewny siebie. Niczego się nie obawiałem. Niczego się nie wstydziłem, poza tym nie mogłem się wstydzić, bo nie zacząłem jeszcze analizować tego, co miało mi się przytrafić. Czułem jedynie pewność, którą wiązałem z Yngvem. Nie mam pojęcia, jak poukładałem sobie w głowie te jedynie na pół wyrażone elementy, ale wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Tata, Katrine, Yngve, ja sam. Wszystko było w porządku.

Mój umysł pracował jakby w oderwaniu ode mnie. Gdy wieczór minął, ułożyłem sobie - a raczej ta część mnie, która myślała, pragnęła i działała - wyraźny i przejrzysty plan, jak w ciągu nieco ponad pół dnia znów zobaczyć się z Yngvem.

Wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Mama cieszyła się, że zostałem w piątkowy wieczór w domu, ale dziwiła się też, że nie wychodzę.

Gdy skończył się wyścig łyżwiarski na 5 tys. metrów, włączyła wieczorne wiadomości.

- Musimy zobaczyć, co się dzieje.

Zawsze oglądaliśmy wiadomości. Wiadomości i pogodę. Dzień nie byłby podsumowany, a noc nie mogłaby nad nami zapaść, gdybyśmy nie obejrzeliby wiadomości, a jeśli nie obejrzelibyśmy prognozy pogody, następnego dnia pogody nie byłoby wcale. Często myślę o pokoleniu mamy i taty jako o pokoleniu wiadomości. Podczas gdy ja - zupełnie niedobrowolnie - należę do generacji seriali telewizyjnych, oni tworzyli wielkie pokolenie wiadomości. Kiedy my wiemy, co dzieje się w barze Zdrówko, u rodziny Soprano, wśród Przyjaciół, w tajemnych aktach Muldera i Scully, w zagadkowym miasteczku Twin Peaks, w każdej godzinie piekielnej doby agenta FBI Jacka Bauera, oni wiedzieli, co dzieje się na świecie. Kiedy ktoś zainteresował się Tajwanem, ojciec biegł do półki, otwierał encyklopedię na literze T i czytał na głos całej rodzinie. Po śmierci tego pokolenia stacje telewizyjne mogą zwyczajnie zamknąć działy informacyjne, a Gro Holm, Hans-Wilhelm Steinfeldt i Ingolf Håkon Teigene^[10] - spakować walizki i zająć się ogrodnictwem albo studiowaniem na uniwersytecie języka arabskiego, bo nie będzie już ich miał kto oglądać. Niektórzy dorośli, pamiętający jeszcze zachwyty, jakim ich rodzice darzyli *Wiadomości*, chcą wiedzieć, kim był Ingolf Håkon Teigene, widząc, jak wraca z campusu Blindern w Oslo, gdzie cały dzień pochylał się nad książkami na uniwersyteckiej czytelnicy, idzie w stronę sklepu tuż koło Majorstua, mija siedzibę radia i telewizji publicznej, gdzie kiedyś pracował w dziale informacyjnym, w społeczeństwie zainteresowanym jeszcze światem i jego wydarzeniami. Nieliczni, którzy chcą wiedzieć, kim jest, powiedzą: „Patrzcie, to on pracował w tak zwanych *Wiadomościach*, na imię ma chyba Ingolf, czy jakoś tak”, a słuchające tego dziecko odwróci się do matki, która użyła dziwnego słowa, i zapyta: „Co? *Wiadomości*? A co to?”. „*Wiadomości* - odpowie matka, spoglądając na plecy dawnego pracownika telewizji - istniały w dawnych czasach, teraz już ich nie ma”. Matka popatrzy na emeryta mijającego budynek, w którym kiedyś pracował, i pomyśli, że może wspomina on właśnie poszczególne wydarzenia, przechodząc koło Marienlyst w drodze do swojego starego domu, może przypomniał sobie wojnę, o której kiedyś miał za zadanie poinformować norweski naród?

Pomimo jasnych sygnałów zagrożenia w roku 1990 zdawała się jeszcze istnieć dla nas nadzieja - tak bardzo można się pomylić. Ja również próbowałem śledzić wiadomości. Na ekranie zobaczyliśmy wyraźnie przyciśniętego do muru Gorbiego wypowiadającego się po ostatniej radzieckiej napaści na Azerbejdżan. Mama nie dawała wiary, że Gorbi miał z tym coś wspólnego. Mimo tych wszystkich lat spędzonych z tatą chciała postrzegać świat jako dobry. Widząc coś brzydkiego, zawsze ubarwiała widok ciepłymi kolorami, biorącymi się z jej własnej dobroci, a nie ze świata. Posiadała tę odrobinę nierealistycznego podejścia do

życia, której trzeba, by przez nie przejść. Nigdy nie złościła się na kogokolwiek poza tatą. Zamiast tego mawiała: „Biedaczyna”. Gdy ktoś sprawił jej przykrość, w pracy lub gdziekolwiek indziej, ona pierwsza go broniła: „Biedaczyna. Nie ma się najlepiej”.

- Biedny Gorbaczow - powiedziała.

- Jedno supermocarstwo nie jest lepsze od drugiego - odparłem. - Pójdę się położyć.

Mama podniosła wzrok.

- Już teraz? Nie obejrzysz filmu? Z Audrey Hepburn.

Doskonale wiedziała, jak bardzo lubiłem stare czarno-białe filmy.

- Może puszczą też ten serial, jak on się nazywa, ten, który tak lubisz? - powiedziała, pochylając się, by spojrzeć na program telewizyjny.

- *Czarną Żmiję* - odrzekłem z uśmiechem.

- Tak, *Czarną Żmiję*.

Pokręciłem głową.

- Nie. Chcę jutro wstać wcześniej, mam sporo do załatwienia - w mieście i w ogóle.

- Jesteś dzisiaj dziwny - stwierdziła.

„Jestem Yngvem - pomyślałem. - Nazywam się Yngve Lima, a ty o tym nie wiesz”.

Uścisnąłem ją i wyszedłem do przedpokoju. Zamknąłem drzwi. Przez szybę widziałem, jak mama ogląda w salonie telewizję. Stałem przed telefonem. Podniosłem słuchawkę, wybrałem numer.

- Tu informacja.

- Dobry wieczór... chciałbym spytać o pewien adres.

Poszedłem na piętro.

Z zamkniętymi oczami umyłem zęby.

Kiedy wpełzłem pod kołdrę, przyłożyłem do policzka prawą dłoń. Zostawiłem ją tam. Zgasilem światło i leżałem w łóżku, słuchając uderzających w dom podmuchów. Na strychu skrzypiały deski. Zasnąłem.

Śniłem o Yngvem. Siedział przede mną na krześle. Patrzył na mnie. Stałem tuż przed nim wyprostowany i powtarzałem w kółko: „To nic takiego”. Yngve nic nie mówił. Tylko się uśmiechał, aż w końcu, gdy miałem wrażenie, że minęło wiele godzin, wstał. Podszedł do okna. Zatrzymał się. Otworzył je. Wystawił głowę. We śnie gapiałem się na jego ciało. Wtedy odwrócił się i powiedział: „Następnym razem, jak przyjdiesz, pójdziemy na wycieczkę”.

Zaraz potem siedziałem z Yngvem w niebieskim samochodzie. Jechaliśmy przez nieznaną równinę. Trzymaliśmy się za ręce. Jego długie palce, wąska dłoń na mojej, nieco mniejszej.

Nawet tam, we śnie, nie odważyłem się go pocałować.

^[10] Dziennikarze norweskiej telewizji publicznej NRK, odpowiedzialni za dział wiadomości
[przyp. tłum].

Sobota, 20 stycznia 1990 r.

it was a world

what a world!

what a world?

what a big world

but a world to be drowned in

Pere Ubu

Obudziłem się, gdyż poczułem, jak wali mi serce. Byłem właśnie w trakcie jednego z tych gorączkowych, wyjątkowo realistycznych porannych snów i nagle się zbudziłem. Niemal drżałem z podniecenia. Gdybym tylko spojrział na swoją pierś, ujrzałbym własne serce zarysowane pod skórą przy żebrach.

Yngve Lima. Tennisveien 56.

To była moja pierwsza myśl, ostatnia rzecz, jaką usłyszałem poprzedniego wieczoru.

- Lima? Nie chce pan numeru telefonu?

- Nie, wystarczy adres.

- Tennisveien 56.

Ulica znajduje się na Tjensvoll, niedaleko jeziora Mosvannet, hali sportowej i lodowiska. Może pół godziny rowerem od miejsca, gdzie mieszkałem z mamą.

Zakochanie żyje własnym życiem. Przez większość czasu jest niczym drzemiące zwierzątko, które spokojnie żywi się, leniwie rejestrując, co dzieje się wokół. Nie przejmuje się głupstwami. To nie w jego stylu. „Wszystko mi jedno” - myśli zwierzątko, gdy ma się

ustosunkować do codziennych spraw. „Nie chce mi się do tego mieszać” - myśli, unosząc leniwie jedną powiekę, kiedy ktoś chce, by wyniosło śmieci czy zaparzyło kawę. Zwierzątko leży. Zaraz potem zapada w półsen, pochrapuje z zadowoleniem we własnym świetle, beczynne. Lecz to drzemiące zwierzątko kryje w sobie ogromny potencjał, treściwą i twórczą energię szaleństwa. Nie widać jej, dopóki ktoś nagle jej nie rozpali, tak samo jak piorun staje się widoczny dopiero, gdy zniecka rozdziera niebo. Zakochanie to małe, niebezpieczne zwierzątko. Ma tylko jeden cel: eksplodować, krótko i intensywnie. Przeżyć swoje właściwe jestestwo w groźnej radości zakochania. Nagle budzi się do życia, by z gwałtowną siłą wyrzucić piętno na otoczeniu, a zaatakowana przez nie osoba jest narażona na palącą, bezlitosną uwagę. Wszystko inne przestaje się liczyć, a dopiero co przebudzone zwierzątko pędzi przez niziny ze swą szaleńczą logiką, w pościgu za upatrzoną ofiarą. Gdy jest aktywne, może góry przenosić, by osiągnąć swój cel. Przebudzone zwierzątko charakteryzuje olbrzymi brak zrozumienia samego siebie - nigdy nie rozgląda się wokół, jest niegrzeczną, niezdarną istotką, cechującą się dziwnym rodzajem głupoty, idiotyzmu, który każe mu żyć w ciągłym ryzyku, lekkomyślnie gnać naprzód, bez zastanowienia przebiegać w godzinach szczytu przez ośmiopasmową autostradę. Jednak w głębi tej potężnej głupoty można dostrzec inteligencję i nagłą próżność. Pierwotną siłę, rezolucję i elastyczność, które mogą się mierzyć jedynie z odziedziczonymi właściwościami najbardziej pomysłowych gatunków. Jak przebranie kameleona może być i piękne, i ochronne, tak zwierzątko zakochania w stresujących sytuacjach potrafi pochlebstwem uratować własną skórę, naśladowując niezwykłą szybkość niektórych owadów - kiedy w jednej sekundzie podnosi się rękę w przekonaniu, że się je trafi, by po chwili zobaczyć, że zwierzątko zwietrzyło niebezpieczeństwo i uciekło. Tak właśnie zachowuje się zakochanie, ów szalony mistrz kreatywności, gdy - głupie i inteligentne zarazem - wyrusza w drogę. Zorientowawszy się nagle, że zostało zapędzone w kozi róg, bo przekroczyło już wszelkie granice, po chwili znajduje rozwiązanie problemu. Często dość karkołomne. Ale zawsze jakieś rozwiązanie. Zwierzątko może opuścić teren katastrofy, często jeszcze mocniej zakochane, z jeszcze większą energią, wzmocnione oporem, i schować się za jakimś kamieniem, by poczekać na kolejny atak.

Zakochanie nigdy się nie boi. Gdybyśmy dorównywali mu odwagą, byłibyśmy niepokonani.

Usiadłem na łóżku. Byłem całkowicie przytomny, myślałem zupełnie racjonalnie, przygotowałem wszystkie plany. Mój wcześniejszy sen był równie nieustraszony i zdeterminowany jak ja - sen pozwala zebrać siły człowiekowi, który wstaje, by dokonać

wielkich czynów.

Yngve Lima. Tennisveien 56.

Poszedłem do łazienki. Słyszałem, jak mama sortuje na parterze puste butelki. Była sobota i jak co tydzień wybierała się na większe zakupy. Wziąłem prysznic, dokładnie się umyłem, wytarłem. Obciąłem paznokcie. Uczesałem włosy. Użyłem nawet suszarki mamy, co normalnie zdarzało mi się tylko 17 maja^[11] i podczas gwiazdki. Wyjrzałem przez okno w łazience - nad regionem Rogaland nadal szalała burza.

Zszedłem na dół. Równo stąpałem po każdym stopniu. Ustaliłem trasę: z domu w Bjergsted, w stronę skrzyżowania Løkkeveien ze Stokkaveien, pod górę Stokkaveien, obok cukierni Romsøe, przez Stokka od południowej strony stadionu, koło Wilberga, sklepu, do którego zawsze jeździła mama, „bo mają tam takie dobre delikatesy”, pod górę, by zobaczyć przed sobą skrzyżowanie z Madlaveien z widokiem na Mosvannet, halę sportową, lodowisko, Hotel Alstor i południowe Tjensvoll. Wiele ulic, wiele nazwanych od dyscyplin sportu: łyżwiarstwa figurowego, bandy, hokeja, ponieważ ta część dzielnicy to usportowione miejsce, a wśród nich również ulica Tenisowa - Tennisveien. Dalej, tam gdzie północna część Tjensvoll przechodzi w osiedle Haugtussa, alejki mają nazwy w nordyckim stylu: Bendikstien, Åroliljastien, Hallingstien, Gangarstien i Springarstien, a tuż obok znajduje się zakątek kosmiczny, jak gdyby pradawna Norwegia była bezpośrednim sąsiadem wszechświata: Jupiterveien, Siriusgate, Plutokroken.

Wyobraziłem sobie, jak zatrzymam się na wzniesieniu, by odetchnąć. Zastanowię się, nim ponownie usiądę na rowerze i pokonam ostatni odcinek trasy. Planowałem każde następne posunięcie niczym przestępca, który nie przewiduje, że go złapią. Niepowodzenie było zupełnie nierealne. Musiało mi się udać.

Yngve Lima. Tennisveien 56.

Działałem jak maszyna. Nie dopadały mnie żadne wątpliwości, byłem przekonany o skuteczności swojego planu. Przypominam sobie ten szaleńczy poranek, ale pamiętam go, jakbym patrzył na siebie z boku. Wiem, że to ja otworzyłem lodówkę i wyjąłem karton mleka, to ja posmarowałem kanapki, to ja poszedłem do garażu po rower - a jednak to nie byłem ja. W ciągu następnych tygodni miałem wykonać imponującą serię ryzykownych, kompromitujących i bezmyślnych czynności, spośród których większość miała udać mi się gorzej niż ta, a wszystkie miały dotyczyć biednego, pięknego Yngvego, jednak nigdy bardziej niż tamtego poranka nie przypominałem w swym zachowaniu żołnierza. Moje kolejne kroki miał charakteryzować przynajmniej cień pewności siebie i, od czasu do czasu, odrobina wstydu. Ale nie tamtego ranka. Gdybym był wysłańcem grupy terrorystycznej, który otrzymał

rozkaz zabicia burmistrza wraz z całą rodziną, dziś żadna z tych osób by już nie żyła. Zamordowałbym je wszystkie, w sobotę, 20 stycznia 1990 roku, efektywnie i prędko. Później zostałem szybko złapany - po próbie obrony i zabiciu kilku policjantów - i wylądowałem w więzieniu. Na 21 lat, pod nadzorem kuratora. 20 stycznia 1990 roku byłby pamiętną datą, którą każdy wspominałby jako dzień, kiedy Jarle Klepp nie był sobą.

Ale teraz tylko ja - i może też Yngve - pamiętam ten dzień. Pamiętam go dobrze, z mieszanką zdumienia i podziwu. Co pamięta Yngve - tego nie wiem.

Mama weszła do kuchni ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy, z szalem na szyi i w kozakach. W dłoni trzymała kluczyki do samochodu. Spojrzała na mnie nieco zdziwiona, kiedy siedziałem przy śniadaniu.

- Wydawało mi się, że cię słyszę. Tak wczesnie wstałeś.

Skinąłem głową.

- Tak, wychodzę.

Popatrzyła na mnie, po czym uśmiechnęła się i zbliżyła dłoń do moich włosów. Odsunąłem się, nie chcąc, by zniszczyła mi fryzurę.

- Ładnie dziś wyglądasz - powiedziała.

Odwróciła się, chcąc odejść.

- Idę na zakupy. A ty dokąd się wybierasz?

- Na łyżwy - odparłem i odgryzłem kęs kanapki.

- Co? - Zatrzymała się. - Gdzie idziesz?

- Na łyżwy - powtórzyłem. - Na lodowisko.

Mama zaczęła się śmiać.

- Idziesz na lodowisko?

- Tak, czy coś w tym złego?

- Nie, nie, skądże, ale... nigdy nie... masz w ogóle łyżwy?

- Pożyczę - odpowiedziałem. - Na miejscu można wypożyczyć. Otwierają o jedenastej.

Pokręciła głową.

- No tak... mhm. łyżwy.

- Idź do sklepu - powiedziałem.

- Ale... ty przecież nie lubisz sportu - ciągnęła. - I jeszcze te łyżwy?

- Nie, ale teraz chcę iść na łyżwy - stwierdziłem.

Poprzedniego wieczoru razem z mamą woleliśmy nie oglądać łyżwiarstwa w telewizji ze względu na tatę, a teraz chciałem iść na łyżwy. Mama zmarszczyła nos.

- Chcesz jechać na rowerze? W taką pogodę?

Skinąłem głową.

Mama stała, wpatrując się we mnie przez kilka sekund. Następnie znów uniosła dłoń do moich włosów i powiedziała, że jestem jej Jarlem. Dała mi też sto koron na łyżwy.

- Idę wieczorem do kina z Ragnhild - dodała i wyszła.

- Dobrze. Na razie.

Ragnhild była najlepszą przyjaciółką mamy z czasów szkoły. Wysoka, ładna kobieta, która wypalała 30 papierosów dziennie i którą przed kryzysem w naszej rodzinie, mającym miejsce około 1987 roku, znałem jedynie ze zdjęć z dzieciństwa. Po rozwodzie Ragnhild znów pojawiła się w życiu mamy. Przyjaciółki nie widziały się przez prawie piętnaście lat, a ich drogi całkiem się rozeszły. Ragnhild zaangażowała się w politykę, porzuciła trudne małżeństwo i, jak to się wtedy mówiło, zaczęła się realizować, natomiast mamę pochłonęło bezpieczne życie osoby należącej do klasy średniej, a ze względu na opory taty wobec „tej komunistki”, trzymaliśmy się od Ragnhild z daleka. Później jednak, gdy miałem czternaście lat, dawna przyjaciółka nagle wróciła, zaczęła częściej nas odwiedzać i stała się dla mamy prawdziwym wsparciem.

Po śniadaniu odczekałem ponad godzinę, aby nie przyjechać na lodowisko zbyt wcześnie. Nie musiałem iść na łyżwy, mogłem jedynie spakować sprzęt i wyjść z domu, traktując trening jako dobry pretekst. Ale nie chciałem jedynie powiedzieć, że tak zrobię - musiałem *tak zrobić*. Przekonałem siebie samego, że to całkiem naturalne, że nowy Jarle robił właśnie takie rzeczy. Wstawał wcześnie w soboty, dokładnie się mył, czesał, aby pójść poćwiczyć. W samotności.

Stałem w salonie, kiedy mama poszła do sklepu. Trawnik w ogrodzie był jeszcze zielony, deszcz opadał ciężko na ziemię i wsiąkał w glebę. Krótka zima w Stavanger nie poradziła sobie z zielenią.

Zwyczajna sobota wyglądałaby zupełnie inaczej. Spałbym długo, obudziłbym się z kacem po piątkowych ekscesach okresu dojrzewania, podreptałbym na późne śniadanie, a mama już dawno wróciłaby do domu z zakupów. Przedpołudnie upłynęłoby mi na czytaniu wierszy Walta Whitmana, Charlesa Bukowskiego czy Jana Erika Volda, może też na przeglądaniu broszur członkowskich Amnesty albo NIE dla EWG, słuchaniu alternatywnej muzyki - The Smiths, The Cure i innych zespołów indie, które wtedy lubiłem, po zerwaniu parę lat wcześniej z pierwszymi idolami młodości: Frankie Goes To Hollywood, Madonną, Depeche Mode i Duran Duran. Dokładniej mówiąc, przypuszczam, że w roku 1990 słuchałem płyt, które uważałem za dobre w 1988 czy 1989, takich jak *Spike* Elvisa Costella, *Green*

R.E.M., *Worker's Playtime* Billy'ego Bragg, singiel „The only one I know” The Charlatans, *Oranges and Lemons* XTC czy *Hjernen er alene* deLillos. Zapewne puszczałem którąś z płyt otrzymanych pod choinkę od wujka Steinara, *Doolittle* Pixies albo moje ostatnie odkrycie, Camper van Beethoven, zespół, o którym nikt inny nie słyszał i którego Helge nie chciał nawet znać, przez co ceniłem go bardziej niż inne. Dzięki temu, że nikt o nich nie wiedział, a nazwy zespołu i tytułów ostatnich płyt - *Our Beloved Revolutionary Sweetheart* i *Key Lime Pie* - trudno było się nauczyć, stali się oni optymalnym produktem spełniającym moją potrzebę wyróżniania się z tłumu. Oczywiście C v B byli znakomitą kapelą, grającą fantastyczne kawałki, cały czas tak twierdzę, ale nigdy nie będą równie dobrzy jak wówczas, gdy tylko ja wiedziałem, kim są. Właśnie wtedy zacząłem kupować płyty CD, więc słuchałem trochę winyli, a trochę kompaktów. Helge był nałogowym winyłowcem, dużo bardziej hardcorowym niż ja, również jeśli chodzi o gust muzyczny. Uważał, że rzeczy, których słucham, są w większości zbyt grzeczne. - Nie czuję tego w brzuchu - powiedział, kiedy puściłem mu C v B. - Jest tam w ogóle jakiś bas? W najgorszym wypadku zgadzaliśmy się co do Pixies i wczesnego Imperiet, a najbardziej Ebby Grön. Helge popierał Hüsker Dü, No means no, Clash, Pistolsów i scenę punk/hardcore. Należał do tych, którzy z irytacją mówili „nowe, ale stare”, wybierając *Surfer Rosa* Pixies, kiedy Nirvana wypuściła „Smells like teen spirit”, i jako osobistą potwarz odbierali twierdzenie, że to takie przełomowe. - Cyniczny, wyrachowany produkt wytwórni płytowej - utrzymywał Helge, chociaż wiedziałem, że w głębi duszy uważał Nirvanę za niezmiernie dobry zespół. Katrine sądziła, że wszystko, czego słucha Helge, to tylko hałas, a sama najbardziej lubiła starych rockowych wokalistów, jazz i nowe piosenkarki, więc ze względu na nasz związek musiałem przecierpieć ogromną liczbę płyt Boba Dylana, Joni Mitchell, Cata Stevensa, Tracy Chapman, Tanity Tikaram i Suzanne Vega, a do tego sporą dawkę Cheta Bakera, Radki Toneff i Milesa Davisa. Nie zawsze zgadzaliśmy się z Katrine, ale byliśmy w sobie zakochani. Gdybym miał ochotę na coś z lat sześćdziesiątych, wybrałbym płyty Kinksów, Beatlesów czy Byrdsów. Katrine wolała słuchać Dylana. Ale byliśmy zakochani. Nigdy nie życzyłem jej źle. I w zwyczajną sobotę, w jedną z sobót w styczniu 1990 roku, myślałbym właśnie o niej. Myśląc o Katrine, nie stałbym co prawda przed dużym oknem w salonie, tak jak stałem teraz niczym fantazjujący Werter, przyglądając się wsiąkającemu w ziemię deszczowi i czekając na otwarcie lodowiska. Nie, ale myślałbym o niej. O naszym seksie, o tym, że jest moją dziewczyną, że jest piękna i inteligentna, inna niż wszystkie, chrześcijanki i kujonki, i że jest nam razem dobrze. Dlatego też trochę później zadzwoniłbym do niej lub do Helgego i umówił się z nimi na wieczór, a potem próbowalibyśmy wbić się do jakiegoś klubu. Najpierw uderzylibyśmy do Folken czy

Checkpoint Charlie, zapewne bez powodzenia, a następnie spróbowalibyśmy szczęścia w innych, w naszej sekciarskiej opinii gorszych miejscach, aż wreszcie wyładowalibyśmy w Korvetten, przemarznięci i marudni po całym wieczorze na zimnie, gdzie wpuściliby nas bramkarze, którzy doskonale wiedzieliby, że mamy tylko po siedemnaście lat, ale wspaniale udawaliby, że kupują nasze wyjaśnienia o „dowodzie zostawionym w domu” - ci sami bramkarze, którzy rozdawali „karty klubowe” lub „karty członkowskie” wybranym gościom, czy - uściślając - wszystkim osobom o tym samym kolorze skóry co oni, czyli białym. Później w nocy, niechętni i pijani, trafilibyśmy na imprezę, którą potem uznalibyśmy za fatalną, a na koniec przespałbym się po pijaku z Katrine w jej domu, który co weekend stał pusty, ponieważ rodzice wyjeżdżali do domku letniskowego w Sirdalen. Po seksie słuchalibyśmy „Perfect Day” Lou Reeda. Zawsze tak robiliśmy. Pieprzyliśmy się, a potem słuchaliśmy tej piosenki, paląc Marlboro.

To nie była taka sobota.

Nowy Jarle stał w garażu, pompując opony roweru, ubrany w zestaw przeciwdeszczowy. Słuchałem, jak deszcz uderza w dach i nie myślałem o Helgem, nie myślałem o Katrine, muzyce, piwie czy seksie. Myślałem o Yngvem. Miałem zimne dłonie, marzłem, ale napompowałem opony, zamknąłem za sobą drzwi do garażu i pojechałem w stronę lodowiska.

Zataczałem wielkie kręgi na lodzie. Było ciężko, szczególnie dla kostek, ale upadłem tylko raz i chyba dość dobrze szło mi na łyżwach. Niezłe się bawiłem, próbując krążyć po lodowisku w naturalnych rundach. Zdziwiła mnie radość, jaką odczuwałem - ja, który gardziłem wszelką aktywnością fizyczną, ponieważ była czymś, co robili inni. Karierowicze, drętwiaki, chrześcijanie. Teraz odczytywałem to jako znak przynależności do Yngvego - miałem wrażenie, że ślizganie się po lodzie było częścią jego świata. Łyżwiarza imieniem Yngve.

W równych odstępach czasu spoglądałem na zegarek. Na lodowisku przebywało niewiele innych osób, tylko kilku dwudziestolatków z trójką dzieci oraz samotna kobieta z synem, więc nadal zataczałem duże kręgi, czekając. Na co? Nie wiem. Następnym błędnym tok myślenia tej soboty. Miałem jeździć godzinę, do dwunastej, a potem iść do Yngvego. Miało się to wydarzyć o dwunastej, więc musiałem jeździć na łyżwach jeszcze przez godzinę. Wszystko dyktował przymus, Jarle postępował zgodnie z tajemnymi zasadami, których nie łamał.

O dwunastej zszedłem z lodu, lekko zmarznięty. Pięć po dwunastej odpiąłem rower stojący pod lodowiskiem. Nadal wiało i padało, na co się wkurzałem, bo właśnie poprawiłem

fryzurę w szatni.

Wjechałem na wzgórze Tjnesvoll. Wiedziałem mniej więcej, gdzie leży Tennisveien.

Co właściwie chciałem zrobić? Czy zastanowiłem się nad tym?

Po prostu zadzwonić do drzwi? I co dalej? Yngve stanie przede mną niczym Bóg, ubrany w wielobarwną przepaskę na biodra z wysadzonym szlachetnymi kamieniami pasem, i przyjmie mnie, otworzy swe ramiona, pozwoli mi w nie paść, wniesie mnie do domu, który będzie nam rajem, greckim pałacem o wypolerowanej posadzce z terakoty, światło Krety będzie padać przez pochyłe okna na ładne drewniane meble, lilie i narcyzy w potężnych wazach, a każdego rogu pokoju dla równowagi będą strzec piękne posągi półbogów i mitycznych zwierząt?

Numer 44. Numer 46. Numer 48. Zatrzymałem się. Przy Tennisveien z jednej strony ciągnęły się niskie bloki o numerach nieparzystych, a z drugiej podobne do siebie domy szeregowo. Numery parzyste. Zsiadłem z roweru. Dom numer 48 zdawał się pusty. Podeszedłem do budynku i zajrzałem przez okno do środka. Zapamiętałem rozkład pomieszczeń na tyle, na ile udało mi się go dostrzec. Ulicą przeszedł mężczyzna z parasolem, zatrzymał się i dziwnie na mnie spojrzał. Skinąłem do niego przyjaźnie głową, on zrobił to samo. Widziałem salon, który prawdopodobnie przechodził w otwartą kuchnię. Widziałem schody prowadzące na piętro i kawałek przedpokoju. Z tyłu dostrzegałem niewielki ogródek.

Zorientowałem się mniej więcej, jak mieszkał Yngve. Jak wyglądał jego dom. Wróciłem do roweru i poprowadziłem go dalej ulicą, przez głębokie kałuże, wzdłuż identycznych domów. Numer 50, 52, 54. Numer 56.

Byłem spokojny. Czuję, jakbym nadal zataczał kręgi na lodzie, jeden za drugim. Zapiąłem rower. Serce zaczęło mi lekko bić, tylko z radości, bo właśnie znów miałem zobaczyć Yngvego. Nareszcie.

Mieszkają tu: Unni, Steinar i Yngve Limowie.

Spojrzałem na tabliczkę. Tak jak sądziłem, jest jedynakiem. Jakbym tego wcześniej nie wiedział. Yngve jest jedyny.

Zadzwoniłem.

Boże, Jarle. Właśnie zadzwoniłeś do drzwi.

Po paru sekundach usłyszałem kroki. Nagle stanąłem oko w oko z rzeczywistością - zorientowałem się, gdzie jestem, kim jestem, co właściwie robię. Zacząłem się pocić. Pojąłem, że nie mam bladego pojęcia, co powiedzieć, co zrobić, kiedy ktoś otworzy drzwi. Co jeśli to nie będzie Yngve - wcześniej o tym nie pomyślałem, co jeśli otworzy jego matka czy ojciec? Co jeśli właśnie trwa u nich przyjęcie, odwiedziny wujów i ciotek, kuzynostwa z Haugesund?

I wreszcie co jeśli Yngvego nie ma w domu? Jeśli będę musiał tłumaczyć, kim jestem?

Boże drogi, Jarle! Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Drzwi się otworzyły. Stał przede mną wysoki mężczyzna w dżinsach i niebieskim swetrze. Pewnie to „Steinar”. Spojrzał na mnie surowo.

- Tak?

Oddech świszczał mi w gardle, przestąpiłem na drugą nogę.

- Czy... czy tu mieszka Yngve?

- Tak. - Popatrzył na mnie dziwnie. - I?

- I... ja...

Wtedy odwrócił się i głośno zawołał:

- Yngve! To do ciebie! - Po czym sobie poszedł.

Mój oddech się uspokoił. Kryzys tymczasowo minął. Yngve był w domu. Czekałem. Przez korytarz przeszła kobieta, pewnie jego matka. Uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłem uśmiech.

„Może jednak się uda”, pomyślałem z ulgą, szczęśliwy, że ojciec mnie nie wyzwał, że mnie nie przejrzeni, nie zobaczyli, kim jestem - rozmarzonym, szalonym chłopakiem, zakochanym w ich synu, żadną słodką dziewczyną, lecz chłopakiem, który zrobiłby wszystko, by znaleźć się blisko niego.

Znów usłyszałem kroki.

Wyprostowałem szyję i przełknąłem ślinę.

Wyszedł z piwnicy. Zatrzymał się, zdziwiony, kiedy mnie zobaczył. Gdy tylko się pojawił, zniknęło krótkotrwale poczucie rzeczywistości, które mnie dopadło, i znów stałem się nowym, nierealistycznym sobą. Uśmiechnąłem się. Yngve podszedł do drzwi i stanął przede mną.

Świetnie było widzieć go we własnym, prywatnym otoczeniu. Tylko w prostych, błękitnych dżinsach i zielonym robionym na drutach swetrze z wycięciem w kształcie litery V. Tylko on. Tylko Yngve.

- Cześć? - powiedział zaskoczony.

- Cześć - odparłem.

Co miałem powiedzieć?

Chciałem przecież go tylko zobaczyć. Myślałem, że wszystko zaplanowałem, ale teraz stałem przed nim, chcąc go tylko zobaczyć.

Yngve spojrzał na mnie. Ścisnęło mnie w żołądku. Czułem naraz radość i mdłości.

- Mieszkasz tu? - zapytał Yngve.

- Nie - odpowiedziałem.

- Aha, ale... ee - rozejrzał się niepewnie. - Chcesz wejść?

Chciałem. Właśnie tego chciałem. Chciałem wejść do domu Yngvego.

- Okej - powiedziałem.

Zdejmując buty i odwieszając pelerynę w korytarzu, mówiłem swobodnie i naturalnie, przekonany o prawdziwości swoich słów.

- Właśnie byłem na łyżwach, co sobotę jeżdżę na lodowisko. Wiesz, dużo trenuję. A w soboty chodzę na łyżwy. I pomyślałem, że pojedę do ojca, on mieszka w Forus, i... byłem właśnie w drodze do niego, kiedy zobaczyłem, że tu mieszkasz. Pod numerem pięćdziesiąt sześć. Przy Tennisveien.

Yngve spojrzał na mnie z powątpiewaniem. Moje wyjaśnienie miało jakieś ręce i trochę krzywe nogi, chociaż bez wątpienia balansowało na granicy tego, w co powinno się wierzyć.

- Tak? - powiedziałem. - Trochę głupio tak dzwonić bez zapowiedzi, ale, kurde, dlaczego nie?

Na korytarz wyszła matka. Yngve odwrócił się do niej.

- To jest... Jarle - przedstawił mnie. - Ee... ze szkoły, znajomy.

Podaliśmy sobie dłonie. Jej uścisk był tak samo ciepły jak syna. „To matka Yngvego”, pomyślałem i momentalnie sam przed sobą zacząłem ją upiększać.

- Jak miło - powiedziała. - Nie mówiłeś, że jesteś umówiony - spojrzała na Yngvego.

- Nie... - skłamał. - Zapomniałem. Pójdziemy do pokoju.

- Przyniosę kawy - powiedziała. - Pijesz kawę?

Skinąłem głową.

„To dobra osoba - pomyślałem. - Jak o niego dba. Jak zajmuje się domem”. Momentalnie zacząłem ją podziwiać. Rozejrzałem się po korytarzu, zerknąłem w stronę salonu, gdzie „Steinar” siedział na kanapie i oglądał sport w telewizji. Wszystko wyglądało u nich tak drobnomieszczańsko. Zwyczajnie. Regał z niewielką liczbą książek. Kominek. Obrusy na stołach. Kiepskie obrazy na ścianach. Dużo rodzinnych zdjęć. Wszędzie pełno drobiazgów, bibelotów. Wszystko wyglądało zwyczajnie. Co prawda u nas w domu też było dość zwyczajnie, mama nie należała w końcu ani do feministek, ani do alternatywy politycznej, ale u Limów oglądałem kwintesencję normalności. Norwegię. I nagle, niespodziewanie, pokochałem ją. Chłonałem wszystko i czyniłem swoim.

- Obejrzymy Mistrzostwa Europy? - zapytał Yngve.

- Co?

- No, zaraz w telewizji będą łyżwy, chyba już się skończyło, ale...

- Nie, nie trzeba, wolę sam jeździć na łyżwach, niż oglądać innych w telewizji - powiedziałem.

Yngve zszedł przede mną po schodach do swojego pokoju. Szczupły i wyprostowany. Kupił moje idiotyczne wyjaśnienie, dlaczego przyszedłem, wystarczyło mu ono. Zaskoczyło mnie to, bo nie byłem przyzwyczajony do tak ufnych przyjaciół, tak niewielkiej podejrzliwości.

Szybko spostrzegłem, że bardzo różnimy się od siebie, ale dla nowego Jarlego nie był to żaden problem, wręcz przeciwnie, pasowało mu to - Yngve miał mu się jawić niczym obcy ład. Miał reprezentować nowe, inne rzeczy, odległe od mojego dotychczasowego życia, bo właśnie tym dla mnie był - wszystkim, czego wcześniej nie widziałem, o czym nigdy nie myślałem. Nieznaną, bogatą kulturą, idealnym państwem.

Jego pokój mówił sporo o tym, kim jest Yngve. Na ścianach nie wisały plakaty The Smiths czy R.E.M., wycinki prasowe z Mathiasem Rustem czy Che Guevarą, a tablice korkowej nie wypełniały, jak u mnie, materiały wyrażające sprzeciw wobec różnych spraw. Nad biurkiem wisała wielka mapa świata, na tablicy korkowej - pocztówki i karteczki z notatkami, na drzwiach - plakat tenisisty. Pod ścianą stała rakietka tenisowa i para sportowych butów. Gdybym zobaczył to wszystko u kogoś innego, od razu uznałbym go za drętwiaka. Ale tutaj mieszkał Yngve. To był jego piękny świat. Byłem w nim równie zakochany jak w Yngvem. Pierwsze, co chciałem zrobić w poniedziałek, to kupić wielką mapę świata i zastąpić nią plakat The Smiths.

Spojrzałem na raketkę tenisową.

- Grasz?

- Tak, trochę - powiedział Yngve.

Wyobraziłem go sobie w białej koszulce, białych adidasach i białych spodenkach. Podrzucił piłkę tenisową, wygiął plecy, podniósł głowę, uniósł prawą rękę i uderzył piłkę raketką.

Chyba też mógłbym grać w tenisa?

- Super - odparłem i wskazałem na plakat na drzwiach.

- To Becker - wyjaśnił Yngve. - Jak pobił Edberga.

- Aha. - Skinąłem głową. Nie miałem pojęcia, kim są Becker i Edberg.

Na początku rozmowa się nie kleiła. Gadaliśmy o szkole, trochę o różnicach między Haugesund i Stavanger, o naszych planach na przyszłość. Yngve powiedział, że mógłby zostać archeologiem lub geologiem. - Albo tylko ogrodnikiem, co? - dodał ze śmiechem.

Uznałem to za dziwne i wyobraziłem sobie go, jak szuka śladów dawnych kultur wśród ruin na Bliskim Wschodzie, ale stwierdziłem też, że pasuje do niego kopanie w ziemi tymi długimi palcami.

„Literatura? Może moglibyśmy porozmawiać o książkach? - pomyślałem. - O Terjei Vesaasie, może czytał *Ptaki*? Albo o Stigu Dagermanie, na pewno zna *Zabić dziecko*, chyba wszyscy znają? Z pewnością czytał też *Jonasa Jensa Bjørneboe* i tak samo jak ja nienawidził systemu szkolnictwa. Może Albert Camus? Nie? To przynajmniej Jan Erik Vold, na pewno czytał coś Volda. Dostojewski? Czy możliwe, że tak jak w moim przypadku jego życie zmieniło się po lekturze *Zbrodni i kary*? A może nie? To chociaż Ingvar Ambjørnsen?”

Zastanawiałem się nad różnymi pisarzami, o których mogliśmy rozmawiać, ale ogarnęła mnie niepewność - „Steinar” emanował czymś w rodzaju wrogości wobec wszelkich książek. „To na pewno nie będzie dobry temat do rozmowy” - stwierdziłem w myślach, porzucając wcześniejsze pomysły. Yngve nie miał też w pokoju zbyt wielu książek, tylko parę sztuk na małym regale, na którym leżały także magazyny sportowe i komiksy.

„No to film. Wszyscy oglądają filmy. Chyba lubi *Ran*, co? A może *Niebo nad Berlinem* albo *The Wall*, a już na pewno *Poza prawem*. No i Woody Allen - jego chyba wszyscy lubią?” Po chwili jednak pomyślałem, że niekoniecznie. Mama zawsze zwracała mi na to uwagę, zwłaszcza kiedy czasem szliśmy razem do kina, a ja kupowałem bilety na nowe filmy Wendera, Tarkowskiego czy Jarmuscha, twierdząc, że „wszystkim” muszą się one podobać, choć w rzeczywistości nie lubił ich „prawie nikt”.

„Nie - pomyślałem, spoglądając na Yngvego - może nie. On chyba nie chodzi za dużo do kina”.

„Zostaje muzyka - stwierdziłem w duchu - możemy rozmawiać o muzyce”. Widziałem, że na jego biurku stoi mały radiomagnetofon. Próbowałem domyślić się, czego słucha. „Może DeLillos? Na pewno U2 albo Prince’a, Madonny, Whitney Houston? Czyżby był jednym z *nich*?”

- Czego słuchasz? - zapytałem i wskazałem na magnetofon.

- A, ten? Głównie radia - odpowiedział.

- Nie lubisz żadnych zespołów?

- Nieee - zawahał się. - Nie za bardzo. Dostałem na święta kasetę Stinga. Jest całkiem dobra.

- Hm - odparłem. - Któreś zespoły chyba lubisz bardziej niż inne.

Nie chciałem się tak łatwo poddać. Yngve się zastanowił.

- Poczekaj - powiedział i się zaśmiał. - To ci się spodoba.

Podszedł do szafki koło drzwi i wyjął z niej pudełko z papierami i starymi rupieciami. Wydobył duży, różowy album z wycinkami. „Album Yngvego, lat 12” - głosił napis na okładce, na której widniał też otoczony aureolą rok „1984” oraz zdjęcia znanych zabytków: Big Bena, krzywej wieży w Pizie, piramid, Wielkiego Muru Chińskiego.

- Co to? - zapytałem z uśmiechem.

- Poczekaj, poczekaj, to zobaczysz. - Yngve przerzucał strony.

W środku dostrzegłem bilety kolejowe, bilety do kina, wycinki z gazet i czasopism, parę zdjęć.

- Tutaj zobaczysz mnie i muzykę - powiedział.

Spodziewałem się zdjęcia Yngvego, może trzymającego klarnet, podczas podróży z lokalną szkołą muzyczną. Chłopak znalazł fotografię. Uderzył się w czoło, gdy ją zobaczył, i mi ją pokazał. Było to zdjęcie zrobione polaroidem wklejone na jednej ze stron. Przedstawiało młodziutkiego Yngvego, o jasnych włosach, w wieku dwunastu lat, w roku 1984. Uśmiechał się szeroko, stojąc obok jakiegoś mężczyzny, w otoczeniu przypominającym centrum handlowe.

- No? - Yngve spojrzał na mnie w napięciu. - Widzisz, kto to?

Przyjrzałem się. Zdjęcie było trochę nieostre. Czyżby ten mężczyzna miał w sobie coś znajomego? Chyba już go widziałem?

W końcu zrozumiałem. Nie tylko widziałem go wcześniej, ale godzinami go słuchałem.

- Co? No? - Wskazał na fotografię.

Boże.

- To jestem ja, a to jest Simon le Bon. Wiesz, ten z Duran Duran.

Przyglądałem się zdjęciu. Była to jedna z tych amatorskich fotografii, które często pojawiały się w pismach muzycznych, kiedy byłem mały - uśmiechnięta dziewczyna obejmująca w pasie Nika Kershawa, przyszczaty chłopak stojący koło Neny na stacji benzynowej niedaleko Kolonii, dwie dziewczyny po bokach Lionela Richiego, sfotografowane na hiszpańskiej plaży. Takie zdjęcia ludzie przesyłali do magazynów „Topp”, „Smash Hits” czy „Okej”. A na tym widniał Yngve obok Simona le Bona, wokalisty Duran Duran, w roku 1984. Yngve najwyraźniej spotkał le Bona w środku zwyczajnego dnia - piosenkarz nie wyglądał jak gwiazda, którą zapamiętałem, lecz wydawał się nieco zakłopotany i niechlujny. Le Bon miał balejaż na włosach, a na sobie kolorową letnią koszulę i czarne skórzane spodnie.

- O kurde! - powiedziałem, uderzając dłońmi w uda. - To on? To naprawdę on?

- Tak! To w Birmingham! W osiemdziesiątym czwartym byliśmy na wakacjach w Anglii i wpadłem na niego przypadkiem w centrum handlowym, przed sklepem z ciuchami. Naprawdę!

- Boże - ciągnąłem. - Nieźle. Bardzo dobrze. Stare Duran Duran. I co takiego powiedziałeś, podszedłeś do niego tak po prostu i powiedziałeś, że jesteś Yngve z Norwegii? *Hello*, czy jak?

- Tak!

Yngve promieniał, opowiadając tę historię.

- Tak! Tak właśnie zrobiłem! Dzisiaj bym tego nie powtórzył, ale... zobaczyłem go tam, pamiętam, że był z kobietą, stał pod sklepem i chyba na nią czekał, więc podszedłem z rodzicami, to był ostatni dzień wakacji i byliśmy dość zmęczeni, a ojciec złościł się, bo zatrzymaliśmy się w Birmingham, które jest brzydkim miastem, a musieliśmy wydać trochę funtów, więc wylądowaliśmy w tym wielkim centrum, gdzie nagle zobaczyłem właśnie jego, Simona le Bona. Tak, podszedłem do niego i po prostu się przedstawiłem. *Hello, I am Yngve*, czy coś w tym stylu. Zapytałem, czy mogę zrobić zdjęcie. Nas razem. Mama była zakłopotana, bo to ona musiała zrobić zdjęcie, chyba próbowała usprawiedliwić się przed nim, powiedziała bodaj *Kids, you know*, jak gdyby był poważnym, starym człowiekiem, który wstydzi się tego, kim jest.

- Na pewno się nie wstydził - powiedziałem ze śmiechem. - Pewnie mu się podobało, co?

- Jasne!

- Boże - spojrzałem znów na zdjęcie. - Kurde, nieźle - dodałem.

- No nie?

W roku 1990 Jarle miał daleko za sobą dziecięcą fascynację zespołami pokroju Duran Duran. Jarle, który siedział na kanapie z Yngvem, od wielu lat nie poświęcił nawet jednej myśli któremuś z tego typu zespołów z lat osiemdziesiątych, a gdyby nawet to uczynił, byłaby to myśl pełna pogardy. Zostawiłem te czasy za sobą. Gdy więc ujrzałem w albumie Yngvego jednego z czołowych przedstawicieli owej, w moim odczuciu, muzycznej miernoty, kapitalistycznej dekadencji japiszonów i brutalnej amoralności, poczułem się bardzo dziwnie. Nie do końca wiedziałem, co z tym zrobić.

- Duran Duran - powiedziałem. - Boże, też lubiłem Duran Duran; to znaczy wtedy, ma się rozumieć.

Yngve spojrział na mnie niepewnie.

- Tak... dobrzy są, co?

Zerknąłem na niego z ukosa - nie wstydził się, że lubi Duran Duran. On naprawdę ich *lubił*. Czy to możliwe?

- Tak, to jedna z niewielu rzeczy, która pozostała z tych czasów - odparłem, aby go nie rozczarować, ale w tej samej chwili zacząłem wierzyć w swoje słowa. Momentalnie podchwyciłem tę myśl i uznałem ją za sensowną. „Czy nie powinienem znów posłuchać trochę Duran Duran? Czy właściwie *śluchałem* ich przez ostatnie lata? Czy wiem, co mówię, kiedy twierdzę, że ich nie lubię?” Wczułem się.

- To znaczy... - powiedziałem, oglądając zdjęcie Yngvego i le Bona. - Pamiętasz „New Moon on Monday”? Niesamowicie chwytliwy pop, prawda? Prawie jak Beatlesi?

Niezbyt dobrze pamiętał tę piosenkę, pomylił ją z ich innym hitem, „New Religion”.

- Najbardziej podoba mi się „The Reflex” - powiedział. - Ale to pewnie dlatego, że tę piosenkę dostałem jako pierwszą. Dostałem singiel, gdy byliśmy w Birmingham. Rodzice kupili mi go po spotkaniu z Simonem le Bonem, w tym samym centrum handlowym. Znaleźliśmy go w HMV. Na pewno gdzieś go mam, jest taki trochę żółty czy beżowy, z paskami na okładce i zdjęciami z koncertu na odwrocie.

Byłem rozczarowany, że Yngve, kiedy zaczęliśmy już rozmawiać o muzyce, tak mało wiedział o spotkanej gwiazdce i traktował ją z taką obojętnością. Ale okej - ja też pamiętałem przecież „The Reflex”, to była jedna z moich ulubionych piosenek w dzieciństwie, tak samo jak „The Wild Boys” z idiotycznym teledyskiem w stylu Mad Maxa.

„Moje single - pomyślałem - moje stare single”. Leżały gdzieś na strychu, siedmiocalowe winyle z lat osiemdziesiątych. Kiedy inne dwunastolatki wydawały kieszonkowe na komiksy z superbohaterami albo karty z piłkarzami, ja kupowałem siedmiocalowe single. „Boże - pomyślałem. - Te stare single”. Miałem całkiem pokaźną kolekcję siedmiocalowych winyli z lat osiemdziesiątych i jak wielu innych chłopców uległem *manii zbierania*, rządzącej się zasadą, że mając jedną sztukę, musisz posiadać wszystkie. W jej wyniku trzymałem gdzieś przynajmniej dziesięć, a może dwanaście? piętnaście? singli Duran Duran, wszystkie siedmiocalowe winyle Frankie Goes To Hollywood, w tym płytę z obrazkiem „Two Tribes”, z której byłem ogromnie dumny w roku 1984, do tego pokaźny zbiór singli Depeche Mode, sporo Madonny, a także stertę pojedynczych złotych przebojów: „Moonlight Shadow” Mike’a Oldfielda, „Forever young” Alphaville, „Shout” Tears for Fears, „Wake me up before you go-go” grupy Wham, „99 Luftballons” Neny oraz szereg innych, mniej lub bardziej żalonych nagrań, które schowałem gdzieś, by zerwać z własną przeszłością.

Ale czy były aż tak żalose?

W roku 1990 dzieliło mnie jeszcze wiele lat od chwili, gdy zacząłem na nowo oceniać krzykliwe lata osiemdziesiąte, uznając wiele z ówczesnych kapel, na przykład Duran Duran, a może przede wszystkim Duran Duran, za dobre, jednocześnie progresywne i proste.

- „The Reflex” - powiedziałem. - Flex-flex-flex, tak to chyba szło.

- Popatrz na mnie - rzekł Yngve, wskazując znów zdjęcie. - Wyglądam strasznie kretyńsko.

Spojrzałem na zdjęcie. Yngve nie wyglądał kretyńsko. Jeżeli już ktoś tak wyglądał, to był to le Bon, zaskoczony w środku smutnej rzeczywistości.

- Wyglądasz dobrze - zaprzeczyłem. - Rewelacyjnie. - Wyrzucałem z siebie zdania, które przyszły mi na myśl, o innej „dobrej” muzyce. Byłem w świecie Yngvego, składającym się z paru kaset otrzymanych na gwiazdkę i urodziny, radia stojącego w tle oraz wielkiego, dawnego wspomnienia. Miłości. Duran Duran. Byłem w tym świecie, bo tam znajdował się Yngve. Podzielił się nim ze mną. Byłem w środku.

Yngve znów poklepał album.

- Mogę zobaczyć więcej? - zapytałem.

- Nie - odpowiedział ze śmiechem. - To bzdury. Zobaczyłeś już mnie i muzykę.

Wtedy wyjął spod łóżka pudełko. Było pełne starych kaset. Pat Benatar, Dio, Twisted Sister - najwyraźniej przechodził kiedyś okres fascynacji pudeł metalem, Madonna, Prince, Bananarama. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Uniósł kasetę i się zaśmiał.

- Okej - powiedział. - Skoro już przy tym jesteśmy.

Była to *Arena*, koncertowy album Duran Duran z roku 1984. Włączył kasetę. Usłyszałem Duran Duran po raz pierwszy od czterech lat. Dramatyczny, dumny pop kipiący uporczywą energią, zaraźliwy, chwytliwy refren, dźwięczne pejzaże wyczarowane przez syntezator, funkowe sekcje basu. *I to ma mi się podobać? Solówki saksofonowe?* Yngve nucił cicho refren „Planet Earth”, nie znał tekstu. Ku własnemu zdziwieniu odkryłem, że ja nadal go pamiętam, tkwił we mnie. Yngve miał ładny głos.

Było dobrze. W tamtej chwili na to przystałem. Dobrze mi było z Yngvem. Po powrocie do domu znalazłem swoje stare siedmialowe single, słuchałem ich po kryjomu i pilnowałem, by nie leżały na wierzchu, żeby Helge ich nie zobaczył, ale musiało minąć jeszcze wiele lat, nim przyznałem się do tego, co Yngve pokazał mi tamtej soboty w 1990 roku. Że istnieją dobre rzeczy, które nie przypadają nam do gustu. A Duran Duran trudno było się oprzeć.

- W ogóle to ja sam gram w zespole - powiedziałem i od razu pożałowałem, że to zrobiłem. Czy to konieczne? Wciągać go w to wszystko, czego nie pojmie, czego nie ma być

częścią.

Yngve uśmiechnął się.

- Aha, jakim?

- Nie, to jest... no, zespół rockowy. Nazywamy się... ee, Mathias Rust Band.

- Co?

- Noo... Mathias Rust Band - powtórzyłem. - To jest...

Yngve mi przerwał.

- Nagrać płytę?

- Nie, to znaczy może kiedyś...

- Graliście już koncert?

- Nie, jeszcze nie - powiedziałem. - Ale może niedługo.

- To mogę przyjść zobaczyć - odparł Yngve z uśmiechem. - Fajnie by było. Na pewno jesteście świetni.

- Nie - stwierdziłem. - To tylko bzdury.

Długo wpatrywałem się w plakat wiszący nad jego łóżkiem. Siedziałem na krześle koło jego biurka. On w połowie leżał, a w połowie siedział na łóżku, podpierając podbródek tymi długimi palcami, cały czas po swojemu uśmiechnięty.

- Co to jest? - zapytałem, wskazując plakat.

Yngve wyciągnął szyję.

- Piramida Cheopsa.

- Hm - odpowiedziałem. - Piramida Cheopsa.

- Tak.

- Dlaczego... to znaczy, co takiego ona ma w sobie?

Yngve wzruszył ramionami.

- Po prostu... nie wiem, po prostu... podoba mi się. Lubię piramidy - powiedział, a ja spostrzegłem, że nieco uraziło go wytknięcie mu dziecinnego, niemodnego zainteresowania. Przecież wszyscy, a zwłaszcza chłopcy, mają takie jedno, trochę głupie hobby, którym nie wiedzieć czemu zajmują się od wczesnego dzieciństwa. Samochody, wędkarstwo muchowe, II wojna światowa. Albo piramidy.

Usiłowałem go uspokoić.

- Świetna jest - powiedziałem.

Yngve się rozpromienił.

- No nie?

Wtedy powiedział mi o Piramidzie Cheopsa. Od razu usiadł na łóżku i zaczął mówić.

Wyjął z małego regału kilka książek o piramidach, prosił, żebym na nie spojrział, wskazywał ilustracje i opowiadał.

Gdyby nie Yngve, nie zainteresowałbym się tym. Pewnie obejrzałbym parę zdjęć, a potem się znudził. Nie dlatego, że piramidy były nieciekawe, ale ponieważ nie miały znaczenia dla obecnej sytuacji politycznej, dla moich alternatywnych zainteresowań. Poza tym nie odkryłem ich sam, a strasznie nie cierpiałem, kiedy nie ja pierwszy wpadałem na coś godnego uwagi. Ale o tym powiedział mi Yngve.

- W Egipcie stoi dużo piramid, jednak to Piramida Cheopsa jest najważniejsza - zaczął. - Pochodzi z czwartej dynastii, została zbudowana przypuszczalnie około 2550 roku przed Chrystusem, pierwotnie miała 146,5 metra wysokości, ale teraz ma tylko 136 - poinformował mnie, niemal zasmucony, że zmalała. - Pomyśl - Yngve spojrział na mnie - zbudowano ją z około 2,3 miliona kamiennych bloków. Pojmujesz? 2,3 miliona! Każdy po średnio 2,6 tony! Pojmujesz?

Yngve płonął, opowiadając.

Nagle zainteresowałem się tym równie mocno jak on i wyobraziłem sobie tę niesamowitą liczbę kamiennych bloków.

- Nie - spojrziałem mu w oczy. - Nie pojmuję.

- No nie? I zbudowało ją około stu tysięcy ludzi, w jakieś dwadzieścia trzy lata. Nie mogę tego pojąć.

Cały płonął, mówiąc o „Domach Wieczności”, jak nazywał piramidy.

- Wiesz, że to wszystko było próbą pokonania życia? - zapytał, odstawiając na półkę jedną z książek.

- To znaczy? - chciałem wiedzieć.

- Yngve?

Obaj podnieśliśmy wzrok. W drzwiach pojawiła się matka. Miała ze sobą dzbanek kawy i dwa kubki. Zatrzymała się, rzuciła okiem na książkę o Egipcie leżącą na kolanach Yngwego i spojrzała na niego. Spuścił wzrok.

- Wszystko w porządku, Yngve?

- Tak, mam - odpowiedział.

Wyglądała na uspokojoną - czego mogła się obawiać? Odstawiła kawę.

- Świetnie - uśmiechnęła się.

Uznałem za dziwny sposób, w jaki rozmawiali, ale nie zaprzątałem sobie tym za bardzo głowy. Yngve zerknął na drzwi, które za sobą zamknęła. Przechyliłem się w stronę dzbanka z kawą i zabrałem się do nalewania jej do kubków.

- To co miałeś na myśli? - powtórzyłem pytanie.

- Co?

- No mówiąc o domach wieczności i tak dalej?

Yngve rozchmurzył się, jak gdyby ktoś musiał przywołać go z powrotem do światła, w którym lubił przebywać, światła, którym był on sam. Utkwił we mnie spojrzenie i powiedział:

- Egipcjanie nie mogli znieść myśli o śmierci. Zbudowali piramidy jako ochronę przed śmiercią. Potężną ochronę przed śmiercią, próbę osiągnięcia nieśmiertelności. Wiesz, balsamowali się w nich, aby żyć wiecznie, poza tym mieli świątynie, mastaby, składanie ofiar... pomyśl tylko, przez całe życie przygotowywać się jedynie na śmierć. Budować sobie grobowce i... po prostu tego nie pojmuję. Ale to fajne, co?

- Yhm - powiedziałem, równie zdziwiony Egipcjanami jak Yngve.

Kim jesteś, Yngve?

- W zasadzie to chciałbym zostać egiptologiem - stwierdził. Jak gdyby dopiero teraz mógł mi to wyznać. - Jest coś takiego. Egiptologia. Zajmujesz się wtedy Egiptem. Chciałbym tak.

- Yhm - powtórzyłem.

Kim jesteś?

Wtedy położyłem dłoń na jego udzie.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Moja prawa dłoń leżała na jego udzie. Poczułem, jak mięśnie napinają się pod nią, a jego uśmiech zniknął. Nagle twarz mu spoważniała.

Trwało to tylko kilka sekund. Jego udo pod moją dłoń, moje wyprostowane, napięte palce na jego mięśniach i ścięgnach. Zacisnąłem zęby, zamrugałem prędko powiekami, przełknąłem ślinę, czułem ściskanie w żołądku i pulsowanie w kroczu.

Jak długo mogliśmy tak siedzieć?

Niezbyt długo.

Znów przełknąłem ślinę i cofnąłem dłoń. I wtedy coś się stało. Jak gdyby Yngve zniknął. Jego spojrzenie zaszło mgłą, jakby opuściło to miejsce i udało się w daleką podróż, podróż przez epoki, góry, rzeki, w której brał też udział Yngve. Nie trwało to zbyt długo, lecz gdy zaistniało, miałem wrażenie, jakby stanowiło istotną część Yngvego, jakby ta podróż była nim samym.

Po prostu go tu nie było.

Jego ciało znajdowało się przede mną, ale Yngvego nie było. Od razu to pojąłem, chociaż sytuacja była straszna, dziwna i obca, jednak zrozumiałem ją intuicyjnie - nie ma go

tu. Momentalnie poczułem potrzebę dopilnowania, by mnie nie opuszczał.

Yngve znów się uśmiechnął.

Wstał.

Ja też wstałem, czując, że najwyższy czas już iść. Pomyślałem, że nie będę naciskał. Nie zniszczę tego. Pójdę do domu, na razie zatrzymam się w tym miejscu, wsiądę na rower i wrócę do siebie.

- Egipt - powiedziałem.

Skinął głową.

- Tak, to stało się jakby moim hobby. A co z tobą?

Pokręciłem głową.

- Nie, nie wiem... Chyba też... może pójdę na studia?

Włożyłem pelerynę i pożegnaliśmy się w korytarzu. Otworzył mi drzwi i powiedział, że to strasznie fajnie, że wpadłem.

- Ja bym się na to nie odważył - dodał. - To znaczy, gdybym to ja ledwie raz rozmawiał z jakimś chłopakiem ze szkoły.

- Ach. - Chyba się zarumieniłem. - Ale przecież podszedłeś do Simona le Bona, więc nie wiem.

Yngve się zaśmiał.

- Nie mam już dwunastu lat.

Mama Yngvego przyszła się pożegnać. Z ledwością dostrzegalem ojca, „Steinara”, w salonie. Cieszyłem się, że nie wyszedł.

„Czy mogę go uścisnąć - pomyślałem, czując, jak bardzo chcę poczuć jego skórę przy swojej. - Czy mogę cię objąć, Yngve?”

- Na razie - powiedział. - Do zobaczenia.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem. Pochyliłem się nad rowerem i odpiąłem go.

„Czy patrzy na mnie, gdy stoję tak w deszczu?”

Patrzysz na mnie, Yngve?

- Teraz jedziesz do ojca? - usłyszałem za plecami.

Podniosłem się.

- Ee... nie, chyba pojedę do domu.

- Yngve! Oglądasz dzisiaj mecz Thorstvedta^[12]? - dobiegł mnie krzyk ojca z salonu.

Odwrócił się.

- Tak, nie wychodzę. - Yngve znów na mnie spojrzał. - Ty też będziesz oglądał?

- Ee... co?

- Thorstvedta - powiedział oczywistym tonem. - Mecz. Tottenham vs. Arsenal. Thorstvedt w telewizji.

- A tak, ten... ee, no, może?

Yngve się uśmiechnął. Zjeżdżałem w deszczu ze wzgórz Tjensvoll, byłem przemoczony, choć nie zwracałem na to uwagi.

Piłka nożna. Tenis. Egipt. Całkiem nowy świat.

Gdy mijałem Wilberga, po raz pierwszy o tym pomyślałem. Ta myśl pierwszy raz ujrzała światło dzienne. Przejęło mnie to strachem. Przerażeniem. Uderzyła mnie nagle, tuż zanim zacząłem płakać, a była przecież zupełnie prawdziwa, potwierdzała moje zachowanie przez ostatnie półtorej doby. *Jestem zakochany. W Yngvem.*

Przyśpieszyłem. Smagały mnie strugi deszczu, coraz bardziej mokłem, przypomniało mi się, że zostawiłem u Yngvego rękawiczki, i wyobraziłem sobie, jak podejdzie do mnie w poniedziałek na dziedzińcu szkolnym i mi je odda, czym zdradzi Helgemu i Katrine, co robiłem w sobotę - odwiedziłem chłopaka, w którym jestem zakochany. Z całej siły naciskałem na pedały, ciekł ze mnie pot i czułem się beznadziejnie, deszcz służył po mnie i miałem mdłości. „Co to ma, kurwa, być, co to jest, do jebanego nazistowskiego chuja, po chuj tu jedziesz, stary, ty pedale, kim ty w ogóle jesteś, pieprzony idioto, kim ty, kurwa, kurwa, kurwa, jesteś, pieprzony idioto, myślałem z wściekłością. Tenis? Piłka? Ogarnij się, Jarle, musisz się wreszcie opanować, to palant. Pierdolony, pierdolony Yngve. Pierdolony w pizdę jebany Yngve”.

Przeszło. Kiedy skręciłem za róg domu mamy, zacząłem się uspokajać. Próbowałem się uśmiechnąć. „Boże - powiedziałem sobie w duchu - znalazłeś kolegę. Spotkałeś kogoś fajnego. Żaden, kurwa, powód, żeby się wkurzać”.

Na stole w kuchni leżała kartka od mamy, informująca, że idzie po kinie do Ragnhild i wróci późno.

Zadzwoiłem do Helgego.

- Gdzie się, kurna, podziewasz cały dzień? - zapytał. - Coś się stało, czy jak?

- No pewnie, kurwa - odpowiedziałem. - Koncert, pewnie, że jebany koncert.

- Okeeej... dobra - powiedział. - Zrobiłeś zakupy?

Oczywiście miał na myśli piwo. Musiałem przyznać, że „zapomniałem”, wykręciłem się całodzienną pracą u taty. Helge zaśmiał się na drugim końcu linii i powiedział, że mogłem chociaż buchnąć mojemu niestroniącemu od kieliszka ojcu trochę wódki. Zaśmiałem się w odpowiedzi.

- No tak - powiedział. - Zrobiłem zakupy na cały miesiąc pijaństwa. *No problemo.*

Zaraz potem zadzwoniłem do Katrine. Tak bardzo tęskniłem za jej głosem. Czułem całym sobą, jak bardzo muszę ją zobaczyć, dotknąć. Powiedziałem jej to. Że minęło już tyle czasu.

- Kurde, Katri. Będzie dzisiaj jazda. Dołączysz?

W jej głosie słyszałem szeroki uśmiech.

- Pewnie, że dołączę - odpowiedziała. - Rodzice wyjechali. Możemy najpierw pogrześcić tutaj. Pewnie, że dołączę.

Wieczór był niezmierny, właśnie tego potrzebowałem, by stać się znów starym Jarlem. Moje życie regulował w tamtym okresie rytm zmian między starym a nowym mną, nagle wahania osobowości. Rzadko miałem z tym problemy, bo potrafiłem znakomicie się przystosować, tak jak tego wieczoru - ostry biforek, stała trasa przez miasto, ale w końcu wpuścili nas do Folken, gdzie tańczyliśmy szalone pogo w rytm Bever, Sild Krokodill and the Saltpastill i Helvetes Forgård, a kapele dawały z siebie wszystko. Wokalista Sild Krokodill wyszedł na scenę ubrany w worek pocztowy, wyliszyliśmy razem z nim, kiedy zagrali „Piosenkę onanisty”, basista Bever walnął wokalistę w głowę kołkami strojeniowymi, gdy ten śpiewał „Pieces of your Face”, krew spływała mu z czoła na twarz, przez co wyglądał jak frontman kapeli trashmetalowej, aż wreszcie uciekł ze sceny, żeby owinać czaszkę papierem toaletowym, i tak śpiewał przez resztę koncertu.

- Dobrze w chuj! - zawołał Helge.

Podczas występu Helvetes Forgård rzuciłem się ze sceny w tłum ludzi i razem z Helgem uznaliśmy, że nie potrzebujemy pieprzonych zagranicznych kapel czy zespołów z Oslo, kiedy mamy takie na własnym podwórku, obiecaliśmy też sobie po pijaku, że nadszedł już, kurna, czas, żeby Mathias Rust Band pokazał się miastu.

- Pobjemy ich! - krzyknął Helge.

- Tak! - wrzasnąłem w odpowiedzi, próbując zagłuszyć zespół.

Po koncercie wróciliśmy do domu na imprezę pełną wymiotów i skarg sąsiadów, a kiedy ostatni goście wyszli, pieprzyłem się z Katrine jak nigdy wcześniej, z prawdziwą radością. Najpierw trochę niezdarnie pod ścianą w łazience, potem od tyłu na podłodze w salonie, by skończyć w starym stylu na łóżku rodziców. Ona na plecach z szeroko rozłożonymi nogami, ja na górze. Później zrobiła mi laskę, jej włosy łaskotały mój brzuch, gdy pracowała językiem i ustami, a ja dotknąłem palcami jej policzka. Tej nocy ją kochałem. To prawda. Tej nocy kochałem ją siłą, jaką dał mi Yngve.

Po seksie leżeliśmy na plecach bez tchu, szczęśliwi, słuchając „Perfect day”.

Wydmuchiwałem kółka dymu, które unosiły się do sufitu, i odwróciłem się do

Katrine.

- Ty?

Spojrzała na mnie.

- A może byśmy... - przerwałem. - Okej, na pewno uznasz, że to głupie...

- No, ale mów - powiedziała Katrine.

- A może byśmy zaczęli grać w tenisa?

Katrine podniosła się i spojrzała na mnie zaskoczona.

- W tenisa? Chcesz grać w tenisa?

- No... - zaśmiałem się z wahaniem. - No? Bo tylko siedzimy tak całymi dniami w kafejkach, Folken, Ankeret, potem znów Folken i znów Ankeret, a potem... idziemy do Folken! Co?

- No, a Helge ma się też dołączyć? Chyba nie myślisz, że zgodzi się na coś takiego?

Wzruszyłem ramionami.

- To tylko pomysł. Wydaje się fajny.

Katrine mnie przytuliła.

- Pasuje ci to - powiedziała z uśmiechem.

- Co mi pasuje?

- Że masz odwagę - odparła. - Że umiesz zmienić zdanie. Wchodzę w to.

Katrine zawsze chciała, żebyśmy coś robili. Robili. To był zawsze jej główny zarzut w naszym szczenięcym związku. Wiecznie mówiła, że nic nie robimy. A więc doskonale wiedziałem, co czynię, odpowiadając tamtej nocy na jej argument. Wiedziałem, że moja propozycja trafi na żyzną glebę. W końcu to jej własna sugestia. Nie mogło pójść źle.

- Hej? - Katrine odwróciła się do mnie leniwie.

- Tak?

Pogładziła mnie po policzku.

- Myślisz, że będziemy razem? - zapytała. - To znaczy... na zawsze?

Spojrzałem na nią. Jej oczy iskrzyły zakochaniem, a moje odwzajemniały ten blask. Popatrzyłem na nią, uśmiechnąłem się.

- Tak - odpowiedziałem.

Katrine uniosła dłoń do szyi i ścisnęła wisiorek, który dałem jej z okazji naszego pierwszego miesiąca razem.

- Też tak myślę - powiedziała ze łzami w oczach.

W poniedziałek kupiłem nie tylko mapę świata w księgarni, lecz także rakietę tenisową. Dwie sztuki. Jedną dla mnie i jedną dla Katrine. Zrobiłem jej prezent. Zaletą

posiadania rozwiedzionych rodziców oraz ojca, który jest ci winien dobrych piętnaście lat, jest to, że zawsze możesz skombinować pieniądze. W niedzielny wieczór zadzwoniłem do taty.

- Tato? Zaczynam grać w tenisa.

Nie miał szans.

- W tenisa?

Tata odchrząknął. Nagle zabrzmiał surowo. Poczułem w brzuchu ukłucie strachu.

- Tak? - odezwałem się.

- Aha, w tenisa?

Poszło dobrze. Rozmawiałem z nim przez cztery minuty, po czym miałem dwa tysiące koron w kieszeni.

Takimi rozmowami stawiałem tatę pod ścianą i on dobrze o tym wiedział. Ja również to wiedziałem. Ojciec był programowo zobowiązany uważać tenis za budujący projekt, nie mógł odmówić mi sponsorowania takiego przedsięwzięcia, a ja miałem świadomość, że poprzedniego wieczoru był na mieście, że tego weekendu nie odwiedził go jego syn, i chociaż to ja odwołałem wizytę, i tak to on był mi coś winien. Znowu. Miałem nad nim kontrolę. Żadnych powodów do niepokoju.

Jak przypuszczałem, Helge zareagował sceptycznie na mój pomysł, który zaprezentowałem im w poniedziałek na przerwie. Spojrzał na mnie.

- Tenis?!?! W imię Chrystusa Zbawiciela, tenis?!?! Złapałeś AIDS, czy jak? Jestem cholernie sceptyczny. Choleeeeeernie sceptyczny, Jarle. Może zgłosisz się też do Klubu Golfowego?

Zerknąłem na niego. Całkiem spokojnie.

- No. Może powinienem?

- Mocne - odezwał się. - Kurwa.

Katrine się zaśmiała.

- Wstydzisz się, Helge. Naprawdę. Nie możesz znieść myśli, że się wygłupisz.

- Ja? *Ja? Helge Ombo?* - krzyknął urażony. - Tenis! Przecież to cholernie burżujskie! Zaczynaj też grać w golfa! *Ja?* Jak, do chuja, wpadłaś na to, że Helge Ombo w ogóle zbliży się do kortu tenisowego?!?

Katrine pokręciła głową ze współczuciem.

- Słodki jesteś, jak się złościysz, Helge.

- Uważaj na swoją przymilną gębę, Katrine, i zapamiętaj jedno: Helge Ombo nie jest nigdy - *nigdy* - słodki!

„Wszystko idzie zgodnie z planem - pomyślałem. - Helge jest zły, jak zawsze, i ma być zły, Katrine mnie kocha, mama jest szczęśliwa, tata ma pieniądze, a Yngve jest piękny i będę go codziennie widywał. Wszystko idzie zgodnie z planem”. Zniknął napad strachu, który miałem w drodze do domu od Yngvego, nie wstydziałem się, o nie - nie wstydziałem się. Czuję siłę i jasność umysłu. Będzie dobrze. Będzie dobrze.

Szczęście nie trwa długo, jedynie przez krótkie, z góry przesądzone chwile, nieświadome swego kruchego żywota. To było szczęście.

Byłem zakochany, a nic nie jest od tego silniejsze.

^[11] 17 maja - norweskie święto narodowe, Dzień Konstytucji [przyp. tłum.].

^[12] Erik Thorstvedt - były bramkarz norweski, który urodził się w Stavanger. Od 1989 r. piłkarz londyńskiego Tottenhamu [przyp. red.].

Dalajlama przyjeżdża do Finnmarku

you may leave school

but it never leaves you

XTC

Mżawka, deszcz, pochmurno. Ten sam refren przez całą zimę, jedną z wielu ciepłych, apokaliptycznych zim, jakie miały miejsce około roku 1990, zim poprawiających samopoczucie sceptykom takim jak my - *bo czyż nie powtarzaliśmy ciągle, że warstwa ozonowa już dłużej nie wytrzyma?* Zim, podczas których kochający śnieg mieszkańcy zachodniej Norwegii kręcili głowami, gdyż musieli przez kolejny styczeń mijać sprzęt narciarski w drodze do piwnicznej spiżarni, zim o temperaturach sięgających plus ośmiu stopni, pełnych deszczu, wiatru i zbyt wcześnie zakwitłych przebiśniegów, zim, kiedy ludzie zamieszkujący naszą część kraju używali mnóstwo parasoli, które wywijały się na wietrze, łamiąc rozporniki, i byli zmuszeni chodzić całymi dniami w przemoczonych skarpetach, a po powrocie do domu odwieszać w korytarzach wilgotne ubrania.

- Nie będzie dzisiaj lepiej - powiedziała mama. - Jakby się uparło... Odwieźć cię do szkoły?

- Nie, nie - odmówiłem. - Mogę pojechać na rowerze w deszczu.

- Pomyśl tylko, Jarle, a mógł padać śnieg - stwierdziła mama przy śniadaniu, wyglądając przez kuchenne okno i zapewne wyobrażając sobie zielony trawnik pokryty pięknym, białym puchem. - Gdy byłeś mały, zawsze miałam duży problem, żeby cię nakarmić, tak pędziłeś na dwór zjeżdżać na sankach albo mininartach.

Skinąłem głową.

Mama przyjrzała mi się badawczo.

- Co? O co chodzi?

- Nie... tylko wydaje mi się, że nieco się zmieniłeś. Łyżwy w sobotę. A teraz tenis - powiedziała.

Poprzedniego wieczoru opowiedziałem jej o swoich planach związanych z tenisem.

Uścisnąłem ją.

- No i? Co w takich sytuacjach zwykle mówisz?

- Nie wiem, co zwykle mówię.

Jak większość porządných, dobrze wychowanych rodziców mama znała sporo standardowych powiedzeń, które serwowała mi czasem w dobrej wierze, a które najczęściej przynosiły odwrotny skutek. Teraz wykorzystałem jedno z nich.

- Nigdy nie jest zbyt późno, by zmienić zdanie, Jarle. Zapamiętaj to sobie. Nigdy nie jest za późno na nowe wyzwania.

- Uch - odezwała się mama. - Zabrzmiałeś jak ja.

- To nie tego chcesz?

Mama spoważniała.

- Nie. Nie chcę tego. Chcę tylko, żebyś był sobą.

Jak w przypadku większości spraw w życiu, również w kwestii moich relacji z mamą nie wiedziałem, jak mam dobrze. Nie żebym był wobec niej nie w porządku - przypuszczalnie to w stosunku do niej zachowywałem się najlepiej, chociaż również przed nią ukrywałem pewne rzeczy. Martwi mnie tylko, że teraz wracam w myślach do tych chwil i wiem, że przepadły. Między nami nadal układa się dobrze, ale nie mam już siedemnastu lat i nie jestem zakochany, nie mieszkam z nią, na zewnątrz nie ma słoty, rześkiego wiatru, mżawki i deszczu, nie siedzę przy stole, jedząc na śniadanie kanapkę z dżemem jabłkowym, a mama nie je swojej kanapki z brązowym serem i nie mówi, że chciałaby tylko, abym był sobą, nie ubieram się chwilę potem, nie wychodzę na deszcz i nie pedałużę przez ulice, a ona nie jedzie oplem do pracy.

Więc o co chodzi?

Chyba tylko o to, że wtedy było tak dobrze. Im lepiej było, tym smutniej widzieć, że już tak nie jest. Czasami myślę, że to właśnie na tym polega bycie dorosłym, i w takim razie nie ma się na co cieszyć - bo zaczyna się tęsknić za tym, co minęło.

Wstałem. Spojrzałem na mamę i poczułem spokój. Czy o tym pomyślałem? O tym, jak uspokajająco mama działa na innych?

Poprzedniego wieczoru na próbie nie byłem ani spokojny, ani skupiony.

- Nic nam z tego, kurna, nie wyjdzie, musisz się skupić, Jalla! Grasz jak wyruchana cipa!

Helge był mocno wkurzony po tym, jak przez ponad pół godziny męczyliśmy się z intrem do „Teraz musi się coś stać” - naszego ostatniego kawałka. Miałem tam zagrać riff na Stratocasterze, ale plątały mi się palce. Andreas stał z basem przewieszonym przez ramię i nie

mówił za dużo, ale również on zaczął okazywać zmęczenie.

- Tak, tak - powiedziałem. - Nie mogę tego po prostu wydobyć z palców.

- Ten zespół nie wytrzyma, a już na pewno nie zagramy koncertu, jeśli nadal będziesz się tak zachowywał... zapomniałeś też tekstu - skrytykował mnie Helge. - Tam miało być *nagli i pali*, a nie *ostro wypali*, kto tak, kurwa, w ogóle mówi?

Odwrociłem się.

- Szwedzi - odparłem. - Szwedzi tak mówią. Pięć minut przerwy?

Zrobiliśmy sobie pięciominutową przerwę. Usiedliśmy na podłodze przy drzwiach w schronie w Kvernevik, gdzie ćwiczyliśmy. Paliliśmy fajki. Żaden z nas się nie odzywał. Wreszcie zerknął na mnie Andreas.

- To zagramy niedługo koncert, czy nie?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - To znaczy musimy, trzeba iść naprzód.

- Potrzebujemy logo - stwierdził Helge. - Musimy mieć logo.

Wróciliśmy do próby. Szło beznadziejnie, ale wreszcie przebrnęliśmy przez „Teraz musi się coś stać”, a w środku refrenu czułem, że śpiewam z prawdziwą agresją, naprawdę tak myślałem:

*Już nagli i pali,
krzepnie, piecze, drażni.*

Strach się bać, strach się bać.

Teraz musi się coś stać.

- Okej - powiedział Helge, uderzywszy ostatni raz w gary. Popatrzył na mnie. - Okej, teraz jakoś to brzmiało, byłeś wściekły, grałeś jak ślepy i ryczałeś jak krowa, ale była w tym jakaś energia.

Helge stawiał energię i wysiłek ponad technikę, chciał, żebyśmy grali klasycznego punka, podczas gdy ja skłaniałem się bardziej ku nowej fali, wołałem wyraźne pauzy, synkopy i precyzję, więc wkurzałem się na siebie, kiedy bas grał tylko prymy, aranżacjom brakowało wyrafinowania, a ja fałszowałem.

- Energia była dobra - powtórzył Helge. - To będzie hit.

- Koniec na dziś? - zapytałem, zdejmując gitarę. - Trochę boli mnie głowa. Ogarnę się w tygodniu, okej?

Skończyliśmy. Byłem niespokojny.

Nazajutrz w drodze do szkoły ogarnęły mnie spokój i radość większe niż poprzedniego wieczoru. Dokładnie jak w sobotę przepelniała mnie arogancja i głupota zakochania. Próba się skończyła, roztrzęsienie opuściło ciało, a ja nie widziałem przed sobą przeszkód, jedynie radość. Życie, w którym dostrzega się tylko radość, jest nawet dobre, chociaż głupie. Tym właśnie cechuje się życie dzieci, które powinny zachować tę radość tylko dla siebie, zamiast dzielić się nią z zakochanymi i pijanymi.

Helge, Katrine i ja spędzaliśmy właśnie przerwę pod murami katedry, gdy zauważyłem Yngvego, który stał pod tym samym wejściem co w piątek. Bez namysłu uniosłem rękę, uśmiechnąłem się i pomachałem.

Helge zerknął w stronę Yngvego. Zmrużył oczy, mocno zaciągnął się papierosem i zmarszczył brwi. Helge zawsze sceptycznie odnosił się do nowych ludzi, a że Yngve był typowym drętwiakiem, mój gest wydał mu się dziwny. Również Katrine spojrzała w tamtym kierunku.

Odmachał mi i się uśmiechnął. Staliśmy na górze w przemoczonych czarnych płaszczach, Helge w arafatce i ciężkich butach, wszyscy z przypinkami na piersi. *NIE dla EWG, Punk's not dead, Front Kobiet*. Yngve miał na sobie ładną niebieską kurtkę, dzinsy, półbuty i machał do mnie. Zamarłem.

Helge posłał mi surowe spojrzenie. Nic nie powiedział, tylko na mnie patrzył.

- Kto to? - zapytała Katrine.

- Co?

- Ten chłopak, do którego machałeś. - Wskazała palcem. - Ten tam.

To chłopak, w którym jestem zakochany, Katrine.

- Kto? - starałem się brzmieć spokojnie. Spojrzałem w jego stronę.

- A, on. Spotkałem go w piątek w drodze do domu. Ma chyba na imię Yngve - powiedziałem. - Yngve czy Erlend. Nowy. Chyba z klasy C. A może A?

Kiedy mówiłem, przekonany, że podaję im proste i dobre wyjaśnienie, kim jest Yngve, zauważyłem, jak wzrok Helgego przesuwają się z mojej twarzy w innym kierunku.

Odwrociłem się. Stał tam Yngve w dużej puchowej kurtce.

- Cześć. - Spojrzał na mnie. Uśmiechnął się do Helgego i Katrine. Poczulem lekkie drżenie palców. Jego czerwone policzki wyglądały dziś jeszcze bardziej świeżo, może przez pogodę?

- Cześć - odpowiedziałem. Helge nawet nie mrugnął. Katrine uśmiechała się przyjaźnie i grzecznie.

Był taki piękny.

- To... - Yngve przestąpił na drugą nogę. - Odwiedziłeś ojca?

Helge znów zmarszczył brwi. Zacząłem się denerwować i spojrzałem na zegarek.

- Tak... To jest Katrine i Helge - przedstawiłem ich. - A to Yngve.

Katrine podała mu dłoń. Uścisnął ją. Katrine i Yngve się dotknęli. Poczułem ukłucie, widząc, jak ich dłonie się obejmują, stykają.

Helge skinął tylko głową.

- Byłem w niedzielę na łyżwach. - Yngve spojrzał na mnie. Zaśmiał się. - Na lodowisku miejskim. Zaciekawileś mnie.

Helge znów na mnie popatrzył. Uśmiechnąłem się rozbrajająco i skinąłem głową do Yngvego. Musiałem skierować tę rozmowę na inne tory, czułem zdenerwowanie, byłem w coraz większych opałach, zapędziłem się w kozi róg, a Yngve dolewał jeszcze oliwy do ognia.

Zaryzykowałem.

- Może chciałbyś pograć z nami w tenisa? - zapytałem nagle Yngvego.

Helge westchnął demonstracyjnie za moimi plecami. Wyraźnie powiedział już, co myśli o tych moich „megadurnych pomysłach”.

- Gram już w tenisa - odparł Yngve. - Zresztą widziałeś - dodał, uśmiechając się. Popatrzył na Katrine i Helgego. Z tym swoim dobrym, niewinnym uśmiechem. - A wy gracie?

Miarka się przebrała. Podejrzliwość Helgego została zanadto podsycona. Spojrzał na mnie.

- Co to ma, kurwa, być, Jarle? Tenis, łyżwy i... co to ma być?

Yngve wyglądał niepewnie.

Katrine odwróciła się do mnie.

Zaśmiałem się, zwracając się do Yngvego.

- Nie przejmuj się nim - powiedziałem. - On już taki jest. Trochę wkurzony. Ogólnie wkurzony i agresywny. Ale to dobry człowiek.

Odwróciłem się znów do Helgego.

- Nic, kurwa, okej? Zaczynamy grać w tenisa, a to jest Yngve, nowy w szkole, i pytam się go, czy nie zagra z nami, okej? Jeśli ty nie chcesz, to twoja sprawa, możesz każdą przerwę spędzać w Folken, jeśli o mnie chodzi, to możesz tam sobie przesiadywać po szkole i wieczorami, ale my chcieliśmy czasem pograć w tenisa. Okej? Czy to takie trudne? Podrzucić piłkę, uderzyć ją i zobaczyć, co się stanie?

Odwróciłem się do Katrine.

- Co nie, Katri?

Pokiwała energicznie głową.

- Boże, jasne, że tak!

Miałem pełną kontrolę. Zdenerwowanie minęło, odparłem podejrzania Helgego arogancją i pewnością siebie.

Pokręcił głową.

- Coś mi tu śmierdzi, Jalla, nie kupuję tego, a już na pewno nie kupię pieprzonej rakietki tenisowej, Helge Ombo za Chiny tego nie robi.

- Można wypożyczyć - usłyszałem za sobą głos Yngvego.

- Co? - powiedział Helge.

- Nie... ee, można wypożyczyć i zobaczyć, czy ci się spodoba.

Katrine się zaśmiała. Widziałem, że podoba jej się Yngve. Jego bezpośredniość i to, że nie daje się uszczypliwościom Helgego.

- Kurwa - zaklął Helge. - Gdzie cię zrobili?

Zadzwoił dzwonek.

Yngve dał do zrozumienia, że chce już iść. Uniósł rękę i uśmiechnął się zamkniętymi ustami. Piękny Yngve.

- Ćwiczę w środy - powiedział. - W sali gimnastycznej, ale mogę też pograć później, to znaczy z wami. Możemy zagrać debła? O ósmej?

Katrine i ja skinęliśmy głowami. Yngve odwrócił się i podbiegł do wejścia.

- Co to, kurwa, jest? - oburzył się Helge. - Co to, kurwa, za istota? Gdzie takich robią? *Debla?* - Przedrzeźniał dialekt Yngvego. - *Wypożyczyć? Możesz wypożyczyć?* - Rzucił niedopałkiem papierosa w mur katedry, aż poszły iskry. - *Debla?*

Katrine wywróciła oczy.

- Helge, musisz...

- Dżizas - przerwał jej. - Bez jaj, Katrine, bez jaj, mam tak stać i z grzeczności nic nie mówić, kiedy widzę to, co widzę? „Chyba trafiłem na złą ziemię, tak tutaj dziwnie”. Wicie, kto to powiedział? Obstfelder, Sigbjørn Obstfelder^[13], do chuja. On chodził do tej szkoły i nie grał w jebanego tenisa!

Za plecami Helgego zobaczyłem, że Yngve się zatrzymał. Odwrócił się i znów do nas podszedł. Uśmiechnął się, a dłonie ukrył w kieszeniach wielkiej puchowej kurtki.

- Miałem przecież... - odezwał się, podając mi rękawiczki. Moje rękawiczki. - Zapomniałeś ich.

Przełknąłem ślinę

- A, to tam były... dziękuję.

Yngve pobiegł znów do szkoły.

Helge utkwił we mnie surowe spojrzenie.

- No? - powiedziałem, przy czym starałem się brzmieć równie surowo. - I co z tego?

Poszliśmy do wejścia. W tłumie zmierzającym do klasy Helge chwycił mnie, ściszył głos i spojrzał mi w oczy.

- Co tu się święci? Łyżwy i tenis? Całkiem ci odbiło?

Poklepałem Helgego po ramieniu. Byłem pewny siebie. Popatrzyłem na niego.

- Trzeba nadażać, Hegga.

- Widzę to, co widzę, Jalla - odpowiedział. - Zapamiętaj sobie: Ombo widzi to, co widzi, a ty grasz tutaj nieczysto.

Mieliśmy matkę. W środku lekcji zobaczyłem, że Katrine nie słucha nauczyciela. Wpatrywała się we mnie. Była zakochana. We mnie.

Zauważyłem to nawet u jej koleżanek, Torill i Johanne, nienależących do naszej trójcy. Katrine musiała ciepło o mnie mówić. Zmieniły swoje nastawienie do mnie, które teraz stało się mieszanką klasycznej, dziewczęcej zazdrości oraz podziwu. Johanne właśnie zaczęła chodzić z Ingarem z 2D, tym durnym czarusem, ale nawet kiedy stała na dziedzińcu koło niego, widziałem, jak jej spojrzenie wędruje w stronę Katrine, spędzającej przerwę ze mną. To samo działo się z Torill, która mogła spokojnie cieszyć się, że jest *przyjaciółką dziewczyny Ingara*, a jednak patrzyła na Katrine, ponieważ ja miałem przewagę, która w tamtym okresie biła na głowę Ingara. Nie byłem tak piękny jak on ani trochę tak pewny siebie, ale byłem nowy. Zacząłem się zmieniać i znalazłem się w centrum zainteresowania. Rosłem, cały Jarle rósł. Katrine wcześniej nie robiła z naszego związku wielkiego halo, jednak teraz zaczęła niemalże obnosić się z nim, kiedy w pobliżu znalazły się Torill i Johanne. Podczas gdy wcześniej zazdrościła nieco Johanne, która chodziła z Ingarem, teraz mówiła o nim, jakby był powietrzem. Obejmowała mnie, całowała, słuchała z uwagą.

Najwyraźniej Katrine opowiedziała im też o Yngvem. Kiedy podchodził do nas na przerwach, widziałem, jak porozumiewawczo kiwają do siebie głowami.

Widziałem, jak myślą: to on.

Ten nowy.

- Ktoś z was był w Tybecie?

Na ostatniej lekcji, historii, Svensen znowu odwoływał się do bieżących wydarzeń, zamiast przerabiać program, a tego dnia padło na Dalajlamę.

Miałem spore problemy z koncentracją, pomimo zainteresowania Dalajlamą. Dość

często wyglądałem przez okno na dziedziniec, jak gdyby Yngve miał się tam pojawić, koło rowerów, między drzewami, przy fontannie. Takie już jest zakochane spojrzenie. Obojętnie, gdzie znajduje się zakochany, zawsze będzie szukać obiektu swojego zakochania; jadąc autostradą, zakochany zagląda niecierpliwie przez przednie szyby samochodów nadjeżdżających z przeciwka - *czy to ona?* - zerka, pełen nadziei, na pobocze i czeka, zupełnie poważnie, aż osoba, którą kocha, pojawi się przy drodze, łapiąc stopa; w sklepie wyciąga szyję za każdym regałem - *ona robi tu zakupy, prawda?* - wypatrując osoby, którą tak chętnie ujrzałby przy artykułach spożywczych; kroki zakochanego przyciągane są przez magnesy, a jego spojrzenie przez obiekt miłości, zawsze bliżej niego. Wszędzie. Również na dziedzińcu szkolnym, kiedy wszyscy mają lekcje.

Yngvego oczywiście nie było. Błąkał się tam jednak pies, który wyglądał, jakby czegoś szukał.

- A więc walkę o wyzwolenie prowadził w dużej mierze z Indii - usłyszałem głos nauczyciela.

Przechyliłem się na krześle i odwróciłem głowę do Helgego.

- To co, Hegga, jak będzie?

Nauczyciel opowiadał o wygnaniu Dalajlamy w Indiach.

- Co? - odezwał się Helge.

- Dołączysz do nas w środę? Tenis?

Helge spojrzał na mnie.

- Jezu Chryste - powiedział. - Jezu, kurwa, Chryste, Jalla. Powiedziałem już przecież, że nie. Ekstremalne nie. Zrób coś ze sobą. - Taki tytuł nosiła jedna z naszych piosenek.

Nie odpowiedziałem. Ale Helge mówił dalej.

- Co robiłeś w sobotę?

- Jarle i Helge, możecie zacząć słuchać?

Odwróciliśmy się.

- To ma sens - powiedział Svensen. - Nie sądzicie?

Helge wzruszył ramionami, by pokazać, że nie słuchał. Ja skinąłem głową. Nauczyciel pokręcił głową i kontynuował.

- Ma sens, że Dalajlama podczas wizyty w Norwegii jedzie właśnie do Finnmarku, aby poznać lapońską kulturę. Nie sądzicie?

^[13] Sigbjørn Obstfelder (1866-1900) - urodzony w Stavanger norweski poeta, nowelista i publicysta [przyp. tłum].

Zmieniam się

I just have to explode

explode this body off me

wake-up tomorrow

brand new

Björk

Nadeszła środa. W zimowej ciemności poszedłem z Katrine do sali gimnastycznej. Trzymaliśmy się w autobusie za ręce, nie mówiliśmy za dużo, ale oboje w napięciu zastanawialiśmy się, jak to będzie, czasem spoglądaliśmy na siebie z uśmiechem, a w naszych oczach wypisane było: *tenis?*

Katrine ścisnęła mocniej moją dłoń i usiadła jeszcze bliżej mnie.

- Tak cię kocham, Jarle.

Odwzajemniłem jej uścisk i pomyślałem o Yngvem.

Helge napadł nas wcześniej tego dnia, mówiąc, że nasza gra w tenisa jest „wręcz śmieszna”, kiedy Towarzystwo Dyskusyjne organizuje zebranie. W całej szkole wisiały ogłoszenia, kartki A4 z informacjami o zebraniu pod tytułem „Nowa niesprawiedliwość - Norwegia, społeczeństwo różnic”, które miało się odbyć w auli.

- Będzie przemawiał przedstawiciel Młodzieżówki Socjalistycznej - powiedział. - Ale jasne, mecz tenisa jest ważniejszy od walki klasowej, jak najbardziej.

Już miałem coś powiedzieć, ale Katrine pokręciła tylko głową i odciągnęła mnie na bok.

- Przejdzie mu - stwierdziła.

W sali gimnastycznej udaliśmy się do swoich szatni. W męskiej zobaczyłem ubrania

Yngvego na długiej, lakierowanej, drewnianej ławce. *Jest tutaj*. Usiadłem obok, otworzyłem torbę i wyjąłem rakiety. Na haczyku koło mnie wisiały jasnoniebieskie, sprane dzinsy Yngvego. Jego ubrania - koszulka, kurtka, sweter - leżały schludnie złożone na ławce. Buty równo stały na podłodze, z białymi skarpetkami tenisowymi w środku. Takie to proste. Takie ładne i takie proste. Wiszące spodnie. Porządnie ułożone ubrania. Buty i skarpetki.

„Też chcę taki być - pomyślałem w chwili, gdy położyłem dłoń na jego swetrze. Przesunąłem materiał między palcami. - Też chcę taki być”.

Na ogół nie zastanawiałem się nad tym, jak odkładam ubrania. Normalnie wylądowałyby na ławce i stworzyły bezładną stertę, buty zrzuciłbym z siebie kopniakiem, chwyciłbym klucze i portfel i wygramolił się na salę - o ile w ogóle ktoś przekonałby mnie, bym postawił stopę na korcie tenisowym, co jest ogromnie wątpliwe. Teraz zrobiłem to, co w moim wyobrażeniu zrobiłby Yngve i czego właściwie życzyłaby sobie mama - wszystko ładnie złożyłem. Powoli zdjąłem z siebie sweter i koszulkę, wyróciłem je na właściwą stronę, ostrożnie wykonywałem każdy ruch, odwiesiłem spodnie, wyprostowałem zagniecenie nogawki. Przysunąłem buty do siebie. Odłożyłem torbę na ławkę.

Przejrzałem się w lustrze.

Długie, przetłuszczone włosy zasłaniały mi twarz. Miałem na niej pełno pryszczy. Wyglądałem katastrofalnie. Jeszcze parę dni temu byłbym dumny ze swojego wyglądu - tak właśnie miało być. Długie włosy, których absolutnie nie chciałem czesać ani ścinać. Skóra, której nigdy nie tknął żaden kosmetyk, chociaż mama twierdziła, że „to niekoniecznie wstyd używać korektora, nawet będąc chłopcem”.

„Boże” - pomyślałem. Zbliżyłem dłonie do włosów, spróbowałem odsunąć grzywkę z oczu, pogładziłem się po policzku. Odwróciłem się od swojego odbicia i poszedłem na salę.

Na korcie stali Yngve i Katrine. Rozmawiali. Z daleka widziałem, jak Katrine przechyla głowę, śmiejąc się. Uderzyła mnie jej radość i znów poczułem ukłucie, widząc ich razem. Przecież tak bardzo chciałem wprowadzić Yngvego w nasze życie, aby mógł być bliżej mnie, abym cały czas mógł na niego patrzeć, być koło niego. Ale nie przewidziałem, że Katrine tak bardzo go polubi, że będzie stać roześmiana na korcie z rakieta w ręku, a ja poczuję zazdrość. Lecz jednocześnie mogłem się tylko cieszyć, bo w końcu to Yngve rozsiewał wokół tę prostą radość, której nie potęgowało oddalanie się od innych, a zbliżanie do nich.

Prędko zszedłem na kort. Śmiech Katrine stał się głośniejszy. Zauważyła mnie i zaśmiała się.

- Jarle! Ty głupku!

- O co chodzi? - zapytałem i starałem się przy tym brzmieć równie wesoło jak oni. Yngve uśmiechał się, a jego piękne oczy otworzyły się szeroko - niewinne i dobre. Ubrany był w czerwoną koszulkę z napisem „Klub Tenisowy w Stavanger” oraz białe krótkie spodenki. Na nogach miał adidas. Bez skarpetek. Od razu to spostrzegłem, zobaczyłem jego żylaste stopy w butach, nad krawędzią adidasów widziałem jego kostki, ale nie wydało mi się to dziwne. Że nie nosił skarpetek.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Katrine machnęła rakieta, którą jej dałem.

- O czym? - powtórzyłem, spoglądając na Yngvego.

- No, że byłeś u niego w sobotę - odpowiedziała Katrine.

- A, o tym! - Poczulem, że się rumienię.

- No, o tym - Katrine przytuliła mnie. - Simon le Bon! Co?

- Taa, Duran Duran - odparłem.

- Dlaczego o tym nie powiedziałeś?

- Nie...

- Myślałeś, że Helge cię wyśmiej?

- Nie, kurde. - Przyjąłem pozycję obronną. - Nie, ja... ach, po co miałbym o tym mówić? Po prostu wpadłem na taki pomysł, tak? Jechałem do taty i...

Katrine mi przerwała.

- A łyżwy, co?

Spoważniałem i znów zasłoniłem się swoją pewnością siebie i arogancją.

- Musiałem zrobić coś sam, Katrine, prawda? Iść naprzód. Pewne kroki, pewne decyzje muszę podejmować sam, czyż nie? A poza tym... no... uznałem, że Yngve jest fajny. Okej?

Katrine podobał się ten Jarle, który stał przed nią, oświadczając, że ma dobre zamiary, że jest porządnym, nagle dojrzałym i gotowym do zmian człowiekiem. Popatrzyła na mnie z podziwem.

- Myślę, że to dojrzałe - stwierdziła rezolutnie. - Zagramy?

Yngve spojrział na nas z uśmiechem.

- Pewnie, kurna, że zagramy - powiedziałem i zwróciłem uwagę, że znów zakląłem. Dlaczego cały czas przeklinam? Yngve tego nie robi.

Oczywiście Yngve nas pobił, i to kilka razy. Żadne z nas nie miało bladego pojęcia o tenisie, więc pozwoliliśmy mu nauczyć nas tego, co wiedział. Backhand, forehand, serw. Pozwoliłem mu to robić, bo z przyjemnością podporządkowywałem się jego wiedzy, jego

ciału, które wymachiwało rakieta, uderzało piłkę, podbiegało do siatki, zaś Katrine podobało się moje odmienne zachowanie, mniej aroganckie, bardziej dorosłe. To klucz, który ktoś powinien był mi pokazać parę lat temu, kiedy desperacko szukałem dziewczyny: udawaj doświadczonego. Sprawiaj wrażenie starszego niż rówieśnicy. Zachowuj się, jakbyś uważał innych chłopaków za durni. Dziewczyny znajdują się koło ciebie, nim się obejrzą, bo uwielbiają wyższość, a zwłaszcza wyższość stwarzającą dystans wobec innych chłopaków, gdyż dzięki temu mają wrażenie, że trafił im się najładniejszy kwiat w koszyku.

Katrine, Yngve i ja tworzyliśmy dziwny trójkąt. Dwoje z nas zakochane w drugiej osobie, ale nie w sobie nawzajem, chociaż wiedziałem o tym tylko ja. A Yngve? Co wtedy wiedział? Pewnie niezbyt wiele. Nie. Yngve na pewno widział przed sobą jedynie dwoje niezdarnych tenisistów, którzy byli parą i chcieli się z nim przyjaźnić.

A ja? O czym myślałem?

Boże. O czym myślałeś, Jarle?

Po meczu byłem wykończony. Czulem, jakbym umył twarz papierem ściernym, brakowało mi tchu, a puls wył w tętnicach. Yngve miał dobrą kondycję i nie dał po sobie poznać, że odbył podwójny trening. Również Katrine się zmęczyła, widziałem, jak jej piersi kleiły się do przepoconej koszulki. Ale nie zwracałem na to uwagi, nie podniecało mnie to, choć normalnie by tak było - chciałem zobaczyć, czy dostrzegł to Yngve, czy przyglądał się jej piersiom. Nie miałem pewności. Widać było, że ją lubi, ale nie należał do takich chłopaków jak Helge czy ja, którzy robili wielkie halo z dziewczyn wyróżniających się z tłumu.

Rozdzieliliśmy się przed szatniami. Katrine poszła do damskiej, a ja i Yngve do męskiej.

Nasze ubrania leżały tam obok siebie. Dwa identyczne stosiki. Wyglądało to oczywiście śmiesznie, jakby ktoś bawił się w naśladowanie albo jakby tego styczniowego wieczoru na trening poszło dwóch bliźniaków, jednak ja uważałem, że to właściwe. Że tak ma być. Yngve i ja.

Nie zauważył tego. Usiedliśmy na ławkach.

- Dobrze, co?

Odwróciłem się.

- Yngve - powiedziałem.

- Tak?

Powiedziałem: *Yngve*.

Chciałem odpowiedzieć na pytanie, ale powiedziałem tylko „Yngve”, całkiem

spokojnie, i spojrzałem na niego.

- Tak? - powtórzył.

Zaśmiałem się.

- Żaden ze mnie tenisista, ale widać, że muszę trochę poćwiczyć.

- Świetnie sobie radzisz - uśmiechnął się ciepło i pochylił się, by zawiązać sznurówki.

- Za pierwszym razem nie jest tak łatwo.

Nagle przerwał. Ręce zawisły w powietrzu. Twarz się zmieniła. Stało się to samo, co w sobotę, gdy położyłem dłoń na jego udzie. Zniknął. Jak gdyby czas się dla niego zatrzymał, jakby gdzieś wyjechał. Trwało to tylko parę sekund, ale było zupełnie wyraźne. I znów pomyślałem o tym samym. Yngve się boi.

Wtedy się obudził. Trwało to tylko chwilę, a ja oczywiście nie rozumiałem co to.

Yngve pokręcił głową. Zaczął zdejmować buty.

- Co jest? - zapytałem.

- Nie... to - zawahał się. - Nie, to nic.

Włożył buty do torby. Wyglądał niemal na rozczarowanego.

- Coś się stało? - powtórzyłem pytanie, kiedy Yngve ściągał z siebie koszulkę, po czym wstał i zaczął zdejmować spodenki.

- Po prostu... nie wiem, dlaczego grałem bez skarpetek - powiedział i wskazał na swoje buty.

Stał przede mną nagi. Na piersi nie miał ani włoska.

- Głupio, co?

- Myślałem, że to specjalnie - powiedziałem. - Że dzięki temu lepiej się biega, czy coś.

Taki tenisowy trik.

- Nie - odparł. - Będę przecież mieć odciski. - Yngve wyjął z torby ręcznik. Nadal przede mną stał. Nagi. Ale nic sobie z tego nie robił. Większość chłopców w tym wieku wstydzi się siebie. Tak przynajmniej było na WF-ie w szkole, gdzie chłopcy udawali, że zupełnie nie przeszkadza im rozbieranie i chodzenie pod prysznic, lecz jednocześnie starali się unikać patrzenia na siebie nawzajem, porównywania swoich ciał. Ale tu stał Yngve. Przede mną. Nagi. Nie próbował nic ukryć. Stał tak, trzymając w dłoni ręcznik, a spojrzenie miał zmartwione.

- Tak, tak - powiedziałem, usiłując oderwać od niego wzrok. Od jego szczupłego ciała. Jego bioder. - Następnym razem będziesz pamiętać o skarpetkach.

Yngve spojrzał na swoje stopy. Twarz miał bladą, niemal smutną. Nie rozumiałem go - był rozczarowany, bo zapomniał włożyć skarpetki, jakby robiło to jakąś różnicę?

- Tak, tak - powtórzyłem. - Co?

- To mnie po prostu irytuje. Nie powinno tak być - powiedział.

Nadal spoglądał na swoje stopy, po czym odwrócił się i poszedł w stronę pryszniców.

Patrzyłem na niego. Nigdy wcześniej nie patrzyłem tak na nagiego chłopaka. Porównywałem siebie z innymi gołymi chłopcami, chcąc wzmocnić poczucie własnej wartości, często z odwrotnym skutkiem, ale nigdy nie patrzyłem tak po prostu. Tak jak teraz. Nie byłem podniecony, nie myślałem o seksie, myślałem tylko, jaki jest piękny.

Yngve wszedł pod prysznic. Puścił wodę. Spływała po jego ciele. Staliśmy dokładnie naprzeciwko siebie. Uśmiechnąłem się do niego niezdarnie, a Yngve beztrudnie odwzajemnił uśmiech. Odwrócił się, uniósł dłonie do twarzy, wyciągnął szyję, zamknął oczy, a woda po nim spływała. Patrzyłem na jego plecy, kręgosłup wygięty od karku. Patrzyłem na jego tyłek. Wyglądał zupełnie inaczej niż pupa Katrine. Po jego zewnętrznych stronach, tuż pod biodrami, widać było półksiężycowate zagłębienia, które spowijał cień.

Yngve się odwrócił. Nagle wypuścił powietrze.

- Jak długo potrafisz wstrzymać oddech? - zapytał.

- Co?

Zaśmiał się.

- Wstrzymać oddech. Właśnie wstrzymywałem oddech.

- Okej? - Rozejrzałem się niepewnie wokół.

- Czego szukasz?

- Niczego - odparłem, ale rozglądałem się, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma obok.

Yngve nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Niczego i nigdzie się nie wstydził.

- Okej - powtórzyłem i wyszedłem nieco spod prysznic. - Zmierzysz czas?

Pełen entuzjazmu wybiegł spod prysznic do ławki, gdzie leżała torba, pochylił się - widziałem, jak mięśnie ud napięły się pod pupą, a z jego ciała kapłała woda - i wziął zegarek.

- Dobra, jestem gotowy - powiedział.

- Licz - rozkazałem.

- Raz, dwa, trzy.

Wstrzymałem oddech. Cały czas na niego patrzyłem. Twarz miałem spokojną, próbowałem zachować chłód i tylko na niego patrzeć.

Nagle zrobiłem krok naprzód, nadal wstrzymując oddech.

Yngve spojrzał na mnie niepewnie.

Chwyciłem go za rękę. Była mokra, tak jak moja.

- Pół minuty - powiedział.

Trzymałem go za rękę. Robiło się ciężiej, zacisnąłem zęby, zacząłem przełykać ślinę i mocniej ścisnąłem jego dłoń.

- Czterdzieści sekund - poinformował. - Nieźle.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Pięćdziesiąt sekund. - Yngve spojrzał na mnie z podziwem.

Poddałem się i puściłem jego rękę.

- Pięćdziesiąt dwie sekundy, całkiem dobrze! - powiedział Yngve i poklepał mnie po ramieniu.

- Co teraz robimy? - zapytałem.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Chyba idziemy do domu?

Nie chciałem iść do domu. Chciałem pocałować Yngvego.

Kiedy wyszliśmy, Katrine już na nas czekała.

- Pierwszy raz jestem szybciej niż chłopcy - powiedziała.

Yngve i ja uśmiechnęliśmy się do siebie.

Rozstaliśmy się koło sali gimnastycznej. Yngve miał tylko kilka minut drogi do domu. Już chciałem zapytać, czy mogę go odprowadzić, ale na szczęście się powstrzymałem. Gdy jest się zakochanym, najbardziej boli rozłąka. Wiadomo wtedy, że nadchodzi noc bez tej osoby, cała noc w samotności, zaczynają się głębokie, nerwowe myśli, mózg nagrzewa się, a my zadajemy sobie pytania: „Czy mu się podobam? Czy robię coś nie tak? Może powinienem się zmienić? Może mogłem powiedzieć co innego?”.

Yngve zniknął w ciemności. Czuję, jakby ktoś odszedł z moim sercem.

Katrine mieszkała w Stokka, więc ją odprowadziłem. Całowaliśmy się pod jej domem, usta Katrine pracowały intensywnie, a ja odwzajemniłem jej pocałunek najlepiej, jak umiałem. Całowaliśmy się tak długo, aż jej matka zauważyła nas przez okno w salonie. Nie była szczególnie zachwycona, że Katrine jest w tak „poważnym związku”, „jesteś jeszcze młoda” - mawiała ponoć.

Katrine zostawiła moje usta i cmoknęła mnie w policzek, widząc, że matka stanęła w drzwiach.

- A, to ty, Katrine.

- Tak, tak, wszystko w porządku, mamó, już idę.

- Cześć, Jarle - powiedziała matka.

Odpowiedziałem grzecznie i wróciła do środka.

Spojrzałem na Katrine.

- Chcę się z tobą kochać - szepnąłem.

Katrine uśmiechnęła się ciepło, widziałem, że spodobały jej się moje słowa, i poczułem, jak mocniej mnie ściska.

- Tak - odparła. - Ja też, ale... przecież nie możemy, nie teraz.

Poczułem tętno w gardle, w palcach, w podbrzuszu i brzuchu.

- Chcę cię - powiedziałem.

Zaśmiała się, zerknęła na dom i odsunęła mnie kokieteryjnie.

- Teraz się nie da.

Przyciągnąłem ją znów do siebie.

- Podoba mi się ten Yngve - stwierdziła i pocałowała mnie.

Wracałem do domu na rowerze - było już ciemno.

„Co to za sytuacja? Czyżby Katrine też się w nim zakochała? Nie - pomyślałem, odrzuciwszy prędko tę myśl. Boże, przecież ona kocha się w tobie - powiedziałem sobie w duchu. - W tobie, bardziej niż kiedykolwiek, Jarle, daj spokój”. Uśmiechnąłem się, mknąc w dół w stronę Bjergsted. „Ona jest zakochana w tobie, Jarle, w twoim zakochaniu w Yngvem”.

Kochałem się w chłopaku. I nic sobie z tego nie robiłem.

- Helge dzwonił - przywitała mnie mama od progu. - Pokaż - drażniła się ze mną, chwytając mnie za ramię. - Masz już mięśnie?

- Ach, mam - powiedziałem. - Czego chciał Helge?

- Nie wiem.

Odłożyłem torbę i zdjąłem płaszcz.

- Mam -?

- Mm?

- Miałabyś pieniądze na fryzjera dla mnie?

Mama nie miała w tamtym czasie za dużo pieniędzy. Rozwód dużo ją kosztował, więcej niż tatę, a ponieważ wolałem mieszkać z nią, jej wydatki też były większe, nie wspominając o olbrzymim kredycie, który zaciągnęła na własny dom. Chociaż po przejściu z Amoco do West-Consult zaczęła lepiej zarabiać, i tak było jej ciężko. Pensja taty wynosiła wtedy ponad 100 000 koron więcej niż jej. Doskonale znałem sytuację finansową mamy, więc rzadko ją naciskałem. Chociaż wiedziałem też, że na niektóre rzeczy pieniądze wydawała szczególnie chętnie. Jedną z nich był mój wygląd, którego codziennie się wstydziła. Rzadko mówiła mi to wprost, ale wyraźnie sądziła, że lepiej było kiedyś, gdy byłem mały i to ona zajmowała się moimi włosami.

Mawiała, że z radością zapłaciłaby za moją wizytę u fryzjera.

- I jakbyś mogła kupić ten... no, jak to się nazywa - próbowałem brzmieć wiarygodnie.
- Ee... korektor, jak będziesz w sklepie, to byłoby fajnie.

Zbliżyła dłoń do moich włosów.

- Jarle - powiedziała. - Jarle, Jarle, Jarle. Stajesz się mężczyzną.

Matki. Mówi się, że to dzieci nie mają zahamowań, ale matki je pod tym względem prześcigają. Brak zahamowań matek jest ekstremalny, pewnie dlatego że - w przeciwieństwie do dzieci - nie kieruje nimi egoizm. Dzieci są samolubne, nic na to nie poradzą, prawdziwi z nich egoiści, w kółko powtarzający „ja”, „mi”, „moje”, „ja nie chcę” i „ja chcę”, natomiast matki są pełne poświęcenia. Matki nic nie mogą i właśnie w tym tkwi ich piękno. One po prostu muszą. Pod tym względem przypominają zakochanego, który po prostu musi znaleźć się w pobliżu obiektu swoich uczuć. Gdy dziecko się sfajda, z radością je wytrą. Gdy zaślini ich nowe ubrania, z uśmiechem powiedzą: „Dzień jak co dzień”. W większości przypadków mowa jest przecież o dorosłych ludziach z bagażem doświadczeń, którzy dość mieli w życiu czasu, by nabyć skromności i zrozumienia własnej osoby, a jednak gdy w ich świecie pojawia się dziecko, instynktownie zapominają o wszelkim opanowaniu i momentalnie stają się tymi kolosami bezwarunkowej miłości, często niezdarnymi, nierzadko wręcz głupimi, lecz zawsze prawdziwymi. Możliwe, że istnieją też zachowujący się tak mężczyźni - ojcowie - ale nigdy żadnego z nich nie spotkałem.

Może dzisiejsi mężczyźni staną się tacy jak matki, z którymi dorastałem pod koniec ubiegłego wieku? Czy ja też będę taki dla swoich dzieci? Czy zostanę potworem troski o niskim głosie oraz zaroście na twarzy i piersi, który uwielbia brzydkie zmarszczki swojego noworodka, jego zielono-brunatne stolce i falsetem oświadcza: „Patrzcie, będzie artystą, spójrzcie, co za wyczucie formy”, kiedy dwulatek chwyta kredkę i kreśli zawijas; który chwali się umiejętnościami matematycznymi swojego dziecka, kiedy trzylatek układa dwa klocki obok siebie i po kolei na nie wskazuje; który budzi się w środku nocy spocony i zląkniony, bo nagle to on, ojciec, poczuł strach o swoje dziecko? Czy to będę ja?

- To pójdę jutro się ostrzyc - powiedziałem, przyjąwszy czterysta koron. To było o wiele za dużo pieniędzy, starczyłoby mi na dwie wizyty u dobrego fryzjera, ale wziąłem je.

- Dziękuję bardzo - dodałem.

Czterysta koron. Mógłbym ostrzyc się w Café Sting, u Toma na piętrze, dość alternatywnego fryzjera, o którym tylko słyszałem, postaci znanej w mieście. Czy nie był on przypadkiem gejem? No i co z tego? Wszyscy Grecy i Egipcjanie byli homoseksualni, Tomasz Mann to ukryty gej, nie zdziwiłoby mnie, gdyby James Dean też nim był, a kto wie - skoro już o tym mowa - Marks i Engels w jednym łóżku? Czemu nie? Czterysta koron. Za

resztę kasy mógłbym kupić sobie płytę. Od dawna chciałem mieć debiutancki album The Smiths, a teraz nadarzyła się taka okazja. Miałem już pozostałe, *The Queen is dead*, *Hatful of Hollow*, *Meat is Murder*, *Rank* i *Strangeways, here we come*, ale brakowało mi debiutu. A Morrissey, wokalista The Smiths, czy on też nie był seksualnie dwuznaczny? Czy nie był homo?

Zatrzymałem strumień myśli. „Co ja w ogóle robię? Czym ty się, kurwa, zajmujesz, Jarle? To niezbyt, kurwa, mądre”.

Poszedłem do pokoju i wyjąłem pornosa. Zwałem sobie przy zdjęciach gołych kobiet obejmujących piersi, gołych kobiet w różowej, koronkowej bieliźnie, gołych kobiet o wpółotwartych ustach, waliłem z naciskiem, jakbym chciał postawić kropkę, a potem zadzwoniłem do Helgego.

- Tu Jarle, dzwoniłeś?

- A tak, nie, to nic takiego - powiedział Helge.

- Coś musiało być.

- Nieee... to... fajnie było na tenisie? - w jego głosie słyszałem pogardę.

- No, w sumie to tak - odparłem. - A jak Towarzystwo Dyskusyjne?

- Młodzieżówka Socjalistyczna skręca za bardzo w prawo, ale potem była zajebista dyskusja.

- To dobrze.

Na drugim końcu linii zapadła cisza. Zazwyczaj rozmawialiśmy bez problemów. Gadaliśmy jak najęci o dziewczynach, polityce, seksie, szkole, zespole, tych „innych”, „durnych”, ale teraz całkiem zamilkliśmy. On nie miał mi nic do powiedzenia, a ja jemu.

- Okej - odezwał się. - Pogadamy jutro.

Odłożył słuchawkę.

„Kurde - pomyślałem. - To teraz popsuje się między mną i Helgem?”

Położyłem się. Niebo wypełniły w ciągu wieczoru rosnące, gniewne chmury, wiatr i deszcz, a teraz grzmiało, dudniło i dzwoniło, przez co nie mogłem zasnąć. „Helge? Czy teraz się między nami zepsuje? Yngve? Śpisz?”

Tom z Café Sting to była postać - mężczyzna o wąskich, długich kończynach, wyglądający na dużo wyższego niż w rzeczywistości z powodu szczupłego nosa, ptasich palców, cienkiej szyi o wyraźnie zarysowanych tętnicach, zapadniętych policzków, podłużnych, niemal przezroczystych uszu. Miał własne pomysły na to, jak strzyć ludzi. Był gejem, co z dumą demonstrował. Podobał mi się. Kiedy przyszedłem do niego po szkole, od progu przedstawił się, długo uściśnął kościstą dłońią czubki moich palców, po czym

odprowadził mnie do czarnej, skórzanej sofy, stojącej pod oknami na strychu.

- Dobrze się tu siedzi - powiedział. - Tylko niebo nad nami, a ludzie pod nami.

Poprosił, abym wygodnie się usadowił, a następnie zaproponował mi papierosa i coś do picia. Uważał, że powinniśmy lepiej się poznać, nim mnie ostrzyżemy. „Ostrzyżemy”, tak powiedział. Tom miał „filozofię”, w myśl której nie mógł strzyc nieznajomych, więc jeśli miałby dobrze mnie uczesać, lepiej byłoby, gdyby więcej o mnie wiedział. Od razu zaczął mnie analizować. Po moim stroju poznał, że „nie jestem taki jak wszyscy”.

- Chodzisz własnymi ścieżkami - powiedział.

Najwyraźniej to doceniał.

- Powiedz coś o sobie - poprosił.

Nie wiedziałem, co mówić, ale opowiedziałem, kim jestem, gdzie mieszkam, jaką muzykę lubię i że interesuje mnie polityka.

- Dziewczyna? - zapytał nagle.

Spojrzałem na niego.

Tom uśmiechnął się, zapalił kolejnego papierosa i oparł się na krześle.

Patrzyłem na niego.

- Nie - odpowiedziałem.

- To znajdziesz ją, kiedy cię ostrzyżę. Bez wątplenia. Boże, przychodzi tu tylu idiotów, praca fryzjera to prawdziwa pieprzona męka, bo czy zdajesz sobie sprawę, że w tym zawodzie nie można odmawiać? Boże, mógłbym ci powiedzieć o szaleńcach mieszkających w naszym mieście, z którymi musimy dzielić życie, Jezu. Przychodzą tu kobiety wyglądające, jakby miały na głowach skrzynki pocztowe, które można otworzyć i zajrzeć do środka, a tam zupełnie pusto. Halo? Jest tam kto? Nie. Pustka. - Tom postukał w stół kłykciami. - A najgorsze, że tych głów nie można niczym napęłnić, Boże, to dołujące, walą tutaj drzwiami i oknami, jedna pusta idiotka za drugą, ale żadnej nie da się napęłnić niczym, poza ich własną pustością. Ale ty, Jarle - tak masz na imię? Ty masz styl. Musisz tylko uporządkować trochę to ptasie gniazdo - powiedział, wskazując na moją głowę. - No nie?

- Aha - przytaknąłem.

Potem wypiliśmy kawę i wypaliliśmy jeszcze po papierosie, w końcu się nam nie spieszyło, jak twierdził Tom. Przeczesał jedynie swoimi wąskimi palcami cienkie, długie włosy i mówił o psychologii. O poznawaniu ludzi. Lubilem Toma.

W końcu mnie ostrzygł. Zrobił mi niezłą fryzurę, prostą, wyraźną i klasyczną, z paroma „ładnymi detalami” przy uszach, jak to określił.

- Całkiem nowy chłopak - powiedział później. - Co?

Przejrzałem się w lustrze.

Tak było. Całkiem nowy chłopak. Moim zdaniem wyglądałem starzej. I czy nie milej zarazem? Nie łagodniej, ale silniej i milej?

Czyż nie?

Tom skasował sporo za wizytę, ale nadal stać mnie było na album The Smiths, jeśli dołożyłbym trochę własnych drobnych, więc poszedłem do sklepu płytowego Fåssen, w mojej nowej fryzurze, jako nowy Jarle, kupiłem debiut The Smiths z roku 1984 i poczułem się jak ktoś zupełnie inny. Facet za ladą, który zawsze się ze mną witał, wokalista The Mighty Dogfood, nie rozpoznał mnie. Podobało mi się to. To już nie Jarle chodzi po ulicach. Zapłaciłem za płytę, a gdy wychodziłem, zobaczyłem swoje odbicie w oknie.

Mama nie mogła wyjść z podziwu dla mojej fryzury, jej jedyne zastrzeżenie dotyczyło „tych kosmyków przy uszach”, jak to określiła, „po co one w ogóle?”.

Powiedziałem, że to detal.

- Aha - odparła.

Gdy kładłem się spać wieczorem, włączyłem The Smiths i usłyszałem śpiew Morrissey:

Hand in glove

the sun shines out of our behinds

no, it's not like any other love

this one is different - because it's us

Hand in glove

we can go wherever we please

and everything depends upon

how near you stand to me

And if the people stare

then the people stare

I really don't know and I really don't care^[14]

Leżałem z zamkniętymi oczami. Morrissey śpiewał o Yngvem i o mnie. Wyobrażałem sobie nas idących przez ulice - on i ja, trzymając się za ręce, nie martwiliśmy się niczym, bo byliśmy razem, razem, i nikt nie miał nic przeciwko temu, a ja cieszyłem się na kolejny dzień w szkole, chciałem wejść na dziedziniec, odstawić rower i zauważyć Yngvego, podejść do niego i pokazać mu swoją nową fryzurę, która by mu się spodobała, którą by skomentował, której dotknąłby swoimi długimi, cienkimi palcami.

Zasnąłem. Morrissey śpiewał, *hand in glove*, a ja zasnąłem.

Następnego dnia, w piątek, poszedłem do szkoły w nowej fryzurze i pełen radości. Stałem na dziedzińcu, próbując osłaniać grzywkę przed wiatrem i deszczem, i wypatrywałem go na każdej przerwie. „Tu jestem, Yngve, chodź, zobacz mnie”. Stałem w nowej fryzurze, jako nowy Jarle, i chciałem mu się pokazać.

Zostałem jak nigdy wcześniej zrugany przez Helgego, który uznał mój nowy styl za potworną katastrofę i oskarżył mnie o to, że zmierzam w stronę poważnego, śmiertelnie niebezpiecznego błędu, że „całkiem tracę kontrolę” i ledwie w tydzień stałem się kimś innym - i to jeszcze „jakimś jebanym debilem”.

- Co to ma, kurwa, być i jak, do ciężkiego chuja, wokalista naszej kapeli może twoim zdaniem wyglądać tak *ewidentnie pedalsko*? Co?

Pozwoliłem mu mówić. Nawet Katrine stwierdziła, że posunąłem się za daleko z tą fryzurą, chociaż doceniała próbę, którą uznała za mój kolejny nowy, dojrzały krok.

Pozwoliłem im mówić, komentować. Byłem pełen energii, wybiegałem na przerwy, wypatrując Yngvego jak dziecko, które chce pokazać nową zabawkę najlepszemu koledze z ulicy i pędzi między szeregowcami, dzwoni do drzwi, uśmiecha się, kiedy otwierają mu rodzice, i pyta, czy kolega jest w domu, bo musi mu właśnie coś pokazać, nową, fajną rzecz, lśniący pistolet-zabawkę, który właśnie dostał. Zobacz, czy nie jest piękny?

Przyjdiesz zaraz?

„Gdzie się podział? Czy pojawi się lada chwila? Czyżby na każdą przerwę zostawał w środku? Czy nie uda mi się mu pokazać?”

Yngvego nie było w szkole.

Nic w tym dziwnego, przecież ludzie czasem chorują, ale dlaczego nie przyszedł właśnie teraz, kiedy zrobiłem dla niego to wszystko, przecież dopiero zaczął chodzić do naszej szkoły?

- Matka cię na to namówiła? - zapytał Helge między piątą a szóstą lekcją.

- Wątpię. - Katrine zaczęła mnie bronić. - Jarle potrafi decydować za siebie.

Nie byłem w stanie z nimi rozmawiać. Pod koniec dnia zrozumiałem, że Yngve nie przyjdzie. Ogarnął mnie smutek. Rozczarowanie. Czułem ból ciała, całego siebie. Bo Yngve nie mógł mnie zobaczyć. „Co było ważniejsze - pomyślałem zgodnie z moją logiką zakochania - od bycia tutaj? Co, Yngve? Co mogło być ważniejsze od przyjscia tutaj i zobaczenia mnie? Przecież tu jestem? Chyba nie możesz być aż tak chory? Kurde, gdzie jesteś, Yngve, przecież mamy weekend, czy nie zobaczę cię do poniedziałku? Przecież jestem tu tylko dla ciebie. Dla ciebie się zmieniłem”.

^[14] Ręka w rękę / Słońce igra na naszych pośladkach / Nie, to nie jest taka zwykła miłość / Ta jest inna - ponieważ tu chodzi o nas // Ręka w rękę / Możemy iść, dokąd nam się zamarzy / I wszystko zależy od tego / Jak blisko jesteś przy mnie // A jeśli ludzie się gapią / Niech się gapią / Ja o tym nie wiem i naprawdę mnie to nie obchodzi [przyp. red.].

Słuchać z tatą w niedzielę wiadomości sportowych w radiu

and then I see a darkness

did you know how much I love you?

Bonnie „Prince” Billy

W tamten piątek wróciłem do domu niczym płuco, z którego uszło powietrze. Kolejny piątek w domu, znów będę się wykręcał od imprezowania z Helgem i Katrine, ale tym razem nie z powodu jasnych planów na spotkanie z Yngvem, ale ponieważ mam złamane serce. Tak bardzo nakręciłem się po wizycie u fryzjera, tak się cieszyłem, że mu się pokażę, po odwiedzinach w jego domu, po wspólnym treningu, prysznicu i wstrzymywaniu oddechu, że nie umiałem poradzić sobie z tym, że się nie zjawiał. Czulem, jakbym już nigdy nie miał go zobaczyć. Jakby nie żył. W mojej owładniętej paranoją zakochania głowie zaczęły kłębić się podejrzliwe myśli: „Czy to moja wina? Może ma mnie dość? Czy mnie unika? Czy wszystko pojąłeś, Yngve, a teraz siedzisz wkurzony na tego kolesia, który w zeszłą sobotę położył rękę na twoim udzie?”.

Przesadzałem, to jasne, ale dla mnie ta przesada zdawała się całkiem realna. Przez ostatnie dni poruszałem się tak bardzo na oślep, że nie potrafiłem poradzić sobie z nagłym ciosem. Jakby ktoś 24 grudnia rano poinformował sześciolatka o odwołaniu wigilii.

Wolałem zostać w domu. I mieliśmy też niespodziewane odwiedziny.

- Jesteś chory? - zapytała mama po obiedzie.

- Nie - odpowiedziałem krótko.

- Jesteś taki blady.

- Mamo, nie marudź - powiedziałem. - Nic mi nie jest, okej?

- To może zjesz więcej? Zostało jeszcze spaghetti - dodała i chciała podać mi garnek.

- Poczęstuję się, jeśli będę chciał.

- Jesteś dziś zły - stwierdziła. - A taki byłeś wesoły i...

Wstałem. Nie potrafiłem siedzieć i jej słuchać, nie dziś, nie teraz. Wyszedłem na korytarz i wspiąłem się po schodach.

- Jarle! - usłyszałem mamę. - Jarle, nie chciałam cię urazić.

Wchodząc po schodach na piętro, czułem, jak staję się na powrót nastolatkiem, od którego próbowałem się uwolnić, idiotą, który nawet nie potrafi zjeść z matką obiadu bez strojenia fochów, który nie umie wysłuchać jej słów, bez względu na to, jak byłyby zwyczajne czy przyjazne. Nie cierpiałem tego i nienawidziłem siebie samego, kładąc się na łóżku, nienawidziłem się za bycie takim stereotypowym nastolatkiem.

Mama się nie poddała. Trzy kwadranse później, gdy nadal leżałem z twarzą zwróconą do ściany jak czternastoletnia, pryszczata i nieprzyjaźniąca się z nikim dziewczynka podczas okresu, zapukała do drzwi i wetknęła głowę do pokoju. Przyniosła herbatę i mleczną czekoladę.

Nic nie powiedziała. Tylko pogładziła mnie po włosach. Gdyby coś powiedziała, zagotowałyby się we mnie. Ale nie powiedziała ani słowa. Zadziałało. Mama jest dobra.

Kiedy miała już iść, odwróciłem się.

- Mamo?

Zatrzymała się.

- Tak?

- Mogę ci o czymś powiedzieć?

Mama podeszła znów do mojego łóżka. Usiadłem.

- Jasne, że możesz.

- Pewnie będziesz zła albo... może nie zła, może będzie ci smutno, czy... - wyjąkałem.

- Nie wiem, może cię zranię, gdy to powiem.

- Aha - powiedziała mama. - Ale myślę, że i tak powinieneś to powiedzieć.

- Chyba jestem zakochany - wyrzuciłem z siebie.

- Tak, wiem - odparła.

- Tak, ale w dwóch osobach.

Mama usiadła. Unikałem jej spojrzenia.

- Da się tak? - zapytałem. - Albo, to znaczy, co mam z tym zrobić?

- W Katrine i... w kimś innym? - chciała wiedzieć mama.

Skinąłem głową. Widziałem, jak zacisnęła usta.

- Nie wiem za dużo o takich sprawach - powiedziała. - Ale wiem, że zakochanie to jedno, a miłość to co innego, więc moim zdaniem powinieneś poczekać i zobaczyć. Nie rób nic pochopnie.

- Tak - zgodziłem się. - To mądre.

Mama zmierzwiła mi włosy.

- To dlatego się ostrzygłeś.

Zaczerwieniłem się.

- Ona też gra w tenisa?

- Kto?

- Dziewczyna, w której jesteś zakochany?

- A, ona... Nieee, w tenisa gramy z Katrine z jednym chłopakiem ze szkoły. Nie, tenis to co innego.

Mama skinęła głową.

- Nie jesteś na mnie zła? - zapytałem.

Spojrzała na mnie.

- Nie. Nie można się złościć na zakochanych. Mogę pomyśleć, że robisz coś głupiego, jeśli... ale ja - mama sama się powstrzymała.

- Co?

- Ja... nie możesz pytać mnie o takie rzeczy, Jarle. Za mało o nich wiem.

Mama wyszła. Gdy słuchałem, jak schodzi po schodach, zdałem sobie sprawę, że zachowałem się bezmyślnie, że mimo wszystko ją zraniłem, ale inaczej niż myślałem. Obawiałem się, że się zezłości, bo postawiłem znak zapytania przy moim związku z Katrine, ale nie pomyślałem, że mogę ją urazić samą rozmową, nie uderzyło mnie, że mamę mogło to zboleć z prostego, głupiego powodu, że jej własne życie uczuciowe ograniczało się do małego, tchórzliwego człowieczka, który był moim ojcem, a ja, w wieku siedemnastu lat, miałem tyle samo związków, co moja 45-letnia matka, która przez lata męczyła się z uzależnionym od alkoholu, emocjonalnym, żalonym i agresywnym mężczyzną, zagubionym człowieczkiem, który nie potrafił odpowiednio jej traktować.

„Boże - pomyślałem. - Ale z ciebie idiota, Jarle”. *Za mało o tym wiem* - powiedziała. Co mogłem na to rzec? Cóż, mogłem stwierdzić, że pytam o to ciebie, mamó, bo nie znam nikogo, kto miałby w sobie więcej miłości.

Zszedłem do niej.

Czy się pomyliłem?

Siedziała w zielonym fotelu, oglądając Derricka. Wyglądała zupełnie zwyczajnie. Na pewno się pomyliłem. „Chyba nie mogłem jej urazić” - pomyślałem.

- Wychodzisz? - zapytała.

- Tak, pojedę może do Helgego, jeśli go zastanę, jest dopiero wpół do dziesiątej, może zdążymy obejrzeć film czy coś.

- Dobrze - odpowiedziała mama. - Nie możesz co weekend siedzieć w domu z matką,

to za dużo.

- Mamo - zacząłem. - Nie zrobię nic głupiego. Dzięki za pomoc.

Uśmiechnęła się.

Wyszedłem na korytarz, żeby zadzwonić do Helgego.

Podniosłem słuchawkę.

Wtedy się to stało.

Telefon mamy stoi na małym stoliku w przedpokoju, tuż przy drzwiach wejściowych.

A obok nich jest wąskie okienko sięgające aż do sufitu.

Stałem ze słuchawką w dłoni i miałem właśnie wybrać numer. Byłem zżawszy niż wcześniej tego dnia. Pomyślałem, że już czas uporządkować sprawy z Helgem i zespołem.

Wtedy w moim ciele zjawilo się nieprzyjemne uczucie, ścisnęło mnie w żołądku, jakby ktoś na mnie patrzył. Odwróciłem się do drzwi.

W oknie zobaczyłem twarz.

Wystraszyłem się. Twarz miała usta, nos i duże, wpatrzone we mnie oczy.

To był tata. Tam w ciemności.

Ciało drgnęło, stałem całkiem sparaliżowany i roztrzęsiony, widząc przed sobą twarz taty. Nie wiem, ile to trwało, ale byłem śmiertelnie przerażony, stałem się małym, przerażonym chłopcem.

- Jarle? - zawołała mama z salonu.

Zobaczyłem, jak klamka opada w dół.

- Jarle? Jesteś tam? - wołała mama.

Drzałem, a ręka po drugiej stronie drzwi naciskała klamkę.

- Co jest, Jarle? - Głos mamy się zbliżył.

Drzwi się otworzyły.

- Jarle? - Mama szła właśnie do przedpokoju.

Tata wtoczył się do środka, a mama wyszła na korytarz. Wycofała się, gdy tylko go zobaczyła, wydała z siebie cichy krzyk i wyciągnęła przed siebie ręce. Nie umiała sobie z tym poradzić, a ja nie byłem mężczyzną na tyle, by jej pomóc.

Tata wtoczył się do domu, mój ojciec, którego odwiedzałem w weekendy w kontrolowanych okolicznościach, były mąż mamy, którego nie widziała od dawna, od koszmarne go rozvodu poprzedzonego wzajemnym skakaniem sobie do gardeł, człowiek, który zdeptał jej życie i zadał jej tyle bólu, człowiek, którego nienawidziła, w którym niegdyś była zakochana, z którym mnie spłodziła, którego się bała i który absolutnie nie powinien być tutaj, u nas. Nie żyliśmy we trójkę i nigdy nie mieliśmy już tak żyć.

Gdyby chociaż był trzeźwy, ale oczywiście nie był, nie odważył się pojawić u nas na trzeźwo, nie, był pijany, a po pijaku stawał się zupełnie nieobliczalny, mógł być ucieleśnieniem radości, zabawy i dowcipu, ale potrafił też uosabiać gniew, agresję i przemoc, a zmieniało się to u niego prędko.

- Jarle! Sara!

Jego oczy błyszcząły. Zaszklone, dumne i pewne siebie, zażawione i czerwone na brzegach, twarz zdobił mu klasyczny pijacki uśmiech spuchniętych, krwistych, wilgotnych ust. Jego odurzenie jeszcze narastało, nadal był królem wieczoru. Uśmiechnął się szeroko i uściśnął mnie.

- Tak, tak! Nadszedł czas zobaczyć, jak się macie, co, Jarle? Co? - Spojrzał na mamę, która zamarła na dywanie tuż przed drzwiami do salonu. - Co, Saro, moja panno? No, teraz będzie nam miło. Chyba mnie zaprosicie do środka?

Tata opadł ciężko na krzesło w przedpokoju i zaczął zdejmować buty.

- Terje - wyjąkała mama. - Musisz wyjść, musisz...

- Nie, kurwa. - Tata podniósł głos, trzymając but w ręce, którą wymachiwał w stronę mamy. - Nie widziałem cię, kurwa, od dwóch lat, a chłopak przestał mnie odwiedzać. I chcesz mnie jeszcze raz wyrzucić? No dalej, teraz będziemy znowu rodziną, co?

Tata zrzucił z siebie drugi but i wywrócił na drugą stronę granatową marynarkę, którą mi oddał. Wziąłem ją w milczeniu. Byłem przecież jego małym synkiem, nie potrafiłem nic zrobić.

Mama wycofała się do salonu, gdy tata do niej podszedł. Szedłem za nimi sparalizowany, z jego marynarką w rękach.

- Tak - powiedział i się rozejrzał. - Ładnie się urządziłaś, no proszę, żona daje sobie sama radę, to dobrze.

- Terje, musisz iść - powtórzyła mama. Głos miała słaby i cichy, chociaż wiem, że starała się brzmieć surowo i władczo, zdobyć nad nim przewagę, tak jak robiła to w latach wojny przed rozwodem.

Nagle do niej podszedł. Widziałem, że zmienił wyraz twarzy, i poczułem drżenie rąk zaciśniętych na marynarce.

Tata należał do osób, które potrafią zabić otoczenie miną - kiedy się uśmiechają, mają w oczach iskry, a cały świat odwzajemnia ich uśmiech i zdaje się bezpieczny. Kiedy są źli, ich mięśnie twarzy napinają się, szczęki się zaciskają, oczy nabierają zimnego, surowego wyrazu, a świat się boi. Teraz ojciec zmienił się w mgnieniu oka, niczym zwierzę, pijane zwierzę, i zbliżył się do mamy. Czułem, jak drżą mi kąciki ust, byłem wściekły i

przestraszony zarazem, gdy usłyszałem głos taty:

- Saro, jestem już tym cholernie zmęczony. Już dość. Rozumiesz?

Dlaczego żadne z nas nie zareagowało?

Tata położył rękę na ramieniu mamy, która odsunęła się pod jego dotykiem. Nie mogła tego znieść. Najpierw wiele lat zabrało jej zbrojenie przed wielką wojną z tatą, którą w jakiś sposób wygrała dzięki pomocy dziecięcego żołnierza imieniem Jarle oraz sprzymierzonej z nią Ragnhild, później sporo czasu zajęło jej odbudowanie swojej tożsamości jako *Sary Klepp*, a nie *Sary Orheim*, jak nazywała się, gdy była żoną taty. Brała w pracy nadgodziny, chodziła na kurs wieczorowy, ponieważ zażyczył sobie tego jej nowy szef, nauczyła się obsługi komputera, oszczędzała, wzięła pożyczkę przy bardzo wysokim oprocentowaniu, kupiła dom, kiedy ceny nieruchomości sięgały zenitu, i zajęła się mną, zaczęła żyć własnym życiem.

A teraz zjawił się tata, chwycił jej ramię i w ciągu kilku sekund musiała się wycofać, bunt został stłumiony, wróciliśmy do roku 1984, zanim wybuchła wojna, kiedy twierdza należała jeszcze do taty. Stałem kilka metrów od nich i znów miałem dwanaście lat, w małych dłoniach trzymałem marynarkę, przeraźliwie bojąc się własnego ojca, a przez głowę, przez ciało przemknęło całe moje dzieciństwo. Pociłem się, bolał mnie brzuch, w tamtym miejscu i chwili byłem pewien, że ostatnie lata to tylko owoc mojej fantazji, że wymyśliłem je, by uratować siebie, że wszystko to wyśniona rzeczywistość - mama nie rozwiodła się z tatą, ja nie zacząłem przejmować nad nim kontroli dzięki uregulowanym weekendom, podczas których on, mądry po szkodzie, zgodnie z umową poprawnie zachowywał się wobec syna, nie zaczęliśmy z mamą dobrego życia w domu w Bjergsted, nie miałem dziewczyny, nie założyłem zespołu, nie chodziłem do Kongsgård, nie uprawiałem seksu, nie przebrnąłem przez pierwsze sto stron *Kapitału* Marksa, nie byłem z Helgem w Oslo na koncercie R.E.M. Byłem małym chłopcem mieszkającym z rodzicami, którzy nie dogadują się ze sobą, z tatą pijącym od czwartej w piątek do ósmej w niedzielę, z tatą kameleonem, który jednego dnia potrafił być najlepszym ojcem świata, a drugiego stawał się zły, z mamą, która wiedła w oczach, dawała się zastraszyć, a parę razy w roku pobić, która z rzadka zbierała się na odwagę i wyciągała butelki Smirnoffa z pomysłowych kryjówek taty, po czym wylewała je na dywan, kiedy on był tak pijany, że nie potrafił wypowiedzieć jej imienia czy stanąć prosto - ale co to dawało? Po pijaku nie był straszny ani groźny, tylko mały, żaloszny i wystraszony.

Wtedy nagle się zmienił. Nadal trzymał dłoń na ramieniu mamy i kalkulował tak dobrze, jak potrafią tylko ludzie w stanie rosnącego upojenia. To nieprawda, że pijani tracą kontrolę. Przepelniają ich nadnaturalne, złe siły, nabierają zaawansowanej fantazji, są w

stanie manewrować prędzej niż kiedykolwiek, znakomicie kontrolując otoczenie, nieprawdą jest również, że stają się oteźpiali czy sparaliżowani - dzieje się tak dopiero, gdy upiją się do nieprzytomności. Jednak podczas rosnącego odurzenia są bardziej wyczuleni, ich zmysły się wyostraszają, wzrasta kreatywność i przebiegłość, a rozwaga, wstydlivość i samoopanowanie ulatniają się, zastapione przez zwierzęce zdolności, z którymi ludzie zwykle nie miewają kontaktu, dowcip im się wyostrza i stają się wyjątkowo skuteczni, potrafią też „balansować wykałaczką na łoniaku”, jak powiedział raz tata, kiedy miałem dziesięć lat. Siedział na kanapie w sobotni wieczór, właśnie zjedliśmy kotlety. Mama sprzątnęła ze stołu i szła do kuchni. Tata chwycił wykałaczkę i pochylił się do mnie.

- Jedno, czego musisz się nauczyć, to balansować wykałaczką na łoniaku - szepnął. - Wtedy będziesz mieć kontrolę.

Mama wróciła z kuchni, a tata uśmiechnął się do mnie tajemniczo, patrząc na nią.

- Co, Saro? Prawda, że musi? - Skinął do mnie głową i jak zwykle mlasnął językiem w policzek.

- Mhm - przytaknęła krótko mama, nie usłyszawszy, co powiedział, gdyż zawsze odpowiadała o tej porze w sobotnie wieczory jak najoszczędniej, wiedząc, że wdawanie się w jakikolwiek dialog jest zbyt ryzykowne.

- Tak, tak - powiedział. - Było nam dobrze, co, Saro? - Tata znów pochylił się do mnie. - Nie sądzisz, że było nam dobrze, kiedy cię zrobiliśmy?

A teraz stał przede mną, miałem na powrót dwanaście lat i życie przeze mnie przelatywało, znów wypełniało mnie wszystko, o czym próbowałem zapomnieć. Właśnie wtedy się zmienił. Napiąwszy mięśnie twarzy i przeraziwszy na śmierć mamę i mnie, uśmiechnął się szeroko, po czym usiadł w zielonym fotelu mamy. Pogładził podłokietniki i wypuścił powietrze.

Dwunastolatek we mnie pękł, zabrakło mu tchu. Tata nie powinien tu siedzieć. To fotel mamy. Kupiła go sama, za własne pieniądze, i tata nie powinien w nim siedzieć. Wypuściłem granatową marynarkę, prędko podszedłem do taty i stanąłem przed nim, zimny jak lód.

- Wstawaj - rozkazałem.

- Jarle! - Tata się uśmiechnął. - Tak wygodnie mi się siedzi. Raczej ty spoczniej.

- Wstań, nie wolno ci tu siedzieć.

Przez chwilę tata wyglądał na zmieszanego, ale zachował spokój.

Ściszyłem głos.

- Tato, daję ci teraz szansę - powiedziałem chłodno i spokojnie.

- Jarle... - Usłyszałem głos mamy za sobą, ale nie zwróciłem na nią uwagi.

- Co to, znowu wojna? - zapytał tata i wyprostował się w fotelu. - Jarle, przestań już, chciałem przecież tylko wpaść i zobaczyć, jak się macie. Jestem przecież twoim ojcem, a to twoja matka, i przecież... Kurwa!

- Jesteś największym tchórzem, jakiego znam - powiedziałem. - Wiesz? Jesteś takim pieprzonym tchórzem, że powinieneś trafić do encyklopedii. Zdajesz sobie sprawę? Daję ci teraz szansę, jeżeli w ogóle planujesz mnie jeszcze zobaczyć, to teraz stąd wyjdiesz. Okej? A jeśli jeszcze raz zbliżysz się do domu mamy, to koniec. Wtedy przestanę mieć ojca. Rozumiesz?

Tata się wściekł.

Miał trzy opcje do wyboru, trzy możliwości reakcji, do których mógł się uciec. Zналиśmy z mamą je wszystkie. Tata korzystał z nich, kiedy parę lat wcześniej co tydzień odbywaliśmy takie seanse jak ten - i każdej się poddawaliśmy. Mógł wybuchnąć płaczem, udać zranionego i sponiewieranego, bełkotać i szlochać, aż smarki pociekną mu z nosa. W ten sposób próbował wzbudzić litość i uzyskać pocieszenie. Grał w przyznanie się do winy, zrozumienie popełnionych błędów, obietnicę poprawy, zmianę sytuacji, żal za grzechy. Drugim rozwiązaniem było podniesienie rękawicy, ostry kontratak, odparcie oskarżeń własnymi oskarżeniami, a po pijaku ojciec stawał się wyśmienitym mówcą, mógł wtedy paść grad obelg, o tym jak cholernie chciała mama w łóżku, jak nie potrafi pojąć, że z nią tyle wytrzymał, jak ja, jego syn, go rozczarowałem, jak śmieszni są rodzice mamy, a ona powinna się cieszyć, że go poznała i dzięki temu jej życie nabrało nieco sensu. Trzecia możliwość, którą teraz wybrał, polegała na niemej wściekłości, mroźnym spojrzeniu, powstrzymaniu się od mrugania, zaciśnięciu zębów i okazaniu całkowitej pogardy bez jakichkolwiek pochopnych działań. Był to manewr pt. „pogadamy o tym później”. W ten sposób ratował swoją skórę, przyjmując rolę ofiary, ale nadal mógł nam grozić, korzystając z klasycznego otwartego zakończenia. Poza tym był bezpieczny - nie mogliśmy powiedzieć, że się nie poddał, wręcz przeciwnie, musieliśmy przyznać, że zrobił to, czego chcieliśmy.

Tata nie powiedział ani słowa.

Nagle zaczął wyglądać trzeźwo, oczy mu wyschły, a usta przybrały miły wyraz. Spojrzał na mamę, skinął krótko głową i przymrużył oczy. Następnie zerknął na mnie wzrokiem mówiącym: „Jesteś niewdzięczny, Jarle, wiesz? Jesteś niewdzięczny, chociaż o tyłu, kurwa, rzeczach nie masz zielonego pojęcia, ale ci to wybaczam”.

Wstał.

Czy jeszcze raz się zmieni?

Schylił się i podniósł marynarkę.

Wtedy mama zrobiła to, czego nigdy nie powinna była robić.

- Terje... - odezwała się, a po jej głosie słyszałem, że żałuje tego, co się stało. Oczywiście nie chciała oddawać mu przewagi, nie chciała wręczać mu bukietu kwiatów, wręcz przeciwnie, była tak samo wściekła, tak samo przestraszona i zniszczona, ale właśnie to zrobiła - wręczyła mu bukiet z przeprosinami.

Tata popatrzył na nią, zatrzymał ją wzrokiem i nic nie powiedział.

Ale przyjął go.

Poszedł w stronę wyjścia.

Stałem przed fotelem, czując gotującą się we mnie wściekłość. Ma stąd tak po prostu wyjść? Zostawić mamę i mnie w salonie niczym roztapiające się bałwany, by móc dalej spędzać ten styczniowy wieczór? Wrócić do tego, co właśnie robił, zamówić parę drinków w Cobre, czy gdzie tam zamierzał pójść, poznać przy barze kobiety, którym mógł powiedzieć, jak do dupy jest być mężem, mieć syna, który nie umie przyjąć ojcowskiej miłości, syna kupionego przez tę pizdę, która kiedyś była jego żoną, tak, mógł powiedzieć, tak właśnie, odwiedziłem ich dzisiaj, zobaczyłem żonę pierwszy raz od półtora roku, tak, jesteśmy rozwiedzeni, ale kurwa, przecież to moja żona, to dla niej straciłem dwadzieścia lat życia, to z nią mam tego dzieciaka, zapłaciłem, kurwa, za wszystko, co teraz ma, tak, pojechałem do nich, a ona dobrze sobie radzi, pojmujesz, zdołała złożyć do kupy wielką w chuj chatę, a twierdziła, że zrujnowałem ją podziałem domu, rzeczy i długów, ale kupiła sobie chałupę i auto, jeździ teraz drogim oplem, pojmujesz? - powiedziałaby kobiecie przy barze, kupując jej gin z tonikiem i zastanawiając się, czy przeleci ją u siebie, czy u niej. - Pojmujesz, że nie mogę ich nawet, kurwa, odwiedzić? Co? Czy to jest dorosłe zachowanie?

Tata włożył buty i kurtkę, po czym otworzył drzwi wejściowe.

Ma stąd tak po prostu wyjść?

Wściekły pobiegłem za nim.

Odwrócił się do mnie.

- To przyjdiesz za dwa tygodnie?

- Ja... tak - odpowiedziałem.

Kipiało we mnie, ale się zgodziłem, bo wiedziałem, że tak właśnie będzie - za parę tygodni do niego pojedę, zostanę na noc i będziemy udawać, że nic się nie stało, tata się do mnie dostosuje, będę mógł robić, co chcę, i dostanę za pobyt u niego sporo kasy. Tak właśnie będzie. Jakby nic się nie stało. Podczas gdy moi kumple musieli dorabiać, żeby mieć za co pić, kupować tytoń, książki i płyty, ja „pracowałem” u taty. Zawsze wracałem od niego

bogatszy o parę tysięcy koron. Pamiętam, że wyliczałem sobie godzinówkę. Kiedy przyjeżdżałem do niego w piątek wieczór, około dziewiętnastej, do pójścia spać miały trzy godziny pracy. Później w sobotę odpracowywałem siedem godzin, najczęściej w dzień, robiąc coś beznadziejnego razem z tatą. A w niedzielę pracowałem cztery, maksymalnie pięć godzin, nim odwoził mnie do miasta i wysadzał koło hotelu Atlantic. Łącznie koło czternastu godzin. Dwa tysiące podzielone na czternaście. Całkiem niezła godzinówka.

Poczułem drżenie warg, a chciałem jedynie go przytulić.

Tata wyszedł na wiatr.

Mama siedziała w zielonym fotelu w salonie. Usiadłem na kanapie obok. Cóż mogliśmy powiedzieć? Mama westchnęła.

- Kiedyś chyba musiało to nastąpić - stwierdziła. - Wiedziałam, że to nastąpi. On zawsze przychodzi, obojętnie, gdzie jestem.

- Tak - powiedziałem.

- Ale jak to jest podczas wizyt u niego? - zapytała.

- Po prostu... trochę nudno. Wtedy to jakby nie tata.

- Hm.

- Nie ma o czym gadać.

- Hm.

- Ale to tata był tu teraz - powiedziałem.

Mama wstała, poszła do kuchni i wstawiła kawę.

- Był tutaj jeszcze kiedyś - zawołałem.

Wróciła.

- Co?

- Był tu wcześniej - powtórzyłem.

- Naprawdę? - Mama spojrzała na mnie zaskoczona.

- Tak, tuż po naszej przeprowadzce. Nie poszedłem z jakiegoś powodu do szkoły, a ty byłaś w pracy. Siedziałem tu w salonie i puszczałem płyty, byłem chory, tak... W każdym razie słuchałem tu płyt, stanąłem przy oknie i nagle zobaczyłem tatę.

- Tutaj?

- Tak, na zewnątrz. Stał tuż pod oknem od strony ulicy i patrzył na dom. Padłem na podłogę, schowałem się pod parapetem w nadziei, że mnie nie zobaczy. Byłem przerażony. To było zaraz po rozwodzie, więc...

- Zobaczył cię? - zapytała mama.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie sądzę.

- To czego chciał?

- Nie wiem. Przypuszczam, że chciał tylko... no, może zobaczyć dom. Zobaczyć, gdzie mieszkasz.

Mama przyniosła kawę. Wybiła jedenasta.

- Wychodzisz? Dzwonisz do Helgego? - zapytała z kuchni.

- Nie - odparłem. - Nie dam rady.

Pomyślałem o Katrine. Nagle wyrzuciłem z myśli Yngvego, chciałem jedynie położyć się na kolanach Katrine. Zadzwoiłem do niej. Powiedziałem, że trochę źle się czuję i dlatego zostałem w domu, że strasznie ją kocham, bardziej niż cokolwiek na świecie, i że chcę się z nią zobaczyć.

- Teraz? Jest trochę późno...

- To może jutro? - spytałem.

Słyszałem, że się uśmiecha.

- Dobra, rodzice jutro wyjeżdżają.

Od czasu do czasu pisałem w tamtym okresie pamiętnik. Właśnie przejrzałem wpisy ze stycznia 1990 roku. Pisałem tego wieczoru, ale niewiele o wizycie taty, odnotowałem jedynie, że był u nas i że „było fatalnie, mama chyba źle to zniosła”. Potem napisałem o tęsknocie za Katrine. Ale kilka dni później zanotowałem sen, który miałem w tamten weekend, a o którym z początku zapomniałem. Zapisałem: „Dziś nad ranem śnił mi się tata. Takie to groteskowe, że prawie nie potrafię tego spisać. Był to sen z cyklu «Jarle wraca z miasta w sobotnie przedpołudnie». Taki miałem parę lat temu zwyczaj - w soboty jeździłem zawsze z Helgem do miasta kupować płyty, dzięki temu nie musiałem siedzieć w domu. Mój sen nieco przypominał dzień, kiedy wróciłem do domu, a oni prawie się pozabijali, awanturowali się, a w sobotnie przedpołudnie pijany tata spadł ze schodów. We śnie wróciłem do domu i zbliżał się właśnie kryzys, tata wyglądał bardzo groźnie (ale czy był pijany? nie jestem pewien), a ja się wściekłem, zezłościłem na maksa, wziąłem chyba nożyczki i wyciąłem okno w drzwiach wejściowych, po prostu wyciąłem je niebieskimi nożyczkami mamy. Potem we śnie są przerwy, ale nieco później pamiętam scenę, jak gonię z mamą tatę, biegniemy za nim wokół stołu w salonie, a ja krzyczę coś w stylu: «Teraz masz wejść!», łapiemy go, a ja mam zadzwonić do kogoś, kto go weźmie i odwiezie. Siedzę z mamą nad książką telefoniczną, ale nie możemy znaleźć żadnego numeru, nawet na policję, jakby wszystkie zniknęły, za każdym razem gdy mama wskazuje numer, on znika, a my tylko wertujemy książkę, lecz wszystkie numery uciekają nam sprzed oczu w chwili, gdy mamy je odczytać, wreszcie biegnę po pomoc do sąsiada. Nie pamiętam dokładnie, w jaki sposób nam

pomógł ani gdzie położyliśmy tatę, żeby przekartkować książkę, mam jednak wrażenie, że wróciłem ze strzelbą w rękach. Widzę mamę i tatę. W łazience po prawej we wiatrołapie. Tata jest goły, chyba kłęczą w wysokiej wannie, woda tryska i cieknie wszędzie, a tata płacze. Wtedy zauważam, co się stało. Mama przeprowadziła na nim swego rodzaju amputację. Tata nie ma już palców i dłoni. Trzyma przed sobą płachtę skóry niczym o wiele za duży sweter, a z końców przedramion krew kapie na mokrą podłogę w łazience, zabarwiając ją na czerwono. Wtedy podnosi stopę. To samo. Tata stał się malutki. Prawie jak karzeł. W miejscu stopy zwisają jedynie strzępy skóry, bo mama ją odcięła. Tata płacze i mówi coś jakby «pomocy», ale jest za późno. Mama... nie wiem dokładnie, co zrobiła. To nie był chyba jej tryumf. Dziwne - pamiętam nagie ciało taty ze snu. Wyglądało dość poprawnie, co przywodzi mi na myśl niedziele, kiedy byłem mały i kładliśmy się razem wcześniej, żeby słuchać wiadomości sportowych w radiu. Lubiłem wtedy przy nim leżeć”.

Jesteś socjalistą?

niewiele trzeba było, by mnie namówić

do walki z jakąkolwiek tyranią

Che Guevara

To był niesamowicie dobry dzień.

Miewasz czasem w życiu takie dni, które zdają się skończone, od chwili przebudzenia aż do momentu, kiedy wieczorem kładziesz się spać?

24 lutego 1988 roku. To mój dobry dzień.

Co takiego dzieje się, gdy zyskujesz przyjaciela? Czy to samo, co gdy się zakochujesz, jak ja w Yngvem, a wcześniej w Katrine, Hilde, Marianne, Irene, później też w Lene, tylko po prostu wybierasz przyjaźń, a nie zakochanie? Czyż tak właśnie jest? Czyż pierwsze dni i tygodnie przyjaźni nie mają cech wspólnych z zakochaniem?

Owszem, tak jest: musisz spotkać się z daną osobą, ale nie traktujesz swojego stanu jak zakochania, chociaż to właśnie ono; tak samo jak zakochaniem jest to, kiedy nagle zaczynasz jeść tuńczyka, którego nigdy nie lubieś, kiedy czytasz Balzaka przez osiem miesięcy z rzędu, aż pochłoniesz już wszystko, co przetłumaczono na twój ojczysty język, i musisz kupować angielskie wydania na *amazon.com*. Małe zakochania są wszędzie, to z ich powodu robimy to, co robimy.

Helge chodził do równoległej klasy w gimnazjum Gosen. Nosił długie włosy, zanim inni zdążyli je zapuścić, zaczął palić wcześniej niż inni i olewał wszystko, zanim inni nauczyli się to robić. Podejrzany koleś - twierdzili wszyscy moi znajomi, wątpliwy element - mówili mama z tatą, wiedząc, kim są jego rodzice. Radykałowie - powiedział tata, dając mi do zrozumienia, że *od Ombów masz się trzymać z daleka, to banda socjalistów, chcą zburzyć wszystko, co my zbudowaliśmy, niewdzięcznicy, podżegacze*.

24 lutego 1988 roku pojechaliśmy na szkolną wycieczkę. Mieliśmy wędrować po Jæren. Byłem, delikatnie mówiąc, negatywnie nastawiony do tej *pieszej wycieczki* i nie omieszkałem poinformować o swoim stanowisku wszystkich bliskich, zarówno w domu, jak i

w szkole. Walczyłem z nauczycielem, próbowałem podjąć tę kwestię podczas rady uczniowskiej, twierdziłem bowiem, że szkolne wycieczki słabo wykorzystują środki uczniów, a co dopiero państwa, że trzeba mieć prawo wyboru, że jest to tylko wybieg nauczycieli uwielbiających piesze wędrówki, darmowy dzień wolny, do którego nikt nie ma prawa, oraz że brodzenie wśród wrzosów i mchów Jæren nie ma nic wspólnego ze zdobywaniem wiedzy. Przedstawiłem propozycję, aby chętni mogli zostać w szkole i się uczyć - a co jeśli ktoś nie posiada odpowiednich butów? Czy ma je kupić ze względu na tę jedną wycieczkę, która będzie też ostatnią w jego życiu?

I co?

Z moich protestów nic nie wynikło. Wycieczka się odbyła. Wyjechały trzy klasy. Demonstracyjnie ubrałem się w jak najbardziej miejskie ciuchy, wziąłem ze sobą walkmana, którego słuchałem przez całą drogę, i nie zabrałem drugiego śniadania. Cały czas byłem przeciw. Inni w klasie śmiali się, kręcili głowami, a nauczyciele przewracali oczyma. Dzięki temu projekt się powiódł - im głupszy ich zdaniem był Jarle, tym lepiej się czuł, przez co znienawidzona piesza wycieczka po Jæren stała się dla mnie osobistym tryumfem i na swój własny, marudny sposób, cieszyłem się na ten wyjazd.

Na Górnym Jæren sprzeciwiłem się czarownej przyrodzie i zamieniałem każdą boską chmurę, każdy oślepiąco piękny kamień i każdą gwizdzącą czaplę w groteskowe elementy natury. Nie jest to taki trudny manewr - trzeba tylko z plusa zrobić minus. Jeśli coś imponuje swą urodą, wystarczy jedynie przeinaczyć ocenę, by w efekcie rzecz stała się odpychająca. Szedłem na końcu, mocno depcząc mech, stąpałem po wrzosach i opóźniałem przemarsz, jak tylko potrafiłem. W moim walkmanie tkwiła kasetka z The Jesus and Mary Chain na stronie A i z The Banshees na stronie B, chciałem, by depresyjny rock zamalował Jæren swoimi akordami molowymi i mętłym brzmieniem gitar.

Zauważyłem, że jeszcze ktoś wolał trzymać się z tyłu. Podobnie jak ja niespecjalnie przejął się strojem, szedł w dzinsach, bez czapki i w adidasach, tak jak ja wysłuchiwał ciągłych komentarzy osób idących przed nim, kiedy jeszcze miał z nimi kontakt. Różniło nas tylko to, że on palił, a ja słuchałem walkmana, poza tym ja miałem na sobie przypinkę *NIE dla broni atomowej*, a na jego widniał napis *And Fuck to You Too*.

Na Górnym Jæren doszło do nieco śmiesznej sytuacji, kiedy dwóch przyszczatych piętnastolatków maszerowało ramię w ramię, jakieś trzy metry od siebie, nie patrząc jeden na drugiego - pierwszy ciągle palący Marlboro, ledwie pięć centymetrów wyższy od swojego towarzysza, o dłuższych i bardziej tłustych włosach, a drugi z zaciśniętymi zębami, przyszczami zamiast piegów i walkmanem Sony grającym ponurego alternatywnego rocka.

Obaj wiedzieliśmy, kim jest ten drugi. Helge Ombo i Jarle Orheim, bo tak się wtedy nazywałem. Dobrze wiedziałem, kim jest Helge Ombo, cała szkoła знаła ostrego jak brzytwa punka i jego radykalnych rodziców. Kiedy inni w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wyszali z mlekiem matki ostrzeżenia, może troskę czy reguły postępowania w codziennym życiu, Helge karmił swoje uszy czerwoną historią, geografią i polityką, opowieściami o Mao, Róży Luksemburg i Karlu Liebknechcie, Fidelu i Che, Leninie i Trockim. Kiedy my wszyscy słuchaliśmy nagrań dla dzieci Knutsena i Ludvigsena, Pippi Pończoszanki i Trond-Viggo Torgersena, u Helgego grali Hoola Bandola Band, Bob Dylan i Joni Mitchell. Ojciec był sławnym związkowcem, oddanym lewicy w polityce lokalnej; matka, dobrze wykształcona, jak niewiele kobiet z jej pokolenia, zajmująca wysokie stanowisko w służbie socjalnej w Stavanger, przez wiele kadencji zasiadała w radzie miasta z ramienia Socjalistycznej Lewicy. Helge Ombo. Każdy wiedział, kim jest, również nauczyciele, bo już w wieku piętnastu lat wyzywał ich, pytając o teorie ekonomiczne Marksa, bo już dawno przeczytał wszystkie lektury obowiązkowe, bo siedząc z nogami na stole i wyglądając przez okno potrafił odpowiadać na zadawane pytania i powtarzał tym, którzy chcieli go słuchać, że Stany Zjednoczone to państwo imperialistyczne, *a może ktoś wie, co wydarzyło się w Gwatemali w 1954?* Obiekt powszechnej niechęci i zazdrości.

A Jarle Orheim, czy jego też ludzie znali? Może nie. Byłem bardziej otwarty niż Helge, gotowy na wszystko co alternatywne, radykalne i co mogło zmienić moje dotychczasowe życie, pozostawałem też bardziej tajemniczy - ludzie nie wiedzieli, kim są moi rodzice. Chociaż moje zachowanie dało się odczytać według wyraźnie socrealistycznego klucza, w moim przypadku nie był on tak widoczny jak kod dziedzictwa i środowiska Helgego - mój pozostawał ukryty razem z butelkami ojca gdzieś w szafkach, na strychu, pod polanami drewna w garażu, ze zwyczajną dysfunkcjonalnością naszego norweskiego domu, w którym wszystko, jak dotąd, pozostawało w czterech ścianach.

Tak. Wiedzieliśmy, kim jesteśmy.

Znaliśmy się ze szkolnego dziedzińca.

Trzymaliśmy się na dystans.

Zaczęło padać. Zobaczyłem, jak Helge zmienił technikę trzymania papierosa. Przerzucił go spomiędzy palca środkowego i wskazującego, aby chwycić go kciukiem i palcem wskazującym, uważając przy tym na deszcz, który mógłby go zmoczyć.

Nie chcąc, by Helge to zauważył, ściszyłem Jesus and Mary Chain. Usłyszałem, jak przeklina.

- W pizdę jebana pogoda.

Skinąłem głową. Mogłem się z nim zgodzić. Chociaż sam tak bym tego nie ujął, pogoda była w pizdę jebana.

- No, kurwa - powiedziałem, nie spoglądając na niego.

Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy i raczej nie powinniśmy robić tego teraz, gdy szliśmy zmarznięci przez Górne Jæren. Boże, przecież się nawet nie lubiliśmy, więc nie o to chodziło, ale co do pogody można się chyba zgodzić, Jezu, przecież nie jest się też faszystą.

Przez parę minut szliśmy bez słowa. Przed nami nauczyciel wskazywał na kamienny kopiec, a w grupie za mną Tor-Henrik z klasy C kładł rękę na pupie Helene z klasy A. Mówiono, że Helene pieprzyła się z połową szkoły. „Ale nie ze mną - pomyślałem - i z Helgem raczej też nie”. Zdaniem Tor-Henrika na jej dłoni widniał napis „Ssij i połykaj, miłego weekendu”, tej samej dłoni, którą trzymała twojego kutasa. Mówiono też, że połyka wszystko, aż jej szczęki trzeszczą, a tobie głowa pęka, na koniec zaś nawet nie wyciera ust.

- Czego słuchasz? - zapytał Helge.

- Hę? - udałem, że nie dosłyszałem, nie zdjąłem też słuchawek.

- Czego słuchasz?

Demonstracyjnie ściszyłem muzykę.

- Ach. Pewnie nic, co byś znał.

- Ach tak?

- No... po prostu... Pewnie ci się nie spodoba.

Helge wydobyl z kieszeni paczkę Marlboro, otworzył ją pstryknięciem i postukał w dno, aż wysunęły się dwa papierosy, podał mi ją i powiedział:

- To mnie sprawdź.

Przecież nie paliłem. Nigdy. Ale teraz stałem na Górnym Jæren, a instynkt podpowiadał mi, że właśnie nadeszła moja próba sił, oto egzamin z samorealizacji, sytuacja nabrała powagi. Zmierzysz się z niepisanym prawrogiem szkoły, Helgem Ombo. Tylko wy dwaj wyraźnie dystansujecie się od religijnych, nudnych, quasi-zdrowych, posiadających domki letniskowe i pijących jogurt zwykłych ludzi, którzy uwielbiają wycieczki po Jæren, na wietrze i w deszczu, teraz zaś stoi przed tobą Ombo ze znienawidzonych przez ojca *Ombów*, zapytał cię, czego słuchasz, daje ci fajkę, *wiedząc, że nie palisz*, ale on cię testuje, Jarle, testuje cię, do chuja, więc poddasz się teraz czy wygrasz? I mimo wszystko może się zdarzyć, że nie słyszał Siouxsie czy the Banshees, chociaż to mało prawdopodobne, ale *Psychocandy* Jesus and Mary Chain na pewno nie zna, jak w ruskim, kurwa, banku, więc właśnie o tym albumie wspomnisz, powiesz: *Psychocandy*. Nie podasz nazwy zespołu, tylko tytuł longplaya, jakbyś o zespole zapomniał, bo to dla ciebie takie powszednie, dokładnie jak zarozumiałcy

mówią o swoich sławnych znajomych po imieniu, gdy spotykają kogoś, kto na pewno nie zna gwiazdy - *Angelina*, mówią, widząc przed sobą niepewny wyraz twarzy rozmówcy, aby po sztucznej, czterosekundowej pauzie dodać: *Jolie. Psychocandy* - tak powiesz, Jarle, no i jeszcze: wziąć tę fajkę, czy nie?

Wyjąłem papierosa i powiedziałem:

- *Psychocandy*.

Helge był całkiem spokojny, wydobyl paczkę zapalek, zapalił jedną, osłonił płomień złożonymi dłońmi i podał ją mnie. Wsadziłem papierosa do ust, tak mniej więcej pośrodku, i zaciągnąłem się, a Helge powiedział:

- Klasyk.

Klasyk, powiedział.

Okej. To mogło znaczyć wiele. Teorie wypełniały mi głowę, podczas gdy dym rozchodził się w ustach. Znęcał się nade mną, bo słuchałem czegoś o tak chorym tytule, jak *Psychocandy*? A może to ja byłem „klasykiem”, ponieważ chodziłem po Jæren, słuchając muzyki, której nikt inny nie lubił? Może jednak uważał, tak jak ja oraz angielska prasa muzyczna, od której się uczyłem, że *Psychocandy* stanowi przełom w historii muzyki?

Co miałem powiedzieć?

Skinąłem głową, by pozostawić sprawę otwartą, i czułem, jak dym napływa mi do przetyku.

- Dużo, kurwa, lepsze od *Darklands*, to na pewno - rzekł Helge.

Mdłości skłębiły się w brzuchu, byłem pewien, że zwymiotuję, dym zebrał mi się w gardle, wytrzeszczyłem oczy, ale spotkałem człowieka, który zna *Psychocandy*. To było coś.

- Głupi jesteś? - wycharczałem. - *Darklands* wypada w porównaniu strasznie blado.

Z całych sił próbowałem pokazać Helgemu, że palę, że palenie jest dla mnie równie naturalne, co picie mleka. Strasznie mi zaimponował. Słyszał *Psychocandy*. Znał jeden z zespołów, które uważałem za tajemnicę znaną tylko mi w całym Rogaland, a on wiedział, jak legendarna jest płyta z '85 i jak zwyczajny ich kolejny album.

- *Psychocandy* mógłbym słuchać godzinami - powiedział Helge.

Znów odkaszlnąłem. Helge uniósł brwi.

- Właśnie zacząłeś?

Skinąłem głową.

- Mhm. Palę od trzech tygodni.

Skinął głową.

- Ale jest zajebicie - dodałem.

- Co ze Smithsami? - zapytał.

- Najbardziej lubię *The Queen is dead*.

- A ja *Meat is murder* - odparł Helge. - „The Headmaster Ritual”, „Nowhere fast”, same świetne kawałki, „What she said”...

- *I smoke 'cause I'm hoping for an early death* - zacząłem, a Helge zaciągnął się i zanucił resztę tekstu:

-... *and I need to cling to something*.

Spojrzałem na niego.

- Police?

Helge skinął głową.

- „Message in a bottle” jest niezła. Ale Sting mnie wnerwia. Totalnie. - Helge wywrócił oczy. - *I hope the Russians love their children too?* - zacytował z pogardą.

Zaśmiałem się.

- Śmieszne. Ale... Clash? *London Calling*, *Sandinista*, *Combat Rock*, pierwsza czy *Giv 'em enough rope?*

- Przywaliłbym ci, jakbyś powiedział *This is England* - odparł. - Nie, *Sandinista*, jasne.

- Madness?

- Za miękkie - stwierdził. - Hüsker Dü?

Pokręciłem głową.

- Nie słyszałem.

- Nie słyszałeś Hüsker Dü! Boże! Nie słyszałeś Hüsker Dü? Musisz, kurwa, nadrobić - powiedział z uśmiechem. Wtedy po raz pierwszy widziałem, jak się uśmiecha, a w każdym razie tak to zapamiętałem.

Helge się zatrzymał. Grupa uczniów i nauczycieli szła już spory kawałek przed nami, zaczęli schodzić ze wzgórza. Spojrzał na mnie. Ja na niego. Padało, włosy i ciuchy mieliśmy mokre i patrzyliśmy na siebie.

- Zwiewamy?

Zwiać? Popatrzyłem na niego pytającym wzrokiem. Zwiać?

- Zwiać? Co masz na myśli?

Rozejrzałem się. Nie można tak po prostu „zwiać” na środku Górnego Jæren, gdzie kilometrami ciągną się pustkowia porośnięte wrzosem i mchem, chyba nie można tak po prostu „zwiać”, no nie?

- No, posłuchaj: będziemy jeszcze tak szli przez dwie godziny, a pada straszliwie, i nie

wiem jak ty, ale ja sędzę, że cała ta impreza śmierdzi, a jeśli zwiejemy teraz, zejdziemy prosto w dół, to prędko dotrzemy do jakiejś drogi albo do stacji kolejowej, albo do gospodarstwa z telefonem, czy gdzie tam, kurwa, jeszcze można, ale gdzieś na pewno, co nie?

Spojrzałem na Helgego. Ponownie zaciągnąłem się dymem, zatrzymałem go w płucach i spokojnie wypuściłem bez kaszlnięcia.

Zwiać?

- Okej - powiedziałem. - Zwiewamy.

Wtedy pierwszy raz poszedłem na wagary, po raz pierwszy paliłem i pierwszy raz rozmawiałem z Helgem. Nie wiedziałem, na co się piszę, a moje drobnomieszczańskie wychowanie, któremu teraz zacząłem się sprzeciwiać, zostało tego dnia niejednokrotnie zdeptane, kiedy razem z Helgem wyruszyliśmy w adidasach przez Jæren. Szliśmy wiele godzin, co najmniej tak długo, jak pozostali uczniowie na wycieczce, i ciągle, bez przerwy gadaliśmy - o muzyce, filmach, książkach i polityce. Gdy jeden z nas wspomniał Davida Lyncha, drugi wymieniał Jima Jarmuscha, gdy jeden powiedział: Dostojewski, drugi dodawał: Turgieniew, mówiliśmy jak najęci, jakbyśmy czytali sobie w myślach. Børre Knudsen? Pastor od aborcji? Powinien dostać dożywocie. Nie, rozstrzelać go. Pod ścianę postawić jego i jego kumpli. George Michael? Jego też. Również pod ścianę, za zaśmiecanie kultury, a razem z nim Michaela Jacksona, Eltona Johna i Bon Joviego. Margaret Thatcher? Rzucić wściekłym psom, niech ją zerzną, wstrzyknąć jej AIDS i zostawić na stercie śmieci. Gro Harlem Brundtland? Wytarzać w smole, upiec na grillu jak wieprza i rzucić psom. Jaser Arafat? Niech zdoła pomniki na całej kuli ziemskiej. Przed tym dniem miałem jedynie niejasne pojęcie o swoich przekonaniach, ale po paru godzinach na wrzosowisku stałem się nowo zbawionym komunistą łamane na anarchistą.

Helge pewnie nie wiedział, co ze mną zrobił tego dnia na Jæren. On przywykł do systematycznego sprzeciwu, z nim dorastał, takie były jego prawdy, to w nie *wierzył*. Nie widział w nich nic obcego czy wspaniałego jak ja: och, Helge, jak twój świat dla mnie lśnił.

- Chodzi o lepsze społeczeństwo, prawda? - powiedział i podał mi kolejnego, piątego już, papierosa. - Mam drugą paczkę - dodał i zapalił go dla mnie. - To śmiertelne niebezpieczeństwo wychodzić z domu tylko z jedną.

- Jasne! - potwierdziłem.

- A ludzie nie pojmują - powiedział - że skoro społeczeństwo ma stać się lepsze, skoro mamy być sobie równi, to potrzebujemy walki, w przeciwnym razie bogaci będą dalej nami rządzić, a wtedy wszystko szlag trafi.

- Tak, kurwa! - zgodziłem się.

Lepsze społeczeństwo.

Nigdy wcześniej nie słyszałem takich słów.

Lepsze społeczeństwo.

Społeczeństwo, w którym nikt nie zarabia więcej niż 400 000 rocznie.

- I to w najlepszym, kurwa, wypadku - powiedział Helge. - Najlepszym.

Społeczeństwo, gdzie wszyscy mają równe prawa. Społeczeństwo bez giełdy i akcji. Społeczeństwo, gdzie każdy posiada własną pracę, tworzy własne wartości, znajduje własne miejsce. Społeczeństwo, w którym ceny mieszkań są ograniczone, w którym nie można czerpać zysku ze wszystkiego. Społeczeństwo, gdzie ludzie korzystają z siebie nawzajem, a nie są wykorzystywani.

- Jesteś socjalistą? - zapytałem z szeroko otwartymi oczyma.

Helge pokręcił głową.

Pogubiłem się. Nie był socjalistą? Czy to nie przed nimi ostrzegął mnie tata, przed *socjalistami*? Nigdy wcześniej nie spotkałem socjalisty, a teraz miało się okazać, że Helge też nim nie jest?

- Komunista - powiedział. - Z wyraźnymi skłonnościami anarchistycznymi.

Brakuje mi rozmów z Helgem. Brakuje mi naszych marzeń. Tęsknię za dniem, kiedy godzinami szliśmy w deszczu przez Jæren i coraz bardziej mokliśmy, by wreszcie dotrzeć do głównej drogi, gdzie hodowca owiec podwiózł nas do stacji kolejowej w Nærbø, kiedy cały czas rozmawialiśmy o lepszym społeczeństwie, zwialiśmy z wycieczki, wróciliśmy pociągiem do miasta, przemoczeni do suchej nitki wpakowaliśmy się do Folken i sinymi z zimna palcami obejmowaliśmy ciepłe filizanki kawy, kiedy cieszyliśmy się, że olaliśmy pozostałych, którzy krążyli po Jæren w poszukiwaniu zaginionych Helgego i Jarlego, narobili hałasu, zadzwonili na policję, do rodziców Helgego, do mamy, która przeraziła się i dostała napadu hysterii, wyobrażając sobie, że leżę zamrożony na śmierć gdzieś na wrzosowisku, podczas gdy my, Helge i Jarle, siedzieliśmy w Folken, sini z zimna, pełni dymu, całkiem mokrzy, dalej rozmawiając o kiepskiej kawie, która smakowała lepiej niż jakakolwiek inna. Zyskałem przyjaciela. Poszedłem na wagary. Zacząłem palić. Marzyłem o lepszym społeczeństwie.

Kiedy tamtego wieczoru wróciłem do domu, w drzwiach powitał mnie tata. Był wściekły i chłodny. Zapytał, czy zdaję sobie sprawę, co zrobiłem, chwycił mnie za kark, zaciągnął do salonu, gdzie mama siedziała na kanapie, zanosząc się płaczem, wskazał na nią i powiedział:

- I co? Co? Widzisz, co narobiłeś?

Nie dałem się zaatakować, było mi wszystko jedno. Postawiłem dom na głowie, ale było mi wszystko jedno. Pozwoliłem, by tata mnie zganił, pozwoliłem mamie płakać. Na pewno tego dnia czuli, że są wspólnie czemuś przeciwni - wkroczeniu ich syna na złą drogę - a w końcu rzadko im się to zdarzało.

- Palisz hasz, Jarle? - wyszłochała mama.

Kusiło mnie, żeby odpowiedzieć twierdząco, ale jeszcze nie paliłem wtedy haszu, więc zaprzeczyłem.

- Idź na górę do pokoju - krzyknął tata. - Już!

To był niesamowicie dobry dzień.

A teraz, dwa lata później, wiosną 1990 roku, między Helgem a mną zaczęło zgrzytać. Przez ostatni tydzień zgrzytało na całego, w parę dni całkiem się zmieniłem, a tata wparował do naszego domu. Chyba tak nie może być, co? A Katrine, przecież jest moją dziewczyną? Boże, to ten Yngve, co to w ogóle za bzdurna historia? Yngve? Niepozorny drętwiak, którego oczy nagle zachodziły mgłą, który dostawał na gwiazdkę kasety Stinga i uważał je za świetne, który zapominał włożyć skarpetki, przez którego zacząłem zachowywać się jak głupek, ściałem włosy i grałem w tenisa.

W tenisa?

Jezu.

W tenisa? Jarle, całkiem zdurniałeś?

Przecież to pedał z Haugesund, do chuja.

Myszę, że wszystko się ułoży

kiss me where the sun don't shine

The Stone Roses

Dzień po wparowaniu taty do domu zdecydowałem się zatrzymać, póki jeszcze mogłem. Uprzątnąłem stół, zmierzwiłem włosy przed lustrem w łazience, ubrałem się w najczarniejsze ciuchy, a za każdym razem, gdy w mojej głowie pojawiał się Yngve, uśmiechałem się pogardliwie, witając ponownie starego Jarlego. Nie rozmawiałem z mamą o poprzednim wieczorze, przy śniadaniu czytałem zbiór poezji Majakowskiego, a zaraz potem zadzwoniłem do Katrine.

Katrine Halsnes.

Byliśmy razem od ponad pięciu miesięcy, prawie od początku drugiej klasy. Świetna dziewczyna. Ale gdyby ktoś zapytał pierwszoklasistę Jarlego Kleppa o opinię o Katrine Halsnes, wyglądałoby to inaczej - ani ja, ani pozostali chłopcy w klasie nie myśleli o niej na początku liceum. Była jedną z tych, których się nie zauważało. Kochałem dziewczyny. Mając w pamięci wzorce w postaci mojej mamy i babci, widziałem je jako dobre, piękne, mądre - na ile w ogóle je *widziałem*. Niestety wzrok jest już tak skonstruowany, że gdy patrzymy na jedną rzecz, co innego bywa zasłonięte. W pierwszej klasie widziałem inne dziewczyny, a nie Katrine.

Więc jak to się stało, że już na początku drugiej klasy z nią byłem?

Już od podstawówki przez ostatnie tygodnie wakacji odczuwałem niepokój i napięcie. Zawsze sądziłem, że wakacje trwają zbyt długo. Obojętnie, jak bardzo byłem zmęczony szkołą, jak ogromnie nudziłem się, chodząc do niej w listopadzie, zawsze na początku sierpnia, gdy wakacje zbliżały się do końca, czułem zniecierpliwienie. Pamiętam, jak raz w podstawówce Trine z mojej klasy powiedziała, że w wakacje jedzie do Ameryki. *Ameryki*. Ja sam wybierałem się z mamą i tatą samochodem do Danii. Trine miała wąskie usta, jasne warkoczyki z czerwonymi gumkami i była córką właściciela lokalnego sklepu spożywczego, a ja się w niej kochałem, tak jak można się kochać w kimś, kto ma wszystko, czego nie masz ty - było to chciwe zakochanie, takie samo, jakie widać na starych amerykańskich filmach, w których biedne bohaterki wychodzą dla pieniędzy za zamożnych przedsiębiorców. A teraz

Trine miała wyjechać na trzy tygodnie do Ameryki. Na Florydę i do Miami. Nigdy wcześniej nie znałem nikogo, kto był w Ameryce, i uważałem nasz wyjazd do Danii za banalny. Zapytałem mamę: *Musimy jechać do Danii? Nie możemy pojechać do Ameryki?* Trine była już dwa razy w Legolandzie i twierdziła, że jest tam *dość nudno*. Przez te całe wakacje na początku lat osiemdziesiątych leżałem wieczorami w różnych łózkach, w różnych duńskich motelach, myśląc o Trine. Lato mijało w ślimaczym tempie, wypełnione czerwonymi duńskimi kiełbaskami i wycieczkami na wzgórze Himmelbjerget, a ja myślałem tylko o Trine. Dziecinne zakochanie zyskało nową siłę napędową - bardziej dorosłe i zachłanne zabarwienie, zmieszane z pogardą dla samego siebie i zazdrością.

A gdy nadeszła jesień, kiedy po raz kolejny czekał mnie pierwszy dzień szkoły, zadawałem sobie w myślach te same pytania: „Co się wydarzy? Co się stało? Jak teraz będzie? Czy dziewczyny się zmieniły? Czy ktoś ma sympatię? Czy ktoś się we mnie zakocha?”.

To samo za każdym razem, kiedy szkoła wreszcie na dobre się zaczynała - pierwsze tygodnie tętniły życiem. Ludzie mieli o czym sobie opowiadać, a ja prawie zawsze zakochiwałem się w nowych dziewczynach. Jednym zmieniał się wyraz oczu, inne zapuszczały włosy. Część z nich rosła, miała dłuższe nogi, większe piersi. Niektórzy dostawali nowe rzeczy - jeden chłopak z klasy przyszedł w niebieskiej czapce z daszkiem z zoo w Münster, a Trine, tego roku, kiedy była w Ameryce, wróciła z amerykańskimi łakociami w błyszczącym, srebrnym papierze i rzeczywistych wymiarów lalką E.T. z palcem świecącym w ciemności, która mówiła po amerykańsku: *E.T. phone home*. Świat stał się większy.

Na początku drugiej klasy Kongsgård moją uwagę przyciągnął pewien brak. Przez pierwsze dni było to tylko niewyraźne wrażenie, że coś się zmieniło. Wtedy zacząłem zauważać, jak niektóre dziewczyny z klasy, Anita, Gro Elin i Marit, posyłają sobie porozumiewawcze spojrzenia - spojrzenia, jakie wymieniają tylko dziewczyny i które znaczą jedno: *To tajemnica. Nie rozmawiamy o tym. Nie mów nikomu*. Najwidoczniej to Anita posiadała najwięcej informacji o tym, co nie powinno opuścić ich grona, bo to ona miała spojrzenie szefa, autorytatywny wzrok oczu wymownie przysłanianych powiekami. Dopiero na pierwszej lekcji pływania zrozumiałem, o czym rozmawiają. Kiedy Torgersen, surowy, siwowłosy wuefista, którego czas dobiegał już końca, zaczął sprawdzać obecność, brakowało jednej osoby. Torgersen nie wierzył w choroby uczniów, a gdy dziewczyny powiedziały „to, co zwykle”, zerknął surowo znad okularów i zaznaczył coś w swoim notesie, tak jakby menstruacja była sprytną wymówką kobiet od nieprzyjemnych zadań.

- Halsnes?

Nikt nie odpowiedział.

„Halsnes?” - pomyślałem i rozejrzałem się. *Halsnes?*

- Katrine Halsnes - powtórzył Torgersen.

Brak odpowiedzi.

Katrine Halsnes? Przypomniałem sobie twarze dziewczyn z klasy i rozglądałem się ostrożnie, próbując zobaczyć, kogo brakuje - Katrine Halsnes?

- Nie ma jej - usłyszałem poważny głos Anety.

Torgersen zaznaczył to w notesie i przeszedł do następnego ucznia, a ja odwróciłem głowę, w samą porę, by zobaczyć, jak Anita, Gro Elin i Marin wymieniają krótkie, wymowne spojrzenia.

Coś było na rzeczy. Coś się nie zgadzało.

W klasie, gdzie Svensen opowiadał o sytuacji w Libanie, zobaczyłem to, co najwyraźniej wcześniej tylko bezmyślnie zarejestrowałem - puste krzesło w rzędzie pod oknem. Katrine Halsnes. W tej samej chwili zacząłem tworzyć w myślach jej obraz, częściowo w oparciu o to, co pamiętałem z pierwszej klasy - a było tego bardzo niewiele - oraz na podstawie własnych wyobrażeń o niej, *tej, której brakuje, która ma do opowiedzenia historię.*

Na dużej przerwie zapytałem Helgego, czy wie, gdzie jest Katrine.

- Co? Katrine?

- Tak, siedzi zawsze pod oknem.

- Nie wiem, kurwa, a co? Kim jest Katrine?

Niczego nie dowiedziawszy się od Helgego, podszedłem w końcu do Anity, która stała z przyjaciółkami koło fontanny. Gro Elin i Marit popatrzyły na mnie dziwnie i wieloznacznie szturchnęły Anitę, co było dość zrozumiałe, ponieważ moje zbliżenie się do nich należało do bardzo niezwykłych zdarzeń.

- Ej, Katrine jest chora, czy co?

Spojrzały po sobie.

- Dlaczego pytasz?

- Nie no, tak się zastanawiam - odparłem.

Anita wyglądała, jakby tylko czekała na chwilę, kiedy ktoś zmusi ją do opowiedzenia tego, czego nikt, pod żadnym pozorem, nie mógł mówić. Przyciągnęła mnie do siebie, ściszyła głos i zasygnalizowała spojrzeniem, że właśnie dostąpiłem tajemnicy.

- Chodzi o jej brata - odezwała się.

Gro Elin i Marin skinęły głowami.

- Jej brat nie żyje.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czulem krew pulsującą w rękach i narastające ciepło.

Jej brat nie żyje.

- Aha - odpowiedziałem. - To niedobrze.

Jej brat nie żyje.

- Nikomu nie mów - przestrzegła Anita. - Ona nie chce o tym rozmawiać. To był wypadek. W Szwecji.

Wypadek. W Szwecji.

Anita, która w rzeczywistości nie przyjaźniła się z Katrine, a jedynie mieszkała w tej samej okolicy, przez dwa tygodnie przed jej powrotem zachowywała się jak jej rzeczniczka. Jej postępowanie wydaje się dziś niesmaczne, chociaż tak naprawdę to samo zrobiłaby większość zadowolonych ze swojej roli zaufanych osób - wykorzystałaby cierpienie innych do własnych celów. Przez następne dni Anita nie zdołała utrzymać języka za zębami i pod koniec tygodnia cała klasa wszystko wiedziała, do tego każdy przyrzekł, że nikomu nic nie powie - doszło w ten sposób do dziwnej sytuacji, gdzie wszyscy wiedzieli to samo, ale otwarcie o tym nie rozmawiali, jedynie w cztery oczy i to najlepiej pod nadzorem źródła informacji, Anity. W efekcie również Anita znalazła się w blasku fleszy, chłopcy częściej zwracali na nią uwagę, a ona przyjmowała ich zainteresowanie. Częściej odzywała się na lekcjach, choć z oczywistym trudem.

Aż do powrotu Katrine. Do tego czasu narosło we mnie potężne pragnienie, by ją zobaczyć, codziennie rozglądałem się w nadziei, że się pojawi - chyba niedługo przyjdzie? Zerkąłem na puste krzesło w rządzie pod oknem i wyobrażałem ją sobie. Była piękna, nosiła ciemne ubrania, siedziała pod oknem w żałobie, ciężko doświadczona tego lata, kiedy jej młodszy brat zginął w wypadku w wesołym miasteczku Liseberg w Göteborgu. Puste krzesło chłonęło moje wyobrażenia, Katrine zasiadała na nim, smutna, o dużych, szeroko otwartych oczach.

Ale zupełnie inna Katrine przeszła przez dziedziniec szkolny, wspięła się po schodach i wkroczyła do klasy. Rozpaliła mnie fascynacja ofiarą, wyobrażałem sobie kruchą osobę, młodą kobietę o smutnych oczach, spokojniejszą i bardziej zamkniętą w sobie niż przed wakacjami. Rozgrzał mnie żar wyobrażeń i zacząłem już postrzegać siebie jako pocieszyciela.

I wtedy przyszła. Ponieważ na pierwszej lekcji mieliśmy razem fakultet z informatyki, doznałem przywileju zobaczenia jej przed innymi. Informatyka była najbardziej zniechęcającym przeze mnie przedmiotem. Mój umysł traktował komputery jako ostateczny

tryumf wyobcowania nad człowiekiem, ogarnęła mnie reakcyjna wizja, że jeśli teraz ludzie bardziej im się poddadzą, to nikt z nas nie będzie potrafił samodzielnie myśleć, nasze oczy staną się kwadratowe, tak samo jak myśli, tak, cała ludzkość przeistoczy się w jeden wielki, rażąco zielony kwadrat pozbawiony własnych przemyśleń, który naciska tylko klawiaturę, dostarczającą nam uprzednio wyprodukowanych opinii - taką orwellowską apokalipsę przeczuwał Jarle Klepp w roku 1990. Nauczycielka od początku szkoły miała ze mną niezłą przepawę. Na każdej lekcji musiała znosić tę samą tyradę, w której brutalnie atakowałem potworne komputery, i z rezygnacją unosiła brwi, za każdym razem powtarzając: „Sam wybrałeś ten przedmiot”, a ja powtarzałem to samo co poprzednio: „Tak, bo nie było nic innego”, ona zaś próbowała jeszcze: „Ale tu jesteś, chodzisz na te lekcje, będziemy gadać bzdury czy coś robić?”, do mnie z kolei należała ostatnia replika: „Wszystko mi jedno”.

Naprawdę było mi wszystko jedno. Helge nie miał informatyki, a mnie zupełnie nie obchodziły te dwie śmieszne godziny w tygodniu.

Lecz tym razem stało się inaczej.

Katrine weszła do klasy. Miała na sobie ciasne dżinsy i czerwony sweter z krótkim rękawem, szybko i zdecydowanie udała się do wolnego miejsca, które czekało na nią również na zajęciach fakultatywnych. Rzuciła krótkie spojrzenia znajomym i ani trochę nie dawała po sobie poznać, że to jej *brat umarł*. Może tak wcale nie było? Nie wydawała się smutna. Ani mała. Nie kurczyła się i nie chowała w sobie. Czy naprawdę straciła brata?

Może Anita miała błędne informacje? Ukradkowo spoglądałem na Katrine w trakcie lekcji i nic nie zdawało się inne, jedynie jej wygląd. Wyglądała jakby dojrzałej, włosy miała krótsze - czyżby je ścięła? Była ładniejsza. Stuprocentowo. Ładniejsza niż kiedyś. Ale nie wydawała się smutna. Nauczycielka powitała ją co prawda w szczególny sposób, posyłając jej pełen szacunku uśmiech, co uznałem za znak, że wie o tym, co się stało, ale nawet wtedy Katrine nie odpowiedziała tak, jak tego oczekiwałem. Podziękowała tylko i zapytała, co z zajęć straciła, po czym otworzyła podręcznik od informatyki.

W środku lekcji nie potrafiłem się oprzeć, kiedy nauczycielka wyraziła ogólną uwagę o „pozycji komputerów w dzisiejszym społeczeństwie”. Znowu musiałem wylać czarę goryczy na przedmiot i rzucić stwierdzenie, że „komputery to wróg wolnej myśli”.

Zanim nauczycielka zdążyła odpowiedzieć, głos zabrała Katrine. Nagle odwróciłem się do niej zaskoczony, a ona spojrzała na mnie.

- Słuchaj - odezwała się. - Czy nie jesteś tak zwanym postępowcem?

Pozostali uczniowie wyjrżeli zza komputerów.

- Co? - popatrzyłem na nią.

- No? Nie jesteś? Czy nie szcycisz się tym, że jesteś postępowy, ty i ten cały Helge?

- No pewnie, kurna - odpowiedziałem. - I co?

- To jest narzędzie - wyjaśniła i pokręciła głową. - *Narzędzie*, rozumiesz? Zaawansowana maszyna do pisania.

- No, bardzo - odpowiedziałem.

Czułem się zbity z tropu. Musiałem skorygować swoje wyobrażenia o zagubionej dziewczynie, która potrzebowała pocieszenia, i to prędko, bo tutaj, przede mną, siedziała kobieta o pewnym spojrzeniu, twardej opinii, która wyraźnie nie chciała współczucia i przesadnie pokazywała mi, gdzie moje miejsce. W powietrzu wisiała kłótnia.

- To twoje marudzenie jest takie reakcyjne - powiedziała. - Co sobie wyobrażasz? Jesteś taki głupi, że płaszczysz się przed narzędziem? Aż tak jesteś głupi? Skoro tak bardzo czcisz postęp, to powinieś chyba zapanować nad środkami i wykorzystać je do osiągnięcia swoich celów. I nie chce mi się słuchać cię przez całą lekcję, okej?

Katrine spojrzała na mnie. Nauczycielka też. I klasa.

- Boże - powiedziałem i przewróciłem oczami.

Katrine utkwiała we mnie spod okna wzrok, dwoje stanowczych, piwnych oczu, których chyba wcześniej nie widziałem. Wyglądały spod brązowej grzywki, znad zaciętych ust. Patrzyłem na nią. Oczywiście surowo. Oczywiście zakochany.

Zadzwonił dzwonek oznajmiający przerwę.

Po tej lekcji zobaczyłem ją, dziewczynę ze Stokka, której w pierwszej klasie nikt nie zauważał, a teraz spostrzegłem, jak przyciąga do siebie ludzi, inne dziewczyny, inny alternatywny element w szkole, jak mówi na lekcjach, jak pewnym krokiem przemierza dziedziniec, z uniesioną głową otwiera drzwi klasy, wita się z osobami siedzącymi obok, nawiązuje kontakt z resztą, liczy się z innymi, broni własnego zdania - i jak jest piękna. Na zabój. Strasznie seksowna. Jej ciało, które ledwie zmieniło się przez lato, nagle pojawiło się, wcześniej jakby w niej schowane. Oczywiście nie było tak, biust zdobił jej klatkę piersiową również w maju, mocne uda unosiły jej postać jeszcze przed wakacjami, teraz niosły tylko inną Katrine.

Bardzo chciałem ją poznać. Postawiła mnie pod ścianą, czym sprawiła, że zakochałem się w prawdziwej Katrine. Zacząłem interesować się fakultetem z informatyki, przyznałem nauczycielce, że „na początku byłem trochę uparty”, obiecałem też, że nie będę się już awanturował, stałem się pilniejszy od reszty klasy. Zadawałem ambitne pytania, spekulatywne, hipotetyczne pytania, które w roku 1990 można było wypowiadać bez ironii: Do czego można użyć komputerów w kontekście międzynarodowym? Co może działać

komputer dla ochrony środowiska?

Pewnego popołudnia po szkole podeszła do mnie, kiedy stałem przy rowerze, przygotowując się do powrotu do domu.

- Cześć.

- Cześć? - odpowiedziałem, zaskoczony, że nawiązała ze mną kontakt.

- Pójdiesz ze mną do kawiarni?

- Teraz?

- Tak, teraz.

Poszliśmy do Sting na kawę, potem do kina, a na końcu całowaliśmy się w parku Bjerked do wpuł do pierwszej, ja z rękoma na jej pupie, z ustami przytkniętymi do jej ust aż do bólu, wreszcie jednak musiała wrócić do Stokka, zanim rodzice zadzwonią na policję, o ile już tego nie zrobili.

Miałem dziewczynę. Katrine Halsnes. Najpiękniejszą, najmądrzejszą, najfajniejszą laskę w klasie, która znała się na polityce, miała ambicje, talent do języków, nosa do alternatywnych sposobów myślenia, a do tego kryła tajemnicę.

Helge rozumiał, że coś jest na rzeczy. Nie mogłem spędzać z nim zbyt wielu wieczorów i popołudni, więc pojął, co się dzieje - że mam dziewczynę, że całuję się z nią w miejskich parkach. Był jednak sceptycznie nastawiony wobec Katrine. Widział, że się zmieniła, ale nadal była dla niego panną bez jaj, bo takie wrażenie zrobiła na nim w pierwszej klasie, do tego wyraźnie dawał mi do zrozumienia, żeby na niej nie polegać. Nie wykluczam też pewnej zazdrości. Nie sądzę, żeby Helge był zazdrosny o mój związek z Katrine, obawiał się raczej, że ona mnie mu odbierze, zniszczy nas dwóch, tak jak ja stawałem się zazdrosny, kiedy Helge zaczynał z kimś chodzić czy spotykać innych przyjaciół, którzy mogli zajmować mu więcej czasu niż ja. Więc na początku ostro protestowałem. Twierdził, że wszystko jest dla niej względne - z jednej strony to, a z drugiej tamto - *Boże. I czy nie pochodzi z prawicowej rodziny? No, kurwa, Jarle, kto wie, może nawet głosuje się u niej na Partię Postępu*^[15]?

- Hegga, przecież ja też pochodzę z takiej rodziny.

- No tak, ale popatrz na nią! - powiedział.

Patrzyłem na nią.

Tak?

Świetna dziewczyna. Zajebista.

Na początku Helge i Katrine stale siłowali się ze sobą, chcąc sprawdzić, czy lina wytrzyma. Sposób, w jaki rozmawialiśmy na lekcji informatyki, kiedy rzuciła mi rękawicę, zniknął, gdy staliśmy się parą, ale teraz Katrine odnosiła się tak do Helgego. Początkowa

podejrzliwość z odrobiną agresji z czasem przerodziła się w standardową strategię komunikacji, chociaż ich uczucia wobec siebie zmieniły się, a ja nie do końca to zauważyłem.

- Ludzie, którzy dyskutują i stale coś przekręcają, nigdy nic nie robią - stwierdził Helge.

- Ludzie, którzy nigdy się nie zastanawiają i nie rozmawiają o tym, co chcą zrobić, często popełniają głupoty - sparowała Katrine.

Katrine dobrze do nas pasowała. Akceptowaliśmy ją i darzyliśmy szacunkiem, a w ciągu pierwszego semestru drugiej klasy staliśmy się widoczną trójką w Kongsgård. Często docierały do mnie komentarze innych chłopaków:

- Obaj z nią śpią. To, kurwa, chore.

Jesień mijała w ślimaczym tempie, liście na drzewach pożółkły i zaczęły spadać na ziemię, a my przeszliśmy od całowania, przez dotykanie, do pierwszego stosunku w listopadzie - byliśmy razem. Katrine i ja.

Parę tygodni po naszym pierwszym wyjściu do kawiarni, poszedłem z nią do domu. Nastął wrzesień. Pamiętam, jak dziwne wydawało mi się, że Katrine tak rzadko wspomina brata, nie okazywała niechęci, gdy o niego pytałem, ale i tak zastanawiało mnie, że nie mówi o nim sama. Tamtego wrześniowego wieczoru nagle zapytała mnie, czy chcę zobaczyć pokój Ørjana.

- Twojego brata? - zareagowałem zaskoczeniem.

- Tak - potwierdziła.

Weszliśmy po schodach na piętro. Sytuacja była nieprzyjemna. Katrine zachowywała powagę, a ja mogłem tylko za nią iść. Oczywiście, że chciałem zobaczyć pokój jej brata, skoro sobie tego życzyła, ale żeby właśnie teraz? W taki sposób? W korytarzu na piętrze było czworo drzwi. Jedne prowadziły do sypialni rodziców, kolejne do pokoju Katrine, następne do toalety i wreszcie te ostatnie.

Katrine została na zewnątrz i wpuściła mnie do środka. Dziwne. Zobaczyłem chłopięcy pokój. Pościelone łóżko, dywan na podłodze, biurko z lampką. Plakaty na ścianach, głównie sportowe. Później uderzyło mnie, że to pomieszczenie nie różniło się za bardzo od pokoju Yngvego, tyle że Yngve na drzwiach miał zdjęcie tenisisty, Beckera, a u Ørjana wisiał w tym miejscu plakat z drużyną hokejową, u Yngvego stała rakietka tenisowa, a Ørjan miał dwa kije hokejowe. Było mi tam nieprzyjemnie, momentalnie poczułem odrazę, której nie mogłem pojąć. Pusty pokój pełen przedmiotów, a jednak pusty, bez zapachów, bez czyjejkolwiek obecności. Wydawało mi się to złowieszcze, jak znalezienie w lesie wełnianej rękawiczki, gdy zastanawiasz się, gdzie jest druga do pary, jak ta jedna rękawiczka się tu

znalazła.

Na biurku stało zdjęcie klasowe, na którym widniało ponad dwadzieścioro dwunasto-trzynastolatków, większość z nich uśmiechała się, niektórzy mieli na zębach aparaty. Na parapecie stało inne zdjęcie - dziewczyny i chłopca. Dziewczyna miała jakieś piętnaście lat, a chłopiec około dziesięciu. Pochyliłem się w jego stronę.

- To Ørjan i ja - usłyszałem za sobą. - Chyba w osiemdziesiątym siódmym. Na Rennesøy.

Odwróciłem się. Katrine stała w drzwiach, ręce trzymała po bokach.

- Grał w hokeja.

- Aha - odpowiedziałem.

Katrine miała łzy w oczach. Podeszedłem do niej i objąłem ją.

- Co jest?

- Myślisz, że to okej? Co? - wyszłochiała.

- Co? Co masz na myśli?

Katrine uwolniła się ode mnie i szybko zeszła po schodach. Pobiegłem za nią.

- O co chodzi? Katrine?

Usiadła na kanapie w salonie.

- Nie daję rady - powiedziała. - Myślisz, że to okej?

- Musisz powiedzieć, o co chodzi - zacząłem.

- Matka chce mieć tam... muzeum czy coś, a ja nie daję rady, wiesz? Cały czas tamtędy przechodzę... Ørjan nie żyje, byliśmy na wycieczce w Szwecji i umarł, a ja nie mogę mieć w domu muzeum, on odszedł, on... grał w hokeja, byliśmy na wycieczce w Szwecji, on odszedł, prawda?

Pląkała i nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Tak.

- Tam była ta kolejka górską z pętłą, a Ørjan tak się cieszył, ale super, mówił, i musieliśmy koniecznie spędzić tam cały dzień, w Liseberg, na strzelnicy, na karuzelach, w samochodzikach, na kolejkach górskich, w gabinetach strachów, zjeść obiad w restauracji, a ja przecież nie chciałam, prawda? Po co musieliśmy tam iść? Do lunaparku? Przecież nie chciałam.

Katrine wytarła łzy.

- Nie?

- Nie, po co? Powiedziałam to Ørjanowi, dlaczego to on ma decydować o wszystkim na tej wycieczce? Boże, przecież nie mam już też dwunastu lat, mieliśmy jeździć po Szwecji,

pojechać do Liseberg i pójść do lunaparku?

- Tak? - powtórzyłem, by zyskać czas na znalezienie mądrych słów.

- A Ørjan chciał jeździć na samochodzikach, tata też chciał, tak, teraz mieli jeździć na samochodzikach, zapytali, czy też chcę, ale odmówiłam, dlaczego miałabym chcieć?

- Katrine, nie musisz... - zacząłem. Ale ona ciągnęła.

- Jeździli w koło i zderzali się z sobą, bawili się, a ja snułam się koło budki z losami, mówiłam to już? Że stałam pod budkami z losami? Kupowałam losy. Matka patrzyła, jak Ørjan i tata jeżdżą, a ja stałam pod budkami z losami i...

Katrine znów zaniósła się płaczem.

- Nie musisz więcej mówić - powiedziałem. - Wiem, co się stało.

- Ale mnie tam nie było. - Katrine spojrzała na mnie. - Byłam zła i nie było mnie tam, kupowałam losy. A kiedy Ørjan wysiadł z auta...

- Tak, wiem - powtórzyłem, ale Katrine nie dało się powstrzymać, chciała raz jeszcze wszystko opowiedzieć.

- Kiedy Ørjan wysiadł z auta, poślizgnął się i upadł, a po chwili inny samochód uderzył go, roztrzaskując mu głowę o ścianę. To nie tata go prowadził, był odwrócony plecami, wjeżdżał właśnie w innego dorosłego, kiedy Ørjan rozbił sobie głowę.

- Wiem.

- Matka też nie widziała jego upadku.

- Wiem.

Zamilkła. Przestała płakać. Po chwili zaśmiała się i wytarła nos.

- Myślisz, że wygrałam?

- Co? - Byłem zbity z tropu.

- Na loterii. W tamtej budce.

Pokręciła głową, nim zdążyłem odpowiedzieć, i zapytała, czy mam papierosa.

- Jasne - odparłem, po czym wyszedłem na korytarz po paczkę Marlboro.

- Myślę, że nie powinniśmy mieć w domu jego muzeum - stwierdziła i zapaliła papierosa. - Po prostu mi się to nie podoba.

Później zrelacjonowała, co działo się po wypadku. Żadne z rodziców Katrine nie osiwiła, ale matka popadła w ciężką depresję, siedziała sama, rozmyślając o Ørjanie. Ojciec schował się przed samym sobą, przed własnym smutkiem i frustracją, i żył jak wcześniej, stał się tylko silniejszy; poświęcił się córce, pracy, a w efekcie nikt w rodzinie nie rozmawiał o Ørjanie. Pokój stał tam, gdzie stał, matka opłakiwała syna po cichu i pielęgnowała jego grób, a ojciec pracował.

Katrine nie była moją pierwszą dziewczyną ani moim największym zakochaniem - to już inna historia - ale ze wszystkich osób, z którymi się związałem, ją podziwiałem najbardziej. I chyba właśnie to - podziw wobec człowieka, który tak bardzo się zmienił - sprawiło, że nasze pierwsze miesiące były tak dobre. Widzieliśmy siebie. A ja chyba zawsze będę pamiętał ten okres, gdy podziwiałem kobietę, która podziwiała mnie.

Było właśnie styczniowe, sobotnie przedpołudnie, wybrałem jej numer i odezwałem się:

- Katrine, tu Jarle.

Pomyślałem o Yngvem. *Dosyć już, kurna, tego Yngvego, weź się w garść, Jarle, masz zajebistą laskę, masz Helgego, którego nie możesz stracić, jasne?*

- Cześć! Dobrze, że dzwonisz.

- Muszę przecież - powiedziałem.

- Jesteś dzisiaj w domu, czy jedziesz do ojca?

Nie wybierałem się do taty, chciałem być z Katrine.

- Nie, chcę być z tobą.

- Super - jej głos zabrzmiał radośnie. - To dzwonimy do Helgego, pójdziemy na miasto?

- Nie, nie trzeba - odparłem.

- A co z tym Yngvem, fajnie było, co? Zadzwońmy do niego, na pewno nie zna tu zbyt wielu osób.

Czy była w nim zakochana? Czy właśnie teraz musiała wmieszać w to Yngvego, dokładnie, kiedy postanowiłem wyrzucić go z myśli?

- Noo... - zawahałem się. To brzmi chyba fajnie? Zastanowiłem się i poczułem, jak moje zamiary wycofują się, jak nikną jeden za drugim, próbowałem przekonać samego siebie, że może jednak układ: Katrine, Yngve i ja ma sens? Zastanowiłem się, a uśmiech Yngvego, jego opadające kąciaki ust, jego ciało, kręgosłup pod prysznicem, jego dialekt - wszystko zaczęło wypełniać przestrzeń wokół mnie.

- Nie, zapomnij - uratowała mnie Katrine. - Tylko ty i ja, co?

- Tak - potwierdziłem szybko, czując ulgę, że mnie rozumie. - Tylko ty i ja.

- Moviebox?

- Tak.

- Pizza?

- Tak.

- Rodzice są w domku letniskowym - powiedziała, a ja wyczułem w jej głosie cień

zmysłowości i wyobraziłem ją sobie nagą.

Poszedłem do salonu. Mama rozwiązywała sobotnią krzyżówkę w VG, a mi na usta już cisnął się komentarz, żeby nie kupowała VG, tego kapitalistycznego, gównianego brukowca, mogłaby zamiast tego poczytać książkę, ale się powstrzymałem. Gdybym był bardziej uważny, spostrzegłbym, że wygląda na lekko nieobecną, a gdybym bardziej przejmował się nią niż sobą, uderzyłoby mnie, że przed dwoma laty ostatni raz siedziała tak w sobotę na krześle i rozwiązywała po zakupach krzyżówki w VG albo próbowała poruszać się jak najciszej po domu. Coś było nie tak, ale tego nie zauważyłem.

Podszedłem do niej, przytuliłem ją i poinformowałem, że jadę do Katrine.

Mama ledwie uniosła głowę, spojrzała na mnie nieobecnym wzrokiem.

- Zostanę pewnie na noc - powiedziałem. - W porządku?

Wyglądała, jakby chciała się odezwać, ale znów tylko skinęła głową.

Wyszedłem do garażu i odpiąłem rower. Trochę padało, temperatura umiarkowana, pochmurno jak codziennie w ciągu ostatnich tygodni, wciąż ta sama stara śpiewka południowo-zachodniej Norwegii: żadnej zimy, tylko wiatr, deszcz i wiatr.

Katrine otworzyła mi drzwi, ubrana jedynie w koszulkę i dżinsy, uśmiechnęła się do mnie kokieteryjnie, a ja prędko wszedłem do środka, kopniakiem pozbyłem się butów, ona zaś odwróciła się i zaczęła iść w stronę kuchni. Widziałem jej postać od tyłu, zrzuciłem kurtkę i ruszyłem za nią. Żadnej kontroli, tylko pożądanie. Pieprzyliśmy się w kuchni, potem obciągnęła mi, kiedy stałem oparty o lodówkę, następnie uklęknałem, a ona usiadła na blacie, zobaczyłem linię opalenizny między jej udami a krokiem, przesunąłem po niej ustami i językiem.

Później przeszliśmy się po Stokka i Eiganes, wstąpiliśmy do sklepu po składniki na pizzę, aż wreszcie dotarliśmy do Løkken Video, gdzie wypożyczyliśmy za pięćdziesiąt koron Moviebox i jeden film. Ja chciałem ponownie zobaczyć *Lśnienie* Kubricka, ale Katrine uważała ten film za nieprzyjemny i niespecjalnie romantyczny. Wolała *Chwasty*, gdzie też grał Jack Nicholson, a do tego Meryl Streep.

- Chyba jest dobra, co? - powiedziała.

Po powrocie do domu zrobiliśmy pizzę, ale obejrzelśmy tylko pół filmu, bo znów przyszła pora na seks.

Zostałem u niej na noc i udało mi się osiągnąć to, czego chciałem - Yngve zniknął. Późnym wieczorem zapytała mnie, czy z nim rozmawiałem.

- Z kim?

- Z Yngvem.

- Ale o niego wypytyujesz - powiedziałem, wykorzystawszy szansę, by ją uprzedzić, bo w końcu to ona powinna mnie obwinać za nadmierne zainteresowanie Yngvem, teraz jednak mogłem zrzucić z siebie wszelkie podejrzenia przez obwinianie jej. Dotknąłem jej piersi i powtórzyłem:

- Ale o niego wypytyujesz.

- Nie, po prostu... - przerwała. - Nie sądzisz, że... jest w nim coś dziwnego?

Jak to? Dziwnego?

- Co?

- Nie, po prostu... - Katrine znów przerwała. - To nic, tylko, jest jakby trochę dziwny.

Pod względem... jest po prostu dziwny.

- No, może trochę - przyznałem. - Aleee... on nie jest przecież taki, jak my, no nie? Przecież to drętwiak.

- No, pewnie - powiedziała.

Zasnęliśmy około pierwszej.

W środku nocy nagle się przebudziłem. Byłem napięty i brakło mi tchu, serce waliło mi jak młotem, miałem puls, jakbym tuż przed snem zjadł dziesięć kostek cukru. Otworzyłem oczy. Obok mnie leżała Katrine. Jej twarz tuż przy mojej. Oczy miała otwarte, duże i otwarte, spoglądające prosto w moje. Wpatrzeni w siebie nagle cofnęliśmy się w czasie o kilka miesięcy, do tygodni szaleńczego zakochania po naszym pierwszym spotkaniu, gdy nie mogliśmy oderwać od siebie dłoni, gdy nasze wargi nie potrafiły nic innego, jak stykać się ze sobą. W dziwnej miksturze zmęczenia, pomieszania dnia i nocy oraz pożądania, w półmroku chwyciliśmy się nawzajem, cały czas nie spuszczając z siebie wzroku.

- Chcę, żebyś znalazł się we mnie, teraz - powiedziała. - Chcę poczuć cię w sobie.

Leżała na plecach z rozpostartymi nogami i wyciągała do mnie ręce, uśmiechała się, gdy na nią patrzyłem, zaskoczony tym, co się stało.

Gdy zapadłem w nią, oboje straciliśmy dech, nasze ciała napięły się, jej łono było ciepłe i silne, naprężyła się od pasa w górę, zacisnęła uda na moich biodrach i myślałem, że krew we mnie eksploduje. Katrine zamknęła oczy, ścisnęła zęby, ściągnęła mięśnie wokół oczu.

Ile wyrazów twarzy można zapamiętać? W ciągu życia? Dziesięć? Dwadzieścia? Ja pamiętam ten. Katrine leżącą pode mną na plecach, zajęta mną w sobie, jej napinające się wargi i siebie samego, gdy mówię: „Jestem w tobie”.

„Teraz, Jarle - pomyślałem, przywierając do niej i kochając to, co się działo. - Teraz, Jarle, wszystko się ułoży”.

^[15] Fremskrittspartiet - konserwatywno-liberalna partia polityczna, znana m.in. z profilu populistycznego [przyt. red.].

W Pizdę Szatana Anarchokomando

oto ścieżka dźwiękowa twojej

transformacji społecznej

Doktor Kosmos

Członkowie Mathias Rust Band spotykali się co niedzielę w Kawiarni Akwarium w Folken, by naładować akumulatory przed wieczorną próbą. Najczęściej Helge i ja przychodziliśmy około piątej, później w okolicach wpół do szóstej zjawiał się Andreas, który przyjeżdżał prosto z Lassa, akurat by zdążyć wypić kawę z dolewką i spalić dwa skręty ze swojej paczki Eventyrów. To ja zacząłem ten rytuał, nalegałem, abyśmy nie tracili czasu w sali prób na gadanie o tekstach i innych rzeczach, a załatwili to przed podłączeniem sprzętu i jazdą z koksem.

Folken to było marzenie. Wielka miejska sala, gdzie jako dziecko chodziłem z mamą do kina na kreskówki, a jako dwunastolatek obejrzałem *E.T.*, sala, którą z czasem przerobiono na klub studencki, a w niedziele klub filmowy i najlepszą w mieście scenę koncertową. Nic nie mogło równać się z Folken. Tak samo uważał Andreas. W świecie Helgego Folken było jeszcze większym miejscem, które nie tylko reprezentowało film, piwo i muzykę, to był *Dom Ludu*. Nie tylko jedna z największych scen koncertowych w kraju, lecz także dom robotnika. To miejsce ściśle wiązało się z Walką. I to właśnie tam Mathias Rust Band miał pewnego dnia zagrać.

- Jasne - mawiał Helge. - Zagramy w Folken. Poczekaście tylko.

Spotkałem się z Helgem w centrum i niezbyt wiele słów zamieniliśmy ze sobą na wietrze w drodze do Kleiva. Znów skomentował moją grzywkę, zapytał, co robiłem w weekend, podjęliśmy też parę nędznych prób odnalezienia wspólnego tonu, bez skutku.

- To grasz w tygodniu w tenisa z tym całym Yngvem? - spytał.

- Nie wiem - powiedziałem i próbowałem wmówić sobie, że dam radę trzymać się z dala od Yngvego. Nie widziałem go od kilku dni i już na dobre zacząłem przekonywać siebie, że zniknął z mojego życia, z ciała, z głowy.

Gdy weszliśmy do Akwarium, Andreas siedział już przy jednym ze stolików, z filiżanką kawy i skrętem w kąciku ust.

- Kurwa - zaklął Helge. - Tak wcześnie? - Podszedł do baru i spojrzał na mnie. - Kawa?

Skinąłem głową i usiadłem koło Andreasa.

- No więc - odezwałem się.

- Ano - powiedział Andreas.

Andreas był świetnym facetem, ciężko przychodziło nam cokolwiek z niego wyciągnąć, ale był dobry, skromny, niekoniecznie nieśmiały, ale po prostu spokojny. Widziałem jednak, że coś jest na rzeczy.

Helge wrócił z filiżankami kawy, usiadł i wyjął paczkę Marlboro.

- No więc - zaczął. - Wszystko w porzo?

Andreas spojrzał na nas.

- No? - powiedziałem i wyjąłem kartkę z tekstem. - Coś się stało? Mam nowy kawałek, nazywa się „Olała mnie”.

Helge wyglądał sceptycznie.

- Kurna, zacniemy teraz grać piosenki miłosne? Kłopoty z Katrine?

Andreas spojrzał na nas. Odłożyłem kartkę.

- Co jest?

- Nie no... ee...

- Dokończysz wreszcie? - zapytał Helge.

- No, dostaliśmy propozycję występu - powiedział Andreas. - Jeśli chcemy.

Popatrzyliśmy z Helgem po sobie, poczułem, jak serce zaczęło mi bić szybciej. Propozycję występu? Gdzieś dla ludzi? *Mathias Rust Band miałby grać dla ludzi?*

- Jaja sobie robisz? - zapytał Helge głośno. - Dla ludzi? Tutaj w Folken?

- Nie, w Klubie Rekreacyjnym Hundvåg, oczywiście, jeżeli chcemy.

- Jaja sobie robisz? Jeżeli *chcemy*? Boże, musimy ćwiczyć! Wiedziałem, że to nastąpi, kto nas słyszał? Kurde, to właśnie mówiłem, powinniśmy ćwiczyć dwa razy w tygodniu! - Zapalił papierosa. - Kurwa! Gdzie to jest... tak, mówiłeś, w Hundvåg, tak. Kiedy?

- W sobotę - powiedział Andreas.

- W sobotę! Teraz? W sobotę?!

- Tak - potwierdził Andreas. - W sobotę.

Helge uderzył w stół.

- Kurwa! - Wyglądał, jakby w każdej chwili mógł stracić kontrolę. - W sobotę!?

- To za wcześnie - stwierdziłem bombastycznie. - Nie da rady. Nie jesteśmy gotowi.

- Zamknij się - uciszył mnie Helge. - Słuchaj, co facet ma do powiedzenia!

- Jest za wcześnie - powtórzyłem i od razu wyczułem napięcie narastające między mną a Helgem.

- Słuchaj go!

- Nie... - ciągnął Andreas. - Chodzi tylko o rozgrzewkę, bezpłatnie, oczywiście, i to tylko klub rekreacyjny, więc...

- Widzisz! - Helge spojrzał na mnie zirytowany. - Klub rekreacyjny, rozgrzewka, prawda, idealnie, jasne, że zagramy!

- Nie wiem - powiedziałem sceptycznie, czując, że przemawia przeze mnie zdenerwowanie. Miałem stać tam i wykrzykiwać teksty naszych kawałków, kiedy moim zdaniem nie byliśmy jeszcze gotowi? Czy Mathias Rust Band nie miał zadebiutować z hukiem, zaskoczyć całe miasto i stać się nową potęgą?

- Jak to w ogóle załatwiłeś? - zapytał Helge, spoglądając w podziwie na Andreeasa, który nigdy wcześniej nie był dla nas przedmiotem takiej uwagi, właśnie trwało jego pięć minut. Helge klepnął go w ramię. - Kurde, Anni, nieźle, co? Kto o nas usłyszał?

- No, taki koleś, ma na imię Ståle i chodzi do trzeciej w Svithun, to on...

Helge znów mu przerwał.

- Strømsvold?

Andreas skinął głową.

- Nie da rady - powiedziałem. Helge rzucił mi ostre spojrzenie.

- Strømsvold?! Do diabła, najlepszy gitarzysta w mieście! Jalla, to zaszczyt! Sam *Strømsvold* chce nas jako support! Słyszał nas!

- Ee... nie - poprawił Andreas.

- Nie? Nie, nie. - Helge był nieco rozczarowany. - To słyszał o nas.

- To ta kapela Hekkan? - zapytałem. Wiedziałem, kim są: chłopaki z Madla czy Ullandhaug, wokalista to wyszczekany facet z równoległej klasy w Kongsgård, a na bębnach grał młody koleś, trochę jazzowaty, imieniem Paal. Rock śpiewany w dialekcie, rock w stylu lat sześćdziesiątych o progresywnym zabarwieniu i popowych refrenach. Widziałem ich raz na dniu muzyki. Czy mogliśmy się z nimi mierzyć? „Tak, mogliśmy - chociaż nie umieliśmy grać, a oni działali dłużej od nas, to my mieliśmy nastawienie, którego im brakowało - pomyślałem - do tego nasze teksty są lepsze, prawda?”

Andreas i Helge spojrzeli na mnie. To do mnie należała decyzja. I wiedziałem, że właśnie tego potrzebowałem, aby naprawić swoje relacje z Helgem. Czułem, że nie mogę się

przeciwstawić, bo właśnie na to czekałem - żeby stanąć tam i zagrać z zespołem na żywo.

- Okej - powiedziałem. - Okej, zrobimy to.

- No, a co, kurwa, myślałeś? - Helge się zirytował.

Andreas się uśmiechnął.

- Jak to załatwiłeś? - powtórzył Helge.

- Grałem trochę ze Stålem w szkole, dla teatru szkolnego.

Helge otworzył szeroko oczy, a papieros zwisał mu z kącika ust. Andreas znów nas zaskoczył - czyżby on, nasz wstydlivy basista, grał ze Strømsvoldem? Popatrzyliśmy po sobie.

- Kurwa - powiedział Helge zdumiony.

- Usłyszał, że gram w zespole, i stwierdził, że super byłoby mieć support w Hundvåg. Ståle uznał, że to dobrze, że śpiewamy po norwesku, bo oni też - powiedział Andreas.

Helge wstał.

- To na co czekamy?

Andreas uniósł filiżankę do ust.

Helge szedł właśnie do drzwi.

- Anni, jesteś zajebisty. Pracujesz cholernie dobrze. Wolno, metodycznie. Cholernie dobrze. Musimy ćwiczyć!

W autobusie jadącym do Kvernevik powiedziałem, że istnieje jeden warunek, abyśmy mogli wykonać to zlecenie, zagrać nasz debiutancki koncert i to już za sześć dni, kiedy właściwie powinniśmy zaczekać dwa miesiące.

- Musimy ćwiczyć w tym tygodniu codziennie - oświadczyłem. - Pięć godzin dziennie, w przeciwnym razie nie mamy szans.

- Będziemy grać tylko dwadzieścia pięć minut - powiedział Andreas ostrożnie. - A mamy przecież czternaście kawałków i cover?

Odwrociłem się prędko.

- Anni, słuchaj, czternaście kawałków? Rzępolimy je strasznie, wiesz przecież, a nie mamy choćby jednego, który trwałby ponad trzy i pół minuty, większość trwa dwie i pół - wyjaśniłem. - Więc możesz policzyć sam, ile musimy dopracować.

- Koło ośmiu - powiedział Helge.

- I muszą być dopracowane - dodałem.

Helge spojrzał na nas zmartwiony.

- I gdzie w ogóle będziemy ćwiczyć? Mówiłem przecież, powinniśmy ćwiczyć częściej niż dwa razy w tygodniu! Sala prób jest zajęta przez cały tydzień!

- U ciebie w domu? - zasugerowałem. - W piwnicy?

Mathias Rust Band zaczynał swoją karierę w piwnicy Helgego, w pracowni ojca. Wpakowaliśmy tam Twin Reverb, wzmacniacz basu i bębny i zaczęliśmy nasze wrzaski bez mikrofonu i wzmacniacza mocy, więc nauczyłem się krzyczeć, nie słysząc, czy fałszuję. Ale po paru tygodniach ojciec Helgego powiedział, że tego cholernego hałasu nie da się wytrzymać. Albo będziemy ciszej, albo mamy znaleźć sobie inne miejsce na próby. Musiał zabierać do domu mnóstwo pracy ze związków zawodowych, nad którą siedział wieczorami, i twierdził, że średnio pasuje mu ten rejwach w piwnicy.

- Nie możemy wygłuszyć pokoju? - zapytał wtedy Helge.

- Wygłuszyć?

- Tak, wytłoczkami na jajka i kocami?

- Zapomnij - powiedział ojciec.

- Zapomnij - powiedział Helge w autobusie do Kvernevik. - W piwnicy? Myślisz, że ojciec się zgodzi? I dlaczego, kurna, akurat u mnie? - oburzył się, chociaż wiedział, że nie da rady u Andreasa, który mieszkał w blokach koło stadionu Lassa, albo u mnie, bo nasza piwnica była jeszcze niewykończona. Popatrzyliśmy na niego.

- Jeśli nie, to zostaniecie beze mnie - naciskałem Helgego.

- To załatwimy sobie nowego wokalistę - wkurzył się Helge.

- W takim razie nie będziecie mieć żadnych piosenek, może dwie - powiedziałem i zauważyłem, jak atmosfera gęstnieje, podczas gdy autobus jechał pod górę w stronę kościoła Revheim.

- Kurwa - zaklął Helge. - Kurwa, kurwa, kurwa.

- To zapytasz? - powiedziałem.

- Tak, tak, nie marudź.

Teraz Helge miał przed sobą zadanie. Musiał działać szybko. Potrzebowaliśmy nowego lokalu na poniedziałek wieczór o szóstej.

- A jeśli się nie da, to załatwisz inne miejsce na próby od poniedziałku do soboty - oznajmiłem. - Musimy też poćwiczyć w sobotę przed południem, przed próbą dźwięku.

- Boże! - powiedział Helge, kiedy Andreas ciągnął za sznurek, by zasygnalizować, że chcemy wysiąść. - Za to mam teraz odpowiadać? Nie stać nas na opłacenie sali prób przez cały tydzień, zwariowałeś?

- Dokładnie - potwierdziłem. - Dlatego musisz załatwić to z ojcem.

Wysiedliśmy z autobusu. Uśmiechnąłem się, gdyż zdałem sobie sprawę, że teraz znów jedziemy z Helgem na tym samym wózku - mieliśmy coś wspólnego, musieliśmy razem

zaplanować projekt, byliśmy sobie nawzajem niezbędni.

Helge zatrzymał się i wydobyl papierosa, po czym nagle spojrzal na nas:

- A sprzęt? Wzmacniacz?

- Weźmiemy, co mamy, a resztę pożyczymy od Stałego i ekipy - powiedział Andreas.

Przecieliśmy drogę, było już ciemno i zimno, a wiatr dął w nas, gdy zaczęliśmy schodzić w stronę schronu, gdzie ćwiczyliśmy. Nikt się nie odezwał. Serce tłuło mi jak oszalałe, Helgemu gotowało się w głowie, nawet Andreas szedł szybciej niż zwykle. Żaden z nas nie odzywał się, aż dotarliśmy do stóp wzgórza.

- Występ - powiedział Helge z dumą.

- Tak - przyznał Andreas.

- Teraz się zacznie - dodał Helge.

Tego wieczoru ćwiczyliśmy jak trio wystraszonych koni. Popędzaliśmy się nawzajem, podkreśliliśmy tempo wszystkich kawałków i chyba jeszcze mniej ze sobą współgraliśmy. Do wpół do jedenastej ustaliliśmy zestaw ośmiu piosenek z dwiema w zapasie, gdybyśmy mieli grać dłużej:

„Mielonym pod ścianę”

(Punkowy kawałek o tym, kto powinien znaleźć się pod ścianą podczas rewolucji, jedna z piosenek, którą napisałem razem z Helgem, pierwszy utwór MRB, o ile dobrze pamiętam. Refren leciał tak: „Mielone chodź tu / Pod ścianę bach i w dół”.)

„Zrób coś ze sobą”

(W tym samym stylu co pierwsza piosenka, prosta i szybka, zagrana na paru chwytach, mówiła o wszystkich, co tylko siedzą i nie mają życia, zdaniem autora tekstu, czyli mnie. W jednej ze zwrotek znajdował się fragment: „Całe twoje życie to kłamstwo z bingo i VG”. Kawałek podobał się Katrine.)

„W Pizdę Szatana Anarchokomando”

(Kompromis Helgego - mieliśmy grać tę piosenkę, dopóki nie zmienimy nazwy. Jako warunek postawiłem, że nie będę odpowiadał za tekst, ale mogłem śpiewać ją, o ile na koncertach wolno mi będzie mówić: „A teraz piosenka napisana przez Helgego”. Refren szedł tak: „W Pizdę Szatana Anarchokomando / Radarowo-Nazistowskie Siłowe Komando / Nie wiesz, co to jest / Ale to tu poczujesz / Nie uśmiechaj się tak więcej / Chcemy tylko twoich pieniędzy”. Może brzmiało to szczeniacko, jednak dzisiaj uważam ten tekst za lepszy od większości moich.)

„Mięso armatnie”

(Mój najambitniejszy kawałek i najdłuższy w repertuarze MRB. Mógł być dobry, ale

stał się śmieszną antywojenną piosenką, w której próbowałem wymieniać różne wojny w historii. Wszyscy w zespole lubili ten kawałek - Helge, ponieważ cały czas używałem w nim efektu fuzz, co przypominało mu Hüsker Dü, Andreas, bo był chwytliwy, a ja, bo miał przejście na 3 /4.)

„Teraz musi się coś stać”

(Przypuszczalnie ta piosenka Mathias Rust Band najlepiej przetrwała próbę czasu. Miała urywane zwrotki w stylu nowej fali, trochę funkowy bas i dużo fajnych przerywników na perkusji.)

„Laska z Ten-Sing”

(Sarkastyczny, by nie powiedzieć bezczelny kawałek, którego celem była kontynuacja myśli Marksa i pokazanie ludziom, że religia równa się niewoli i indoktrynacji, któremu humoru dodało skierowanie mojej napaści na pewną dziewczynę z Ten-Sing imieniem Trine. Mamie nie podobała się ta piosenka, kiedy zagrałem ją dla niej na gitarze akustycznej. - Nie musisz atakować ludzi - powiedziała, myśląc, że śpiewam o jakiejś znajomej. Ja też tak myślałem.)

„Che Guevara”

(Dość banalny hołd dla Che, nic specjalnego.)

„Wspólny śpiew pod masztem”

(Pomimo swojej bezgranicznej oczywistości nadal zdarza mi się czasem zanucić ten kawałek, była to antynacjonalistyczna, antimilitarystyczna i antyludowa piosenka, dla której punktem wyjścia stało się święto narodowe. Melodię miała dość pompatyczną, zmieszaną z nową falą, coś w stylu miksu wczesnego Alarmu, Clash anno 82 i Costello anno 77, jeśli miałbym odważyć się na porównania MRB z tak wspaniałymi ludźmi. Refrenowi nie zaszkodziłoby, gdybym dopracował tekst: „Flaga na maszcie powiewa / tłum wspólnie śpiewa / Nie wiesz, co robisz / lecz jak zawsze to lubisz”. Gdy graliśmy ten utwór na żywo, Helge nalegał, żeby w intro pokazać pozdrowienie nazistowskie. - To w końcu ironia! - mówił.

Dodatkowe numery:

„Ice cold ice”

(Cover Hüsker Dü.)

„Zabiłem rasistę”

(Wojownicza, półtoraminutowa piosenka na trzech chwytach, autorstwa Helgego, strasznie szybka, a jej cały tekst to „Zabiłem rasistę, było tak samo dobrze jak ostatnio”.)

- Dobry zestaw, co?

Helge uniósł kartkę, na której spisał utwory.

- Myślę, że dobry? - Andreas spojrzał na mnie pytająco.

Mathias Rust Band miał zadebiutować. Spojrzałem na listę. Wyglądała niesamowicie, chociaż przy „W Pizdę Szatana Anarchokomando” poczułem ukłucie niepokoju, ukłucie, do którego nigdy się nie przyznam, ponieważ wiedziałem, z czego się brało - człowiek jest tym, kim jest, a ja byłem, czy tego chciałem, czy nie, aspirującym do wyższej klasy członkiem drobnomieszczaństwa, który mocno wstydził się wypowiadać publicznie takie słowa. Mimo wszystko jednak sądziłem, że to świetne piosenki i piekielnie dobry zespół, byłem też przekonany, że po tej sobocie muzyczna scena w Norwegii nie będzie już wyglądała jak kiedyś. Ustawimy się teraz w szeregu, myślałem, za innymi dobrymi kapelami, a już niedługo znajdziemy się przed nimi, kurde, to takie dobre, tak dobre, że aż nie chce się wierzyć, i poczułem łaskotanie w brzuchu, szum w głowie i skroniach, bo teraz mieliśmy wyjść przed ludzi, mieliśmy grać, aż oczy wyjdą im na wierzch, aż zęby będą im dzwonić, aż wszyscy naraz dostaną ataku serca. Nie będzie Norwega, który nie znałby Mathias Rust Band, żeby tylko Norwega? Boże, ludzie ze szwedzkiej Skanii, z duńskiej Kopenhagi i fińskiego Österbotten, wszyscy rozumiejący choć słowo po norwesku będą delectować się MRB, jeszcze chwila, a mieszkańcy Luleå, Norrköping, Helsinek, Århus i Ølgod będą chodzić z przypinkami MRB, w koszulkach i bluzach MRB, a nasza muzyka, nasza energia nie tylko sprawią, że ludzie będą podskakiwać i śpiewać z nami, lecz także zmienią świat, oczywiście że tak, właśnie zbliżamy się do wolnej, sprawiedliwej i dobrej rewolucji, która uczyni parkowe służby porządkowe bohaterami, a akcjonariuszy przegranymi, która zaszczepi społeczeństwu antyautorytarny komunizm, która pokaże ludziom, że wolność wyboru nie jest dobrem, lecz złem, zwyczajnym synonimem wyzysku i kapitalizmu, a pewnego dnia, kiedy dobre społeczeństwo stanie się faktem, kiedy granice międzyludzkie zostaną zburzone, kiedy setki milionów kwiatów zakwitną na całej ziemi, ludzie pojmą, że właśnie to społeczeństwo nie jest wynikiem pracy wielkich organizacji, nie powstało dzięki ciężkiej pracy przy stołach negocjacyjnych czy dzięki siłom pokoju, nie dzięki NATO, nie, ono powstało dzięki szarym ludziom, a gdyby przenieść się w przyszłość, powiedzmy do roku 2080, do dobrego społeczeństwa, w lepsze czasy, aby zbadać historię dobra, okazałoby się, że jeden z wielu wątków prowadzi tutaj, oczywiście, kurna, że tak - tutaj, do sali prób w schronie w Kvernevik, parę kilometrów od centrum Stavanger, gdzie siedzi trzech siedemnastolatków grających w Mathias Rust Band, gdy po świecie hula wiatr i deszcz, i nie są to żadne, kurwa, marzenia, właśnie tak to działa, rzeczy tworzą spójną całość, skądś się biorą, wszystko wpływa na wszystko. Może myślisz, że jesteś sam? Może myślisz, że nic się nie liczy? Każdy twój krok się liczy, każdy najmniejszy krok, każde uniesienie palca, każde wypowiedziane

słowo coś za sobą pociąga, a to, co wydaje się małe, następnym razem może stać się wielkie, kiedy w przelocie mówisz coś innemu człowiekowi, nie wiesz, do czego to doprowadzi, a czegoś nie można osiągnąć, *wiedząc, co się mówi i robi?* Co? To nie magia ani mistycyzm, to czysty realizm - *czego nie można osiągnąć, wiedząc, co się mówi i robi.*

Wiedząc, że gra się w Mathias Rust Band, wie się też, gdzie to się skończy - w lepszym społeczeństwie.

Spojrzałem na nich.

Siedzieliśmy tu. Mathias Rust Band.

Helge Ombo - perkusja.

Andreas Utne - bas.

Jarle Klepp - gitara i wokal.

Mathias Rust Band.

- Kurde, nie mogło być lepiej - powiedziałem.

- Kurwa - odparł Helge. - Nie mogło.

- Jedna rzecz - dodałem. - Musimy grać „W Pizdę Szatana Anarchokomando”?

Nie mogę być w trzech miejscach naraz

miłość ma wiele podobieństwa z dziecięctwem:

jego brak zastanowienia, nierozwagę, rozrzutność

Balzac

Stał tam.

Tlen wyparował z mojego ciała, nerwy w przerażeniu ścisnęły się w kłębek, mięśnie nóg zmieniły się w wodę, gardło zawiązało się w supeł, oddech stał się urywany i czułem, że zaraz upadnę.

Tam stoi.

Nie usunąłem go ze swojego życia?

To fantastyczne, jak wiele można sobie wmówić. Jechałem do szkoły przekonany, że Yngve zniknął na dobre. Mama leżała chora w domu, co zdarzało się rzadko, o ile sięgałem pamięcią, od naszej przeprowadzki w 1988 opuściła tylko jeden dzień w pracy, jej zdrowie było równie silne jak ona sama, jak gdyby wewnątrz siebie posiadała znak zakazu powstrzymujący wszelkie wirusy, teraz jednak została w łóżku z zimową gripą. Byłem nieco zmartwiony, ale uspokoiła mnie, że mam po prostu iść do szkoły, że potrzebuje tylko paru dni, aby wyzdrowieć.

- Naprawdę, Jarle - powiedziała przed moim wyjściem. - Ja też mogę zachorować. Przejdzie mi. Idź już.

Więc wsiadłem na rower, gotów na dzień bez Yngvego, gotów na spotkanie z Katrine, z Helgem, moim kumplem, oraz dyskusje o weekendowym koncercie.

Jednak czy naprawdę sądziłeś, Jarle, że to, co pojawiło się w twoim życiu, chwyciło cię za serce i wstrząsnęło nim aż do zawrotów głowy, zniknie po jednym weekendzie z pizzą, filmem, seksem i nowiną o nadchodzącym występie?

Rzeczywiście tak myślałeś?

Przyjechałem dość wcześnie, jako jeden z pierwszych odstawiłem rower pod wiatę. Zapiąłem go i przeszedłem przez dziedziniec. Nad Breiavannet stało kilku uczniów, paląc

papierosy, a jakiś chłopak pił wodę z fontanny.

Jakiś chłopak pił wodę z fontanny.

Próbowałem się odwrócić, bezskutecznie.

Brazowy plecak zwisał poniżej czerwonej puchowej kurtki. Na głowie miał niebieską czapkę, ręce trzymał wzdłuż pleców, dotykały jego ud. Widziałem ściągnięte wargi zbliżone do tryskającej wody. Parę kropli nie trafiło do ust, więc uniósł dłoń, przetarł je palcami: wskazującym, środkowym i serdecznym, delikatnie poruszył tą częścią twarzy, jakby żuł, po czym policzki znów się zapadły.

Moje nogi szły do niego, z każdym krokiem widziałem go wyraźniej. Nie chciałem się do niego zbliżać, chciałem odejść przez żwir do schodów przy katedralnych murach, lecz nogi same ciągnęły mnie ku niemu i widziałem go coraz bliżej. Yngve. Zatrzymał się, w tej samej pochylonej pozycji, na dość długo, jak gdyby potrzebował dużo czasu, by się zastanowić, czy dalej pić zimną wodę, czy nie.

Spostrzegłem, że moja dłoń przeczesła włosy, poprawiła grzywkę, którą tego ranka zmierzwiłem, a nogi niosły mnie coraz bliżej. Byłem już tylko kilka metrów od niego i czułem, jakby kroki cofały mnie w czasie, wymazywały wszystkie działania ostatnich dni. Był znowu piątek, a Yngve nie był chory, nie opuścił lekcji, stał tutaj, dla mnie, a ja przyszedłem tu dla niego - patrz, Yngve, patrz, *tu jestem*.

Znalazłem się tuż obok, a on nadal stał pochylony przy fontannie.

Nie możesz tam po prostu stać, Yngve?

Nie możesz tak po prostu stać, abym mógł na ciebie patrzeć, po prostu być obok ciebie, na styczniowym chłodzie, podczas gdy świat żyje własnym życiem, gdy niektórzy śpią po drugiej stronie kuli ziemskiej, inni są w pracy, niektórzy prowadzą wojny, radzieccy przywódcy szukają pieniędzy, by uratować lokalną gospodarkę, Chińczycy walczą z dyktaturą, bezrobocie rośnie tak jak ceny ropy, EWG wspiera zjednoczone Niemcy, Barbara Stanwyck umiera, Ava Gardner umiera, polska partia komunistyczna zostaje rozwiązana, lekki wiatr dmucha przez ulice, słońce z wolna podąża w górę, a chmury płyną po niebie. Możesz?

Yngve przestał pić. Odwrócił się. Na jego twarzy nie było widać śladu zdziwienia, kiedy mnie zobaczył. Znów przesunął trzema długimi palcami po ustach i szeroko się uśmiechnął.

- Cześć.

Każda głoska, każdy dźwięk z jego ust zapadały w moje ciało. To on przede mną stał, Yngve, który miał zniknąć z mojego życia.

- Cześć, Yngve - wydusiłem z siebie.

- Ale ładnie wyglądasz - powiedział, spojrzawszy na moje włosy. - Ściąłeś się?

- Tak.

- Ładnie, całkiem inaczej - dodał.

Musiałem zebrać się w sobie, żeby się nie zdradzić. Zaskoczył mnie. Nie swoją obecnością, ale tym, że zrobił na mnie jeszcze większe wrażenie niż w poprzednim tygodniu. Myślałem, że to się skończyło, ale okazało się, że jest wręcz odwrotnie - ledwie się zaczęło.

- Nie było cię - zacząłem, zebrawszy się na odwagę, a w swoim głosie słyszałem dziewczynę obwiniającą chłopaka o spóźnienie na randkę. - To znaczy, w piątek. Byłeś chory?

Yngve przestąpił na drugą nogę, a jego wzrok stał się odrobinę niepewny.

- A tak, w piątek - powiedział. - Nie, trochę zaniemołem. Już mi przeszło.

- To dobrze - odparłem, myśląc jednocześnie, że muszę teraz przestać się tak gapić, nie można tak. - Dobrze - powtórzyłem. - To co, tenis w środę?

Yngve się uśmiechnął.

- Jasne. Nie mogę się doczekać.

Nie mogę się doczekać.

Nikt inny nie mówił jak Yngve. Nikt w moim wieku nie wypowiadał takich zdań, nie wypuszczał z ust tych prostych, dobrych słów.

Czasem wydaje mi się, że on żył poza czasem, może rzeczywiście tak było? Niektórzy ludzie zdają się opierać jakimkolwiek wpływom. Trudno mi to pojąć, ale sam tego doświadczyłem, a gdyby ktoś wypowiedział podobne twierdzenie w roku 1990, na najbardziej socrealistyczną modłę rzekłbym: „Nie ma mowy” i odwołałbym się do materializmu historycznego. Wyjaśniłbym, że człowiek to lep na muchy, że każdego z nas pokrywa warstwa kleju, zasysamy otoczenie, czy tego chcemy, czy nie, i poddajemy się wpływowi wydarzeń, okresu dorastania, historii sprzed naszego życia, geografii wokół nas. A Yngve? Niełatwo było znaleźć w nim przeszłość czy teraźniejszość. Boris Becker? Tak. Simon le Bon? Owszem. Ale cóż oni dla niego znaczyli, w porównaniu ze znaczeniem, jakie The Smiths czy Marks mieli dla takich osób, jak Helge i ja? Niewiele. Nic. Jakby to wszystko się od niego odbijało, a on stał sam, z uśmiechem na wykrzywionych w dół ustach, z długimi, białymi palcami dotykającymi warg, z wielkimi oczyma, i wypowiadał swoje proste, ponadczasowe zdania.

- Jalla!

Odwrociłem się. Helge szedł w naszą stronę prędkim krokiem. Wydawał się pełen

entuzjazmu, nawet nie omiółł wzrokiem Yngvego, a podszedł prosto do mnie, szturchnął mnie w brzuch i się uśmiechnął.

- Tak, zaklepane! - powiedział.

Spojrzałem na Yngvego, znów na Helgego i poczułem się jak kochanek przyłapany na zdradzie.

- E, tak... a co?

- No próby! Ojciec jedzie do Oslo od środy do piątku, na zebrania w radzie negocjacyjnej, więc wyklóciłem się też o poniedziałek i wtorek - Helge zaśmiał się, wyraźnie dumny z siebie. - Mocno rozdmuchałem sprawę, wiesz, powiedziałem, że chcę pokazać, że mogę tego dokonać, powtórzyłem to, co zawsze mówili mi rodzice, wiesz, że to rodzaj radości z pracy, że dzięki temu zyskam więcej chęci i energii do pracy, że bardziej przyłożę się do lekcji i tak dalej, trochę też ściemniłem, że sytuacja jest megaciężka, no i, kurna, Jalla, zaklepane!

- To dobrze - powiedziałem, ale nie udało mi się brzmieć entuzjastycznie.

- Dobrze? Dobrze? Jezu - odparł.

Odwróciłem się do Yngvego.

- Gramy w sobotę z zespołem koncert, pierwszy raz.

- Fajnie, mogę przyjść? - zapytał Yngve.

- Musisz przyjść - odpowiedział Helge, nim ja zdążyłem się odezwać. - Przyjdiesz i weźmiesz z sobą wszystkich znajomych, Mathias Rust Band w sobotę o ósmej w Klubie Rekreacyjnym Hundvåg... No tak, nie ma ich chyba zbyt wielu - dodał ze śmiechem.

- Nie, nie ma ich zbyt wielu - potwierdził Yngve. - Ale ja przyjdę.

Zadzwoił dzwonek. Helge poszedł do klasy, musiał poinformować o koncercie jak najwięcej osób. Popatrzyłem na Yngvego.

- To w środę? - powiedział pytającym tonem. - Czy może będziesz na próbie...?

„Kurwa” - pomyślałem, zdawszy sobie sprawę, że znalazłem się w potrzasku. Wymogłem na kumplach ostre próby co wieczór, kazałem Helgemu wykonać zwrot o 360 stopni, żeby załatwić nam miejsce do ćwiczeń, a teraz stałem tu i chciałem tylko zagrać w środę w tenisa z Yngvem, ale nie mogłem.

- Nieee - powiedziałem. - Da... da radę. Jasne, że zagramy. W tenisa, znaczy się. Jasne.

- Muszę już iść - powiedział. Dziedziniec zaczął pustoszeć, uczniowie wchodzili na pierwszą lekcję, minęło już za pięć wpół do dziewiątej.

- Ja też.

Tak bardzo chcę cię dotknąć, Yngve.

Yngve stał przez parę sekund, zanim powiedział „okej” i poszedł.

Czy przyglądał mi się dokładniej niż dotąd? Czyżby? Czy patrzył na mnie dłużej i poważniej przez te parę sekund, zanim wszedł do szkoły?

Gdy znalazłem się w klasie, nauczyciel nie wrócił jeszcze z pokoju nauczycielskiego. Helge gadał z Anitą i dwoma innymi dziewczynami, obok niego stała Katrine, która najwidoczniej dowiedziała się o koncercie. Helge zachowywał się, jakby werbował ludzi do rewolucji, użył czaru, z którego nigdy nie korzystał wobec dziewczyn będących w jego mniemaniu „krowimi łbami z cyckami”, wymazał wszystkie pogardliwe komentarze, jakie serwował im przez półtora roku, bo teraz musiały przyjść na koncert. Nie miał zahamowań. Napisał na tablicy:

ZRÓB COŚ ZE SOBĄ:
MATHIAS RUST BAND NA ŻYWO!
KLUB REKREACYJNY HUNDVÅG
SOBOTA 20:00

Katrine podbiegła do mnie i mocno mnie przytuliła.

- Świetnie, Jarle, będzie niesamowicie!

Nie mogłem przyjąć jej uścisku. Odsunąłem ją od siebie, chociaż nie chciałem, a ona wycofała się na parę metrów.

- O co chodzi?

- O... tatę - wyjaśniłem. - On... nie, powiem później.

Katrine wiedziała o moich problemach rodzinnych, więc taka wymówka zdała egzamin. Mogłem opowiedzieć jej o piątkowych odwiedzinach taty, udać, że nie zdążyłem wspomnieć o tym wcześniej, co było przecież prawdą, mogłem też dodać, że tak to na mnie wpłynęło, że nie byłem sobą i przez to zachowałem się trochę dziwnie, co już prawdą nie było.

Helge biegał przez cały dzień i werbował ludzi na koncert. „Jeśli mu się uda, to przyjdzie paręset osób” - pomyślałem i pozwoliłem mu działać.

Byłem niespokojny. Nagle dużym problemem stało się dla mnie, że stary Jarle, który grał w zespole i musiał codziennie ćwiczyć, zdawał się przeszkadzać Jarlemu Yngvego, który chciał - no właśnie, czego chciał? W każdym razie chciał grać w środę w tenisa.

Kiedy Katrine trochę później tego dnia oznajmiła, że nie może przyjść na tenisa, atmosfera jeszcze bardziej zgęstniała. Musiała iść na urodziny babci. Próbowałem ukryć swoją radość, swoje ogromne szczęście wywołane jej słowami.

- Głupio - powiedziałem. - To zostanę tylko z Yngvem.
- Nie wyglądasz, jakby ci było przykro - stwierdziła.
- Wcale nie! - zaprzeczyłem.
- Nie będziecie mieć próby?
- Ee... - zawahałem się. Co miałem powiedzieć? - Pewnie uda mi się to pogodzić.

Tylko Yngve i ja. Będę sam z Yngvem. Nie ma mowy, żebym tego wieczoru ćwiczył z zespołem, ni chuja.

Na dużej przerwie poszedłem z Helgem do domu kultury, tak mu się spieszyło, że ledwie pozwolił mi zatrzymać się w sklepie Torvets, gdzie wepchnąłem w siebie pół rogalą na ciepło z serem, szynką i przyprawami. Chciał skserować ulotki w bibliotece. W domu ułożył krótkie teksty reklamowe. Nie mogłem mu odmówić, chociaż wołałem poszukać Yngvego na dziedzińcu szkolnym. W drodze zobaczyłem go pod aulą. Stał z torbą treningową na ramieniu. Pomachał do mnie.

- On jest nieźle zryty - powiedział Helge.
- Tak - zgodziłem się fałszywie i nie odmachalem Yngvemu.

Po szkole poszedłem do Fåssen. Podczas przeglądania płyt przeliczyłem pieniądze w portfelu i zobaczyłem, że w sumie mnie nie stać, jeśli miałbym kupić nowe struny do gitary, a najlepiej dwa zestawy, tak jak powiedziałem. Ale czułem, że muszę, miałem silną potrzebę, by mu coś dać, sprawić Yngvemu prezent.

Co miałem mu kupić? Na pewno nic z rzeczy, których słuchaliśmy z Helgem. *Doolittle* Pixies? Zapomnij. *Skylarking* XTC? Za dziwne. Może coś bardziej z podwórka Katrine? Joni Mitchell? Suzanne Vega? Nie. Chciałem znaleźć coś prostego, co promieniałoby jak Yngve, a jednak szczególnego. Najlepiej coś, co mogłoby być nasze, co byłoby naszą płytą, wobec czego żaden z nas nie byłby ustosunkowany, co moglibyśmy wspólnie odkryć.

Poprzedniego tygodnia usłyszałem w radiu przed pójściem spać piosenkę nowego zespołu z Trondheim. Nie była to z pewnością muzyka, którą kupiłbym za aprobatą Helgego, ale może mógłbym kupić ją teraz? Pamiętam, że zespół nazywał się Tre Små Kinesere^[16], zwróciłem na to uwagę, bo człowiek w radiu wspomniał, że niektórzy z członków grali wcześniej w kapeli punkowej. W piosence wokalista śpiewał „Jestem małym mężczyzną z małego miasta w małym kraju”.

Podszedłem do faceta za ladą.

- Macie płytę Tre Små Kinesere, chyba dość nową?

Znalazł ją.

- Mogę posłuchać?

To był pop. Nieskomplikowane brzmienie, gitary akustyczne, fortepian, kontrabas, sporo niezłych chórków. Całkiem dobrze. Tak. To może być nasza płyta. Wybrałem piosenkę numer dwa. Była spokojniejsza niż pierwsza. Niemal trochę jazzowa, całkiem inna od muzyki, jaką lubiłem:

*Nikt nie wie kim
i nikt nie wie gdzie*

ale chyba tam jesteś?

Nikt nie wie czym

i nikt nie wie czemu

jesteś

Poczułem dłoń na ramieniu i odwróciłem się. To była Katrine. Przestraszyłem się i zarumieniłem, zdjąłem słuchawki. Przytuliła mnie.

- Kupujesz płytę? Mówiłeś, że idziesz prosto do domu?

- Noo, ja... nie mogłem się powstrzymać - odpowiedziałem. - Usłyszałem to w radiu w zeszłym tygodniu, czaderskie, nowy zespół, trochę popowy, ale cholernie dobry.

- Daj posłuchać - powiedziała Katrine.

Nie chciałem, żeby słuchała. Nie chciałem, by dowiedziała się o tej płycie, to miała być płyta Yngvego, nasza. Przerzuciłem parę piosenek do przodu, żeby nie poznała kawałka, którego właśnie słuchałem.

Katrine uśmiechnęła się, spojrzała na mnie, przez muzykę źle dostosowała poziom własnego głosu, więc krzyknęła:

- Fajowe, takie coś mi się podoba!

Musiała biec na autobus do Stokka, zauważyła mnie tylko, kiedy kupiła prezent dla babci u Braci Pedersen.

- Kup ją - powiedziała i dała mi buziaka. - Naprawdę.

- No, nie wiem... aż taka jest dobra? - próbowałem sprawiać wrażenie niezainteresowanego.

- Tak! Kup, to posłuchamy jej w weekend - rzuciła i wyszła.

Znów założyłem słuchawki, wróciłem do ścieżki numer dwa, nic więcej mnie nie ciekawiło, i usłyszałem śpiew Ulfa Risnæsa: „Dziś wieczorem będę w domu, chyba powinnaś już przyjść?”.

Kupiłem album *365 Fri Tre Små Kinesere*, ale nie dla Katrine. Miałem nadzieję, że zapomni o tej płycie. Bo nie będzie jej.

Próbę zaczynaliśmy już o szóstej, więc nie miałem dużo czasu. Musiałem zaraz wziąć się do nauki na czwartkowy sprawdzian z matematyki, opuściłem się z matmy, teraz już nawet moja trójka była zagrożona, a ambicja nie pozwalała mi na oceny poniżej trójki, to pewne, z pozostałych przedmiotów miałem same czwórki i piątki, prawie szóstkę z angielskiego. Trzeba było też coś zjeść przed wyjściem do Helgego. Poza tym musiała zawieźć mnie mama, bo chciałem podjechać do Kvernevik, żeby zabrać Twina. Czuję, że jestem w lepszej formie po zakupie podarunku dla Yngvego, na który będzie mógł patrzeć, myśląc, że dał mu go Jarle. To mi pomogło. Zbliżyło mnie do niego.

Mam wziąć prezent na tenisa w środę?

Jechałem po bruku w dół Kirkegata, Prostebakken, wzdłuż nabrzeża i do domu w Bjergsted.

- Cześć, mam, możesz zawieźć mnie na próbę o szóstej? - wszedłem do domu w Bjergsted. - Mam?

Zrzuciłem plecak, kopniakiem pozbyłem się butów, prędko przejrzałem się w lustrze i odwiesiłem kurtkę. Torebkę z płytą odstawiłem na podłogę.

- Mam? - powtórzyłem.

Wszedłem do salonu. Przed zielonym fotelem stał do połowy wypity kubek z kawą. Pośrodku podłogi para kapci, stojących dość daleko od siebie.

- Mam?

W kuchni na wierzchu stała deska do krojenia chleba. Leżał na niej krajacz do sera i nóż, na ostrzu widniały resztki masła.

- Mam?

To były drobiazgi, ale bardzo wyraźne dla kogoś, kto wcześniej ich nie widział. Mama zawsze dopijała kawę, porządkowała kubki. Rzadko chodziła w kapciach, a jeśli już, to później odkładała je na miejsce.

Nie było to alarmujące, w końcu mama miała gripę, ale chyba aż tak chora nie była? Wszedłem po schodach, już jej nie wołałem - może śpi? Cicho minąłem ostatnie skrzypiące stopnie w drodze do sypialni. Na pewno śpi, na pewno ma dużo pracy, jest chora, do tego chyba rozbiła ją piątkowa wizyta taty. Pewnie śpi. Ostrożnie pchnąłem drzwi i zajrzałem do

pograżonego w półmroku pokoju. Firanki zaciągnięte, ciężkie powietrze. Spojrzałem na łóżko. Leżała tam, pod kołdrą. Ledwie dostrzegłem tył jej głowy, jasne włosy na poduszce. Była odwrócona do ściany.

- Mamo? - szepnąłem. - Możesz podwieźć mnie do Helgego na próbę?

Ruszyła się pod kołdrą.

- Cześć, Jarle - usłyszałem.

Podszedłem do łóżka, usiadłem na brzegu, a ona spojrzała na mnie. Oczy miała zmęczone, całe jej ciało było bezwładne. Dawno nie widziałem mamy w takim stanie.

- Źle się czujesz? - zapytałem.

- Nie, jest dobrze. Tak, wszystko w porządku.

- Okej, to... wiesz, mamy próbę, koncert i... ale mogę jechać autobusem albo zadzwonić do Andreasa, na pewno pojedzie, albo matka...

Mama uśmiechnęła się.

- Odwiozę cię. - Ożywiła się, oparła się na łokciach. - Jest dobrze. Musisz chyba coś zjeść?

- Masz syrop na kaszel i tak dalej? - zapytałem, gdy schodziliśmy na dół.

- Nie, nie kaszlę za dużo, to bardziej głowa - powiedziała.

Po obiedzie mama odwiozła mnie na próbę. W drodze do wyjścia zatrzymała się i wskazała na torebkę z płytą, którą zapomniałem schować. Zobaczyła papier prezentowy.

- Kto ma urodziny?

- Ee... nie, to żadne urodziny, tylko Katrine - odparłem. - Chcę po prostu dać jej prezent.

Mama uśmiechnęła się.

- To miło. Wszystko w porządku?

- Co?

- To, o czym mówiłeś, uporządkowałeś tę sprawę?

- A tak, to - powiedziałem. - Tak, jestem oczywiście z Katrine, jesteśmy razem. To była bzdura. Już z tym skończyłem.

Wpadliśmy do Lassa i odebraliśmy Andreasa, zanim podjechaliśmy do Kvernevik po wzmacniacz basu i Twina. Mama nie odzywała się za dużo po drodze, Andreas nie mówił nic, a ja myślałem o Yngvem. Znow wróciła moja żołnierska postawa, lepiej kontrolowałem sytuację. Uda mi się. Będę ćwiczył, zagramy koncert, a Yngve przyjdzie nas zobaczyć, ja zaś w jakiś sposób zagram z nim w tenisa i dam mu prezent, chociaż odsuwałem od siebie ten problem, mówiąc innym, że nie przyjdę w środę na próbę.

Drzwi otworzył ojciec Helgego. Cały czas nie wiedziałem do końca, co o nim myśleć, był to wielki, silny mężczyzna mierzący prawie 190 cm, który lubił stawiać ludzi pod ścianą i rzucać wyzwania otoczeniu. Często zdawał mi się twardym i autorytarnym wydaniem Ragnhild. Mama nie przepadała za Trondem Ombo. Pochodziła z mieszczańskiego domu i chociaż już wtedy, ze sporą pomocą Ragnhild, zaczynała mieć coraz bardziej lewicowe poglądy, ten związkowiec reprezentował nieznaną żyć, a nadal tkwiły w niej pompatyczne komentarze taty o *socjalistach*.

- Idą mistrzowie jazgotu? - przywitał nas szorstko.

- Ano - odparłem.

Mama pomachała nam z samochodu, a Andreas wniósł ze mną sprzęt do korytarza.

- To masz coś to przekazania? - zapytał nagle ojciec Helgego w chwili, gdy on wchodził po schodach.

- Co? - Drgnąłem. - No, tak?

- Nie wygłupiaj się, tato - powiedział Helge. - Jasne, że mamy coś do przekazania, jesteśmy, kurna, zespołem politycznym. Jarle pisze teksty polityczne.

- Nie przeklinaj - skarcił go ojciec.

Ojciec Helgego odrzucał wszelkie formy wyrazu pozbawione jasnej treści, sprecyzowanych przekonań czy celów. Filmy, książki i muzyka służą określonej sprawie, nie są rozrywką. Sport to rozrywka, twierdził, chodząc na wszystkie mecze Vikinga. Był zagorzałym przedstawicielem pokolenia '68 ze stosownym poglądem na sztukę.

Znieśliśmy nasze rzeczy do piwnicy, a ojciec poszedł do salonu ze swoją związkową teczką. Matka była na zebraniu politycznym.

Zagraliśmy nasz koncertowy zestaw cztery razy, wkuwaliśmy przejścia, intra i zakończenia.

- Jutro robimy chórki - powiedział potem Helge, kiedy paliliśmy w salonie z ojcem.

- Wyjście jak potępieńcy - stwierdził ojciec. - To nie śpiew, to wrzaski. - Podszedł do swojej kolekcji płyt, dwumetrowego zbioru starych, zgranych płyt. - Posłuchajcie tego.

Włączył Cornelisa Vreeswijka. Andreas skręcił papierosa i napił się jeszcze kawy, a Helge wzruszył ramionami.

- Jutro chórki - rzekł i pochylił się do tyłu.

- Będzie dobrze w chuj - dodałem. - Anarchokomando pasowało dzisiaj jak ulał.

Helge i Andreas skinęli głowami.

- Kurde, jak ta dzisiejsza młodzież przeklina - powiedział ojciec i puścił oko. - Słuchajcie Cornelisa.

Cornelis Vreeswijk śpiewał: „Niektórzy chodzą w zniszczonych butach, powiedz, od czego to zależy?”.

Ojciec spojrzał na nas wymownie. Zgodność panująca w pokoju była większa, niż unoszące się w nim kłęby tytoniowego dymu, tkwiła w ścianach domu Helgego i miała kolor czerwony. Andreas aż tak bardzo nie podzielał zdania ojca Helgego, jednak ja znałem go wystarczająco długo, sam wstąpiłem też na tę radykalną ścieżkę, by rozumieć, że włączył tę piosenkę, ponieważ wszyscy znali odpowiedź: to różnice i siły klasowe sprawiają, że niektórzy mają znoszone podeszwy, a inni chodzą w drogich markowych butach. Wypuściłem dym i popatrzyłem na ojca Helgego, który się nakręcał. Niedługo regulacje płac. Rewolucje płac, jak mawiał Helge.

Mama spała, kiedy wróciłem do domu, spała też, gdy wstałem nazajutrz. Uchyliłem drzwi do sypialni i zajrzałem w półmrok. Moja matka leżała tam, ciało spokojnie unosiło się pod kołdrą. Uczucia nie zawsze są tak samo troskliwe, nie informują, że się zbliżają, zazdrość nie dzwoni wcześniej, by oznajmić: „No, wpadnę koło wpół do ósmej”, abyś ty mógł uzbroić się przeciwko temu mistrzowi umysłowego ograniczenia, który absolutnie musi ci się narzucić, nie robi tego również uczucie bezgranicznego przywiązania do innego człowieka, które pojawia się równie nagle. Mama spała.

Pozwoliłem jej spać, myślałem, że tego jej trzeba, po prostu się wyspać, żeby jej przeszło.

Babcia opowiada często o pani Hansen z Avaldsnesgata. Pani Hansen była matką czworga dzieci, miała męża pracującego na kolei, a sama całe życie zajmowała się domem. Z powodu poważnych problemów z kręgosłupem udała się do kliniki dziadka, gdzie babcia zajmowała się pielęgnacją stóp, kiedy jej dzieci dorosły na tyle, by radzić sobie samodzielnie. Pani Hansen była wielką, silną kobietą o jasnym głosie i świeżych policzkach. Zawsze zadbana, zawsze w czerwonej sukni, chociaż się jej nie przelewało, zawsze tak samo radosna i żywa. Gdy przychodziła do kliniki, babcia wiedziała, że ma straszne bóle, ale nigdy nie było tego po niej widać. Pani Hansen uśmiechała się, chwaliła pracę dziadka nad jej kręgosłupem i babci nad artrozą. „Jak tu przyjemnie” - powtarzała moim dziadkom, odwiedzając ich, chociaż wcale aż tak przyjemnie nie było, jak twierdzi babcia. Pani Hansen przychodziła do kliniki w Østervåg w Stavanger przez cztery lata z rzędu, raz w tygodniu, żeby w ogóle móc trzymać się prosto. „Najczęściej się nad tym nie zastanawiałam - mawia babcia - ale teraz wyraźnie widać, że nigdy nie mówiła o sobie”. Pani Hansen mówiła o innych, ale nigdy źle. Na piersi nosiła mały naszyjnik z krzyżem i opowiadała o swoich sąsiadach, o bratu, który był członkiem Partii Pracy, o swoim ojcu, byłym blacharzu. Mówiła też o dzieciach. O Henriku,

który w wieku pięciu lat zaczął grać na akordeonie. O Elisabeth, dziewczynie, która stale biegła po ulicach i flirtowała z chłopakami. O najmłodszym Fredriku, który był taki spokojny. O Lalli, najstarszej córce, która świetnie zajmowała się maluchami, prała ich ubrania, pomagała im w lekcjach. Podczas gdy dziadek ugniatał jej plecy, a babcia pielęgnowała stopy, pani Hansen z Avaldsnesgata w Storhaug leżała i opowiadała. „Tak, skąd mieliśmy wiedzieć - mówi babcia - przecież była taka żywa? Nie mieliśmy przecież pojęcia, że pani Hansen straciła wszystkie swoje dzieci, jedno przez alkohol, jedno przez raka, jedno w wypadku kolejowym, a ostatnie zostało zgniecione na śmierć w pracy przez dwa wielkie metalowe pręty. Skąd mieliśmy wiedzieć - mówi babcia - przecież pani Hansen sama nic o tym nie powiedziała, nigdy by tego nie zrobiła, tak samo, jak nie wspominała, że regularnie bije ją mąż. Pani Hansen z Avaldsnesgata w Storhaug. Świetna kobieta - mówi babcia - zawsze tak ładnie ubrana, z tak miłym spojrzeniem”. Nadal wygląda na dość zaskoczoną, gdy o tym opowiada, jakby niemal nie mogła uwierzyć, że właśnie tak było.

Gdy babcia mówi o pani Hansen, zawsze myślę o mamie i wszystkich ludziach spotykanych przez nią na co dzień, w pracy, w sklepie, wszędzie, gdzie się pojawia, którzy widzą w niej promień słońca, bo jest zawsze w dobrym humorze, zawsze ma dla innych ciepłe słowo i nigdy nie powie nic złego o swoim życiu. Moja matka, która nigdy nie choruje, nigdy nie daje się pokonać.

Wtorek przyszedł w szalonym tempie. Helge ciągnął mnie na każdej przerwie po całej szkole, później do miasta po odbiór przypinek MRB, które kazał zrobić, zlecił Katrine rozdawanie ulotek. Gadał z redaktorem szkolnej gazetki, wymusił na nim recenzję sobotniego koncertu - „Ile zespołów z tej szkoły gra na żywo?”. Uwijał się jak w ukropie, starał się jak mógł, dał z siebie wszystko dla MRB, a ja się go trzymałem. W zasadzie chciałem tylko spokojnie i po cichu odejść do Yngvego, może gdzieś z nim uciec, usiąść na ostrym chłodzie na ławce nad Breiavannet, ale oszacowałem sytuację - jeśli teraz zostanę z Helgem, będę robił wszystko, czego on zechce, zyskam nieocenione dodatkowe punkty, kiedy będę musiał jutro opuścić próbę.

Yngve stał sam pod drzwiami, a ja z Helgem szedłem w stronę domu kultury. Uśmiechnąłem się do niego, ale mnie nie widział. Stał tak samo jak w tamten piątek, gdy go poznałem. Sam, z oderwanym od świata uśmiechem, z twarzą zwróconą ku chmurom. „Jest zawsze sam - pomyślałem - sam i piękny”.

Po szkole miałem z Helgem do załatwienia inną istotną sprawę. Ziolo.

- Nie możemy, kurwa, pierwszy raz zagrać na żywo i nie uczyć tego trawą! - stwierdził Helge.

- Nie, nie, jasne - zgodziłem się. - Ale nie upał się, kurwa, na koncert, bo będzie posprzątane, okej?

- Myślisz, że jestem zupełnie tępy? - powiedział Helge i wskazał drogę w górę Storhaug. Szliśmy do Stegasena, który rzekomo mieszkał na Nedstrandsgata. Nie wiem, jak Stegasen naprawdę się nazywał, może Steinar? Stian, a dalej coś na G? Nie spotkałem go wcześniej, ale zdaniem Helgego sprawa była jasna. Zrobił z nim już deal i mieliśmy jedynie podejść do niego po szkole.

- Nie tylko ma dobry towar, ale ma *ziolo*, no nie? *Dobre ziolo*, kurwa. Wiesz, jak ciężko jest je załatwić, co? - zapytał Helge, jakby był autorytetem w tej dziedzinie, chociaż w rzeczywistości palił może pięć, maksymalnie dziesięć razy i właściwie nic sam wcześniej nie kupował.

- No, no, kurwa! Ziolo! - powiedziałem.

W 1990 gandy nie była tak łatwa do zdobycia jak teraz, marychę kojarzyło się z festiwalem Roskilde. Dzisiaj trawę można znaleźć w tym mieście wszędzie, wystarczy wyciągnąć rękę i napełniać kieszenie zielskiem.

Helge wydobyl z kieszeni kartkę, na której widniał napis „Nedstrandsgata 32”.

- Boże. - Rozejrzałem się wokół przerażony. - Zapisales to? Chcesz, żeby ludzie poznali adres?

Helge zaśmiał się nerwowo i przedarł kartkę na pół.

Dotarliśmy do dużego, klasycznego domu ze Storhaug - dwa piętra, strych, piwnica i ładny ogródek. Biały drewniany dom z okresu międzywojennego z otwieranymi do wewnątrz oknami z lat sześćdziesiątych.

- Tak - powiedział Helge, pewien siebie. - Tak, to tutaj, pamiętam.

- Byłeś tu już?

- No, raz na imprezie.

- Na imprezie? - Spojrzałem na niego podejrzliwie. Na jakich imprezach bywał beze mnie? - Kiedy?

- Jezu, no po prostu na imprezie!

- Okej - uciałem. - To zadzwoń.

- Spoko, spoko. - Helge wszedł po schodach do wejścia.

Minęła chwila. Nikt nie otwierał. Spojrzałem na Helgego pytającym wzrokiem, ale on tylko wyciągnął dłoń na wysokość biodra w uspokajającym geście. Wtedy usłyszeliśmy kroki. Helge posłał mi spojrzenie pod tytułem „Jesteś teraz zadowolony?”.

Drzwi otworzyły się i stanęła przed nami kobieta pod sześćdziesiątkę. Drgnąłem.

Helge miał błędny wzrok.

- Ee... jest Stegasen?

- Kto?

- Stegasen, no, w sumie to nazywa się... Stig.

- Nie, nie mieszka tu żaden Stig - odpowiedziała.

- Okej, to pomyliliśmy drogę - stwierdził Helge.

Zamknęła drzwi. Spojrzałem na niego.

- Co to, kurwa? Nie wiesz, gdzie on mieszka?

- Nie, pewnie, że wiem, musiałem się pomylić, te wszystkie domy w Storhaug są po prostu masakrycznie podobne jeden do drugiego!

Rozejrzałem się. Miał rację. Wszystkie ulice wypełniały białe domy z okresu międzywojennego, wszystkie drewniane, prawie wszystkie bez ogródków, prawie wszystkie z otwieranymi do wewnątrz oknami.

- Kurwa, Hegga, przecież miałeś to zapisane!

- Wyluzuj, do chuja - Helge odciągnął mnie z chodnika pod domem numer 32.

Kobieta, która nam otworzyła, stała w oknie na parterze i patrzyła na nas. Helge uśmiechnął się i jej pomachał.

Poszliśmy dalej ulicą.

- Okej, dawaj. Co wiesz?

Helge spojrzał na mnie. Zatrzymał się.

- Okej.

- No? Wiesz, jak się nazywa?

- Stegasen.

- Nie jak ma na imię, to znaczy... znasz jego prawdziwe imię?

Helge pokręcił głową.

- Świetnie. Boże. A nazwisko?

Helge pstryknięciem wydobył z kieszeni Marlboro, zapalił je i potrząsnął głową.

- Do chuja pana, Hegga, to co wiesz?! Nie możemy przecież łązić tak w kółko po Storhaug i bawić się w psy gończe!

- Okej. - Helge wciągnął dym. - Wiem, że nazywa się... no, Stegasen, że mieszka na Nedstrandsgata, pod trzydziestym drugim albo przynajmniej coś z dwójką i że to biały dom. Kurde, to nasza jedyna szansa, czaisz? Chcesz to zioło, czy chcesz umrzeć bez szacunku do samego siebie?

Coś z dwójką. Biały dom. Nedstrandsgata. Uroczo.

- Nie byłeś tam, co?

Helge pokręcił głową.

- Nie, ale... wiem, kim on jest, rozmawiałem z nim. Ze Stegasenem.

Wziąłem od Helgego fajkę i rozejrzałem się.

- A ten numer, skąd masz?

- Jeden znajomy mi podał, a ja go zapisałem po powrocie do domu, myślałem, że to trzydzieści dwa, ale... to nie ten. Może sześćdziesiąt dwa?

- Może czterdzieści dwa? - powiedziałem pogardliwie.

- Okej. Co najbardziej przypomina trzydzieści dwa - zaczął Helge. - To znaczy, brzmieniowo.

- Czterdzieści dwa - odpowiedziałem. - Nie dwa, nie dwanaście, ee...

- Pięćdziesiąt dwa, jakby spojrzeć na „dzieś”, a nie na resztę... - próbował Helge, ale się rozmyślił. - Nie, nie pięćdziesiąt dwa, to „pięć” nie pasuje.

- To chore - rzuciłem, idąc przed siebie ulicą. - Rozejrzyj się!

- Nie, nie, patrz dalej. - Helge był w doskonałym humorze. - Słuchaj, na pewno nie ponad sto, bo bym zapamiętał, i nie dwanaście ani dwa, no nie? A zatem całkiem możliwie dwadzieścia dwa, zapewne czterdzieści dwa, może sześćdziesiąt dwa, siedemdziesiąt dwa już raczej nie, za mało podobne, ani osiemdziesiąt dwa i dziewięćdziesiąt dwa, no nie? Chyba nie dziewięćdziesiąt dwa, jak myślisz?

- Helge - powiedziałem. - To zadzwonimy do trzech domów. I zapytamy o Stegasena z Nedstrandsgata.

- Ano.

- Boże. Hegga! Myślisz, że Stegasenowi się to spodoba? Że snujemy się po jego okolicy i wypytujemy o niego, przecież to śmierdzi na kilometr!

Helge kopnął zirytowany ścianę.

- Kurwa!

- Spadajmy stąd, a dowiemy się kiedy indziej i wtedy to odbierzemy?

- Ach... nie, kurwa, zróbmy to, zadzwońmy lepiej do drzwi.

Rozłożyłem ręce.

- To cholernie debilne, mistrzowsko debilne.

Wróciliśmy na początek ulicy i zaczęliśmy od numeru dwadzieścia dwa. Dom był podzielony, więc musieliśmy zapytać w dwóch miejscach. Czadowo.

Otworzył nam mały chłopiec, a Helge i ja spojrzeliśmy po sobie.

- Twój tata jest w domu? - zapytałem, a Helge prędko szturchnął mnie w plecy i dodał:

- Poczekaj, ja to załatwię. - Przykucnął i spojrzał na chłopca wzrokiem kumpla: - Posłuchaj, ty i twój tata nie macie tu takiego sklepu? Sprzedajecie może jakieś przyprawy czy coś?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Nie? Twój ojciec nie nazywa się Stegasen albo Stian, czy jakoś tak?

- Nie, tata nazywa się Gustav - odparł chłopiec. - Jest cieślą.

Zadzwoniliśmy do drugich drzwi, podpisanych „Kydland”. Na szczęście nikt nie wyszedł.

- Okej - powiedział Helge. - Zostały dwa. Czterdzieści dwa czy sześćdziesiąt dwa?

- Nie, sam wybierz - powiedziałem.

- Czterdzieści dwa - zdecydował Helge. - Posłuchaj: trzydzieści dwa, czterdzieści dwa, trzydzieści dwa, czterdzieści dwa, w chuj podobne.

Owszem, były całkiem podobne.

Weszliśmy w ulicę biegnącą przez Storhaug w dół, w stronę Rosenli. Doszliśmy do domu. Był biały, jak trzeba. Ale pojawił się problem. Helge i ja spojrzeliśmy po sobie.

- To nie może być, kurna, tutaj! - szepnąłem. - Koło szkoły! Zaraz obok szkoły Nylund! Nie ma mowy! Boże!

Helge ocenił sytuację. Zerknął na wielki, żółty budynek stojący ścianę w ścianę z białym domem numer czterdzieści dwa. Tuż obok znajdował się szkolny dziedziniec, gdzie bawiły się dzieci.

- Hegga! *No way!*

Pokręcił głową.

- Racja. Sześćdziesiąt dwa, to sześćdziesiąt dwa.

Poszliśmy dalej. Na skrzynce pocztowej numer sześćdziesiąt dwa widniał napis „Stiansen”. Dom był również jak należy - biały z otwieranymi do wewnątrz oknami. Helge popatrzył na mnie z tryumfem. Odetchnąłem spokojniej. Stiansen, no jasne. *Stegasen. Stiansen. Trzydzieści dwa. Sześćdziesiąt dwa.*

- No to sześćdziesiąt dwa! - powiedział Helge i zadzwonił.

Ze środka dobiegło nas ujadanie psa.

- Jasne, że ma psa - dodał. - Ćpuni mają psy.

Zacząłem się denerwować, w co takiego wplątał mnie Helge. Wyobraziłem sobie ostrych narkomanów z bronią palną i psami.

W drzwiach stanął wyrośnięty mężczyzna z brodą.

- Stegas? - zapytał Helge.

- Kto?

- Mieszka tu Stegasen?

- Kto?

Znów to samo. Pomyłka. Kiedy wyszliśmy na ulicę, powiedziałem Helgemu, że nie chce mi się więcej.

- No i gdzie to? Teraz sam sobie chodź i dzwoń, to zbyt żenujące, okej?

Helge nie dawał za wygraną. Jeśli w Storhaug była gdzieś trawa, on ją zdobędzie.

- To czterdzieści dwa - spojrzał na mnie z powagą. - Kurwa, co sądzisz?

- Nie! Nie, nie, nie! - powiedziałem poirytowany. - Nie będzie przecież sąsiadował ze szkołą, ocipiałeś?!

- Słuchaj, uspokój się. Czy jest coś bardziej genialnego niż handlowanie prochami w sąsiedztwie komisariatu? Jasne, że to czterdzieści dwa! Jasne! Nikt nie będzie miał podejrzeń!

- Helge popatrzył na mnie z tryumfem.

- To cholernie głupie - skomentowałem. - To cholerny... nonsens w stylu braci Hardy. Kurwa.

Helge był już w drodze. Szedł pod numer czterdzieści dwa. Wkurzony poczłapałem za nim. Nie dało się tego powstrzymać. Boże. Obok szkoły. W sąsiedztwie szkoły. Helge podszedł do domu. Na szczęście na dziedzińcu nie było dzieciaków.

Stałem w sporej odległości od niego i zapaliłem fajkę. Spojrzałem na zegarek. Czwarta. Jezus. Szukać trawy w środku pory obiadowej. „To nie tak, tutaj biegnie pieprzona granica - pomyślałem - nie będę brał w tym udziału, wypiję w sobotę piwo, Boże, a Yngve. On nigdy by na coś takiego nie wpadł, Boże, w sobotę wypiję piwo”.

- Jalla!

Spojrzałem na dom. Helge stał na schodach numeru czterdzieści dwa i machał intensywnie rękami. Rozejrzałem się ukradkowo, zerknąłem na dziedziniec szkolny, żeby sprawdzić, czy jakieś dzieciaki nie grają w baseball lub hokeja na trawie, ale na szczęście pogoda była zbyt kiepska. Westchnąłem i podszedłem do niego. Nagle poczułem w brzuchu, że właśnie robimy coś nielegalnego, i skuliłem się w sobie.

- To tutaj - powiedział, po czym weszliśmy do środka. - Nic nie mów - szepnął zaraz potem.

- To znaczy?

Wewnątrz stał chudy facet około trzydziestu pięciu lat. Wyglądał dość zwyczajnie. Poza tym, że był chudy, miał zapadnięte policzki i skronie oraz nieco wystającą grdykę.

- To Stegasen - wskazał Helge. - Jarle - wskazał na mnie.

Stegasen skinął głową. A po chwili spoważniał.

- Okej. Jedna sprawa. Nikt nie będzie przyłaził mi do domu i pytał o trawę, okej? - Stegasen zbliżył się. - Nie mam pojęcia, jak na to wpadliście, że możecie tu tak po prostu przyjść i kupić trawę, bo tak się absolutnie nie da, kumacie?

Był spokojny, ale strasznie surowy. Helge uśmiechnął się nerwowo.

- Helge, przecież mówiłeś...

- Zamknij się - uciszył mnie Helge.

- Ile chcecie? - zapytał Stegasen.

Helge skinął do mnie głową.

- Jak myślisz? Może za paręset koron - zaproponował Helge, czym wykazał się brakiem doświadczenia. - Będzie okej?

- Nie pytajcie mnie, kurwa, ile spalicie - powiedział Stegasen z rezygnacją. - Boże, przekłete bachory. Dobra. Dwie sekundy.

Wszedł po schodach po rzeczy.

- Boże, Hegga! - odezwałem się. - Co ty odpierdalasz?

- Siedź cicho - szepnął Helge. - Wyjaśnię później.

Gdy Helge wziął od niego torebkę i zapłacił, Stegasen nagle chwycił go za kołnierz i przycisnął do ściany. Wpatrywał się w Helgego.

- Rozumiesz? - powiedział spokojnie. - Kumasz?

Helge skinął głową.

- Tak, tak, jasne.

Dwie minuty później odeszliśmy stamtąd jako świeżo upieczeni przestępcy ze sporą torebką zielonej, magicznej trawki w kieszeni. Helge pękał z dumy. Śmiał się, że chciał mnie tylko nastraszyć i miał całkowitą przewagę, a w jakiś sposób trzeba przecież nawiązać osobisty kontakt, wyjaśnił też, że tylko słyszał o tym Stegasenie z Nedstrandsgata od kogoś z trzeciej, że nigdy nie był tam na imprezie, tylko zaryzykował, nigdy nie widział faceta na oczy.

- Boże, wiadomo, że nie można tak sobie zapukać do czyichś drzwi i zażądać ziola! Masz mnie za idiotę? Jednak czasem trzeba zaryzykować! A teraz mamy człowieka, jakiś kontakt tutaj. - Helge mówił, jakby planował w krótkim czasie stać się ostrym narkomanem, a chcieliśmy przecież tylko się upić, naćpać i powyglupiać.

- To żeś przykozaczył - szturchnąłem Helgego w plecy.

Zaśmiał się.

- Ano.

- A tak w ogóle - dodałem, gdy szliśmy w stronę miasta, nakręceni na maksa, chociaż

jeszcze nie zdążyliśmy nic zapalić - dlaczego to koniecznie musi być marihuana, czemu nie mogliśmy załatwić zwyczajnego haszu, przecież tak byłoby łatwiej?

- Boże. - Helge popatrzył na mnie jak na debila. - Słuchaj, wolisz Eltona Johna czy Pixies?

Skinąłem głową.

- Czaję - odpowiedziałem.

Kiedy wróciłem z wycieczki po trawę, mama nie leżała w łóżku, siedziała przy kuchennym stole, z okularami na nosie, w dużym starym swetrze. Przed sobą miała sterty papierów. Uprzątnęła je, gdy wszedłem.

- Muszę niedługo znów iść - oznajmiłem, nie spojrzawszy, czym się zajmuje. - Lepiej już?

- Aha - odparła mama. - Jest dobrze.

- Co robisz?

- Nic... to tylko PIT.

Otworzyłem drzwi do lodówki. W środku ujrzałem pustki.

- Nie byłeś na zakupach? - wyjąłem karton mleka. - Jesteś przecież chora... chyba masz czas na zakupy, co?

- Jarle - mama zabrzmiała surowo, dawno nie słyszałem jej aż tak surowej. - Czasami jesteś bardzo bezmyślny, wiesz?

Odwrociłem się.

- Sorry. - Spojrzałem na nią z rezygnacją. - To było ostre, chciałem tylko powiedzieć, że chyba będziemy jeść. Prawda?

Mama westchnęła, zebrała papiery do teczki i popatrzyła na mnie. - Tak, będziemy. Możemy zrobić po prostu omlet czy coś?

- Odwiesz mnie? Na próbę, później?

Mama wypuściła powietrze.

- Tak, odwiozę cię.

- Dobrze! - Uścisnąłem ją. - Idziesz jutro do pracy?

- Otworzysz puszkę z szynką? - zapytała i wyjęła jajka z lodówki. - Zrobimy coś prostego.

Ojciec Helgego nie był tego wieczoru w równie dobrym humorze co poprzedniego dnia. Tupał w podłogę, gotował się w salonie, więc nie mieliśmy szans, by zapalić z nim i pogadać po próbie. Ale robiliśmy postępy, zaczęliśmy wierzyć, że naprawdę możemy dać dobry koncert.

- Jeszcze cztery próby i zagramy tak, że kutasy poopadają im w tym całym Hekkanie - stwierdził Helge, odłożywszy pałeczki po ostatnim odegraniu „Mięsa armatniego”.

Była jedenasta, daliśmy sobie spokój.

Helge odwrócił się do Andreasa.

- To co, jutro? O szóstej?

- Pewnie - odpowiedział Andreas.

Środa. Jak mam z tego wybrnąć?

Nie mogłem być w dwóch miejscach naraz. Plan był taki: powiem Katrine, co wydarzyło się w weekend z tatą. Zrobię to na pierwszej przerwie. Wybiorę taki moment, żeby ona i Helge mieli wrażenie, że przez pierwszą lekcję cierpiałem. Pozyskam współczucie, wzbudzę w nich niepokój. Później wezmę Katrine na bok, powiem, że cierpiałem z powodu taty. Zgodnie z planem okaże mi zrozumienie, pocieszy mnie, jak dorosła posłucha uważnie tego, co jej wyznam. Następnie pozwolę nieprzyjemnej atmosferze gęstnieć w ciągu dnia, Helge będzie cały czas się tylko przyglądał, słyszał urwane zdania, widział, jak Katrine mnie chroni, aż wreszcie poproszę o zwolnienie z ostatniej lekcji, a w drodze do domu podejść do Helgego i powiem:

- Hegga, wiem, że wyszło chujowo i że musimy ćwiczyć, ale musisz dać mi dzień przerwy, nie da się, nie dam rady zebrać myśli. Chodzi o tatę.

I Helge zrozumie. Pewnie się wkurzy, ale zrozumie. A ja obiecuję mu, że w czwartek, piątek i sobotę zobaczy, jak gram i śpiewam z szaloną energią, i zrozumie, że ten jeden dzień wolnego, ta środa, pomogła, a nie zaszkodziła zespołowi.

Prawda, Helge?

To mogło zadziałać. Ano. Zadziała.

„Tak. Będzie dobrze - pomyślałem, wyszedłszy spod prysznic w środę rano. - Mogę dziś wieczorem zagrać z Yngvem w tenisa”.

Gdy zszedłem do kuchni, mama już tam była. Ucieszyłem się, gdy zobaczyłem ją na nogach. Wyglądała lepiej niż przez ostatnie dni.

- Dzień dobry, mamó, wstałaś? Zdrowa?

Spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się, ale nie zwyczajnie i bez troski. Uśmiechnęła się z powagą.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Jarle - zaczęła. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Aha - odparłem i usiadłem. Mama wstała, zaczęła wyjmować jedzenie z lodówki, mleko i składniki do kanapek, pokroiła chleb. - Co jest? - zapytałem znów.

Mama ustawiła jedzenie na stole. Spojrzała na mnie poważnie.

O co chodzi? Zacząłem się denerwować. Czy ktoś umarł? Babcia! Czy coś stało się babci? Co to ma znaczyć? Katastrofy kłębiły się w mojej głowie.

- Co jest, mammo?

- Nie bój się, bo to nic... - zaczęła.

- Co jest, mammo?

- Straciłam pracę - powiedziała.

Przeraziłem się.

Straciłaś pracę? Co to znaczy? *Straciłaś pracę?*

- Straciłaś pracę, to znaczy... co?

- Tak. Bærheim poprosił, żebym zrezygnowała - wyjaśniła.

Poprosił, żebyś zrezygnowała?

Wiedziałem, że ludzie tracą pracę, wiedziałem, że są zwalniani, codziennie piszą przecież w gazetach, że zbliżamy się do poziomu bezrobocia reszty kontynentu - ale stracić pracę? Nie znałem nikogo, kto stracił pracę. Coś takiego kojarzyło mi się z ojcem Helgego.

- Kiedy? - spytałem słabo i próbowałem się pozbierać.

Mama usiadła.

- Dowiedziałam się w piątek.

- W piątek? Dlaczego nic nie mówiłaś? W *piątek?*

Teraz ją zobaczyłem. Przez ostatni tydzień niespecjalnie przyglądałem się mamie, za bardzo byłem zajęty sobą, Yngvem, zespołem i tatą, by zobaczyć, że mam przed sobą matkę, którą uderzono w twarz. W tej samej chwili przypomniałem sobie wszystko, do czego wcześniej nie przykładałem wagi - że prawie nie jadła podczas posiłków, że wcale nie chorowała, że cały weekend przechodziła w tych samych ubraniach, że w sobotę rozwiązywała krzyżówkę w VG, jak uległa i niepodobna do siebie była podczas piątkowej wizyty taty i czy nie słyszałem też, jeśli miałbym się zastanowić, jak nocami chodziła po domu?

- Ale mammo - powiedziałem. - To... dlaczego?

Ścisnęła dłonie.

- Noo... poprawa wydajności, oszczędności, sam wiesz. Rynek jest pod presją. Trzeba więcej zarabiać, a ja nie jestem młoda, nie mam niezbędnych... - urwała. Zagryzła wargi.

- Ech. - Nic więcej nie potrafiłem powiedzieć.

- To... - zaczęła zdanie, którego nie dokończyła, po czym ciężko wciągnęła powietrze przez nos i spojrzała w sufit. - Tak tak, ale będzie chyba w końcu dobrze.

- Co rozumiesz przez „dobrze”?

- Nie no, powiedzieli, że mogę dostać tę pracę z powrotem, są ciężkie czasy, wiesz, Bærheim, Hellvik i Bø to zdolni ludzie, wiedzą, jak sobie z tym poradzić. Tak, właśnie to powiedzieli, że może dostanę pracę z powrotem, kiedy ten okres minie. W każdym razie mają wspomnieć o mnie dobrym słowem swoim starym kolegom z Amoco, więc... może tam wrócę?

Mama uśmiechnęła się. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- No, więc siedzę tak i przeglądam papiery, czytam gazetę i... - Mama podała mi kartkę. - Zobacz, jakie ładne referencje wystawił mi Bærheim. Co? Aż za bardzo mnie chwala.

Znów się uśmiechnęła. Przyjąłem kartkę bez słowa. Przeczytałem, jak ją wychwalają, jednocześnie dając jej kopniaka w tyłek. W głowie słyszałem głos Helgego, wszystkie jego historie o bezwzględnej kulturze firm, o ludziach traktowanych jak śmieci.

- Ładnie mówią o twojej matce, co?

- Tak, ale... - Spojrzałem na kartkę. - Ale mammo... nie możesz chwalić tych cynicznych kapitalistów, którzy ci to zrobili!

- Nie mów tak, Jarle. - Spojrzała na mnie karcąco. - Im też jest trudno, przecież firma jest zagrożona, a oni ciężko pracują, by wyjść z opałów.

Podszedłem do kuchennego blatu. Oparłem się i wyjrzałem przez okno. Próbowałem pojąć, co się stało.

- Nigdy nie miałam z nimi żadnych nierozstrzygniętych sporów - usłyszałem ją. - To oni dali mi tę szansę, wiesz, i dobrze mnie traktowali.

- Dobrze cię traktowali?! Mammo! Posłuchaj, co mówisz. Zostałaś wylana!

Mama przerwała mi:

- Jarle. Nie rozumiesz tego. Ktoś musi... - szukała słów. - Tak, musieli przeprowadzić jakieś cięcia, a oni są przecież ważniejsi niż ja.

Próbowałem zebrać się w sobie.

Oni są ważniejsi niż ja. Tak powiedziała mama.

Wierzyła w to. Oto grzeczna dziewczynka, którą moja matka była całe życie. Zniknęły wszystkie doświadczenia związane z rozstaniem z ojcem, wszystkie napomnienia Ragnhild. Wróciła mama. Miła, mieszczańska dziewczynka z chronionej, norweskiej klasy średniej, która sama starała się, jak mogła, by chronić innych.

- Dostaniesz nową pracę? - zapytałem.

- Na pewno, wkrótce - odpowiedziała mama. - Albo... może dostanę z powrotem starą,

albo zadzwonią z Amoco.

Spojrzałem na nią.

- Tak, miejmy taką nadzieję.

Mama położyła dłoń na mojej dłoni.

- Będzie dobrze, Jarle. Poradzimy sobie. - Zerknęła na zegar. - Musisz iść do szkoły, zjedz coś, zanim wyjdiesz.

Mama pracowała całe życie. Nie miała zbyt dobrego wykształcenia, ale wypracowała sobie doświadczenie, staż, dobrą opinię, do tego pilnie brała udział w szkoleniach, by być na bieżąco. Po pół roku w szkole handlowej została w latach sześćdziesiątych sekretarką w Zakładzie Kartografii Morskiej. Pilna, umiała organizować dokumenty innych osób, świetnie pisała na maszynie, porządna, pomocna, zawsze w dobrym humorze. Punktualna. Każdy mógł na niej polegać. Po odkryciu ropy zaczęła pracę w Amoco. Zyskała nieco lepszą pozycję, większą odpowiedzialność i wyższą pensję. Nie nazywała się już „sekretarką”, ale „konsultantką”. Pamiętam, jak raz w latach osiemdziesiątych po powrocie z pracy pokazała mi wizytówkę i śmiała się z samej siebie: - Patrz, Jarle, teraz twoja mama jest *konsultantką*, a robię przecież to samo co wcześniej! - Aż wreszcie w roku 1986, parę lat przed rozwodem, mama otrzymała propozycję od kolegi z Amoco, Bjørna Ove Bærheima. Razem z dwoma kumplami otwierał własną firmę konsultingową dla branży naftowej, West-Consult. Zdobyli kapitał akcyjny. Mieli określony profil, świetne kompetencje, nieocenione umiejętności, które miały być pewnym towarem, czyniącym ich niezbędnymi na rynku. - To proste - mówili. - Dostarczamy towar, którego nikt inny nie oferuje, a na który jest wielkie zapotrzebowanie. - Bærheim chciał w West-Consult dobrych ludzi, „ludzi, na których można polegać” - przypochlebiał się mamie. - „Takich jak ty”. Mógł jej obiecać lepszą płacę, więcej wolności w pracy, mniej biurokracji, mniej formalności, możliwość otrzymywania premii, elastyczność, wydajność, dobre środowisko pracy, pewną emeryturę. Mama nie należała do związków zawodowych i raczej nigdy nie będzie takiej potrzeby, mówił. Przyjęła pracę, ufała mu, podobało jej się to. Nowe zadania ją uskrzydlały. To, że ją dostrzeżono, że wybrano ją spośród wszystkich innych osób, jakie Bærheim znał w Amoco, było dla mamy czymś wielkim. Wdrożyła się w nową pracę z wielkim zaangażowaniem. Starła się kupować nowe ubrania, ciężko pracować, być na bieżąco.

A teraz znalazła się w tej sytuacji.

Szefowie West-Consult wzięli na siebie za dużo, konkurencja stała się zbyt silna, ktoś musiał odejść, aby firma uniknęła plajty. W tym mama, która nie kupiła akcji, nie zabezpieczyła się.

Nie wiedziałem, co robię.

- Przeklęty Bærheim - powiedziałem.

- To nie jego wina - broniła go mama.

- Nie, mammo, jeśli nie jego, to czyja?

- Sama się na to zdecydowałam - odpowiedziała ostrożnie.

Stojąc w korytarzu i ubierając się przed wyjściem do szkoły, byłem skołowany i czułem, że powinienem być teraz dla mamy mężczyzną, który mógłby ją wesprzeć, dodać jej odwagi, w jakiś sposób ją wzmocnić. Mama wyszła. Próbowła się uśmiechnąć, ale wyglądała na skrępowaną.

- Jarle?

Spojrzałem na nią. *Zapytaj mnie o coś, mammo, o coś, co mógłbym dla ciebie zrobić.*

- Tak? Chcesz coś powiedzieć? - odezwałem się.

- Chciałabym, abys został ze mną dziś w domu.

- Teraz? Idę przecież do szkoły?

- Nie - zaśmiała się, zmieszana. - Nie, to znaczy, później, potem. Tak bardzo nie chcę być sama. To nic dramatycznego, ale... po prostu nie mam ochoty być sama.

- Pewnie, że zostanę! - obiecałem głośno. - Boże, mammo, pewnie, że zostanę, to drobiazg, możemy pojechać na wycieczkę albo do babci, co tylko chcesz!

- Nie, nie mów o tym babci, tylko się zmartwi, nie musi wiedzieć, nie... jeśli tylko mógłbyś zostać ze mną w domu.

- Pewnie - powtórzyłem i poczułem się przyzwoicie.

Mama mnie popędziła. Już byłem spóźniony. Było wpół do dziewiątej. Usiadłem na rowerze, a wyjechawszy z ulicy, zawołałem do niej, że wrócę zaraz po szkole, że zrobię dla niej zakupy i na pewno zostanę z nią w domu. „Jasne - pomyślałem. - Mama straciła przecież pracę. Potrzebuje mnie teraz. Niezupełnie to rozumie, nie pojmuje powagi sytuacji, ale mnie teraz potrzebuje”.

Mijały mnie samochody wiozące ludzi pędzących do pracy. Lało jak z cebra, a ja musiałem mocno naciskać na pedały, by pokonać wiatr.

Parę sekund później uderzyły mnie myśli: „Yngve. Tenis. Próba”.

Wjechałem pod górkę, na Strandgata, wybrałem inną drogę niż zwykle, podskakiwałem na bruku w Starym Stavanger i zżerała mnie panika.

Boże, Jarle. I co teraz? Co teraz zrobisz?

Od ósmej do dziesiątej miałem grać z Yngvem w tenisa. Od szóstej do jedenastej - ćwiczyć z Mathias Rust Band. Cały wieczór miałem spędzić w domu z mamą. Miałem być w

trzech miejscach naraz.

^[16] Tre Små Kinesere - Trzech Małych Chińczyków [przyp. tłum.].

Fałszywy

jestem chłopcem,

który wystrzelił raketę

we własną dłoń

Kent

- NRD, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia i Bułgaria - powiedział Svensen z zachwytem w głosie.

Próbowałem się skupić.

- I co? - rzucił nam wyzywające spojrzenie.

Trwała pierwsza lekcja. Svensen nakręcał się, produkował wiadra adrenaliny, a poziom cukru w jego krwi stopniowo wzrastał, gdy zagłębiał się w swój ulubiony temat - rzeczywistość. Dużą sympatią darzyłem tego spoconego, zakochanego we współczesności historyka o dużych zakolach i w wielkich okularach, ale nawet wtedy jego osoba wyznaczała dla mnie granicę realizmu. Jak Svensen zareagowałby, gdyby pewnego dnia ujrzał ducha? Wyjąłby miarkę. W jego wymiernym świecie nie było miejsca dla biednej fantazji niezakorzenionej w procesach historycznych. Oczywiście uwielbiał spekulacje, ale raczej typu „*moim* zdaniem apartheid zniknie za jakieś trzydzieści lat”. Zupełnie odrzuciłby teorię, którą nauczyciel biologii zachwyił wszystkich, kiedy klasowy nerd, Idar, zaczął go wypytywać o słuch i głosy zwierząt. Czy na przykład larwa jest niema? - chciał wiedzieć. Sprowokowało to nauczyciela do opowiedzenia urzekającej historii o ślimakach. Podobno pewien naukowiec zebrał raz w jednym miejscu ogromną liczbę ślimaków. Wiele tysięcy ślimaków, czarnych i brązowych. Ogrodził je tak, aby nie mogły uciec, ułożył z nich stos i wystawił na ekstremalne gorąco, ekstremalne światło. A jak wiadomo, ślimaki to zwierzęta cieniolutne i zimnolubne. Celem owego groteskowego eksperymentu było zbadanie, w jaki sposób zareagują wystawione na źródło swojego największego strachu, podczas swego

rodzaju apokalipsy, ślimaczego holocaustu, zebrane w ogromnej liczbie i poddanie długotrwałym mękom na otwartym, palącym słońcu. Podczas tortur naukowiec uzyskał zadziwiający rezultat. Oglądał właśnie pozbawione szans ślimaki. Panika ogarnęła je, gdy pojęły, że są zgubione. Zaczęły pożerać się nawzajem, próbowały się wyslizgnąć, wszystko na próżno. Lecz wtedy coś się stało. Nagle badacz usłyszał dźwięk. Cichutki pisk przypominający krzyk. Przestraszył się. Krzyk dziecka? Był tak realistyczny, niemal ludzki, że najpierw uznał, iż dobiega on z sąsiedniej posesji, że to krzyczy jakieś dziecko. Jednak po chwili pojął, co usłyszał, ku swemu zdziwieniu zrozumiał, że ten cichy krzyk musiał pochodzić z groteskowego stosu ślimaków, jaki miał przed sobą. Naukowiec, który nie szukał wcale ślimaczych dźwięków, a jedynie chciał zbadać reakcję gatunku na całkowitą zagładę, zastanawiał się nad tym i szacował, aż wreszcie uznał, że usłyszał właśnie kilka tysięcy ślimaków, które w pewnej chwili krzyknęły jednocześnie podczas ciepłych i świetlnych tortur, pewnie kiedy same pojęły, że są zgubione, że zginą i wyschną na polanie koło hiszpańskiego gospodarstwa, gdzie zostały zebrane pewnego ciepłego, letniego dnia. Naukowiec nagle zdał sobie sprawę, że cały świat pełen jest jazgotu, paplania, gadania i bełkotania. Oczywiście że one mówią, wszyscy mówią, tylko my, ludzie, obdarzeni tak niepojęcie słabym słuchem, to my, ludzkie potwory, które chwieją się na dwóch nogach i cały czas ryczą, jesteśmy wyposażeni w tak kiepski słuch. Chodzi bowiem o zupełnie inny od naszego rejestr mowy i słuchu - ślimaki nie są nieme. Cały czas gadają, płaczą, śmieją się i krzyczą, ale aby je usłyszeć, trzeba ogromnie się wysilić i zebrać wiele tysięcy mięczaków wydających z siebie synchroniczny wrzask przerażenia. A więc jasne jest, że gdybyśmy znajdowali się na tym samym poziomie mowy i słuchu, ciągle dobiegałyby nas takie zdania: „Byłeś dziś na polu kapusty?” - podczas przechadzki wiejską drogą każdego chłodnego wieczoru słyszelibyśmy dochodzące z ogrodu paplanie i trajkotanie. - „O tak, wspaniały wietrzyk, co?” - rozbrzmiewałoby podczas odpoczynku ślimaków.

Po przeprowadzeniu eksperymentu badacz nigdy nie był już taki sam jak wcześniej. Podczas gdy uprzednio spoglądał na ludzi z pewną dumą, teraz dostrzegał w nas niewiele wartości. Zrozumiał, jak bardzo jesteśmy groteskowi, jak inne gatunki na ziemi śmieją się z nas: ślimaki posiadające lepszy słuch, antylopy spacerujące w naturalnym tempie obok nas, kiedy my pędzimy co sił w nogach. „A co z mewami - powiedział - co z nimi? Widziałeś, co dzieje się podczas patroszenia ryby? Gdy stoisz na nabrzeżu w głębi fiordu i rozcinasz nożem brzuch ryby, co takiego się dzieje? Parę sekund po otwarciu brzucha cały fiord pełen jest mew, krążą nad twoją głową, wrzeszczą i piszczą, a jeszcze sekundy temu ich nie było, w zasięgu wzroku nie znajdowała się żadna - żadna - mewa, ale gdy tylko wyczuły rozciętą

przez ciebie rybę, w błyskawicznym tempie i z niepojętą precyzją nadleciały nad nabrzeże, na którym stoisz. W porównaniu z tymi zwierzętami nie mamy szans. Nie mamy szans”.

Naukowiec stracił zapał. Siedział tylko i rozglądał się wokół. Przypatrywał się przyrodzie i dostrzegał jedynie własną niedoskonałość. Głosy, których nie słyszał. Zapachy, których nie wyczuwał. Widoki, których nie widział. Uczucia, których nie doznawał. Miał wrażenie, że jest wyprany z emocji, niedoskonały, i bał się. Strach bierze się z wiedzy, że w świecie znajduje się coś, czego nie widać, nie słyhać, nie czuć. Widząc wszystko, co istnieje, nie odczuwa się strachu. Małe dzieci to wiedzą. Boją się tego, co może zaiść się w piwnicy, w ciemności. Dla tego biednego badacza ślimaków cały świat stał się dziecięcą ciemnością piwnicy, zdał sobie sprawę z *tego, czego nie ma, czego nigdy nie zobaczymy, nie usłyszymy, nie pocujemy*, i nie mógł przejść przez park, popłynąć łodzią, bo parkowe kwiaty rozmawiały, a on nie mógł usłyszeć ich słów, poznać ich przebiegłych planów, gdyż głębiny oceanu kryją w sobie tajemnice, które już zawsze pozostaną ukryte.

- A więc - powiedział biolog. - Cały świat jazgocze.

- On ściemnia - stwierdził Helge. - Zmyśla.

W przeciwieństwie do biologa, posiadającego wycucie spekulatywnych hipotez, nie zawsze opartych na solidnych podstawach, bezgranicznie zafascynowanego tajemnicami świata, Svensen był głuchy na takie teorie. Żył rzeczywistością. W niej nie istniały dźwięki, których nie da się usłyszeć. A w tamtym czasie, zanim pochłonął nas uniwersytet, rzeczywistością żyliśmy również my - Jarle, Helge i Katrine - chociaż czasami mieliśmy dość Svensena. Później często zdarzało mi się używać jego osoby jako parametru wskazującego granicę, po której przekroczeniu człowiek staje się centralą obserwacyjną wymiernych wielkości.

Próbowałem się skupić, ale w głowie panował chaos: „Mama straciła pracę, miałem ćwiczyć z zespołem i grać w tenisa”.

Svensen podniósł głos i powtórzył:

- I co? NRD, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia i Bułgaria. - Podniósł prawą rękę i dumnie pokazał pięć palców. - Co? Pięć, *pięć*, wolne wybory w pięciu krajach! Osiemdziesiąt milionów ludzi pójdzie do urn wyborczych po raz pierwszy od czterdziestu lat. Macie świadomość, co to oznacza? Wszędzie pokonani komuniści, przekształcone lub rozwiązane partie, to zupełnie nowy obraz świata w całej Europie Wschodniej i wszystko to dzieje się teraz. Wprost na naszych oczach. - Svensen uniósł dwa palce, poruszony własną mową, i przesunął je przed swoje oczy. - Tak, wprost na naszych oczach, wszystko to wydarzy się w ciągu paru miesięcy. W ciągu paru miesięcy Europa zmieni swoje oblicze.

Svensen zsunął mapę, przykrył nią tablicę, chwycił wskaźnik i stanął za katedrą. Spoglądał w górę na mapę, przesuwając wskaźnikiem po odpowiednich krajach.

- To tak rozległe, tak wielkie, że trudno nam pojąć, co takiego się dzieje. Całkiem nowy świat. - Uderzył w dramatyczny ton. - Dziesięciolecie, w którym teraz żyjemy, zadecyduje o sytuacji na świecie. Oto rozpoczynają się nowe rozdziały przyszłych podręczników historii.

Próbowałem się skupić, w końcu się tym interesowałem, lubiłem te lekcje, bo dotyczyły naszych ludzi, komunistów, zarówno tych, w których wierzyliśmy, jak i tych, w których utraciliśmy wiarę.

Svensen to wiedział. Wskazał na Helgego:

- Fidel, ty i Che wyznajecie przecież komunizm, prawda? Co takiego poszło nie tak?

Uwielbialiśmy, gdy Svensen określał nas tymi przydomkami, Helge był Castro, a ja Guevarą, uwielbialiśmy to, ale udawaliśmy, że jest to dla nas oczywiste i powstrzymywaliśmy się od komentarzy.

- Boże - Helge odezwał się z rezygnacją i przewrócił oczami, jakby słuchał czegoś dziecinnie prostego. - Przecież prawdziwy komunizm nigdy nie istniał.

Svensen spojrzał na niego.

- Musisz to rozwinąć.

- Okej - odparł Helge i pochylił się nad ławką. - A zatem: Sowieci tuż po rewolucji w 1917 mieli socjalizm, nie? Coś podobnego było też w Chinach, ale to co innego niż komunizm. Komunizm to cel, to przecież społeczeństwo wolności, prawda? Ale w ZSRR panował faszyzm socjalistyczny, nie lepszy niż w Stanach. Mamy dwa supermocarstwa, oba tak samo skorumpowane i faszystowskie.

W klasie rozległy się westchnienia. Pozostali uczniowie już to słyszeli, męczyły ich analizy Helgego.

- Można tak na to patrzeć - powiedział Svensen. - Tak, wiecie, o co chodziło Helgemu z rokiem 1917? Pewnie, że wiecie. Ktoś inny?

Silje uniosła rękę. Należała do Młodzieżówki Prawicowej, była dość ładną dziewczyną i wyraźnym wrogiem.

- Moim zdaniem to, co dzieje się teraz, pokazuje tylko, że komunizm od samego początku był nieudany, a demokracja, parlamentaryzm i wolny rynek to najzdrowszy system. Teraz właśnie to się okazuje. - Spojrzała na Helgego i na mnie. - Gorbaczow też tak mówi.

Ostatni komentarz zamierzony był jako cios skierowany prosto w nas - w końcu Gorbi to wybawca, a jednocześnie komunista. Był niczym ziemniak, który wszyscy z radością jedli,

niczym bicz, którym wszyscy mogli smagać; Bush, EWG i kapitaliści witali go z otwartymi ramionami, bo krytykował stary system, bo pierestrojką, głośnością i niezliczonymi podróżami po całym globie otworzył świat jak za pomocą zamka błyskawicznego, a nasi socjaldemokraci witali go równie ciepło, bo chciał przeprowadzać reformy, przywrócić solidarność, przegonić monopol władzy z partii w Moskwie, wypędzić dyktaturę z państw na wschodzie, a chociaż w radykalnych kręgach panowała niezgoda co do jego osoby, ludzie byli z niego dumni, ponieważ wybawca świata nie nazywał się Bush, Kohl czy Thatcher, tylko *Michail Gorbaczow* i pochodził z ZSRR. Helge miał jednak inne zdanie.

Utkwił w Silje rozwścieczone spojrzenie i powtórzył po niej zjadliwie: - *Gorbaczow też tak mówi?* Jesteś tak głupia, że nie dam rady ci odpowiedzieć - stwierdził, uderzywszy się w czoło. - Twój Gorbi zabił najwięcej ludzi w Afganistanie, wiedziałaś o tym? Wysłał żołnierzy, aż zbombardowano tam, kurna, wszystkie domy, co do jednego.

- Okej, skończmy w tym miejscu - powiedział Svensen. - Wolne wybory. Co to takiego? Czym jest parlamentaryzm?

Nie potrafiłem się skoncentrować. Umysł wędrował ciągle zupełnie innymi torami, a kiedy w klasie zawrzało na temat historii parlamentaryzmu, zaczęto mówić o roku 1884, o rewolucji francuskiej, stawałem się coraz bardziej nieobecny. Wymyśliłem rozwiązanie. Wpatrywałem się ślepo przed siebie i miałem rozwiązanie. Nie był to może szczególnie przyjemny plan, ktoś musiał z jego powodu ucierpieć, zostać skrzywdzony, ale ten plan miał szanse powodzenia.

Trzy grupy osób wykazują się kreatywnością: pijani, zakochani i biedni. Nie byłem pijany ani biedny, ale byłem zakochany i wiedziałem, co robić.

- Jarle?

Wyrwany ze strategii zakochania, popatrzyłem na Svensena.

- Ee... tak? - odezwałem się, osłupiały.

- Tak, powiedziałaś coś - poinformował mnie Svensen.

Powiedziałem coś?

- Ee... nie, co... nie, naprawdę?

W klasie rozległ się śmiech. Najwidoczniej coś powiedziałem. Otworzyłem usta i coś powiedziałem. Helge odwrócił się i spojrzał na mnie dziwnie. Zaczerwieniłem się.

W drodze do wyjścia podeszła do mnie Katrine.

- Może się, kurna, udać? - Dziwnie na mnie popatrzyła.

A więc to powiedziałem: *Może się, kurna, udać.*

- Chodzi o mamę - skłamałem jej prosto w twarz. - Chodzi o mamę - przybrałem

poważną minę. Katrine wywróciła oczy, wyglądała na przestraszoną.

- Straciła pracę - ciągnąłem, spoglądając w ziemię.

Osobliwa chwila. Cynicznie wykorzystałem mamę, a jednocześnie naprawdę się o nią martwiłem. To uczucie nie miało sensu. Ale historia miała, ta sama, którą ułożyłem podczas lekcji, o której mówiłem, nie wiedząc, że to robię: *może się, kurna, udać*. Mój plan zaczął już działać na otoczenie.

Najmądrzejsze, co mogłem zrobić, aby pozyskać niezbędne współczucie, szczególnie jeśli miałem zmierzyć się z Helgem, to zacząć od Katrine. Spryt nakazywał przygotować sobie grunt u niej, bo chociaż tych dwoje zawsze się ze sobą sprzeczało, rozumiałem, że Helge nikogo nie szanuje bardziej niż jej.

- Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę - powiedziałem. - Straciła pracę już w piątek. Była niby chora, a ja myślałem, że ma grypę, ale okazało się, że straciła pracę. Jest zupełnie przybita, nigdy nie widziałem jej w podobnym stanie.

Koloryzowałem. Nie wspomniałem ani słowem o tym, że mama wstała tego ranka, czuła się nieco lepiej, chociaż z pewnością wmawiała sobie kłamstwa.

Katrine była zszokowana.

- Naprawdę?

Skinąłem głową.

- Skurczybyki - powiedziała. - Teraz pieniądź rządzi wszystkim, Boże, czy nikt już nie myśli o ludziach?

- Nie - odparłem. - Masakra. A mama zrobiła przecież te wszystkie dodatkowe kursy i tak dalej. Liczy się tylko zwiększanie wydajności.

Szło idealnie. Zwolnienie mamy było nie tylko osobistą sprawą, która naprawdę dotknęła ją i mnie, lecz również *niehumanitarną historią z rzeczywistości*. Nareszcie jakaś historia, która pasowała do naszej nienawiści wobec społeczeństwa, naszych wyobrażeń o cynicznej kulturze firm, rosnącym w siłę kapitalizmie, rosnącym bezrobociu i potwierdzała tylko, że polityka Gro i Kårego^[17], a teraz Jana Pедера Sysego, prowadziła Norwegię prosto do piekła rynkowego liberalizmu - właśnie znikają resztki poczucia odpowiedzialności i solidarności w tym cholernym społeczeństwie Partii Postępu.

Katrine brakowało słów.

- Ale musimy coś zrobić! - odezwała się.

- My? - Westchnąłem. - Co takiego?

Podszedł do nas Helge. Katrine od razu zaczęła mówić o mamie. Odwróciłem wzrok, oddawałem się tej dziwnej grze, w której byłem naraz wyrachowany i rzeczywiście

zrozpaczony, zauważając jednocześnie, jak historia zgodnie z oczekiwaniami działa na Helgego, który z wściekłości aż wychodził z siebie. Od razu powiązał ten epizod z naszą walką, by nie wspomnieć o zespole. Przecież jego ojciec również się tym zajmował, zbroił się do negocjacji o regulację płac, gdzie bezrobocie stanowiło sprawę numer jeden.

- Do chuja - zaklął Helge. - Nie jest w związkach, co?

Pokręciłem głową.

- Administracja biurowa, nie? - chciał wiedzieć Helge.

- To znaczy? - zapytałem.

- Zajmuje się pracą biurową?

- No, w pewnym sensie - odpowiedziałem. - Tak, to będzie to.

- Kurwa - ciągnął Helge. - Zagrożona branża na obecną chwilę. Brak wolnych posad.

Masy bezrobotnych. Niedobrze.

Słyszałem, jak przemawia przez niego ojciec. Helge znał to wszystko na pamięć, w domu codziennie serwowano mu te informacje, szczególnie teraz, przed regulacją płac, wiedział, które branże są zagrożone, gdzie jest najciężej.

- Nie ma szans - oznajmił Helge.

Idealnie. Teraz mogłem to powiedzieć. Chociaż Helge stał przede mną, roztaczając ciemną wizję przyszłości mamy, co powinno jeszcze bardziej mnie martwić, czułem, że sytuacja rozwija się tak, jak chciałem.

- Więc muszę zostać dzisiaj z nią w domu - powiedziałem. - Poprosiła mnie o to. Zupełnie wychodzi z siebie.

Helge ciężko odetchnął. Wiedział, co to oznacza, i ciężko było mu to przełknąć. Właśnie wcisnął stos domowej produkcji przypinek MRB osobom z klasy, które uznawał za niemożliwe do nawrócenia, z innymi szło mu jeszcze lepiej.

- Muszę, Helge, nie da rady - powiedziałem. - Kiedy nikt inny nie dba o mamę, sam muszę się tym zająć.

Przecież naprawdę tak myślałem. Myślałem tak, chociaż byłem fałszywy.

- Okej - odburknął Helge. Nie mógł się temu sprzeciwić, chociaż widziałem, że się w nim gotuje, że tak naprawdę ma ochotę zakląć: *Kurwa, Jarle, kurwa, to kiedy będziemy ćwiczyć? Chyba mieliśmy w tym tygodniu ćwiczyć codziennie? Czy nie liczy się obecna chwila?* Ale nie mógł tak powiedzieć, bo sprawa dotyczyła wszystkiego, co wspieraliśmy, wydarzenia z rzeczywistości, dla którego miał maksymalny szacunek.

- Okej - powtórzył. - Ale jutro ćwiczymy?

Skinąłem głową.

- Tak tak, matką zajmuję się tylko przez jeden dzień.

Przez resztę dnia zostawili mnie w spokoju. Wyraźnie dawałem im do zrozumienia, że potrzebuję samotności. Katrine dodatkowo w worku z napisem „Troska o Jarlego” trzymała historię mojego taty, co zapewniało mi ochronę, a moim planom pewne bezpieczeństwo. Musiałem tylko skontaktować się z Yngvem, porozmawiać z nim w cztery oczy, tak, żeby inni nie widzieli.

Okazja nadarzyła się na przedostatniej przerwie. Na lekcjach odwiedzały nas wtedy różne grupy aktywistów. Byli to idealisci, którzy chodzili po klasach i przez dziesięć minut mówili o swoich sprawach. Wcześniej wpadł do nas chłopak zajmujący się gazetką szkolną, trzecioklasista z Emmaus we wschodniej części miasta, w dżinsowej kurtce i kowbojskim kapeluszu, chcący rekrutować „krytycznych dziennikarzy”, jak to ujął. Miałem jasne plany, żeby się zaciągnąć. Byli u nas ludzie ze Studenckiego Towarzystwa Chrześcijańskiego, którego przedstawicielkę potraktowaliśmy z Helgem dostępnym nam arsenałem sił werbalnych, prędko przeganiając ją argumentami o nawracaniu i indoktrynacji. Odwiedził nas reprezentant chóru, który uważaliśmy za mieszczańską bzdurę. Byli u nas szefowie teatru szkolnego, który naszym zdaniem przypominał rewie. Wizytę złożył nam też chłopak z nowopowstałego Towarzystwa Dyskusyjnego, zapalczywy pierwszoklasista o długich, jasnych włosach, w zielonej wojskowej bluzie, arafatce i okrągłych okularach. Helge i ja byliśmy z początku sceptycznie nastawieni, gdyż uznaliśmy Towarzystwo za relikw przeszłości i sentymentalne zgromadzenie w studenckim stylu, ale blondyn przekonał nas, że zajmą się bieżącymi sprawami, będą krytyczni i zacięci, więc mu uwierzyliśmy. A teraz przyszła kolej na Młodzież Przeciw EWG, która miała założyć w szkole lokalny oddział. Helge, Katrine i ja byliśmy oczywistymi kandydatami na członków, gotowymi do pracy charytatywnej, jeśli okazałoby się to konieczne. Reprezentowała ich trzecioklasistka ze wschodniej Norwegii o ostrym spojrzeniu i szerokim uśmiechu. Mówiła niezmiernie szybko i głośno, a na sobie miała koszulkę Przyrody i Młodzieży z napisem: „Wyrzucasz 250 kg śmieci rocznie. A może to ja wyrzucam?”. Po lekcji, na której w swojej prezentacji opowiadała, jak EWG niszczy cztery i pół tony produktów spożywczych na minutę - *na minutę!* - i jak wszyscy zainteresowani ochroną środowiska, zachowaniem suwerenności i uważający solidarność za ważną wartość powinni zgłosić się do Młodzieży Przeciw EWG, zebrała się wokół niej pod klasą grupka idealistów w czarnych płaszczach, tradycyjnych swetrach, ciężkich butach i arafatkach.

Normalnie stałbym tam z nimi. Byłbym jedną z najbardziej chętnych osób, zapisałbym się na wszystkie możliwe listy. Ale tamtej środy skinąłem tylko głową w stronę Helgego i

Katrine, jakbym mówił: „Wychodzę na chwilę”, i miałem spokój.

Znalazłem Yngvego na korytarzu budynku nad Breiavannet. Stał oparty o ścianę i rozmawiał z jakimś chłopakiem.

Drgnąłem. Nie widziałem jeszcze, żeby Yngve rozmawiał z kimś innym, i instynktownie zareagowałem na to wdarcie się w jego samotność, jego piękną samotność, na którą to ja miałem być lekiem.

- Cześć, Jarle - powiedział Yngve radośnie i skinął głową do tamtego chłopaka. - To Tommas, chodzi ze mną do klasy.

Przywitałem się skinieniem. Ten Tommas był drętwiakiem i zupełnie mi się nie podobał. Wiedziałem, kim jest, bo został mistrzem szachowym okręgu, pisali o nim w gazecie. „Boże - pomyślałem - czy teraz wciągnie Yngvego w szachy?” Rzucił na niego złe światło, plamił go. Tommas odwzajemnił skinienie.

- Nie, muszę iść do środka - powiedział i poszedł. Ulżyło mi, teraz Yngve był znowu mój.

- Więc - zacząłem. - Jak leci?

- No, dobrze - odpowiedział Yngve. - Ale trochę nuży mnie pogoda.

Pogoda. Yngve mówił o pogodzie. Helge, Katrine i ja rozmawialiśmy o pogodzie tylko w kontekście konsekwencji dla środowiska. Wszelkie inne rozmowy o pogodzie były znakiem, że masz nudne życie, że potrzebujesz w nim treści, że stajesz się jak twoi rodzice. Pogoda oznaczała dziurę ozonową, efekt cieplarniany, a tej zimy wielokrotnie dyskutowaliśmy o pogodzie, bo była taka łagodna, bo przez cały styczeń temperatura wynosiła między 2 a 9 stopni, do tego deszcz, wiatr i deszcz, więc sądziliśmy, nie, *byliśmy stuprocentowo pewni*, że spowodowały to zmiany klimatyczne i wzrost ilości gazów cieplarnianych w atmosferze, co oczywiście nastąpiło z naszej winy, z winy kapitalistów, z winy Zachodu, przez wycinanie lasów deszczowych w delcie Amazonki, rozwijanie przemysłu bez oczyszczalni ścieków.

Gdyby to nie Yngve stał przede mną, pewnie powiedziałbym: „Wiesz, że w Katowicach w Polsce 150 noworodków zmarło w 1986 z powodu zanieczyszczenia powietrza, bo pracuje się tam w fabrykach z roku 1880? To my ogrzewamy ziemię, taka jest twoja pogoda”. Ale nie powiedziałem tego.

Odparłem:

- Lubię deszcz.

- Naprawdę? - zapytał Yngve.

Skinąłem głową.

- Deszcz i wiatr. Dobrze jest czuć je na sobie.

Boże. Jarle, to byłeś ty?

Yngve uśmiechnął się.

- To co, gramy dzisiaj? - zadałem entuzjastycznie pytanie i niezdarnie pokazałem uderzenie rakieta.

- Pewnie, przyjdziecie?

- Nie, będę sam. Katrine musi iść na urodziny.

- Ach, tak - powiedział Yngve.

Spojrzałem na niego.

- Ale to chyba nic takiego?

- Co?

- Że będę sam.

- Nie, to świetnie - odpowiedział Yngve.

To świetnie.

Wróciłem na lekcję. Poszło lekko, została tylko jedna przeszkoda, najgorsza, ale poszło lekko, a zdaniem Yngvego to świetnie, że będę sam. W takim razie wołał być ze mną niż z Katrine, a już na pewno nie interesował go Tommas i szachy.

Na ostatniej lekcji mieliśmy matkę.

- *Shit!* - zakląłem, kiedy przypomniano mi, że następnego dnia mamy sprawdzian.

- Co? - powiedział Helge.

- Nie, chodzi tylko o ten sprawdzian z matmy, nie uczyłem się, a dzisiaj... - powstrzymałem się.

- No, możesz się pouczyć dzisiaj, skoro zostajesz w domu.

- Tak, tak, ale mam być przecież z mamą - wyjaśniłem. - O to właśnie chodzi.

Helge mruknął.

- Jak tam trawa? - szepnąłem, aby udobruchać Helgego.

- W porządku - powiedział. - Leży w bezpiecznym miejscu. - Jeszcze bardziej ściszył głos. - Zajebicie pachnie.

Zapewniłem Helgego, że przez resztę tygodnia będziemy ćwiczyć na maksa, a Katrine obiecałem, że będę dbał o siebie i mamę. Pojechałem do domu, w deszczu, na wietrze, co dobrze mi zrobiło.

Mama zaklejała kopertę z zeznaniem podatkowym. Żadna przyjemna praca zajmować się wynikami z zeszłego roku, gdy tegoroczne finanse stały się tak niepewne.

- PIT? - zapytałem, odstawivszy plecak.

Mama skinęła głową.

- Jak będzie z... - zawahałem się. - Z pieniędzmi i tak dalej?

- Będzie dobrze - odpowiedziała mama. - Poradźmy sobie z tym. - Uśmiechnęła się. - Dobrze, że tu jesteś. To co dzisiaj robimy? Może zrobilibyśmy coś... - Spojrzała na mnie jakby w oczekiwaniu na moją propozycję. - Nie wiem, coś innego? Może zjemy na mieście? Pójdziemy do kina? Pojedziemy na wycieczkę?

- Może nie powinniśmy tyle teraz wydawać, skoro... - zacząłem.

Ciało mamy jakby się skurczyło.

- Nie. - Popatrzyła pusto przed siebie. - Chyba nie powinniśmy.

- Ale pewnie możemy... zrobić co innego? - zasugerowałem. - Może kogoś odwiedzić? Może pojechalibyśmy razem do Ragnhild?

Dlaczego to powiedziałem? Dlaczego zacząłem podnosić ją na duchu, skoro nie mogłem spełnić żadnych oczekiwań?

Mama rozchmurzyła się na chwilę, ale zaraz na powrót dopadły ją wątpliwości.

- Nie wiem, Jarle, wolałabym nie wystawiać się teraz na pokaz, nie w tym momencie.

Rozumiałem, czego się obawia. W głębi duszy, pod warstwą wszystkich wyjaśnień, którymi sama się oszukiwała, wiedziała pewnie, co się stało, i wiedziała, że Ragnhild jej to wytknie. Nie zniosłaby tego.

Usiadłem obok niej.

Musiałem przecież to powiedzieć. Musiałem to przerwać, aby przez najbliższe godziny móc się jakoś wybronić.

- Mamo... - zacząłem.

Ożywiła się, wyprostowała plecy, uniosła głowę i spojrzała na mnie ciepłym wzrokiem.

- Tak - powiedziała. - Tak, teraz ty coś zaproponuj, a ja nie odmówię, to nie musi wcale być nic drogiego. Nie. Dzisiaj jesteśmy razem, ty i ja. Obojętnie, co chcesz.

Popatrzyła na mnie z wyczekiwaniem.

- Mogę załatwić pieniądze od taty, jeśli o to chodzi - odezwałem się, by uciec od tego, co miałem powiedzieć.

Mama odrzuciła tę propozycję, absolutnie nie chciała jałmużny, to poniżej jej godności, a zwłaszcza od niego.

- Nie - powtórzyła. - Tylko ty i ja, Jarle. Cieszyłam się na to. Co robimy?

Spuściłem wzrok. Bolał mnie brzuch.

- Nie mogę zostać dziś w domu - oznajmiłem.

Twarz mamy zamarła.

- To znaczy, nie przez cały dzień - dodałem śpiesznie. - Muszę wyjść za parę godzin.

Skóra wokół ust mamy zaczęła lekko drżeć. Jej nos zwęził się, usta się rozwarły, powieki przysłoniły oczy. Policzki nabrały rumieńców, a ramiona opadły.

- Musimy ćwiczyć - powiedziałem. - Wiem, że to głupie, ale nie mogę zdradzić Helgego i reszty.

Wtedy wstała. Mama przeistoczyła się na moich oczach w małą dziewczynkę, a teraz wstała. Nie dawała rady, nie potrafiła tego znieść, a ja tego nie dostrzegałem. Jarle, zakochany siedemnastolatek, nie miał szansy zobaczyć, jakie uczucia, doświadczenia i historie tłoczyły się wokół jego matki, kiedy wrócił do domu i oświadczył, że nie może z nią zostać, tak jak obiecał, choć prosiła o tak niewiele. A teraz mama wstała, zatrzymała się przede mną i posłała mi spojrzenie oczu, w których nie widziałem oskarżenia, a jedynie smutek - po prostu na mnie patrzyły. Gdyby chociaż mnie oskarżały, zamiast patrzeć z takim smutkiem, dogłębnym smutkiem, zdradzając, że stoi przede mną osoba, której potrzeba tylko jednego - mojej obecności przez kilka godzin. Cieszyła się na to, na to maleńkie światełko pośród ciemnych dni, że wspólnie zbierzemy nieco sił, mama i ja, razem spędzimy popołudnie i wieczór, który będziemy pamiętać później, kiedy już zostawimy za sobą ten czas, dużo trudniejszy, niż na razie pojmowaliśmy, wieczór, do którego będzie można wracać, wieczór pojednania, skupienia sił, wieczór, kiedy to ja patrzyłbym na mamę, a nie ona na mnie, jak teraz, tym smutnym wzrokiem, który ją obnażał i pomniejszał.

- Pójdę się położyć - powiedziała.

Wstałem.

- Mamo... ja, nie...

Mama weszła po schodach.

- Mamo...

Usłyszałem dźwięk zamykanych drzwi do sypialni.

Przewidywalność osobowości - sprawiająca, że zazwyczaj jesteśmy w stanie domyślić się, jak ludzie, których znamy, zachowają się w konkretnych sytuacjach - znika, kiedy dany człowiek sam jest narażony na coś nieprzewidywalnego. Ginie wówczas pewność, a narasta mentalne zachwianie, osobowość zaczyna grzechotać, jakby w środku został sam szkielet. Tak czuła się pewnie mama przez pierwsze dni od przyjęcia wiadomości o tym, że „musi odejść”. Trzymała się swojego dawnego optymizmu, upiększała wszystko, aby jakoś przejść przez ten czas, ale niewiele trzeba było, by wytrącić ją z równowagi. Wystarczyło małe złamanie obietnicy. Jak teraz zajmie sobie popołudnie? Skoro nawet dla mnie nie dość się

liczy?

Przez kolejne godziny, gdy na zewnątrz się ściemniało, padał deszcz, a wiatr słabł, siedziałem w salonie i paliłem papierosy. Przedemną leżał otwarty podręcznik do matmy, ale nie potrafiłem się uczyć. Próbowałem słuchać płyt, ale nie mogłem. Nieobecny duchem przeglądałem „Stavanger Aftenblad”, usiłowałem czytać artykuł o pogłoskach na temat planów Gorbaczowa, zamierzającego wycofać się ze stanowiska przywódcy partii, ale nie potrafiłem się skupić, próbowałem czytać o pozostałościach szczęki, paru kręgach i łokciu, znalezionych podczas wykopalsk w podziemiach Katedry, ale świat nijak nie chciał zagościć w mych myślach. Paliłem papierosy, wkurzony na Katrine i na Helgego. Zaczęła mnie irytować nawet mama. Boże, nie mogłaby się pozbierać? Przecież nie jest już małą dziewczynką? Sporo już przeżyła, od lat sześćdziesiątych pracowała w wielu różnych firmach, wiedziała, na czym to polega, a kiedy po wejściu w branżę naftową nie przystąpiła do związków zawodowych, przecież sama popełniła błąd? Na dłuższą metę nie mogła obwiniać taty. Przez pół życia była zwolenniczką Prawicy, a teraz przyszło jej za to zapłacić - i co to w ogóle za reakcja? Najpierw broni sukinsynów, którzy kopnęli ją w dupę, a dzień wcześniej szczypali ją w ten sam tyłek, a teraz nagle obraca się jak kurek na wietrze, idzie się położyć tylko dlatego, że jej syn nie może z nią zostać? Będzie teraz jęczeć, zamiast wziąć się w garść, wstać i poszukać nowej pracy? Okej, może nie ma za dużo wakatów, ale czy jej zdaniem te nieliczne wolne miejsca same ją znajdą? Czy naprawdę sądzi, że zadzwonią do niej z Amoco? Że Bærheim zadzwoni i powie, że żałuje? Gardziłem nią przez to. „Cholerna baba - zakląłem w duchu - będzie mnie teraz w to mieszać, niech sama, kurna, zapanuje nad swoim życiem”.

To dziwne. Gdybym dowiedział się o ludziach z Nikaragui, którzy stracili pracę, wyzyskiwani przez wielonarodowościową firmę, pewnie rzuciłbym wszystko, wsiadł w pierwszy samolot i poleciał im na pomoc. Jednak gdy bezrobocie zawitało w nasze progi, w bezpiecznej Norwegii, trzymało pod rękę mamę i rzuciło ją na ziemię jak tobołek, nie byłem w stanie pojąć ogromu kryzysu. Gdybym przeczytał o mamie w gazecie, powiedzmy w chwytającym za serce reportażu w „Klassekampen” o tym, jak zwyczajna norweska kobieta z powodu własnej naiwności stała się ofiarą bezwzględnego rozwoju rynku, pewnie zrozumiałbym to lepiej. I wkurzyłbym się. Całkowicie bym ją poparł, byłbym gotów dla niej walczyć. Wyciąłbym artykuł, pokazał go mamie, Helgemu, mówiąc: *tutaj, proszę bardzo*. Trup ściele się gęsto.

Ale siedząc tak w salonie, nie potrafiłem jasno myśleć. Byłem wkurzony na Bærheima i spółkę, byłem wkurzony na mamę.

Teoria jest prosta. Praktyka to piekielny bajzel.

Wykonałem plan. Zdradziłem mamę, okłamałem Helgego, wykorzystałem sytuację mamy, aby zyskać przychyłność Katrine.

Tak?

Przecież tego chciałem?

Czy byłem teraz zadowolony?

Tak. Byłem zadowolony.

Na stole przede mną leżał prezent dla Yngvego. Ładnie zapakowany longplay. A obok mnie na kanapie znajdowała się rakietka tenisowa. Na ścianie zaś wisiał zegar, który wskazywał prawie wpół do ósmej, na dworze padało, a ja byłem zadowolony.

Może istnieją ludzie bez sumienia? Na pewno. Nasza rodzina jest w ogromnym stopniu obdarzona tą zarówno leczniczą, jak i marnotrawną cechą. Ze swoich przodków znam jedynie babcię, więc nie wiem, jak dawno się to zaczęło, ale przypuszczam, że gdybym spotkał spokrewnioną ze mną osobę z XVII wieku, rozpoznałbym ją jako *swoją* z powodu chorobliwych wyrzutów sumienia, często podsycanych i utrzymywanych przez ich siostrę - potrzebę czynienia rzeczy powodujących wyrzuty sumienia. Tak, jestem pewien, że gdybym spotkał osobę z XVII wieku, rozpoznałbym ją, jej wyraz oczu, mógłbym podejść prosto do niej i wyjaśnić, że nazywam się Jarle, jestem jednym z jej potomków, a my, *nasza rodzina*, pewnie mocno się zmieniliśmy, lecz jedno zachowaliśmy, wy zaś, moi przodkowie, powinniście to wiedzieć i bardziej pracować nad wyplewieniem z genów tych chorobliwych wyrzutów sumienia. A osoba z XVII wieku, zaskoczona, uniosłaby na te słowa dłoń do ust, bo od razu pojęłaby, że to prawda, że naprawdę jestem jednym z jej potomków, rozpoznałaby mnie, tak jak ja rozpoznałem ją, co spowodowałoby w niej kolejną falę wyrzutów sumienia, kiedy tylko zdałaby sobie sprawę, jakiego łańcucha ogniwem była i co przekazała przyszłym pokoleniom.

Okresem w życiu, gdy najrzadziej dopadają nas wyrzuty sumienia, jest młodość. Umieściłbym ten czas między 15, może 16 rokiem życia a taką porządną dwudziestką, między 20 a 24 rokiem. Te wyniki opieram na obserwacji *własnej rodziny*. Oczywiście z wyjątkiem pierwszych lat dzieciństwa do mniej więcej czwartych urodzin. Wtedy nie masz sumienia, jesteś czystą naturą, czystą amoralnością i egoizmem, jak wszystkie dzieci. Później jednak wstrząsają tobą empatia, troska, strach, wstyd, zahamowania i obawy, by przemielić cię na pył przerażenia - aż do złotych lat. Złotych lat, podczas których dążysz do swobody, buntujesz się przeciwko sobie, przeciw krewnym, historii i światu i zrzucasz nieco jarzma sumienia. Wspaniałe to lata. Możesz palić trawę, urywać lusterka BMW zaparkowanych w

bogatej dzielnicy, porzucać dziewczyny i jednocześnie pieprzyć nowe - *bez specjalnych wyrzutów sumienia*. Na tym polega różnica. Możliwe, że później nadal będziesz oddawać się tak niesympatycznym zajęciom jak bycie niewiernym, fałszywym, ludzkim, jednak pojawi się w tobie jakiś żal. Żal, żal, żal. Wwierca się w ciebie, pełza po tobie jak robactwo, przypominając, kim jesteś: człowiekiem, śmierdzącym, kierującym się żądzą, głupim człowiekiem, pieprzącym inne kobiety, kiedy jesteś żonaty, okłamującym otoczenie. Masz doświadczenia. Dorosłeś. To piekło.

Ale w 1990 roku piekło było mniejsze. Z moimi gigantycznymi skłonnościami do wyrzutów sumienia oczywiście je odczuwałem, zmieniając mamę z kobiety potrzebującej wsparcia w zawodzącą matkę z klasy średniej, która nie potrafiła wziąć się w garść. Wiłem się tego dnia jak piskorz i osiągnąłem wszystko, czego chciałem, ale od destrukcji uratowały mnie dwie rzeczy: zakochanie oraz wiek siedemnastu i pół roku. Idealna kombinacja dla występków w imię miłości.

Jechałem na rowerze przez Stokka, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy. W innej sytuacji czułbym się w tym stroju głupio, ale w drodze do Yngvego uznałem, że pasuje. Nerwy zaczęły nieco bardziej mnie zżerać, gdy przejeżdżałem przez most w stronę Tjensvoll, odrobinę obawiając się, że z jakiegoś powodu minie mnie Helge, na przykład w samochodzie ojca, i zauważy mnie, bo przecież mieszkał niedaleko.

Wszedłszy do szatni, zastałem taki sam widok jak poprzedniego tygodnia. Przyzwyczajęń nabywa się prędko. Wystarczy jedno powtórzenie wzoru czy nawet wizualizacja powtórzenia, by przekonać samego siebie, że *to właśnie robię często, to robiłem zawsze*, tak jak teraz - wejście do szatni było jak wkroczenie do *starej, znajomej, bezpiecznej szatni*, gdzie ubrania Yngvego, *znajome ubrania*, leżały ułożone w stosik, czekając na mnie i na moje ciuchy.

Nagle zniknęły wszystkie troski, było mi ciepło i dobrze, czułem się osłonięty przed światem. Spokojnie się rozebrałem, zobaczyłem w lustrze swoją twarz i ciało, po czym włożyłem strój treningowy.

Torebkę z płytą położyłem pod ławką.

Zszedłem do hali. Zatrzymałem się na górze, gdzie miałem dobry widok na korty. Przyjechałem trochę za wcześnie i zobaczyłem, jak w dole Yngve gra z innym chłopakiem. Albo mężczyzną? Był nieco starszy. Jak wcześniej, kiedy Yngve rozmawiał z Tommasem, przeszkadzało mi to. Dlaczego w świecie Yngvego znajdują się inni? Czy musi tak być?

Przez ostatnie minuty meczu podążałem za nim wzrokiem. Ciało miał giętkie i żwawe, wyciągał się podczas serwów, zatrzymywał się przed zmianą kierunku. Po chwili gracze

uścisnęli sobie dłonie, a Yngve zerknął na trybuny, gdzie siedziałem z rakieta na kolanach. Pomachał mi. Zszedłem do niego. Mężczyzna, z którym grał, zniknął w szatni.

- Cześć - powiedział Yngve.

- Cześć - przywitałem się. - Ale niesamowicie biegasz, nigdy się nie męczysz?

- Owszem, ale tak jest dobrze.

- Uff - odparłem. - Głupio, że będziesz teraz grał z takim kiepskim przeciwnikiem jak ja.

- To nic.

Tej środy zrozumiałem, dlaczego Yngve był świetnym graczem. Potrafił się maksymalnie skupić. Poprzednio, z Katrine, nie zwróciłem na to uwagi, ale tym razem, kiedy byliśmy sami, zobaczyłem to - nigdy nie tracił koncentracji. Jak już grał, to grał. Na korcie tenisowym powstawał wyraźny kontrast między trochę rozmarzonym, pięknym i nieobecnym Yngvem, któremu zdarzało się stać i pić wodę z fontanny na szkolnym dziedzińcu, który przekrzywił głowę, wyciągał szyję i uśmiechał się, opuszczając kąciki ust. Nawet podczas gry ze mną, gdy tempo było niskie, pozostawał skoncentrowany. Nigdy się nie rozpraszał, jak gdyby grał w zwolnionym tempie, skupiony na powolnych ruchach. Próbowałem za nim nadążyć, próbowałem się uczyć i czułem się dumny - dumny, że to ja spędzam czas z Yngvem.

Po meczu poszliśmy do szatni. Nie byłem pewien, kiedy dać mu prezent i jak to zrobić. Mogłem skłamać i powiedzieć na przykład, że mam dwie takie płyty, że dostałem ją na gwiazdkę, chociaż wtedy jeszcze nie była w sprzedaży, udać, że daję mu ją, bo tak wyszło. Albo mogłem być szczery. Po prostu mu ją dać. Powiedzieć, że kupiłem ją dla niego. Właśnie na to miałem ochotę. Wobec Yngwego nie chciałem być fałszywy.

Yngve rozebrał się i poszedł pod prysznic.

„Płytę dam mu później” - pomyślałem.

- Jak tam Egipt? - zapytałem i patrzyłem, jak się namydla.

Uśmiechnął się.

- Nie czytałem o nim ostatnio za dużo, ale zacząłem oszczędzać. Może latem pojedę do Aleksandrii i Kairu. - Yngve pochylił się i namydlił spód stopy.

- A z kim pojedziesz?

- No... nie wiem - odparł. - Rodzice chyba nie będą chcieli.

- Ja chętnie zobaczyłbym Egipt - powiedziałem.

- Naprawdę?

- Tak?

Yngve zaśmiał się, pomachał ręką, jakby był to szalony pomysł - on i ja w Egipcie.

- Jak idzie z koncertem? - zapytał.

Nie miałem ochoty rozmawiać o rzeczach spoza naszego świata, naszego rosnącego świata, lecz jednocześnie cieszyłem się, że dla niego zagram.

- No, chyba dobrze, ćwiczymy, wygląda to już całkiem nieźle.

- A jaki to rodzaj muzyki?

- No... - zawahałem się.

- Helge mówił o tym pod naszą klasą, brzmiało to jakby dość, hm, mocno, bardzo politycznie?

- Ano - odpowiedziałem. - Mamy swoje przekonania. Odpowiadamy za to, co mówimy.

- Nie znam się na polityce. Głupi jestem w tych sprawach - wyznał Yngve.

Uniósł drugą nogę, namydlił podeszwę. Następnie odwrócił się do mnie plecami, żeby splukać włosy. Stałem tam, dokładnie naprzeciw niego, i zapomniałem sam się umyć, tylko się na niego gapiłem, na jego dłonie na własnym ciele, na rękach, piersi, ramionach, pupie, członku, pieniące się mydło tworzące bąbelki, które pękały w kontakcie ze skórą, wcierane i splukiwane, spływające po skórze, dostosowujące się do struktury ciała. Yngve się odwrócił.

Wtedy znów to się stało.

Jakby to określić?

Przez pierwsze sekundy wyglądało to, jakby nagle na coś wpadł, ale nie miał pewności i musiał się zastanowić. Kark mu się naprężył, oczy o pustym spojrzeniu otworzyły się, wzrok zawisł w powietrzu parę centymetrów przed nim, ale na niczym nie spoczywał, zdawało się raczej, jakby Yngve zostawił go w tym miejscu, dokładnie przed sobą, jakby oddzielił od siebie oczy i dał im obserwować świat w oderwaniu od siebie, a sobie samemu oszczędził patrzenia. Ciało zamarło, zeszywniało, jednak nie ze strachu czy trwogi, nie było zimne, przypominało raczej stopklatkę, jakby czas stanął w miejscu.

Wtedy zaczął poruszać ustami. Minęło kilka sekund, a ja z początku stałem tylko i patrzyłem na niego w oczekiwaniu, ale upłynęło już tyle czasu, że zacząłem się niepokoić. Co to takiego? Usta poruszały się lekko, oczy miał puste i szeroko otwarte, nie było go tu. Yngvego tu nie było, nie było go przede mną. To ta sama przerażająca i fascynująca chwila, która miała miejsce zaraz po tym, jak położyłem dłoń na jego udzie podczas odwiedzin w domu przy Tennisveien, potężne wrażenie, jakby Yngve udał się w długą podróż, gdzieś daleko, gdzie nie można do niego dotrzeć, jego ciało zaś znajdowało się przede mną. Jednak tym razem jego usta ruszały się.

Czy coś powiedział? Tak długo to trwało.

Piękne usta, duże, puste oczy, piękne, poruszające się usta.

Co jest, Yngve, mówisz coś?

Yngve zaczął dalej się namydlać. Przesunął dłońmi po karku.

- Zawsze poci mi się kark - powiedział ze śmiechem.

Skończyło się. Gapiłem się na niego. *Co z tobą, Yngve? Dokąd tak uciekasz?*

- Gdzie indziej tak się nie pocę, ale na karku najbardziej - powtórzył i jeszcze bardziej się zaśmiał.

Yngve, będę cię pilnował.

Siedzieliśmy obok siebie na ławce, nadal nadzy, przed chwilą się wytarliśmy. Czułem, że to całkiem naturalne. Po prostu dwa ciała obok siebie. No? I co? Oba blade, oba dość szczupłe, ale jedno lepiej wyćwiczone. No? I co?

Pochyliłem się i wydobyłem siatkę z płyty. Wyjąłem ją z siatki.

- Mam coś dla ciebie.

Yngve się odwrócił.

- Dla mnie?

- Tak.

- Dlaczego... dla mnie? Dlaczego?

Co miałem powiedzieć?

- Po prostu chciałem... - urwałem. - Byłem w sklepie i wtedy...

„Dlaczego nie mogę powiedzieć prawdy? - pomyślałem z irytacją, gdy słuchałem swojego głosu, który opowiadał historię umniejszającą to, co się stało. - Jarle, dlaczego nie możesz powiedzieć prawdy?”

- Zobaczyłem tę płytę w sklepie, a wcześniej słyszałem w radiu piosenkę i pomyślałem...

Powiedz to, Jarle. Powiedz.

- No... pomyślałem o tobie.

Yngve spojrzał na mnie zaskoczony.

- Ale... nie mogę przecież tak po prostu...

- Możesz - odpowiedziałem i podałem mu płytę. - Rozpakuj.

Yngve był speszony i zmieszany, ale rozpakował prezent. Spojrzał na okładkę, odwrócił ją, przeczytał tytuły piosenek i popatrzył na mnie.

- Ja... nie znam się za bardzo na muzyce, nie słyszałem tego zespołu, ale na pewno jest dobry. Dziękuję.

I co? Co teraz? Mamy się objąć? Podać sobie ręce? Nie lubiłem się przytulać, uważałem za nieprzyjemne to, że chłopcy zaczęli się cały czas obejmować. To mylące, kody były niejasne, zawsze sądziłem, że niezdarnie jest przytulać chłopaków. Przytulałem mamę. Przytulałem Katrine. Dziewczyny. Ale Yngve? Mam go objąć?

Yngve przechylił się do mnie. Jego ciało się zbliżyło.

Co teraz? Nadal trzymał w ręce płytę i pochylił się w moją stronę, zacząłem czuć zdenerwowanie, przecież byliśmy nadzy, do diabła, a teraz się do mnie zbliżał, otworzył ramiona, nadal w jednej dłoni trzymając płytę, zwrócił policzek w lewo, chciał mnie przytulić w podziękowaniu, chciał mnie przytulić, miałem więc otworzyć ramiona, zwrócić policzek w lewo - i zamknąć oczy?

Serce łomotało, ramiona Yngvego zbliżały się, jego policzek, górna część ciała, usta, cały Yngve się zbliżał, widziałem, że ma mokry obojczyk, utworzyła się tam jakby mała kałuża, Yngve się zbliżał. Czulem to w brzuchu, w podbrzuszu, czulem drzenie nóg. Yngve objął mnie, jego policzek dotknął mojego, a nasze nagie ciała zetknęły się ze sobą. Serce waliło mi, aż w głowie huczało, bałem się, że rozlegnie się echo, że on poczuje to przy swojej piersi.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie ma sprawy.

Mam cię pocałować?

Przerwaliśmy objęcie.

Odchrząknąłem.

Wtedy usłyszałem inne chrząknięcie i nagle odwróciłem się w stronę drzwi.

Znałem ten dźwięk.

Helge. *Helge.*

Kurwa, kurwa, kurwa. Helge? *Tutaj?* Oddech zamarł, serce stanęło, zacząłem błędzić wzrokiem. Helge, tutaj? Co, do kurwy nędzy, robi tu Helge?

Stał spokojnie w drzwiach, patrząc na Yngvego i mnie, którzy właśnie się przytuliliśmy, Yngve nadal trzymał płytę, byliśmy nadzy, nasze ubrania leżały obok w porządnym stosikach, a na ławce - rakiety tenisowe. Spojrzałem na Yngvego, który uśmiechał się jak zwykle. Spojrzałem na Helgego, który wyglądał na mocno wkurzonego.

- Cześć - przywitał się Yngve i skinął do Helgego głową.

Helge nie zareagował.

- Hegga! - odezwałem się i sililem się przy tym na naturalność. - Co tam?

- Co to ma być? - powiedział zupełnie spokojnie. - Hm?

Yngve i ja zaczęliśmy równocześnie się ubierać, ja ze wstydu, a Yngve po prostu dlatego, że przed wyjściem należy się ubrać.

- No - zacząłem. - Ee... to długa historia, mama poszła się położyć i...

- Tak - przerwał Helge i wszedł do szatni. - Dzwoniłem do twojej matki.

Zadzwoił do mamy? Kurwa. Co mu powiedziała?

- Tak... ja...

- Powiedziała, że poszedłeś na próbę.

Co miałem powiedzieć?

Yngve stał przecież obok, wkładał białe skarpetki, jak miałem z tego wybrnąć? Najprościej byłoby zaatakować Helgego, stawić mu czoła, oskarżyć go o podejrzliwość, o śledzenie mnie, ale nie chciałem pokazywać Yngvemu tej części siebie.

- Nie dałbym rady, Hegga - powiedziałem. - Po prostu nie dałbym rady dziś ćwiczyć. Musiałem zrobić coś innego.

Wystarczyło? Helge to kupił?

- Chodzi też o tatę - dodałem. Desperacko próbowałem się wybronić.

- Teraz jeszcze twój ojciec? - powiedział Helge surowo. - Masz, kurwa, spryt.

Helge był jak góra lodowa. Specjalizował się w tym. To najgorszy sposób, w jaki mógł postąpić z ludźmi. Dużo łatwiej było poradzić sobie z hałaśliwym, aroganckim i głośnym Helgem, który przeciwstawiał się ostro i nierzeczowo.

Jeszcze bardziej się zbliżył. Wciągnąłem koszulkę przez głowę i spojrzałem przeproszająco na Yngvego, który włożył spodnie, buty i sweter i sięgał po kurtkę. Uśmiechnął się krzywo, zrozumiałwszy chyba, że coś jest nie tak. Poklepał mnie ostrożnie po plecach, z uśmiechem uniósł do góry płytę.

- Pójdę już. Na pewno macie coś do, tak... - Spojrzał na mnie. - Wielkie dzięki.

- Yngve... - powiedziałem słabo.

- Przyjdę w sobotę - odparł.

Popatrzył na mnie łagodnym wzrokiem i wyszedł.

Stałem przed Helgem.

- Tre Små Kinesere? - Helge podniósł rakieta, obrócił ją w dłoni i nagle walnął nią w ławkę. - Co to za gierki, Jalla?

- Jakie, kurwa, gierki? O czym ty w ogóle gadasz?

- Och, stul pysk. Myślisz, że nie widzę, co się wyprawia? *Tre Små Kinesere*? Twój ojciec? Matka? Przecież masz ich w dupie. Wiem, co się święci, Jalla!

- Co? Co takiego się święci? - powiedziałem i zaoponowałem: - Mama wychodzi z

siebie, straciła pracę, a tata, no... ja też nie mam się za dobrze...

- Nie masz się za dobrze? Nie masz się za dobrze? Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz, Jalla! Wiem, co się święci!

- Słuchaj, Hegga, siedziałem nad matną, a mama spała, na dworze padało, było mocno po szóstej, próba nie miała sensu, a ja musiałem gdzieś wyjść...

- Dlaczego tego po prostu nie powiesz? - zapytał Helge.

- Czego?

- Że to koniec!

- Koniec? - Czyżby rozmawiał z Katrine? Czy wszystko zrozumieli? - Z czym koniec? Przecież to moja dziewczyna, myślisz, że...

Helge mi przerwał.

- Ach, kurwa, nie żartuj, Jalla, wijesz się jak cholera. Zespół! Mathias Rust Band! Nie wiem, kurwa, co planujesz, ale cię nie ma! Kto zrobił ulotki? Kto zrobił przypinki? Ja sam! W domu! Kto to wszystko ciągnął, co?

Zespół. Boże. Helge zupełnie poważnie sądził, że chodzi o zespół. Okej. Zespół.

- Zmieniłeś się - ciągnął, próbując uderzyć mnie ręką we włosy. - Wszyscy to widzą. Ale mam to w dupie, okej? Jeżeli chcesz zdradzać kumpli, olewać matkę, chcesz zacząć pić herbatę i słuchać Stinga - i *Tre Små Kinesere* - nic do tego nie mam, ale bądź, kurwa, na tyle mężczyzną, żeby mi to powiedzieć. Okej? Powiedz to!

- Nie mam nic do powiedzenia, Helge, zupełnie cię teraz ponosi.

- Powiedz! Że chcesz skończyć, że wolisz występować solo albo ta lala Yngve będzie grać z tobą w akustycznym popowym duecie, że chcesz głosować na Prawicę, że nie chcesz mieć z nami nic wspólnego, ale, kurwa, nie...

Przerwałem mu.

- Helge. Za bardzo cię poniosło. Co ci odbiło?

Helge gotował się z wściekłości. Podszedł do drzwi.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Ty skończony paranoiku! - krzyknąłem za nim. - Helge! Co to za zachowanie?! Czekaj!

Otworzył drzwi. Wciągnąłem sweter, zarzuciłem kurtkę, chwyciłem torbę i płaszcz przeciwdeszczowy i pokuśtykałem za nim z rozwiązanymi sznurówkami. Na dworze lało i wiało. Helge stał pod dachem, przypalając fajkę.

- Hegga! Zespół znaczy dla mnie tyle samo co dla ciebie. Kurwa, Hegga! Przecież wiesz!

- Nic już nie wiem, jeśli o ciebie chodzi.

Spojrzałem na zegarek.

- Za dziesięć dziesiąta - powiedziałem spokojnie i podszedłem do niego. - Masz rower?

- Zapomnij - odparł.

- Możemy popędzić do ciebie i pograć trzy kwadransy, tylko ty i ja, dużo musimy przećwiczyć - zaproponowałem.

- Jesteś fałszywy, Jarle - spojrzał na mnie. - Wiesz o tym?

- Ja...

- Ilu masz przyjaciół, Jarle?

- Kurwa, Helge... ja...

- A ilu ja mam przyjaciół?

Wyszedł na deszcz.

- Helge!

Ruszył pod górę, w deszczu przeciął oświetloną ulicę, na sobie miał swój czarny płaszcz.

- Helge! Myślałem, że wydamy singiel, co?

Deszcz padał na Helgego, który ode mnie odszedł.

- Siedmiocalowy, co? „Mielonym pod ścianę” na stronie A i „Zrób coś ze sobą” na B, co?

Odwrócił się.

- Jesteś w chuj fałszywy, Jalla.

^[17] Kåre Willoch (ur. 1928 r.) - premier Norwegii w latach 1981-1986, jego poprzedniczką i następczynią na tym stanowisku była Gro Harlem Brundtland [przyp. tłum.].

Mówię: kamień, żwir, piach

hey

must be a devil between us

Pixies

Falszywy? Byłem prawdziwy i zakochany. Na 100%. Wszystkie moje kłamstwa, wszystkie kroki po asfalcie, wszystkie moje czyny były w 100% dla niego.

Po tym zdarzeniu nastąpiło kilka chorych dni. W czwartek i piątek ćwiczyliśmy z MRB, ale Helge i ja zachowywaliśmy się jak skłócone małżeństwo. Andreas stał z basem przewieszonym przez ramię i nic nie rozumiał, ale widział, że Helge nie patrzy na Jarlego, że nie chce rozmawiać z Jarlem, a Jarle chodzi nadąsany i nie chce rozmawiać z Helgem, w związku z czym wszelka komunikacja odbywała się za pośrednictwem Andreeasa.

- Odliczysz do „Che Guevary”, Anni? - Komiczna sytuacja. - Anni, Jalla nastroił Fendera? - Helge i ja nie różniliśmy się za bardzo od mamy i taty w przeszłości, kiedy cały tydzień potrafili się do siebie nie odzywać, jednocześnie przyjaźnie rozmawiając ze mną i przeze mnie oraz ze światem. Zdarzało się, że siedzieliśmy we trójkę przy obiedzie, mama pytała, jak mi idzie w szkole, ja odpowiadałem: „Przyroda i wiedza o społeczeństwie jest fajowa”, tata zaś pytał, jak tam piłka, na co ja stwierdzałem: „Wolę grać w ataku niż w obronie”, on uśmiechał się do mnie szeroko, podczas gdy od mamy oddzielał go mur milczenia, milcząca nienawiść, która pękała dopiero później, podczas piątkowego wieczoru, kiedy tata zdążył już opróżnić sporą część butelki. Wtedy zaczynali „ze sobą rozmawiać”, jak można by to określić. W ten sposób Helge i ja zachowywaliśmy się przez te dni. Po środzie, gdy złapał mnie na gorącym uczynku, choć nie pojął, co takiego się dzieje, zupełnie się między nami popsuło.

Biedny Andreas, to musiał być dla niego piekielny okres. Uśmiechał się, grał, kupował nowe struny do basu, stawiał się na próbach, robił, co trzeba, ale nic nie rozumiał i nic też nie mówił. Co dziwne, szło nam dobrze, muzyka była zgrana, chociaż trio pozostawało niedopasowane. Może to precyzja i energia irytacji i niepokoju przenosiła się na grę?

W drodze do domu tamtej środy, kiedy Helge ode mnie odszedł, byłem zdenerwowany. Jak to wszystko się teraz potoczy? Mama chyba da sobie radę. Pewnie tak. Ale Helge? Katrine?

Yngve?

I dlaczego go nie pocałowałem?

Wjechałem w ulicę. Pod domem mamy stało czerwone mitsubishi. Zaskoczyło mnie to. Rozpoznałem samochód. Ona tu teraz jest?

Wszedłem ostrożnie, jakbym nie miał prawa tam być. Dym papierosowy unosił się ciężko w korytarzu, jak zawsze podczas odwiedzin Ragnhild. Pall Malle. Ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi, poczułem dawną niepewność o to, *jaki panuje tu nastrój*, jakby to tata siedział z nią w salonie.

Było całkiem cicho. Zdjąłem buty, odwiesiłem płaszcz przeciwdeszczowy, odstawiłem torbę treningową i wszedłem.

- Halo?

Na kanapie siedziała mama z Ragnhild. Mama była ubrana w luźny, niebieski sweter, jej ręce zwisały wzdłuż skurczonego ciała. Oczy miała przekrwione, wyraźnie płakała. Ragnhild posłała mi stanowcze, choć łagodne spojrzenie, mówiące, że kontroluje sytuację.

Ragnhild to dumna kobieta. Mama zawsze ją podziwiała, ja również. Ma zasady, siłę charakteru. Poznały się w 1961, kiedy miały po szesnaście lat i pracowały jako pokojówki w Hotelu Atlantic. Od tego czasu się przyjaźniły, z przerwami, ale zawsze mocno, zawsze towarzyszyły też sobie podczas rewolucji w życiu, z wyjątkiem tych ostatnich 8-10 lat małżeństwa mamy z tatą, któremu udało się odciąć mamę od reszty świata.

- Cześć, Jarle - powiedziała Ragnhild.

Mama pociągnęła nosem. Na stole przed nią stała filiżanka kawy i termos. Mama sięgnęła po filiżankę i napiła się.

- Fajnie było? - zapytała ostrożnie, spojrzawszy na Ragnhild. - Jarle był na próbie zespołu.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Siedziały przede mną, tworząc mały, choć silny kobiecy kolektyw, i od razu poczułem, że nie ma tam dla mnie miejsca. Nie miałem jak im pomóc. To ich świat. Jak w czasach podstawówki, szóstej klasy, kiedy wychodziło się na przerwy i widziało dziewczyny stojące w ciasnych grupkach, małych, twardych żeńskich społecznościach, z plecami zwróconymi do świata i ciałami stykającymi się ze sobą. Nie masz tam nic do roboty. To świat dziewczyn. Mama i Ragnhild mocno cofnęły się w czasie, zajęły je sprawy, których nigdy nie poznam, wspólne doświadczenia, dni i noce sprzed moich

narodzin, w świecie, gdzie tańczyło się swinga, oglądało w telewizji lądowanie na księżycu, chodziło w kapeluszach i podziwiała w kinie Sophię Loren.

Ragnhild wstała, a mama od razu zaczęła wyglądać na przestraszoną.

- Idziesz?

Ragnhild uśmiechnęła się do mamy, uspokoiła ją, pokręciła głową i podeszła do mnie. Odprowadziła mnie do kuchni.

- Poczekaj chwilkę, Saro - poprosiła.

Mówiła spokojnie. Z opanowaniem i powagą. Powiedziała, że mama zadzwoniła do niej parę godzin temu i zapytała, czy do niej wpadnie. Mama była spokojna, zupełnie pozbawiona dramatyzmu, po prostu zapytała, czy może przyjechać. Wtedy opowiedziała, co się stało.

- Chyba też o tym wiesz, Jarle?

Skinąłem głową.

- Nie jest jej teraz łatwo, potrzebuje trochę czasu, żeby pojąć, co jej się przytrafiło - rozumiesz?

Znów skinąłem głową. Ragnhild zawsze napełniała mnie swego rodzaju podziwem. Nie przypominała innych kobiet w swoim wieku. Znajdowała się lata świetlne od poprzednich gdaczących przyjaciółek mamy, tych uśmiechniętych, przyjaznych, obowiązkowych gospodyń, z którymi mama trzymała się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Ragnhild nie dawała sobie w kaszę dmuchać.

- Jasne - odparłem.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Będzie teraz potrzebować twojego wsparcia - dodała.

Już chciałem powiedzieć, że mi też przydałoby się trochę wsparcia, ale nie zrobiłem tego. Wróciliśmy do salonu. Spojrzałem na mamę. Co takiego się dzieje?

- Wszystko się ułoży - powtórzyła mama. - Nie przejmuj się, Jarle. Jadłeś?

Uśmiechnąłem się, uścisnąłem ją i poszedłem się położyć. Umyłem zęby. Z parteru dobiegały mnie ich głosy. „Co jest? - pomyślałem. - Co teraz?”

Gdy mijałem schody, usłyszałem mamę.

- To nie ich wina, tylko moja.

- Saro!

To Ragnhild. Podniosła głos.

- Starają się, jak mogą.

Mama była uległa.

- Saro! To nie twoja wina! Musisz to zrozumieć!

Tej nocy źle spałem.

Gdy wstałem następnego dnia, w całym domu pachniało dymem. W salonie nadal stał termos z kawą i przepelniona popielniczka. To była długa noc. Na kuchennym stole leżała kartka: „Drogi Jarle. Położyłam się późno. Jedzenie masz w lodówce. Pogadamy później. Mama”. U dołu kartki narysowała kwiatek.

Zrobiłem sobie jedzenie, targany sprzecznymi uczuciami złości i smutku. Nie miałem powodu, by gniewać się na mamę, ale i tak się gniewałem. Nie mogłaby się pozbierać? To teraz Ragnhild musi poddawać jej pomysły? O czym tak rozmawiały przez całą noc, żebym się nie dowiedział? Zachowywałem się irracjonalnie. Myślałem jak tata. Ragnhild zawsze reprezentowała dla niego poważne zagrożenie, bo potrafiła rozwiewać złudzenia.

Zjadłem śniadanie sam, dwie kanapki - jedną z kawiozem, a drugą z dżemem malinowym. Nie włączyłem radia, zostawiłem naukę na sprawdzian z matmy - niech będzie, jak ma być, czyli słabo. Siedziałem sam, żując chleb, jak najciszej umiałem, i nasłuchując kroków mamy na schodach. Chyba zejdzie. Chyba wszystko w porządku. Na pewno zejdzie. Wszystko się ułoży.

Nic się nie stało. Spojrzałem na swoje dłonie, jakbym prosił je o pomoc. *Co teraz robimy?*

Dłonie nie odpowiedziały.

Przed wyjściem poczekałem na nią kilka minut.

- Mamo?

Na piętrze panowała całkowita cisza.

- Mamo?

Nie odpowiadała.

Kurde, mamo. Ja też cię potrzebuję. Nie tylko ty potrzebujesz innych.

Pojechałem do szkoły.

„Tak, tak - pomyślałem - to minie, teraz uporządkuj sprawy ze swoim najlepszym kumplem”.

Sprawdzian z matmy miał się odbyć na dwóch pierwszych lekcjach. Zupełnie zarzuciłem plan poprawy kiepskich stopni, więc poszedłem na zajęcia wyłącznie z zamiarem przebrnięcia przez test.

Zaraz po wejściu do klasy spostrzegłem chłodne i rzeczowe zachowanie Helgego. Próbowałem go zagadnąć, kiedy nauczyciel rozdawał sprawdziany, powtórzyłem propozycję wydania singla, ale on uciął moje pomysły i odwrócił się, by przygotować się do testu.

Poszło żałośnie. Nie potrafiłem się skupić, „skończyłem” dużo wcześniej niż inni i przecierpiałem obie lekcje.

Na następnej przerwie podszedłem do Katrine. Przytuliłem ją. Po raz pierwszy od poznania Yngvego nie odwzajemniła mojej czułości ze zdwojoną siłą.

- Hej, jak ci poszło?

- Świetnie.

Jej wypowiedź była lakoniczna i wiało od niej chłodem.

- Aha, ja niezupełnie sobie poradziłem - przyznałem. - Nie pouczyłem się wczoraj za dużo.

- No, pewnie nie - zgodziła się.

- No.

- Fajnie było na tenisie?

„Boże. Co to ma być? - pomyślałem. - Ona też o tym wie? Czy teraz cały świat się ode mnie odwróci?” Helge na pewno z nią rozmawiał, powiedział, że zwiąłem z próby, okłamałem mamę i grałem w tenisa.

Katrine popatrzyła na mnie surowo.

- Co ty kręcisz, Jarle?

- Jak to „kręcisz”? - próbowałem grać niewinnego.

- Mnie mówisz jedno, matce drugie, a Helgemu jeszcze co innego. - Była całkiem spokojna.

- Nie... Katrine, to nie tak... - zacząłem.

Przerwała mi.

- A kiedy my mamy być razem?

- Co to znaczy - my?

- Tak, *my*, Jarle, *my*, myślisz czasem o tym?

Katrine odeszła do koleżanek. Słyszałem, jak śmieją się pod toaletami, widziałem, jak Ingar zabawia je żenującymi dowcipami. Miał nową kurtkę, zupełnie inną niż wszyscy. Helge stał pod murem katedry i palił z ludźmi ze szkolnej gazetki. Spojrzałem na nich, ale nie nawiązaliśmy kontaktu wzrokowego. Popatrzyłem na grupę dziewczyn, wśród których znajdowała się Katrine, ale one tworzyły dla świata zwarty mur.

Człapałem sam. Gdzie on jest? Dlaczego nie przyszedł?

Kiedy nie pojawił się na pierwszych przerwach, zebrałem się na odwagę. Pokonałem strach, że zobaczą mnie Helge i Katrine, i zapytałem kogoś z klasy Yngvego, czy go widział.

- Nie, jest chyba chory.

Chory? Znów?

Chodziłem w kółko. Nagle nie było wokół mnie nikogo, kto miałby wobec mnie prosty i jasny stosunek. Z dnia na dzień zawaliło się moje bezpieczne otoczenie. Mama nie chciała ze mną rozmawiać. Helge mnie odtrącił. Skończyło się współczucie Katrine. A Yngve był chory. Znowu.

Po ostatniej lekcji podszedłem prosto do Helgego. Dostyc już tego.

- To co, gramy?

- No, jasne - powiedział z wyższością. - Jeśli nie będziesz z haugesundczykiem, a może go dziś nie ma?

Piątek dokładnie przypominał poprzedni dzień. Kłóciłem się z Katrine, Helge biegał w koło i rozmawiał z innymi, demonstrując, że potrafi zajmować się sprawami MRB bez mojej pomocy, do mnie zaś odnosił się z chłodem. A Yngvego nie było. Zostałem zupełnie sam.

Niemожność zobaczenia obiektu zakochania jest jak abstynencja. Fizycznie, całym sobą odczuwasz wtedy, że brakuje ci czegoś istotnego, że zniknęło coś, co pozwalało ci oddychać, co wprawiało twoje stopy w ruch. Wszystko inne traci sens. Mówi się, że trudno jest rzucić palenie czy heroinę. Spróbuj rzucić zakochanie. To niemożliwe.

W domu mama siedziała w salonie i krótko odpowiadała na moje pytania. Wyglądała nieporządnie. Próbowałem pozbyć się Yngvego z głowy.

„Zobaczę go jutro - pomyślałem - na koncercie. Na pewno przyjdzie na koncert”.

- Pójdziemy może na spacer? - zapytałem. - Na krótki spacer przed próbą... wiesz, jutro koncert, więc...

- Nie - odpowiedziała mama. - Nie trzeba.

- Aha, a znalazłaś nową pracę?

- Jeszcze nie.

- Mamo?

Spojrzała na mnie.

- Jesteś... jesteś na zwolnieniu lekarskim?

Skinęła głową.

- To... pomogła ci rozmowa z Ragnhild?

- Tak, przydała mi się.

Mama poszła do łazienki.

- Na pewno niedługo wyzdrowiejesz - powiedziałem.

Nie naciskałem jej. Zamknęła się w sobie.

Wtedy zrobiłem coś głupiego. Parę minut później, około wpół do czwartej, siedziałem

w autobusie do Forus. Wybrałem miejsce na samym końcu, na długim siedzeniu, jakbym chciał ukryć się przed innymi, jakbym jechał na zakazaną wyprawę.

Tata otworzył drzwi. Nadal miał na sobie koszulę z pracy i spodnie w kant, zrozumiałem więc, że dopiero wrócił. Wyglądał na zaskoczonego.

- Jarle?

- No, cześć.

- Proszę, wejdź.

Wszedłem do mieszkania. Zawsze dziwnie było go odwiedzać, oglądać wszystkie stare przedmioty z dzieciństwa w innym domu, gdzie nie było mamy i mnie. Kanapę, stół jadalny, zdjęcia na ścianach. Kubeczek kupiony przeze mnie w Anglii w 1984, chybotliwy, wyblakły kubek, który miał przedstawiać drzewo, a którego ucho kształtem przypominało sowę. Na kubku widniał napis: „I love Dad”. Stał w widocznym miejscu. Tata był z niego dumny, z „sowiego kubka”, jak go nazywał. *I love Dad*. Nasze rzeczy rozstawił w różnych częściach mieszkania, nie pozbył się śladów po nas - wszystko znajdowało się na widoku, jakbyśmy nie żyli, a on oplakiwał stratę, budując wokół siebie mauzoleum na naszą cześć. Jakbyśmy zginęli z mamą w wypadku samochodowym na autostradzie, a on był pogrążonym w żałobie wdowcem, który nie potrafi porzucić wspomnień i próbuje zbliżyć się do nas, *swoich zmarłych*, dzięki zostawieniu w oknach firanek, jedzeniu obiadu ze starej, niebiesko-białej zastawy, aby być blisko nas, *jeść obiad ze swoimi zmarłymi*, o których opowiadał wszystkim odwiedzającym go osobom. „Tak, to ulubiony obraz mojej żony, zmarła dziesięć lat temu, kochała ten obraz mostu i spichlerza, a tu, popatrzcie, tej pufy nigdy się nie pozbędę, za każdym razem, gdy na nią patrzę, myślę o moim synu, tak, zginął razem z żoną, a kiedy był mały, zawsze ustawialiśmy pufę bokiem, a on kładł się na niej na brzuchu i tarzał się w tę i z powrotem - o tak, to właśnie lubił. *Na imię miał Jarle. Jarle, świetny chłopak, cudowny syn, marzenie każdego rodzica*. Ale teraz nie żyją, a ja zostałem sam, mam jednak rzeczy, wspomnienia, które przynoszą mi pociechę, dają mi ratunek i pozwalają bezpiecznie przechodzić przez kolejne dni”.

Ależ tato, było chyba odwrotnie, co?

Boże, przez te lata przed załamaniem ojciec żył w jakiejś formie samoudręczenia, dzień w dzień oglądając rzeczy, których mama i ja dotykaliśmy, a które nie mówiły mu o dobrej tęsknocie i dobrych czasach, lecz o potężnej awarii, o niewdzięcznym synu i pełnej nienawiści żonie. Gdy podchodził rankiem do okna, by odsunąć firankę - *niebiesko-zieloną firankę mamy* - opowiadała mu jedynie o mamie, bo to mama odsuwała ją codziennie między rokiem 1974, kiedy została kupiona, a 1988, gdy ją zdjęto i wywieziono w samochodzie do

przeprowadzek; to chwyt mamy pozostał na tej firance i opowiadał o jej drobnej dłoni trzymającej siatki z zakupami po powrocie ze sklepu, o jedzeniu, które w nich przynosiła, o jedzeniu na obiad. Właśnie tak biedna firanka, którą tata *miał każdego dnia zasuwac i odsuwac*, opowiadała o nieskończonej liczbie obiadów, tych dobrych i złych, i o osobach zasiadających wokół stołu, mamie, tacie i mnie, nie mówiąc już o samym stole, drewnianym stole, kupionym przed moimi narodzinami, pierwszym meblu rodziców; w ten sposób przypominano tacie o czasach, gdy wprowadził się z mamą do wspólnego domu, kiedy byli jeszcze zakochani. Firanka codziennie posyłała tatę w groteskowo szczodłą podróż, opłaconą właśnie przez firankę, którą musiał zasuwac i odsuwac, podróż niepomijającą ani jednego przedmiotu z jego poprzedniego życia - życia z mamą i ze mną.

Jego mieszkanie było przepelnione przedmiotami opowiadającymi historie, wśród których każde wydarzenie z przeszłości ciągnęło za sobą kolejne. Boże, tato - czy tego chciałeś? Dlaczego nie wymienileś firanek? Dlaczego nie oddałeś Armii Zbawienia starej, białej zastawy w błękitne kwiatki i nie kupiłeś nowej, nie wymazałeś tego ciężkiego życia, aby nie musieć codziennie zdręzczać się własnym upadkiem? Co to takiego? Rodzaj przeprosin? Myślę, że był to po prostu kolejny członek Związku Upartych i Zaciętych Uczuć taty, myślę, że dotykanie co rano i co wieczór firanki, codzienne patrzenie wszystkiemu prosto w oczy dodawało mu jakiejś makabrycznej siły, uczucia, jakby to w nas się wpatrywał, jakby to nas dotykał, z całą swoją urazą, z całą złością, z całą nieporadną miłością.

Tata nie wiedział chyba, co powiedzieć. Stałem w progu, bez zapowiedzi, chwilę po czwartej w piątkowe popołudnie, w weekend, którego nie miałem spędzić u niego.

- Coś się stało? - zapytał, gdy weszliśmy do salonu.

Był zaskoczony, zastanawiał się pewnie, dlaczego w ogóle przyszedłem, ale nie zdradzał żadnych oznak zmieszania po odwiedzinach w naszym domu. Nie dawał nawet najmniejszych znaków, że u nas był, że rozmowa, kłótnia i próba sił w ogóle się wydarzyły. To w jego stylu. Oczywiście w pewnych ekstremalnych przypadkach, kiedy Smirnoff mocno uderzał mu do głowy, potrafił sobie wmawiać, że ma luki w pamięci i nie kojarzy, iż poprzedniego wieczoru zdarł po pijaku obraz ze ściany w salonie; oczywiście zawsze pomocą służyło mu też przeniesienie uczuć, ale najczęściej korzystał z imponującej umiejętności, dzięki której mógł stać przed płonącym domem, patrzeć na wijące się w oknach jęzory ognia, wyrzucane z domu niemowlęta, i jednocześnie pytać: „Co? Stało się coś? Coś się dzieje?”.

- Stało się coś?

Czy rozdrażniła go moja wizyta? Czy groziłem mu zniszczeniem wspaniałego wieczoru z promilami, a może za parę godzin miał jakąś wątpliwą randkę, której zepsucia

obawiał się w związku z nagłą chęcią Jarlego, by rozbić u niego obóz?

- Zaraz idę - powiedziałem.

Chyba odetchnął, gdy to usłyszał.

Głupota nie zna granic, a na pewno swoich własnych. Kiedy już wychynie na zewnątrz, radośnie brnie naprzód, gwizdząc i podśpiewując w drodze w dół zbocza, napędzana własną durną energią. Czego szukałem u taty? Jaki śmieszny impuls kazał mi iść na przystanek i wsiąść do autobusu zmierzającego do Forus? Próbowałem osłabić swoją pozycję?

Chyba chciałem z nim po prostu porozmawiać. Mój świat stanął na głowie i ten jeden jedyny raz tata jawił się w moim siedemnastoletnim umyśle jako ratunek. Tak, to z *tatą* mogę pogadać. Gdy wszystko inne się wali, mam przynajmniej *tatę*.

- Masz fajkę? - zapytałem. Wyjął tytoń do skręcania i usiedliśmy na kanapie.

Tata wskazał na muszlę na komodzie. Uśmiechnął się.

- Co? Pamiętasz ją?

Pokręciłem głową.

- No, ty i ja, wiesz, byliśmy na wycieczce nad morzem. Pamiętasz? Świetna wycieczka.

Skinąłem głową, jakbym naprawdę pamiętał.

- Tak, świetna wycieczka - powtórzył tata i wypuścił dym. - Więc... nie mam obiadu ani niczego takiego...

- Nie szkodzi, zaraz idę - odparłem.

- Stało się coś?

Powiedziałem mu o mamie. Nie mogłem zrobić nic bardziej idiotycznego. Gdybym chciał podać tacie kij, którym on mógłby zbić mnie i mamę, takie rozwiązanie było najbardziej skuteczne. Powiedzieć tacie o załamaniu mamy, żeby on sam mógł poczuć się lepiej.

- Boże - skomentował. - Wiedziałem, że tak będzie.

- Jak?

- Że nic dobrego nie wyniknie z tej pracy. Za duże ryzyko.

- Mama nie jest zrzeszona w związkach. - Oczekiwałem w napięciu na jego reakcję.

Nie odpowiedział.

- Pomagasz jej? - zapytał.

- Tak, ale... nie wiem, czy dam radę.

- Musisz ją teraz wspierać.

- No. Ale... Wczoraj była u niej Ragnhild, więc...

Musiałeś to powiedzieć, Jarle?

Jego oczy błysnęły.

- Sam widzisz, zaczyna się - uciął.

Jakby mało było opowieści o tragedii mamy, pomocy Ragnhild i moich własnych zmartwieniach, które tata mógł później dowolnie wykorzystać, wspomniałem mu również, że poprzytykałem się z Katrine i Helgem. Nie wyjaśniłem mu oczywiście okoliczności, prawdziwej przyczyny - bo jeśli w Rogaland istniała homofobia, to reprezentował ją mój ojciec, który zaprzeczyłby istnieniu jakichkolwiek form męsko-męskiego przyciągania. Liczyłem na współczucie. Nawet nie zapytałem o pieniądze. Chciałem jedynie wsparcia.

Czy sądziłem, że je u niego znajdę?

Na pewno tak.

Pytanie brzmi: w jaki sposób ktoś może oczekiwać zrozumienia złożonych uczuć, różnic międzyludzkich, osobistych tragedii od przygnębionego mężczyzny, pełnokrwistego dziecka epoki powojennej z Zachodu, przekonanego, że facet to facet, a kobieta to taki człowiek z cipką i cyckami, że wszystko co na lewo od Prawicy to komuniści, że bezrobotni to leniuchy, a psychologowie to przeklęta zgraja, zresztą tak samo jak związkowcy - maleńkiego, słabego i niepewnego człowieczka, który podnosi głos, używa prostych odpowiedzi na trudne pytania, nagłych gestów i spojrzeń, aby wydawać się potężniejszym, niż jest w rzeczywistości. Jak to się stało, że syn, posiadający doświadczenie dobrych siedemnastu lat z tym mistrzem samoobrony, uznał, iż nagle spotka się z radosnym, serdecznym zrozumieniem, kiedy powojenny mężczyzna w dodatku żywi do niego i do jego matki ogromną urazę, strząsaną co weekend w alkoholowym zamroczeniu?

Nawet nie będąc pijany, tzn. jeszcze nie będąc, tata trzymał się mieszczańskich przekonań. Nie mogłem nic zyskać. Ja również złamałem zasadę - przyszedłem poza umówionymi weekendami, pokazałem się od słabej strony i naruszyłem zestaw tak dobrze znanych mu zasad, czym dałem mu przewagę. Dodatkową darmową szansę, by się na mnie odegrać. Miałem nad nim kontrolę przez półtora roku. Przychodziłem w weekendy, a on spełniał każdą moją zachciankę. Dzwoniłem i wyciągałem od niego pieniądze, ostatni raz ledwie parę tygodni temu. Teraz jego kolej. Widziałem to po nim. Na pewno nic nie zyskam, jedynie reprimendę.

- Zachowuj się - powiedział tata i wstał. Odszedł do stołu i wyciągnął zegarek, który następnie założył. - Masz dziewczynę, o którą musisz dbać, a jeśli będziesz nadal tak postępował, nie zatrzymasz też kumpli.

Nie wierzyłem własnym uszom. Tata pouczał mnie, jak dbać o dziewczynę, opiekować się ludźmi, szanować przyjaciół. Wspaniale było słyszeć to z jego ust. *Boże, tato! Czy sam siebie słyszysz? Niesamowite, że to powiedziałeś.*

Spojrzałem na podłogę. Myślał pewnie, że się wstydzę, że się z nim zgadzam, ale ja spuściłem wzrok, ponieważ próbowałem powstrzymać ogromny napad wściekłości - czułem, że nie jestem jeszcze gotów na konfrontację z nim, poza tym był trzeźwy. Utrudniało to sprawę, bo ciężko było klócić się z trzeźwym tatą.

- Mogę zadzwonić?

- Tak, tak, ale przemyśl to, co ci powiedziałem - odparł.

Wyszedłem na korytarz, wyjąłem książkę telefoniczną i otworzyłem ją na literze L.

- Lima, słucham?

Męski głos. Spojrzałem na tatę w salonie. Skręcał papierosa, zerkając na zegarek.

- Ee, tak - zacząłem. - To... jestem kolegą z klasy Yngvego, chciałem tylko przekazać mu wiadomość ze szkoły, jest może w domu?

Ojciec Yngvego odpowiedział po paru sekundach.

- Nie, nie, nie jest... nie może podejść. Mam mu coś przekazać?

- Nie, zadzwonię później, ale... jest chory?

- Od kogo przekazać pozdrowienia? - zapytał.

Udałem, że go nie dosłyszałem.

- Proszę go po prostu pozdrowić. Do widzenia.

Wszedłem do salonu.

- Mógłbyś odwieźć mnie do Helgego? - zapytałem. - Mamy próbę.

- Dobrze - odpowiedział i chyba wziął to za znak, że jego przestrogi rodem z taniej prasy nagle zaczęły działać, naprawdę mnie ocuciły. Spojrzał na zegarek. - Dobrze - powtórzył, a jednocześnie szacował pewnie, że tak będzie idealnie: teraz odwiozę Jarlego, za pół godziny wrócę i zdążę ze wszystkim, co planowałem.

Wyszliśmy na korytarz, a tata zaczął wkładać płaszcz. Nagle stał się dowcipny, śmiał się i uśmiechał, stwierdził, że to świetnie, że wpadłem, okazałem odwagę, przyszedłszy z nim porozmawiać, poprosił, abym pozdrowił mamę i przekazał jej, że na pewno wszystko się ułoży, mogła jednak pomyśleć o tym, gdy zaczynała ten ryzykowny interes - tak, przez krótką chwilę, jedną z tych niezwykle krótkich chwil, które tylko tata przeżywał, wszystko było w porządku. Dał mi dwieście koron i dodał: - Jest przecież weekend.

Spojrzałem na niego.

Nazwisko? *Terje Orheim.*

Urodzony? *23 czerwca 1940 r.*

Miejsce urodzenia? *Stavanger, Norwegia.*

Zawód? *Wicedyrektor Technikum w Stavanger.*

Stan cywilny? *Rozwodnik.*

Dzieci? *Jarle.*

Hobby? *Picie i pieprzenie.*

Patrzyłem na niego. Nazywa się *tata*. Powtarzałem w myślach: *Tata*. Jeszcze raz: *Tata*. Równie dobrze mógłbym powiedzieć *kamień, żwir, piach*.

Sobota, 3 lutego 1990 r.

dziwoląg, potwór - pijany młody człowiek

Karl Ove Knausgård

Jak bardzo można coś zawalić?

Straszliwie.

Organizowanie przez zespół próby i testu nagłośnienia oraz granie koncertu tego samego dnia jest pewną oznaką amatorszczyzny. Wiadomo wtedy, że ma się do czynienia z niedoświadczonymi napaleńcami.

Chociaż brak profesjonalizmu wszyscy członkowie Mathias Rust Band mieli wypisany na czole, chłód pomiędzy Helgem a mną objawiał się swego rodzaju profesjonalnym zachowaniem. W nadziei na ponowne zobaczenie Yngvego i odzyskanie najlepszego kumpla w ciągu godzin poprzedzających koncert byłem punktualny i skoncentrowany. Helge również. Nawet jakoś się teraz komunikowaliśmy, choć beznamiętnie i rzeczowo. Byliśmy jak dwóch skłóconych kolegów z pracy, którzy mieli nóż na gardle i musieli współpracować. Przez całą przedpołudniową próbę u Helgego byliśmy skupieni jak żołnierze. Zagraliśmy cały zestaw piosenek bez przerw, bez pośpiechu, przeciwczyliśmy przejścia, nawet strojenie gitar, na czym mi najbardziej zależało. Helge uważał, że to niepotrzebne. Że to nie w punkowym stylu stroić gitary na koncercie.

O czwartej mieliśmy spotkać się z kapelą Hekkan w Hundvåg. Zawiozła nas tam matka Andreasa, samochodem po dach wypełnionym gitarami i sprzętem.

Poprzedniego wieczoru dyskutowaliśmy sporo o warstwie wizualnej.

- Nie powinniśmy się, kurwa, przejmować wyglądem! - stwierdził Helge, gdy zaproponowałem uniformizację: czarne buty, dzinsy, czerwone koszulki.

- A może byśmy skombinowali sobie takie czapki w stylu Mao albo Che? - zasugerowałem.

- Nie, to słabe - odpowiedział Helge. - To muzyka i teksty mają mówić, kim jesteśmy.

Więc nic z tego nie wyszło. Ale uniformizacja i tak się oczywiście udała - mieliśmy przecież niemal wyłącznie podobne do siebie ubrania.

A co z gadaniem między piosenkami? Mamy to planować? Kto będzie zapowiadał?

- Musi być krótko i na temat - powiedział Helge. - Na przykład ty powiesz: „Okej, a teraz piosenka dla wszystkich, którzy lubią świętować siedemnastego maja”, my zaczniemy intro, jeszcze jak będziesz mówił, a ja krzyknę: „Co? Podoba się wam, pizdy?! Tytuł brzmi »Wspólny śpiew pod masztem«!”.

- No, tak będzie super - powiedział Andreas.

- A na początku koncertu zaczynamy od razu - ciągnął Helge. - Żadnego pieprzenia wcześniej, powiem tylko: „Wy jesteście publicznością, my jesteśmy Mathias Rust Band, świat jest zjebany, a to jest »Mielonym pod ścianę«, i wtedy ruszamy.

- Ale to nie będzie rozpoczęcie od razu? - zauważył Andreas.

- No tak. - Helge uderzył się w czoło. - Kapujesz, co mam na myśli.

Przejechaliśmy przez Most Miejski. Padało, wiało, a my martwiliśmy się, czy przez pogodę ludzie nie zostaną w domu. Matka Andreasa uśmiechała się do nas. Chyba sądziła, że jesteśmy „słodcy”, bo tak poważnie podchodzimy do sprawy.

- Ciekawe, co?

- Jeśli tylko przyjdą ludzie - powiedział Helge i zaczął wybijać dłońmi na udach rytm przejścia.

- Przecież zalałeś miasto przypinkami.

- No tak, ale pogoda - odparł Helge.

Pod klubem rekreacyjnym stał biały samochód dostawczy.

- To zostaniecie tutaj? - zapytała matka Andreasa. - Zjedliście coś?

- Tak, mam, wszystko w porządku - odezwał się Andreas. - Bez sensu jeździć w tę i z powrotem. Zamówimy pizzę czy coś.

Helge poklepał się po kieszeni, kiedy matka zahamowała obok samochodu dostawczego. Byłem nerwowy - siedział tam z torebką trawy, a teraz uderzał dłonią w kieszeń, chcąc jakby powiedzieć, że nie potrzebujemy jedzenia, bo mamy przecież czarodziejski tytoń. W bagażniku schowaliśmy też mnóstwo piwa i wódki. Kilka sześciopaków zostawiliśmy na widoku, żeby matka Andreasa nie nabrała podejrzeń, że w ogóle nie mamy piwa, ale wśród bębnow, wtyczek i całego sprzętu w torbach kryła się dodatkowa skrzynka i kilka butelek wódki, owiniętych w ręczniki i gazety, aby nie obijały się o siebie. Tej soboty wszystko musiało być najlepsze, totalnie się napaliliśmy: *więcej* piwa niż kiedykolwiek wcześniej, *więcej lepszej* trawy niż kiedykolwiek, koncert, przyjaciele, kobiety - i Yngve. Chociaż miniony tydzień był dla mnie i Helgego piekłem, ten dzień miał być wyjątkowy. Wielki. Właśnie zaczynała się nowa era.

Gdy otworzyliśmy drzwi do klubu, uderzył nas dźwięk prędkich palców pomysłowo

przebiegających po gryfie gitary elektrycznej. Andreas, Helge i ja zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy po sobie. Wszyscy to słyszeliśmy. Ten ktoś grałby nawet przez sen lepiej niż my w naszych najśmielszych marzeniach.

- Strømsvold - powiedział Andreas.

Helge skinął głową.

Dostrzegłem plecy dźwiękowca, kolesia, którego nazywano po prostu Danką, nikt nie znał jego imienia. Długowłosy facet z Trondheim, sporo po trzydziestce, dobrze znany w środowisku. Przed nim, na scenie, stał Hekkan podczas próby nagłośnienia. Właśnie grali gitarowy fragment pełen ciężkich przejść, poważnych profesjonalnych chwytów, przechodzący we wpadający w ucho refren. Stałe Strømsvold był wysokim facetem z grzywką w stylu późnych lat sześćdziesiątych, o ciemnej czuprynie mocno zasłaniającej czoło, gęstych i odstających włosach na karku, o skoncentrowanym wzroku, spazmatycznych ruchach i fantastycznie pracujących palcach. Miał na sobie dzwony, białą koszulę i czarną kamizelkę. Basista był dobrze zbudowany i wysoki, bardziej wyważony. Wokalista z równoległej klasy był kurduplem o półdługich włosach, ubranym w koszulę z cekinami z późnych lat sześćdziesiątych i brązową skórzaną kurtkę. Bardziej zajmowało go bieganie po scenie, czołganie się, chodzenie i siadanie gitarzyście na barana niż śpiew. Bębniarz, Paal jakiś tam, był strasznie dobry, a miał tylko szesnaście lat. Bił na głowę każdego.

Helge, Andreas i ja skinęliśmy do siebie głowami. Dla nas byli profesjonalistami. Dla innych zespołów pewnie obiecującymi amatorami. Poczulem chęć natychmiastowego wycofania się stamtąd. „Boże, nie uda się - pomyślałem. - Przecież my nie umiemy grać”.

Strømsvold machał rękami, próbując zatrzymać perkusistę i resztę.

- Hej, techniku, mogę prosić więcej basu w odsłuchu?

Basu w odsłuchu. Odsłuchu. Okej.

Jakie mieliśmy o tym pojęcie? Chcieliśmy po prostu zagrać, po prostu zmienić świat.

- Dobrze nas słyszać? - zawołał wokalista.

Dźwiękowiec kiwnął głową.

- Dźwięk tutaj zostawcie mnie, mówcie tylko, kiedy będziecie zadowoleni na scenie.

Strømsvold zauważył nas, uniósł po męsku dłoń i pomachał do Andreasa, który skinął do niego głową.

Odstawiliśmy rzeczy i poszliśmy usiąść. Czekaliśmy. Wszyscy byli nerwowi. Helge wypalił dwa papierosy podczas dwóch kolejnych piosenek grupy Hekkan. Jedna nosiła tytuł „Anemiczny Bjarne” i składała się z wodewilowych zwrotek w stylu Kinksów, po których następował rozchwiany rockowy refren. Wymieniliśmy spojrzenia. Kiedy skończyli próbę

elektryczną wersją „Kiss off” Violent Femmes, poczułem mdłości.

Pochyliłem się do Helgego.

- To się nie uda, słuchaj tylko - powiedziałem, wskazawszy głową na zespół.

Helge spojrział na mnie. Po raz pierwszy od wielu dni naprawdę na mnie patrzył, w dodatku z odrobiną empatii. Ściszył głos. Nagle wydawał się całkowicie pewny.

- Jalla. Uda się zajebiście. Słyszysz?

Helge posiadał fantastyczną zdolność. Mam nadzieję, że jeszcze jej nie stracił. Wśród całej jego arogancji, która wtedy przewyższała moją, kryła się potężna siła empatii. Helge potrafił być bardziej nieprzystosowany społecznie niż tata w najgorszych sytuacjach, lecz jednocześnie nikt nie miał więcej siły w rękach niż on, jeżeli już zdecydował się ich użyć. Potrafił wtedy wyciągnąć każdego z jego niepewności. Rzadko bywałem niepewny, wręcz przeciwnie, na ogół gadałem, co mi ślina na język przyniesie, bez krzty samokrytyki. Ale potrafiłem się denerwować, najczęściej tuż przed jakimś wydarzeniem. Wtedy zdarzało się, że odczuwałem poważne ukłucie realizmu, jakby ktoś nakładał mi na nos właściwe okulary, dzięki którym wreszcie pojmowałem sytuację. A teraz sikałem z nerwów.

- Słyszysz, Jalla? - Helge podał mi fajkę.

Wziąłem ją, zapaliłem, zaciągnąłem się. Skinąłem głową.

Później przyszła kolej na nas. Nigdy wcześniej nie mieliśmy próby dźwięku, ale udawaliśmy, że wiemy, o co chodzi. Przywitaliśmy się z chłopakami z drugiej kapeli, Strømsvold pokazał nam ich sprzęt, a wokalista skinął do nas głową, jakby nas rozpoznawał. Wyszli po coś do jedzenia. Byłem rozczarowany, że nie zostali, by nas posłuchać.

- To powodzenia! - zawołał wokalista.

Odbębniliśmy parę kawałków. Technik okazywał niecierpliwość, wyraźnie nie miał chęci ustawiać dla nas dźwięku na nowo, chociaż Helge nalegał, że jesteśmy dużo ostrzejszym zespołem niż oni i potrzebujemy innego brzmienia. Grałem niepewnie, frazowałem bez precyzji, ale czułem, że Helge wbija we mnie wzrok. To pomagało.

- Okej, jest dobrze - powiedział Danko. Spodziewałem się, że może skomentuje zespół, pochwali nas, przynajmniej podczas kawałka „Zrób coś ze sobą”, który wszyscy uważali za chwytliwy. Ale nie. Ani słowa.

- Wychodzę na parę godzin i zaczynamy o ósmej. Dobrze, gdybyście byli o wpół do.

Przecież nie chcieliśmy nigdzie się stąd ruszać.

- Okej - powiedział Helge.

Wtedy zaczęło się czekanie. Byłem zupełnie nieprzygotowany na tę fazę, na to, ile energii traci się, czekając. Przez ostatni tydzień podbudowaliśmy się, ćwiczyliśmy aż do

zdarcia skóry z opuszków palców, a struny głosowe mieliśmy bardziej spuchnięte niż rozgrzane, teraz zaś musieliśmy siedzieć i czekać. Do koncertu zostały trzy godziny. Przynajmniej dwie do przyścia pierwszych widzów. A ja chciałem tylko wyjść na scenę, wyładować i zostawić tam całą agresję, całą frustrację. Zamiast tego jednak musieliśmy siedzieć i czekać. Gdyby chociaż między Helgem a mną układało się tak jak kiedyś. Nie było o czym rozmawiać. Andreas zrobił sobie skręta.

- To co, po piwie? - powiedział Helge po dziesięciu minutach milczenia.

Wiedziałem, że to nastąpi. Umowa była jasna. Żadnego picia przed koncertem. Sam na to nalegałem. Andreas sądził, że mi zupełnie odbiło.

- Nawet jednego piwa? Boże. - Rzadko tak ostro reagował.

Helge, który szanował zasady, rozumiał mój plan, lecz jednocześnie twierdził, że „nie ty będziesz o tym, kurde, decydował, w końcu jesteśmy dorosłymi ludźmi i sami możemy kontrolować sytuację”.

Z całych sił zaprzeczyłem.

- Ani kropli - powiedziałem. - Musimy zachować całkowite skupienie.

- Kurwa. To bezczelne - przyznał po lekkim zastanowieniu. Pomysł do niego przemówił. Było w nim coś zaskakującego. - Zagrać zupełnie na trzeźwo. Bezczelny plan. Nikt tak nie robi.

Ale teraz siedzieliśmy tam i chociaż Helge wcześniej przekazał mi kilka słów pocieszenia, a próba dźwięku mimo wszystko poszła względnie dobrze, trudno się nam czekało. Na zewnątrz padał deszcz i w sumie po co, kurna, mielibyśmy szlajać się po Hundvåg? Nie było tam telewizora, stał za to zepsuty stół bilardowy, ale nie widzieliśmy nigdzie kijów. Tak samo było ze stołem do ping-ponga.

- Po co im tu ping-pong, skoro nie ma piłeczek i raketek!?! - krzyknął Helge.

- Na pewno trzeba je wypożyczyć - odpowiedziałem.

- To napijmy się piwa - powtórzył Helge. - Po jednym.

- Nie - zaprzeczyłem. - Umówiliśmy się. Nic przed koncertem. Później możesz wypić i spać, ile wlezie, wszystko mi jedno, ale nic przed występem. Mamy umowę.

Helge i Andreas popatrzyli na siebie.

- A mają tu telefon? - zapytał Helge, wyraźnie rozdrażniony.

- Nie sądzę - odparłem. - Ale możesz sprawdzić.

Helge wyszedł na korytarz. Usłyszałem, jak trzaska drzwiami.

- Możemy chyba w międzyczasie trochę poćwiczyć? - zasugerował Andreas.

- Nie, wystarczy już, ćwiczyliśmy dzisiaj w sumie cztery godziny. Możemy

przedobrzyć.

Helge wrócił. Napalenie na jakiś czas poszło w odstawkę. Zniknęła cała energia, a powróciła trójka skwaszonych przyjaciół w kiepskawych humorach.

- Kurwa, zepsuty.

- Co?

- Telefon.

- A do kogo chcesz dzwonić? - zapytałem, chociaż mi samemu po głowie plątała się myśl, by wymknąć się i zadzwonić do Yngvego, żeby przypomnieć mu o koncercie. Może nie pamiętał? Może przez parę dni miał gorączkę i zapomniał?

Helge znów wstał. Zniecierpliwiony.

- Dobra, spadam, może znajdę budkę.

- Do kogo chcesz dzwonić?

- Do ludzi, których zapomniałem zaprosić - odpowiedział.

- Ja zostaję - odparłem.

Andreas wstał, włożył kurtkę.

- Też pójdę - oznajmił.

Wyszli. To już szczyt. Było wpół do szóstej, a ja zostałem sam jak palec w Klubie Rekreacyjnym Hundvåg, i mogłem tak siedzieć - mając za jedyne towarzystwo własne złe myśli i głupie zdenerwowanie - dopóki Helge i Andreas zechcą łaskawie wrócić. To już szczyt. Ostatnia rzecz, jakiej teraz było mi trzeba, to dużo czasu na rozmyślanie o mamie, Helgem i chaosie wokół mnie. Chciałem jedynie zagrać, podkreślić głośność na wzmacniaczu, krzyczeć aż do utraty głosu - dla Yngvego.

„A co, jeśli bym uciekł?” - pomyślałem nagle.

Przecież mógłbym od tego wszystkiego uciec? Złapać autobus do miasta, pojechać do Yngvego... Tak się nie da. Wierciłem się. Czuję się niedobrze. Zdjąłem kurtkę, zwinąłem ją i położyłem się na ławce z kurtką pod głową.

„Będzie dobrze - pomyślałem. - Bez jaj, Jarle. Będzie dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek”.

Zamknąłem oczy. Będzie dobrze. Teraz wszystko się zacznie.

Zasnąłem.

Głosy. Wyrwały mnie ze snu. Głośna rozmowa, śmiech, trzaskanie drzwi. Otworzyłem oczy i spojrzałem na zegarek. Za piętnaście siódma. Za piętnaście siódma! Pięć kwadransów do koncertu! Boże! Usiadłem na ławce. Głosy narastały. Helge. Andreas. Weszli do pokoju. Obaj przemoczeni, na zewnątrz widać mocno lało.

- Za piętnaście siódma! - krzyknąłem.

Stali przede mną.

Nie.

Helge szczerzył zęby w uśmiechu, Andreas zaciskał usta. Po chwili obaj jednocześnie wybuchli śmiechem.

Nie.

- Kurwa! - powiedziałem z rezygnacją. - Wy... kurwa! Wiecie, że koncert zaczyna się za nieco ponad godzinę? *Za nieco ponad godzinę!*

Radość biła od nich na kilometr. Usiedli na ławce naprzeciwko mnie. Zniknął cały chłód Helgego, teraz był po prostu zadowolony i wesoły od marihuany. Zacząłem się podwójnie denerwować.

- Wyluzuj, Jalla!

- Ile wypaliliście? - zapytałem surowo.

Zachichotali.

- Ile? - zadałem raz jeszcze pytanie. - Piliście też?

- Wyluzuj, Jalla! - powtórzył Helge. - Jest spoko, nie ma problemu, to była tylko mała próbka. Kurwa, co za zioło! Nie masz pojęcia! Mięso armatnie!

Helge i Andreas popatrzyli na siebie tak, jak potrafią tylko ludzie, którzy wspólnie palili marihuanę. Zaśmiali się. Między dwoma chłopakami, którzy razem palili trawę, powstaje szczególna więź, wspólnota śmiechu, odsuwająca niepewność, nerwowość, mogąca połączyć każdego - gdyby tylko Reagan i Breżniew spotkali się przy tym maleńkim ziarenku, na początku lat osiemdziesiątych wróciliby do domów z szalonymi umowami rozbrojeniowymi w kieszeni. Ale byłyby też one nieprecyzyjne. Dla Reagana i Breżniewa wyglądałyby znakomicie, dopóki w ciałach mieliby jeszcze zielsko, a w głowach otępienie, lecz reszta świata uznałaby ich traktaty za dziecięce bazgroły.

Przecież właśnie to dzieje się, gdy zyskujesz przyjaciół? To samo co podczas zakochania? Brak ci precyzji i realizmu. Tracisz zmysł krytyki, tracisz samokrytycyzm, akceptujesz rzeczy, które właściwie nie mają sensu, a wszystko to z radości. Ze szczęścia, a jak każdy wie, szczęście mocno wiąże się z głupotą. Właśnie ona siedziała przede mną w postaci dwóch chłopaków, którzy grali razem w zespole, którzy ledwie się znali, lecz zmienili się w najlepszych na świecie przyjaciół, obaj święcie przekonani, że wszystko idzie wspaniale, że nic im nie zaszkodzi i wszystko będzie dobrze.

- Kurwa, Jalla - powtórzył Helge. - Muszę coś powiedzieć...

Boże. Teraz zwierzenia.

- Jedną rzecz - ciągnął ze śmiechem. - Tragicznie się ostatnio zachowywałeś... i ta twoja nowa grzywka! Ale teraz to zostawmy, okej? Tak. Teraz ruszamy. Mathias Rust Band! Boże, co za nazwa!

Próbowałem nadal być surowy. Wiedziałem, że niedobrze będzie wrywać ich z odurzenia; najgorsze, co mogłoby się stać, to gdyby wytrzeźwieli podczas występu. Ale chciałem wiedzieć, co mam przed sobą.

- Okej - powiedziałem. - W dupie mam, co robiliście. Chcę wiedzieć tylko jedno: ile wypaliliście? Czy piliście piwo?

Helge włożył dłoń do kieszeni i wydobyl woreczek z trawą.

- Nie, nie! Cholera! Odlóż to! - krzyknąłem. - To klub rekreacyjny! Przychodzą tu dzieciaki!

- Okej, okej - powiedział Helge.

Andreas zachichotał.

- Nie no, Anni, co myślisz?

- Dobrze, kurwa, jak dobrze! - odezwał się Andreas.

- Parę skrętów - powiedział Helge z uśmiechem.

- I jeden sześciopak - dodał Andreas z dumą.

Dzieci. Małe dzieci. Siedziało przede mną dwóch gówniarzy, z radością opowiadających ojcu, ile pełnych bakterii wyplutych gum odkleili z asfaltu i wsadzili do ust. Rozum wyjechał na wakacje i wysłał idiotyzm, by doglądał domu.

Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać, że oprócz tego pili. Skoro już się stało, może to i lepiej. Próbowałem przywołać własne doświadczenia z tego zakresu. Miałem dość nieracjonalny stosunek do alkoholu i narkotyków. Z jednej strony byłem taki jak większość moich rówieśników, z wyjątkiem religijnych dziewczyn - lubiłem w weekendy otępić umysł, obezwładniać ciało i się upić. Tak po prostu. Człowiek lubi być głupi. Przynajmniej wtedy, gdy taki jest. Później wita się z żalem, wstydem i kacem moralnym, jeżeli ma do tego skłonność. Z drugiej strony prześladował mnie duch taty, przez co mój stosunek do picia był bardziej napięty niż w przypadku większości moich znajomych. Jakoś łatwiej odnosiłem się do haszu i marihuany, bo nie kojarzyłem ich z tatą. Alkohol ściśle łączył się dla mnie ze *złem*. Hasz i trawa to co innego. Od cięższych dragów trzymałem się z daleka, miałem dla tej zasady ogromny szacunek. Jednak dobrzy i źli znajomi przekonali mnie, że jedynym niebezpieczeństwem związanym z haszyszem i marihuaną jest ich nielegalność. A wraz z wiekiem człowieka zaczyna ciekawić wszystko co nielegalne. W każdym razie piwo piłem co najmniej raz w tygodniu, odkąd skończyłem szesnaście lat, tak jak większość moich kolegów,

czasem też trochę wódki, chociaż wtedy najbardziej groził mi duch taty, do tego pięć czy sześć razy paliłem hasz. Ale przed tą sobotą nigdy nie sięgałem po trawę. W tamtych czasach nikt jej nie miał. Nie mogłem więc za bardzo skorzystać z własnych doświadczeń. Większość wiedzy na ten temat czerpałem z książek i filmów. Było jednak dla mnie jasne, że picie osłabia efekt narkotyków i wzmacnia rausz, co stanowi kolejny dowód na to, jak potężna jest siła alkoholu. Ja sam w każdym razie podwójnie upijałem się po zmieszaniu zioła z procentami. Wypicie trzech piw dawało efekt sześciu, kiedy paliłem, a połowę działania narkotyku pochłaniał alkohol. Jeżeli tak właśnie było, trawa kupiona u Stegasena musiała mieć szalone właściwości. Bo ci dwaj rozchichotani gówniarze przede mną nie wyglądali, jakby pili piwo, tylko godzinami jarali hasz. Przypominali chichoczące trzynastolatki, które pierwszy raz spróbowały Martini.

Wstałem.

- Okej - powiedziałem i spojrzałem na zegarek. - Chodźcie, pójdziemy na spacer.

Do otwarcia klubu dla widzów zostało jeszcze kilka minut i pewnie pół godziny do przybycia Katrine, zwietrzyłem więc szansę wysłania ciotek chichotek na dwór, żeby trochę wytrzeźwiały, skoro jeszcze był czas. Za kilka minut lokal zapełnią dźwiękowcy, drugi zespół, organizatorzy i goście. Którzy to zobaczą. Boże, przecież to mogą zobaczyć ludzie pracujący z dziećmi! Prawda? Przecież takim dwóm roześmianym głupkom, jak Helge i Andreas, trawa wygląda spomiędzy zębów, no nie?

- Spacer! Ale już na nim, kurwa, byliśmy! - Helge próbował pyskować, ale słowo „spacer” musiało mieć dla niego i Andreeasa tak zabawne skojarzenia, że stało się kolejnym dobrym powodem do śmiechu. Zaczęli mnie drażnić. Patrzenie na świetną zabawę innych ma swoje granice, zwłaszcza kiedy żarty są na takim poziomie.

- Ale jesteśmy przemoczeni - powiedział Andreas.

Chwyciłem ich i wyrzuciłem na deszcz. Patrzyłem Helgemu prosto w oczy, mówiąc: „Teraz idziemy na spacer, rozumiesz?”.

Przez kwadrans szliśmy w deszczu wzdłuż brzegu. Wyciągnąłem paczkę Marlboro i chętnie ich częstowałem. Weszliśmy do małego domku na nabrzeżu i usiedliśmy na łodzi.

- Zły jesteś - mruknął Helge.

- Nie jestem zły - powiedziałem. - Po prostu strasznie mi zależy, żebyśmy zagrali zajebisty koncert. Okej?

Helge spojrzał na mnie. Nagle zaczęła bić od niego dobroć. Uderzył w powietrze niewidocznymi palczkami.

- Możesz się założyć, Jalla. Będę grał niebiańsko, w końcu nazywam się Helge Ombo!

Będzie w chuj dobrze, człowieku.

- No - dodał Andreas. - Przecież jesteśmy najlepszym zespołem na świecie.

W drodze powrotnej Helge wdepnął w wodę. Nie skomentowałem tego.

Za pięć ósma siedzieliśmy za sceną, wpatrując się sobie w oczy.

- Ha! - Helge uderzył dłonią w oparcie krzesła.

- Co najmniej dwieście! - powiedział Andreas.

- W każdym razie dwieście pięćdziesiąt - dodałem.

Trzy razy wychodziłem stroić gitarę, szukałem wzrokiem Yngvego i widziałem, że lokal się zapełnił. To prawda. Klub rekreacyjny był pełen. Ludzie przyszli tłumniej, niż przypuszczaliśmy. Nie tylko znajomi, Ingar, Johanne, Torill, Anita, lecz także osoby znane nam tylko z widzenia, tak, nawet ludzie, do których odnosiliśmy się ze sceptycznym szacunkiem. Poza dzieciakami, które regularnie odwiedzały klub, był tam koleś w blond grzywce z Towarzystwa Dyskusyjnego, chłopak w kapeluszu kowbojskim i dżinsowej kurtce ze szkolnej gazetki. Powinniśmy byli zrozumieć, że deszcz nie powstrzyma tej publiczności, spośród której większość osób nigdy wcześniej nie chodziła na koncerty, bo nie była wpuszczana do lokali w mieście. Stali bywalcy klubu musieli uznać ten sobotni wieczór za dziwny, kiedy nagle ściągnęły tam tłumy licealistów z Kongsgård i St. Svithun.

A co najważniejsze: przyszedł Yngve. Stał tam teraz, po swojemu uśmiechnięty, i rozmawiał z Katrine. Ledwie miałem możliwość podnieść rękę i mu pomachać. Za dziesięć minut mieliśmy zaczynać. Przyszedł też drugi zespół. Strømsvold wpadł za kulisy i powiedział, że będą nas oglądać.

- To punk? - zapytał.

Helge i ja odpowiedzieliśmy chórem. Helge: - Tak. Ja: - Nie.

- Czasami - powiedział Andreas.

Trochę otrzeźwieli, ale chyba tylko ich własne chęci wygnały z nich rausz.

Byliśmy gotowi.

Jak bardzo można coś zawalić?

Straszliwie.

Mathias Rust Band stanął na scenie. To na to czekaliśmy. Z tego powodu założyliśmy zespół.

Zerknąłem na Hellego i dałem mu znak, że wszystko jest w porządku i że może zacząć od swojej otwierającej kwestii. Podłączyłem wzmacniacz, fantastyczny sprzęt pożyczony od Strømsvolda, Stary Vox, oczywiście z rurami. Andreas i Helge szeroko się do siebie uśmiechali. Helge spojrzał na mnie. Wyraźnie nie rozumiał, co mam na myśli, po czym nagle

pochylił się do mikrofonu przy perkusji.

- Okej! Oceńcie sami, kim jesteście, bo my jesteśmy Mathias Rust Band, a to jest „Mielonym pod ścianę”!

Drgnąłem na dźwięk tego pomyslowego otwarcia, ale uznałem, że brzmiało dobrze, może Helge ma pełną kontrolę? Pełne skupienie?

Zaraz po tym zdaniu zaczął stukać pałeczkami jedna o drugą, krzycząc: - *Ein, zwei, drei*, szatan! - Uderzyłem mocne ósemki na strunie F we wstępie, usłyszałem, jak Andreas wchodzi z linią basu, która narastała i opadała, podczas gdy Helge i ja pędziliśmy na złamanie karku w monotonnym rytmie, aż do przerwy, bo wtedy zacząłem śpiewać: „Już się boisz? / Bo, kurwa, powinieneś / Patrol właśnie podnosi broń...”.

Jak na razie szło dobrze. Piosenka nie należała do naszych najłatwiejszych, była szybka i wymagała dużo precyzji, ze względu na wszystkie akcenty i przerwy. Gdy dotarliśmy do refrenu, byłem już przekonany, że niepotrzebnie się denerwowałem. Chłopaki grają przecież dobrze, myślałem, wykrzykując refren w stronę publiczności, która chętnie go przyjmowała, w końcu to kazanie dla nawróconych: „Mielone chodź tu / Pod ścianę bach i w dół!”. Energicznie skinąłem głową do pozostałych.

Szło dobrze. Przez jakieś czterdzieści sekund. Przez czterdzieści sekund Mathias Rust Band w sobotę, 3 lutego 1990 roku świetnie grał na żywo. Wypluwałem tekst z ogromną agresją, wierząc w to, co śpiewam, że trzeba się pilnować, bo pewnego dnia zdrajcy i kapitaliści staną pod ścianą, gdzie zostaną naładowani ołowiem. Bateria otaczała mnie łomotem, aż dziwiłem się, jak dobrze to brzmi, jak skoncentrowani są moi upaleni kumple.

„Kurwa, ale jesteśmy dobrzy!” - pomyślałem.

Wtedy totalnie się zepsuło. Czterdzieści sekund to wszystko, co udało nam się wykrzesać. Reszta to było piekło. Tak długo przynajmniej dwóch naćpanych trawą chłopaków jest w stanie utrzymać skupienie. Posypało się po refrenie. W przejściu do następnej zwrotki Helge miał zagrać solówkę składającą się z dwóch taktów na kotłach, która zawsze dobrze mu wychodziła. W tym czasie Andreas akcentował pierwsze uderzenia w takcie. Teraz jednak poszło źle. Helge upuścił pałeczkę. Nie zdołał utrzymać jej w pozbawionych czucia palcach, wypadła mu i oto perkusista Mathias Rust Band miał wykonać ostre przejście jedną ręką. Nie liczył się z czymś takim, więc przy bębnach nie miał dodatkowego zestawu pałeczek. Usłyszawszy to, odwróciłem się, zdjęty paniką, widziałem, jak pochyła się w tył, niezdarnie próbując akcentować drugie i czwarte uderzenie wolną ręką. Po prawej Andreas zaczynał gubić się na basie, też nagle zdziwiony. Jednocześnie ujrzałem, jak Helge ześlizguje się z krzesła na ziemię.

I co, kurwa, teraz?

Gdybyśmy byli bardziej wprawieni, Andreas i ja pewnie gralibyśmy dalej, jakby nie się nie stało, albo zachowalibyśmy się wyniośle, przerwalibyśmy, by oznajmić z uśmiechem: „Okej, wszyscy popełniają błędy, to był nasz, zaczniemy jeszcze raz”. Zyskalibyśmy wtedy przynajmniej współczucie za swoją niezdarność. Ale nie. Nie zrobiliśmy tak. Trzymaliśmy się naszego chaosu, jakby tylko on miał nas uratować i kończyliśmy piosenkę, widząc, jak nerwowość roznosi się po scenie niczym pyłek. Nie trafiałem w struny, solówki zupełnie mi się rozjechały, straciłem pewność siebie na wokalu, zapomniałem tekstu i fałszowałem, a Andreas i Helge tak bardzo różnili się od pewnej baterii zespołu, jak to tylko możliwe.

Każdy, kto stał na scenie, wie, że pierwsze minuty decydują o kolejnych pięćdziesięciu. Nigdy wcześniej nie staliśmy na scenie. Graliśmy dalej, roztrzęsieni, nieskupieni, zdenerwowani. Nagłe wyrwanie Helgego i Andreasa ze stanu błędnego upalenia oczywiście nie ułatwiało sprawy. Ani jednej piosenki nie zagraliśmy równie dobrze jak na najgorszych próbach. Nawet taka nieprzyzwyczajona i z założenia pobłażliwie nastawiona publiczność, jaką tego wieczoru mieliśmy, spostrzegła, że coś zgrzyta. Niektórzy zaczęli siadać, parę osób poszło grać w bilard, grupka z klasy A uśmiechnęła się szeroko, kiedy udało mi się zerwać strunę D w środku refrenu „Che Guevary”, a chłopak w blond grzywce z Towarzystwa Dyskusyjnego, który na początku był tak entuzjastycznie nastawiony, wycofał się na tył sali. Na samym końcu widziałem chłopaków z Hekkan. Wokalista wywracał oczy. A tuż przede mną stała Katrine. Stała przez cały koncert, aż do ostatniego kawałka - jakby to powiedzieć, bisów nie było - i widziałem, jak niemal z matczyną pobłażliwością próbuje wspierać mnie, wystukując rytm stopą, śpiewając teksty, które znała, lecz celowość jej pocieszenia tylko pogarszała sprawę. Zawaliło się. Ten występ śmierdział jak cholera. Mathias Rust Band grał beznadziejnie.

Jedyną osobą, która zdawała się nie wyrażać zażenowania, był Yngve. Stał trochę z prawej, ubrany w dzinsy i niebieski sweter, a za każdym razem, gdy na niego spoglądałem, wydawał się na mnie patrzeć. Z uśmiechem.

Oklaski po „Wspólnym śpiewie pod masztem” były krótkie i stłumione. Wymknęliśmy się ze sceny. Katrine poklepała mnie po ramieniu, gdy przeciskałem się przez tłum ze Stratem w ręce i kostką między wargami. Yngve się uśmiechał.

Za sceną Andreas i Helge opadli na kanapę. Wyglądali zupełnie trzeźwo. Czuję, że mnie zdradzili, byłem okropnie wkurzony.

- Jesteście teraz zadowoleni? - zapytałem, pochyliwszy się nad dużą, czerwoną torbą Andreasa. Odsunąłem zamek i spomiędzy ręczników wydobyłem piwo.

- Będziesz... ktoś może przyjść - powiedział Helge.

Odwrociłem się i popatrzyłem na niego surowo.

- I ty to mówisz? Boże, Helge! - Otworzyłem butelkę zapalniczką, przyłożyłem ją do ust, wypilem połowę jednym haustem.

- Tak, tak. - Helge wypuścił ciężko powietrze. - Tylko uważaj. My przynajmniej wyszliśmy!

Andreas uśmiechnął się słabo.

- Tak, wyszliście. - Spojrzałem na nich z pogardą i wlałem w siebie więcej piwa. - Wyszliście, do cholery. Macie świadomość, jak beznadziejnie poszło? Wiecie, jak fatalnie zegraliśmy, jak okropną opinię zyska po tym Mathias Rust Band?

- Zostaw tę butelkę - powtórzył Helge. - Wylecimy stąd na zbity pysk, jeśli zobaczą, że tu pijesz, rozumiesz? Tu są same dzieciaki.

Miałem to w dupie. Piwo było gorzkie i zimne, dokładnie jak ja. Gotowałem się z wściekłości i miałem wszystko w dupie. Podszedłem do Helgego, stanąłem przed nim i miałem zupełnie gdzieś to, czy zaraz w drzwiach zjawi się przewodniczący rady dzielnicy. Otworzyłem usta, by go zwymyślać.

Drzwi się otworzyły. Stanęła w nich Katrine.

- No, poszło dobrze! - powiedziała z uśmiechem.

Popatrzyliśmy po sobie - Andreas, Helge i ja.

- Wcale nie - odparłem.

- Ależ tak!

- Boże! Daj spokój, Katrine. - Dopilem resztę piwa.

- Pijesz? Tutaj?! - wyglądała na przestraszoną, zerknęła nerwowo na drzwi.

- Zjebaliśmy - powiedziałem. - Sama widziałaś.

- Tylko wy tak sądzicie - próbowała nas pocieszać. - Ludzie uważają, że było świetnie.

Jest tu gazetka szkolna - może napiszą recenzję?

Helge i ja przeraziliśmy się. Recenzję tego?

- Poszło cudownie - powtórzyła Katrine.

Czyżby nie pojmowała, że zjebaliśmy przez to, że Helge i Andreas całkiem się upalili? Helge wstał.

- Miejmy, kurwa, nadzieję, że nie napiszą recenzji tego koncertu. Poza tym nie chce mi się tu siedzieć i wysłuchiwać twojego marudzenia. Kiedy idziemy na imprezę? I dokąd?

- Chyba najpierw obejrzymy Hekkan? - zasugerował Andreas. - Strømsvolda i resztę?

- Tak, ale gdzie ta impreza? - powtórzył.

- U jakiegoś Tronda - powiedziała Katrine. - Z klasy C, mieszka na Buøy.

- U petrobachora? - zapytał Helge sarkastycznie.

Katrine skinęła głową.

- Kurwa - zaklął Helge. Uniósł brwi i pokiwał głową.

- Kurwa. I *my* tam idziemy? Do *petrobachora*?

Spakowałem gitarę w zupełnej ciszy i wyszedłem na salę. „Przekłęci ludzie - pomyślałem - pierdoleni debile”.

Spostrzegłem Yngvego, który stał sam pod ścianą, z colą w ręku. Na scenie Ståle Strømsvold i reszta grupy Hekkan stroili gitary, przygotowując się do koncertu. Nie miałem siły o nich myśleć. Że teraz wejdzie zespół, który dokona tego, co nam się nie udało - przekona publiczność. Przeciąłem pomieszczenie i podszedłem do Yngvego.

Dzieliło nas może piętnaście metrów. Pokonawszy tę odległość, przestałem się wkurzać, straciłem silne poczucie totalnego wygłupienia, a stałem się ciepły, szczęśliwy i nie obchodziło mnie, co myślą inni. Miałem wrażenie, jakby Yngve roztaczał wokół siebie krąg, po którego przekroczeniu całkowicie się zmieniałem.

- Hej.

Tyle wystarczy?

Uśmiech i ktoś mówiący „hej”?

Trzy krótkie dźwięki z uśmiechniętych ust?

Człowiek jest śmiesznie piękną istotą. Wystarczy.

- Było dobrze! - powiedział Yngve z entuzjazmem.

Przestąpiłem z nogi na nogę i wciągnąłem powietrze przez zęby.

- Nie... naprawdę tak myślisz? Nie mieliśmy chyba za dużo poweru. - Spojrzałem na niego. Chciałem powiedzieć: jak fajnie, że przyszedłeś, Yngve. Chciałem powiedzieć: tęskniłem za tobą, Yngve. Chciałem go dotknąć.

- Widziałem w was szczerłość - stwierdził Yngve.

Nagle czyjaś ręka uderzyła w moje ramię, czym wyrwała mnie ze świata Yngvego.

- To co, Jalla, jesteś już gwiazdą rocka?

To Rune, brat Helgego. Rune był o dwa lata młodszym od nas, zarozumiałym piętnastolatkiem. Podczas gdy Helge przewyższał swoich rówieśników, Rune nie potrafił dorównać bratu, matce ani ojcu. Udawał zainteresowanie tymi samymi sprawami co brat, brał udział w politycznych dyskusjach, jakby to była jego działka, choć tak naprawdę się na tym nie znał. Helge był przewidywalnym potomkiem swoich rodziców, latoroślą, która zgodnie z logiką odziedziczyła ich zdolności, ich agresję. Rune przejął niewiele z tych cech - próbował

być tym, na kogo go wychowywano, jednak bez skutku.

- To co? Gwiazdo rocka?

Nie chciałem rozmawiać z Runem, tylko z Yngvem.

- Rulle... mógłbyś? Rozmawiam właśnie ze znajomym, okej? - Spojrzałem na niego ostro. - Zjebaliśmy koncert, prawda? Idź do innych dziewiątoklasistów albo do swojego brata, co?

Zaskoczyłem sam siebie tym, że rzuciłem mu to w twarz.

Rune przewrócił oczyma - nauczył się tego od brata. Moje słowa nie wytrąciły go z równowagi, wręcz przeciwnie - dał mi do zrozumienia, że go to nie rusza. Uśmiechnął się szeroko i poszedł.

- Kto to był? - zapytał Yngve. Spojrzył na mnie zaskoczony. Pokazałem mu swoją twardą stronę, której nie znał.

- To Rune - wyjaśniłem. - Brat Helgego. Idiota.

Często odczuwałem, że przyszedłem na świat zbyt późno. Wielokrotnie irytowałem się z powodu wrażenia, że nie dosięgam historii. To fatalne mieć pięć lat w roku 1977, kiedy Sex Pistols wydali *Anarchy in the UK*. Możesz oczywiście siedzieć gdzieś na imprezie w roku 1990 jako siedemnastoletni buntownik, który pragnie być punkiem, ale to ci nie pomoże. Otwierając trzonowcami butelkę piwa, spluwając kapslem w ścianę i pragnąc obalić rodzinę królewską, wiesz, że jesteś postacią retro. Równie fatalne jest to, że nie było cię w roku 1966, 1967 czy 1968. Możesz przez całe lata pięćdziesiąte chodzić do sklepów płytowych i odkrywać ów szalony okres, kiedy w przeciągu kilku lat wydano taką samą liczbę wielkich albumów, jaką teraz tworzy się przez dwie dekady, i czuć, że te płyty są *twoje*, jednak w głębi ducha wiesz, że jest za późno. Nie było cię na świecie, kiedy wielkie zespoły na wyścigi wydawały arcydzieła: *Revolver* Beatlesów, *Pet Sounds* Beach Boys, *Odessey and Oracle* The Zombies, *The Village Green Preservation Society* The Kinks, *Beggars Banquet* Stonesów. Nie było cię tam. Właśnie to mówią ci te albumy. Nie kręciły się na twoim adapterze w roku 1968, gdy w Wietnamie trwała wojna. Urodziłeś się za późno i masz tego świadomość. Kiedy *ty* miałeś dwanaście lat, liczył się Frankie Goes to Hollywood, zimna wojna i Breakmachine.

Rzadko czuję, że urodziłem się za wcześnie. Jednak gdy myślę o Runem, czasem uderza mnie, że my, urodzeni w 1972, jesteśmy chyba ostatnim rocznikiem pokolenia haszu. Może naprawdę tak jest? Osiemnasto-, dziewiętnasto - i dwudziestolatki połowy lat pięćdziesiątych imprezowały inaczej niż my. Ja byłem za młody na punk, ale za stary na deskorolki i branie prochów na dyskotecę. Podczas gdy Rune z innymi dziećmi z rocznika '74 w 1994 jeździł od jednej do drugiej hali fabrycznej, wcinał pigułki i tańczył do

techno, ja i moi kumple urodzeni w 1972 nadal piliśmy piwo, popalając czasem jakieś zioło, tak samo jak pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy zaczynaliśmy imprezować. Oczywiście również część moich rówieśników, których prochy wpędziły już do piachu, korzystała z czarodziejskich, farmaceutycznych specyfików. Jednak gdy miałem osiemnaście lat, dla większości była to rzadkość. Nieczęsto ktoś zjawiał się na imprezie z pigułkami. Jeśli chciało się je zdobyć, trzeba było udać się na obrzeża miasta, wniknąć głębiej w subkulturę. Chemiczne narkotyki nie były jeszcze wtedy w Norwegii czymś normalnym. Gdy tak się stało parę lat po tym, jak skończyliśmy liceum, wielu z nas już zdążyło ustanowić swoją kulturę imprezowania, której trzymaliśmy się przez całe lata dziewięćdziesiąte. Prochy były jak deskorolka - zbyt obciachowe. Nie mogłem wtedy zacząć jeździć na desce, chodzić w bluzie z kapturem, słuchać hip-hopu, trance'u i faszerować się dopalaczami. Czułbym się jak pięćdziesięciolatek próbujący bawić się z dwudziestolatkami. To dzieciaki robiły takie rzeczy. Z mieszanką zazdrości i rezerwy spoglądałem na ludzi, którzy jak Rune brali ecstazy i chodzili na imprezy house. Czasami myślę, że niewiele brakowało, bym ja również stał się jednym z nich. Niektórzy nazywali zimę 1989/1990 „The Winter of Love”. Okres, kiedy na dobre uderzyła fala zespołów z Manchesteru, ludzie nosili szerokie spodnie i nasunięte głęboko na oczy czapki wędkarskie, tańczyli przez całą mroźną zimę, naćpani prochami, do nowego, psychodelicznego groovy rocka Happy Mondays czy Stone Roses. Przyswoiliśmy tę kulturę, bo była nowa i wielka, puszczałyśmy w kółko dwunastocalowe single Stone Roses i Mondays, „She bangs the drums”, „Hallelujah”, a najczęściej samą biblię w postaci maksisingla „Fools gold” w wersji 9.53, lecz większości z nas daleko było do Haciendy w Manchesterze, a narkotyki nie przemieszczały się równie szybko jak muzyka. Dotarły do nas jednak niedługo później, wraz z mniej skupioną na człowieku kulturą muzyczną, z odindywidualizowanymi zespołami w rodzaju The Orb i formacjami techno bez wyraźnych frontmanów, z kulturą dj-ów, anonimową muzyką, w której przebrani w kombinezony ludzie mogli się zatracić. Rune się w niej zatracił, zatonął w niej. Czasem widywałem go w Bergen, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Zawsze wyglądał niezwykle żywo. Nie był zmęczony czy otepiały. Był na chodzie. Przez cały dzień puste spojrzenie, prężne ruchy karku. Lenistwo, z którym męczył się w 1990, kiedy nie miał jeszcze piętnastu lat i nie mógł się odnaleźć w rodzinie Ombów, zastąpiły amfetamina, ecstazy i wszelkiej maści inne chemiczne dania. Wtedy się dowiedzieliśmy. Od jednego kumpla, parę lat temu.

- Znałeś tego gościa Runego?

- Kogo?

- Ze Stavanger. Młodszego brata Helgego.

- No, a co? - zapytałem.

- Ponoć zmarł - powiedział. - Ponoć zeskoczył z dachu jakiegoś lokalu.

Taka właśnie jest przyszłość - tajemnicza. W 1996 Rune poszybował z dachu lokalu w Bergen i zderzył się z asfaltem. Gdybyśmy wiedzieli to w roku 1990, ta noc wyglądałaby zupełnie inaczej.

- Byłeś chory? - zapytałem Yngvego, gdy tylko Rune poszedł.

Jego odpowiedź zagłuszył krzyk wokalisty: „Raz, dwa, trzy, cztery”, ludzie ruszyli pod scenę, ktoś szturchnął mnie w ramię i pociągnął za sobą do przodu, a Yngve został pod ścianą. Hekkan zaczął grać. Kątem oka dostrzegłem Helgego, który stał po drugiej stronie sali, widziałem, że myśli to samo, co ja - ten zespół jest dobry.

Nie musieliśmy tego ukrywać. Nie tylko byli dobrzy, ale nasz żaloszny występ czynił ich jeszcze lepszymi. Publiczność zupełnie inaczej reagowała na ich setlistę, mieszankę własnego materiału i coverów, „Dead end streets” Kinks, „Begin the begin” R.E.M. oraz ultraszybką wersję „Sorgenfri” DumDum Boys. Ich własne piosenki charakteryzowały się pewnością siebie, a o takiej różnorodności materiału mogliśmy tylko pomarzyć.

- Kurna - powiedział Helge później tego wieczoru. - Jedna trzecia coverów, nuda.

Spakowaliśmy sprzęt i po koncercie zamówiliśmy taksówkę. Nie było sensu zostawać przez resztę dnia w Klubie Rekreacyjnym Hundvåg. Umawiałem się z Katrine, Helgem i Andreasem, jednocześnie wypatrując Yngvego przez otwarte drzwi garderoby.

- Spadamy na imprezę, to przynajmniej jest pewne - stwierdziłem.

- No - powiedział Helge. - Kurwa. Do petrobachora.

Podczas koncertu straciłem Yngvego z oczu, później go zobaczyłem, ale teraz znów zniknął. Chyba nie pójdzie do domu?

Wszedł Strømsvold i perkusista Hekkan.

- Zajebicie - powiedział Andreas. - Zajebicie.

- Dzięki - powiedział Strømsvold w swój dziwny sposób. Był oryginałem, wysokim, sympatycznym, o wielkim autorytecie. - Wam przecież też dobrze poszło.

- To nasz pierwszy raz - odparłem przeproszającym tonem. - Stać nas na więcej.

- Od czegoś trzeba zacząć - stwierdził.

Koleś z gazetki szkolnej wetknął głowę przez drzwi. Cholera, chce z nami gadać? Spojrzałem nerwowo na Helgego. Nie, oczywiście, zwrócił się od razu do Strømsvolda.

- Trond Arne Ramsvik. - Podał mu dłoń. - Jestem z „Lille Marius”, gazety szkolnej z Kongsgård, mogę zamienić z wami parę słów?

Nawet na nas nie spojrział. Ani razu. Ani słowa. Byliśmy niczym.

- Tak, nie ma sprawy - powiedział Strømsvold. On i perkusista wyszli z dziennikarzem.

- Tak - skomentował Helge. - Następnym razem.

- Wydaje mi się, że inspirujecie się mocno latami sześćdziesiątymi? - Usłyszałem dobiegający z korytarza głos dziennikarza.

Yngve minął garderobę. Zerwałem się na nogi.

- Yngve!

Zatrzymał się pod wyjściem.

- Wychodzisz?

- No... - zastanowił się. - W sumie tak myślałem...

- Nie pójdziesz z nami na imprezę? Chcemy jechać na Buøy, do Tronda z klasy C.

- No, nie wiem... nie znam tam nikogo - powiedział z uśmiechem.

- Mnie przecież znasz - popatrzyłem mu w oczy.

- Jalla!

Zajrzałem do garderoby. Helge i Andreas skończyli pakować sprzęt.

- Idę - krzyknąłem.

- Nie chce mi się, kurna, wszystkiego za ciebie nosić! - usłyszałem za sobą. Helge był już wyraźnie trzeźwy, tyle to trwało.

- Chodź - nalegałem. - Będzie fajnie. Katrine też idzie. Jedziemy taksówką. No chodź.

Yngve wyglądał, jakby miał wątpliwości. Dlaczego? Nie lubił mnie?

- Obiecałem, że wrócę wcześniej do domu - powiedział. Cały czas błądził gdzieś wzrokiem. - Chorowałem przecież i...

- Jalla!

Odwróciłem się znów do Helgego i Andreasa.

- Tak! Idę! Wyluzuj!

- Nie martw się - pocieszyłem szybko Yngvego. - Ale... nie wyglądasz teraz na chorego? Co ci było? Jest już lepiej? Co?

- No...

- Na pewno będziesz mógł tam skorzystać z telefonu, bez problemu, i powiesz, że poszedłeś na imprezę z kolegami, co?

Yngve skinął głową.

- Okej - powiedział. - Pójdę.

Gdy otworzyliśmy drzwi, by wyjść w wieczorny mrok, przednie światła czekającej taksówki bagażowej zasłaniał zacinający ulewny deszcz. Przydrożne krzewy ledwie trzymały

się prosto, wiatr dał w nas, aż trudno było oddychać. Zła pogoda miała utrzymać się przez noc. W środku usiadłem obok Katrine, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Yngve zajął miejsce przed nami, a na końcu siedzieli Helge i Andreas. Zabraliśmy też parę innych osób ze szkoły, Roara ze szkolnego teatru i jego dziewczynę, Silje. Nikt nie całuje się tak dramatycznie, jak ludzie marzący o karierze aktorskiej. Zawsze jest to wyzwanie, gdy w jednym miejscu zbiera się kilka par. Siedzą na imprezie, niektórzy z nich to być może twoi znajomi, którzy właśnie zaczęli ze sobą chodzić, tak samo jak ty i twoja dziewczyna. I zaczynają się całować, całkiem bezwstydnie oddają się sobie, łączą usta, języki, przesuwają dłońmi po swetrach. A ty obejmujesz ramieniem swoją dziewczynę, z którą też od niedawna chodzisz, patrzysz na nią, uśmiechasz się do niej - i co? Macie się całować? Macie być gorsi od nich? Ale jeśli to zrobicie, zaczniecie się całować, zetkniecie się ustami, napniecie mięśnie języka, czy będzie wam tak dobrze jak im? Zaczniecie się całować. Bo oni to robią? Patrz, on teraz dotyka jej piersi, ty też będziesz musiał, a teraz ona lekko wygina plecy, delikatnie osuwa się na siedzenie, aby on mógł wsunąć drugą dłoń pod jej krzyż, twoja dziewczyna też musi tak zrobić, wy też tak musicie, czyż nie? Będziecie gorsi od tamtych? Co?

Katrine położyła głowę na moim ramieniu. Uśmiechnęła się do mnie. Zamknęła oczy. Popatrzyłem na kark Yngvego. Wtedy usłyszałem znajomy dźwięk: kapsel od butelki z piwem. Lekko odwróciłem głowę - głowa Katrine nadal spoczywała na moim ramieniu - i zobaczyłem, jak Helge przytyka butelkę do ust.

- Olej to, Jalla - powiedział. - Co? Jest impreza.

Skinąłem głową.

- Idziemy na imprezę do petrobachora! - Zaśmiał się. - Co nie?

Również się zaśmiałem. Nie mogłem się powstrzymać.

- Kurde, jak to będzie?

„Dlaczego nie? - pomyślałem. - Dlaczego nie może być jak kiedyś? Dlaczego nie możemy po prostu znów być przyjaciółmi?” Andreas również otworzył butelkę i bez wstydu pił w taksówce. Katrine otworzyła oczy i spojrzała na mnie łagodnie. Yngve odwrócił się i uśmiechnął.

Dlaczego nie?

„Będzie dobrze - pomyślałem. - Jedziemy na imprezę. Będzie dobrze”.

Taksówka skręciła na zwirowany plac pod dużym, białym domem.

Jak bardzo można coś zawalić?

Strasznie.

Wyjęliśmy na zwir torby i sprzęt, a Katrine zapłaciła. Z domu dobiegała dudniąca,

głośna muzyka. Helge podniósł wzrok, podejrzliwie przyglądał się okolicy przez rześisty deszcz. Widział to samo co ja.

- Kurwa. - Helge wywrócił oczy.

Burżuazja.

- Kurwa - powtórzyłem.

Helge i ja zawsze tak reagowaliśmy, gdy bezpośrednio stykaliśmy się z klasą wyższą i bezwstydną burżuazją. A teraz mieliśmy przed oczyma jej kwintesencję. Ogromna działka, olbrzymi dom, z pewnością zbudowany w latach siedemdziesiątych, z co najmniej dwoma dobudówkami z kolejnej dekady. Szalenie wielki ogród, *bezsensownie* wielki, tak duży, że chciało nam się śmiać - *ej ty, popatrz tylko, to dopiero ogród* - na co to, kurna, komu? Na lądowisko dla prywatnego samolotu? Helikoptera? Własne pole golfowe? Latarnie z wszelkimi ozdobami, drabinki na rośliny wzdłuż ścian, podwójny garaż, ceramiczne wazy na schodach.

Miałem w sobie na tyle samoopanowania i zdolności oceny sytuacji, by nie wyrazić jasno swojej opinii, ponieważ obawiałem się, że mógłbym w ten sposób zrazić do siebie Yngvego. Helgemu jednak patrzenie z tak bliska na najwyższą warstwę burżuazji dodawało brutalnej energii. Jego oczy błyszczały jak u zakochanego, plecy wyprostowały się, a usta poczerwieniały. Tętniła w nim adrenalina pogardy. Nie było wątpliwości: to tu mamy się bawić. Szykowała się impreza dziesięciolecia, bo czy może istnieć lepsza siła napędowa niż pogarda wobec samego siebie po tak potężnej klęsce jak nieudany koncert, połączona ze szczerą, młodzieńczą nienawiścią do klasy wyższej, przyprawioną oczekiwaniem na *więcej piwa i więcej ziola* niż kiedykolwiek?

Tutaj mieszkał Petrobachor. Trond. Nie wiem, kto pierwszy nazwał go Petrobachorem, ale tak na niego mówiliśmy, ponieważ był jedynym synem jednego z największych magnatów naftowych w okolicy, był też śliski i lśniący jak ropa. Nowobogaccy muszą posiadać zupełnie innego rodzaju niepokój klasowy niż ludzie majątni od pokoleń. Bardzo niewielu potrafi poradzić sobie z nagłą zamożnością - ani ci, którzy sami natykają się na bogactwo, ani ci, którzy muszą mu się przyglądać, nie korzystając z niego. Nowobogaccy przypominają zakochanych - nie potrafią ukryć tego, kim są. Tak jak zakochana kobieta rumieni się, usiłując skryć wewnętrzny żar, tak też nowobogacki nie omieszka się zdradzić, nawet jeżeli posiada odrobinę poszanowania, co nieczęsto się zdarza, gdyż właśnie ten brak wielu dorobkiewiczom zapewnił dostatek. Możesz to zauważyć, gdy zamawiają trzy piwa, możesz poznać to po ich głosie, kiedy mówią do kumpli: „Ja zapłacę, nie ma sprawy”, kiedy kroczą po asfalcie, doskonale widzisz, że ich buty kupił ktoś, kto nie musi przejmować się

ceną - i nienawidzisz tego. Boże, jak nienawidzisz tych, którzy nie zasłużyli na to, co mają, którzy przypadkowo trafili na miejsce w historii, gdzie otacza ich dobrobyt, wygrali na loterii, podczas gdy ty wyciągnąłeś inny los i jedynie zbiedniałeś. Boże, jak nienawidzisz ich i siebie, zauważając własną podłość, tę podłą nienawiść, jaką w sobie nosisz, ale co możesz zrobić? Tylko jedno: dalej nienawidzić tę samonakręcającą się nienawiść. W latach osiemdziesiątych Stavanger po brzegi wypełniali beztroscy nuworysze. Przez długi okres, jeszcze za czasów mojego dzieciństwa, było ich tylu, że uważałem ten stan za normalny. Tak już było. Ludzie mieli pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Bieda nie istniała, istnieli tylko bogacze zachowujący się, jakby kwestie finansowe z natury były czymś niesprawiającym problemów. Ci sami bogacze żalowali co prawda ludzi żyjących gdzie indziej, nieradzących sobie tak dobrze jak my, mieszkańców innych krajów, krajów rozwijających się i tym podobnych, raz w miesiącu dawali więc stówę na fundację na rzecz pomocy dzieciom, lecz to nie docierało do naszej świadomości, nie wpływało na nas. Zarabialiśmy swoje fuksem zdobyte, wysmarowane ropą korony i wydawaliśmy je z wielką i prawdziwą arogancją - arogancją, która nie zna samej siebie. Petrokorony były wszędzie, w dyszce, za którą kupowałem komiks z Donaldem i łakocie, w butach, które nosiłem.

Gdybym kilka lat wcześniej nie poznał Helgego, nie stałbym w niepogodę pod domem rodziców Petrabachora, czując na jego widok nienawiść. To zetknięcie z Helgem i jego ideologicznym wychowaniem sprawiło, że mogłem tę nienawiść odczuwać. Kochałem tę naszą nienawiść, dzięki niej rosłem, ona czyniła mnie silnym i szczęśliwym. A jak to zwykle bywa, najbardziej nienawidziliśmy nowobogackich. Klasyczna burżuazja, majątna od długiego czasu, nie była obiektem takiej wrogości. Jej przedstawiciele nauczyli się kryć swój dostatek i żyć z nim godnie, wypracowali tę umiejętność przez pokolenia, aby móc mijać ulice w swoich drogich autach z większym spokojem niż nuworysze, gdyż wiedzieli, że właśnie w ten sposób najlepiej można zachować bogactwo - nie chwalić się nim. Biednym nowobogackim brak tej mądrości, popadają w problemy, bo nie mają doświadczenia, bezwstydnie i głupio biegają w koło - po Stavanger w latach osiemdziesiątych, po Grünerløkka w Oslo pod koniec lat dziewięćdziesiątych - nie wiedząc, kim są, lecz pokazując się całemu światu. A ten, kto się pokazuje, sam się naraża - może być kochany, ale też nienawidzony.

Petrobachor się pokazywał, więc go nienawidzono. Nienawidzono i wykorzystywano. Słyszeliśmy o jego imprezach, ale nigdy wcześniej na nich nie byliśmy. Słyszeliśmy o Trondzie, którego petrorodzice zostawiali przez połowę roku w domu, a sami jeździli na weekendowe wycieczki w ciepłe kraje, więc na Buøy drzwi ciągle stały otworem dla każdego.

Słyszeliśmy, że alkohol leje się tam strumieniami, że każdy jest mile widziany, że całą noc trwa balanga, że można tam robić, co się komu żywnie podoba.

- Popatrz na to! - Helge wskazał na dzwonek, gdy podeszliśmy do drzwi wejściowych. Był złożony i widniał na nim napis „Pp. Torkildsen”, wygrawerowany w antykwaryczny, niemal gotycki sposób. - Że się tak da! Pp. Torkildsen!

Drzwi się otworzyły. Muzyka stała się trzy razy głośniejsza niż na zewnątrz. Helge i ja wymieniliśmy krótkie, tryumfalne spojrzenia, słysząc co to: Travelling Wilburys. „Kurwa” - pomyślałem, ucieszywszy się, że Helge nalegał, by wziąć ze sobą płyty - *n a wypadek, gdybyśmy mieli iść na imprezę do debili, wiesz, takich, co lubią tylko muzykę dla dzieci i chrześcijańskiego rocka*. Stała przed nami całkiem pijana dziewczyna w dżinsach i zielonej bluzie LaCoste, nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. W dłoni trzymała butelkę musującego czerwonego wina i chichotała. Celowo ją zignorowaliśmy i weszliśmy.

„Zauważasz coś, Yngve? - pomyślałem. - Rozumiesz to?”

To była trudna sytuacja. Niebezpiecznie jest nie doceniać niemal nieprzekraczalnych barier dzielących poszczególne młodzieżowe ugrupowania. Między dziwakami, religijnymi, drętwiakami i bogaczami są nie tyle różnice, co przepaście. W przeciwieństwie do bardziej cywilizowanych kręgów, na przykład polityków, tymi strukturami nie rządzi chęć negocjacji, grzeczność, pragnienie nawiązania kontaktu z przeciwnikiem. Piwo, dupy, nuda, kutasy czy prochy to jedyne przyczyny ścierania się tych ugrupowań. Tego wieczoru wszystko to razem unosiło się w powietrzu, okazało się też, że Trond, który każdemu zdawał się być znajomym kogo innego, to syn bogacza, którego nie znał prawie nikt, a który przed wszystkimi chętnymi otworzył drzwi, barek rodziców i własny brak przyjaciół.

Gdy tylko weszliśmy, instynktownie poczułem, że nikt nie jest tu na miejscu, a jedyne rozwiązanie to odnaleźć swoich ludzi i rozpocząć świadome, ostre imprezowanie. Ale co z Yngvem? Czy był jednym ze *swoich*?

Nie. Nie był.

Czy był jednym z innych?

Też nie.

Helge wcisnął mi w rękę piwo i po przywitaniu się z Trondem walnęliśmy się na podłogę w salonie. Trond miał na sobie czarne lakierki, spodnie w kant i biały sweter.

Jego skóra była gładka i blada, a włosy leżały ładnie na głowie.

- Fajowy dom, Trond - powiedział Helge z zabójczą ironią.

Gospodarz uśmiechnął się i powiedział:

- Tak, jest nie najgorszy, dobrej zabawy, częstujcie się wszystkim.

Dom pełen był ludzi z koncertu i wielu innych. Widziałem osoby ze szkoły, z klasy, Ingara, Johanne, Torill i gościa w blond grzywce z Towarzystwa Dyskusyjnego. Wszyscy pili, imprezowali i mieli ten sam cel: więcej. *Więcej wszystkiego.*

Wstawiliśmy piwo na werandę, gdzie mogło się schłodzić. Co dziwne, Helge nie skomentował jeszcze tego, że Yngve trzyma się z nami. Czyżby chciał to zrobić później? Napić się, a później rzucić się na Yngvego z pretensjami? Obawiałem się tego i pomyślałem, że teraz najlepiej będzie zabrać Yngvego ze sobą. Musi być z *nami*. Spojrzałem na niego.

- Napijesz się piwa?

- Nie, nie trzeba.

- No weź - powiedziałem i wstałem. - Wezmę jedno dla ciebie, mamy wystarczająco dużo.

- A co ty, kurwa, o tym wiesz, Jalla - odezwał się Helge.

- To sprawdź barek Tronda - stwierdziłem. - I swoje kieszenie.

Helge uśmiechnął się szeroko.

- Nie, ale ja nie chcę - powtórzył Yngve.

- Co... kurwa, nie pijesz? - zapytał Helge, mocno zdziwiony.

Yngve spojrzał na Katrine. Oczekiwał wsparcia.

- Zadałem ci proste pytanie. - Helge opróżnił butelkę piwa. - Nie pijesz? Nigdy?

Dokończyłem swoją butelkę i przytknąłem kolejną do ust. Alkohol spływał po mnie, ale nie zauważałem tego.

Yngve wyglądał na zdenerwowanego. Chciałem przyjść mu z pomocą, lecz nagle zachowałem się, jakbym przeszedł na stronę inkwizytora Helgego. Co jest właściwie z tym haugesundczykiem? Cały czas choruje, jest dziwny, trochę oderwany od rzeczywistości - i do tego jeszcze nie pije? Ledwie udało nam się wyciągnąć go na imprezę, a teraz jeszcze odmawia darmowego piwa?

- Ee... - Yngve zacisnął zęby i powoli wciągnął powietrze. - Po prostu nie mam ochoty. Dzisiaj.

- To na co masz ochotę, Yngve? - spytał Helge, który był już w połowie drugiej butelki. Poprzednią wyrzucił na klomb sekundę po wyjściu z taksówki. Sam zostawałem w tyle o jedną butelkę w stosunku do niego.

- Nie no, przestań już, Helge - powiedziała Katrine.

- No kurde, chcę go poznać, okej? Skoro wy jesteście kumplami od tenisa, to ja chyba powinienem się z nim zapoznać? Co?

Znałem tego Helgego. Zero szans, by go powstrzymać. Widziałem, że Yngve cierpi.

Andreas się nie wtrącał, to nie w jego stylu, ja też wolałem teraz tego nie robić.

- No dalej, Yngve - powtórzył Helge. - Na co masz ochotę?

Yngve szukał mnie wzrokiem. W odpowiedzi opróżniłem butelkę i uśmiechnąłem się do niego. Udawałem, że wszystko jest okej.

- Trawy? - szepnął Helge tryumfalnie. Chciał sprawdzić Yngvego. - Pójdiesz z nami zapalić?

Yngve nic nie rozumiał.

- Można palić tutaj... - powiedział.

Helge wybuchnął śmiechem. Uderzył Yngvego ręką w plecy.

- Dobry jesteś, Yngve! - oznajmił. - Można palić tutaj! Kurwa. - Nagle odwrócił się do mnie, otworzyłem właśnie nową butelkę. - Co zrobiłeś z naszymi płytami?

Właśnie grali Dire Straits. W tym miejscu skończyła się nasza cierpliwość.

- Leżą w korytarzu - odpowiedziałem. - Obok kibla.

Godzinę i cztery piwa później Mathias Rust Band z przyjaciółmi nadal obsługiwał sprzęt stereo w salonie, w ciałach mieliśmy już sporo alkoholu, wszyscy odczuwali rosnące odurzenie i przyjaźnili się ze sobą bardziej niż kiedykolwiek, obiecałem blond grzywce, że wstąpię do Towarzystwa Dyskusyjnego, a on sprecyzował, że teksty Mathias Rust Band są „dobre w chuj”, chociaż koncert poszedł kiepsko, wszyscy też zgodziliśmy się założyć radykalną grupę akcyjną, którą nazwaliśmy EWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA, Helge zaś cały czas klepał mnie koleżeńsko po ramieniu, a sam siebie po kieszeni spodni, gdzie trzymał trawę, mówiąc: „Niedługo, niedługo”. Z czasem my również wstaliśmy, w głośnikach dudnił właśnie kawałek Pixies: *Where is my mind?*; Helge, Katrine, ja i tuzin innych samozwańczych dziwaków zajęło metry kwadratowe przy odtwarzaczu. Tańczyliśmy pogo. Yngve uwolnił się od Helgego i przestał się martwić, nie pił co prawda, ale uśmiechał się, wstał też i próbował tańczyć koło nas. Wyglądał, jakby mu się podobało. Nie mam pojęcia, co rozumiał, jakie kody złamał, przypuszczalnie było to dla niego przeżycie antropologiczne, jak poznanie obcej kultury i naiwna fascynacja nią. Yngve wkracza do ciemnego, przygotowanego na imprezę domu, gdzie znajduje się 60-70 dzieciaków, przed nim przelewają się tłumy, ktoś zjeżdża po poręczy, jakaś para siedzi na schodach i się całuje, jedno z nich trzyma rękę pod swetrem drugiego - podróżny rozpoznaje to, takie zachowania widział we własnej kulturze, w domu: młodych ludzi z alkoholem we krwi i krwią w podbrzuszach; jak dotąd nic niezwykłego, myśli, wchodząc dalej po schodach, po drodze prawie potyka się o butelkę piwa stojącą w przejściu na piętrze, zauważa, że rozdeptuje chipsa, który rozpada się na tysiąc kawałeczków, a muzyka dobiegająca z salonu staje się głośniejsza, nie ma w tym nic szczególnego, myśli

podróżny, zastanawiając się, dlaczego właściwie towarzystwo antropologiczne go tu wysłało, co ma tu robić, przecież jest tu jak u nas, myśli, widząc biegnącą przez korytarz dziewczynę, zasłaniającą usta dłońmi, jej policzki drgają, kark się napina, a oczy otwierają szeroko, rzuca się w stronę drzwi, chwyta za klamkę, ale drzwi są zamknięte i dopada ją panika, w środku ktoś jest, wyje przez zamknięte usta, zrozpaczona rozgląda się za zlewem, wiadrem, doniczką, czymkolwiek, ale w pobliżu nic nie ma, a ona wyraźnie musi wejść, jest więc zupełnie jak w domu, kiedy dzieciaki za dużo wypiją, dziewczyna wali i kopie w drzwi, czując zbliżające się wymiociny, a osoba zajmująca toaletę nie ma zamiaru otwierać, może ktoś musi skończyć zwracać, nim kolejny będzie mógł zacząć, ale nie, oto drzwi stają otworem i wychodzi stamtąd para, chłopak poprawia spodnie, a dziewczyna wygląda na przelecianą, pewnie to właśnie robili, tak, na podłodze łazienki albo pod ścianą, pieprzyli się, zdesperowani, szesnastoletni i pijani, bo było jeszcze na tyle wcześnie, że on znalazł drogę, a ona wiedziała, kto wsadza fiuta w jej cipkę, a teraz dziewczyna, która biegła przez korytarz, pewnie po obaleniu kolejnego kieliszka białego wina w jednym z wielu pokoiów na górze, może wejść i zwymiotować, ale nie, już za późno, oto zwraca na futrynę grudkowatą, białą treść, część ląduje na jej udach, część śący się na dywan, dziewczyna przewraca się i płacze, co takiego się stało? Jest dokładnie jak u nas, myśli antropolog, i naprawdę uważa za dziwne, że tu przyjechał, nie będzie miał o czym pisać. Wszystko jak u nas. Żyją zupełnie podobnie. Nie można zaobserwować nic specjalnego. Lecz chwilę po tym, jak zdziwiony zastanawiał się, czy nie wrócić wcześniejszym statkiem kosmicznym do domu, badacz pojmuje, jakie plotki obeszły kosmos, dlaczego jego odległe państwo wysłało go z misją, bo oto wchodzi do innego, ciemnego pokoju i widzi coś, o czym rzeczywiście będzie mógł napisać. Grupa młodych ludzi, wszyscy około szesnastu, siedemnastu, osiemnastu lat, rzucają się na siebie z agresją, jakby toczyli wojnę, tupią, wbijają w siebie łokcie, a pokój przepelnia elektryczna, hałaśliwa, groźna muzyka, odbijają się z jednego końca pokoju w drugi i rzucają się na siebie, wbijają w siebie łokcie, kopią na wysokość bioder, niektórzy zaciskają zęby, inni chciwie otwierają szczęki, niczym zwierzęta, popatrzcie tylko, nagle jeden z nich, długowłosa, chwyta oburącz twarz drugiego, a ludzie wokół skaczą, i patrzcie, teraz drugi robi to samo, chwyta twarz kolegi, stoją blisko i wrzeszczą do siebie, a wszyscy śpiewają: *Wanna grow up to be a debaser.*

W jakiej kulturze wylądowałem?

Spokojnie. Jesteś tylko na imprezie.

Jest rok 1990. To Norwegia.

Chwyciłem z półki książkę, trzymałem ją otwartą w dłoni, szczerząc zęby i tańcząc do

Stone Roses. Była to książka o rodzinie królewskiej, którą na swojej półce miała też moja babcia, a także dobry powód, by wydrwić Petrobachora i jego rodziców. Uniosłem ją, pokazałem zdjęcie Sonji^[18] i wciągnąłem ludzi wokół - śmialiśmy się. Sonja uśmiechała się dumnie na zdjęciu, a my się śmialiśmy.

Helge odciągnął mnie na bok. Odrzuciłem książkę. Helge średnio zachwycał się kapelami z Manchesteru, które moim zdaniem były wyzwalające. Kiedy Ian Brown śpiewał *I am the resurrection and I am the light* i zbliżała się dwunasta, szepnął mi do ucha:

- Już czas, Jalla, co? Czas wypalić trochę trawy pokoju, co?

Rozejrzałem się wokół. Stone Roses cieszyli się wyraźnie większą popularnością niż płyty Helgego, bo parkiet zapełnił się bardziej zróżnicowaną klientelą. Yngve siedział na kanapie i rozmawiał z Katrine.

Andreasa nie było nigdzie widać.

- Okej - szepnąłem. - Ale wiesz, co sądzi o tym Katrine.

- Tak, spoko, nie będziemy teraz ciągnąć dziewczyn.

Katrine wiedziała, że będziemy palić, wiedziała, że od czasu do czasu to robię, ale nie była tym zachwycona, więc się wymknęliśmy. Po drodze zgarnęliśmy Runego, którego znaleźliśmy na parterze. Siedział na stoliku na telefon i całował się z jakąś panną. Helge go szturchnął, a on od razu załapał, o co chodzi, puścił cycki i usta, mówiąc:

- Teraz?

Helge już wcześniej przygotował skręty. Teraz mieliśmy palić. Na zewnątrz deszcz przybierał na sile, mocno wiało. Naciągnęliśmy kurtki po same uszy i wymknęliśmy się za garaż, gdzie mogliśmy stać chronieni przed wiatrem. Kuśtykając przez żwir, pierwszy raz to poczułem. „Kurwa. Jesteś pijany, Jarle” - pomyślałem. Oczywiście byłem pijany już co najmniej od godziny, owej szczęśliwej godziny odurzenia, kiedy nie wydaje ci się jeszcze, że jesteś zalany, tylko pijesz, radośnie wlewasz w siebie coraz więcej, cieszysz się, że coraz bardziej kochasz swoich bliskich, odlatujesz razem z alkoholem, myśląc, że twoje szczęście jest *czyste, zupełnie niesplamione*, choć tak naprawdę to tylko nierozpoznane zło.

- Teraz spróbujecie, kurwa, trawy - powiedział Helge i złożonymi dłońmi osłonił zapalniczkę od wiatru i deszczu. Papier wydał trzask, gdy się zaciągnął. Jak na amatora przystało przesadzał, jak tylko mógł - nauczyliśmy się, że trzeba zatrzymać narkotyk w ciele tak długo, jak to możliwe, i nie wydychać dymu. Okej. Tak trzeba. Ale trzeba też oddychać. Paliliśmy, jakbyśmy nie musieli oddychać. Zaciągaliśmy się, przekazywaliśmy sobie skręta, energicznie spoglądaliśmy na siebie, wstrzymując dech, aż prawie się dusiliśmy, próbując skoordynować działanie marihuany ze swoim wnętrzem, bo jedyne, czego bracia Ombo i ja

chcieliśmy, to się naćpać. A chcąc się naćpać, nie mogliśmy rozmawiać. Kiwaliśmy tylko głowami i wstrzymywaliśmy oddech. Kiedy któryś z nas musiał coś powiedzieć, mówił na wdechu, klasycznym głosem palacza skrętów, wymuszonymi, krótkimi, gardłowymi dźwiękami:

- Gruuuby towar.

- Co jest, kurwa, właściwie z tym Yngvem? - zapytał Helge, gdy zapalaliśmy drugiego skręta.

- To znaczy? - powiedziałem na wdechu, tuż po zaciągnięciu się.

- Ach, jest taki... jest gejem, czy co?

Drgnąłem.

- Skąd ja mam to, kurwa, wiedzieć?

- Kto to Yngve? - wydobył z siebie Rune.

- Nie możemy wejść do garażu? Cholernie tu zimno.

Odwrociłem się. Helge stał pod bocznymi drzwiami garażu i z szerokim uśmiechem szarpał klamkę.

- Zamknięte - powiedziałem i odwróciłem się znów do Runego.

Wtedy usłyszałem brzęk szkła.

- Już nie. - Helge wyszczerzył zęby, otwierając drzwi.

- Kurwa! - krzyknąłem. - Wybiłeś szybę?

Helge dumnie skinął głową i wszedł do środka.

- Kurde. - Zauważyłem, że się zdenerwowałem, ale potrafiłem tylko się śmiać.

Weszliśmy do garażu. Stały tam dwa samochody. Srebrny mercedes i opel.

- Merc - odezwał się Helge. - Oczywiście.

Odszedł na bok i szarpnął boczne drzwi, które były zamknięte, obszedł samochód, chwytając wszystkie klamki, ale nie dało się wejść do środka. Rune i ja tylko na niego patrzyliśmy, podawaliśmy sobie skręta, a Helge zbliżył się do opla.

- Co ty, kurwa, robisz, Hegga?! Chyba nie będziemy teraz kraść wozów? - Zaśmiałem się. - Co?

Helge chwycił klamkę i otworzył drzwi opla.

- Boże - skomentowałem. - Nawet im się nie chce zamykać auta.

- Chodźcie! - zawołał Helge i wsiadł do samochodu.

Rune i ja usiedliśmy z tyłu. Oparliśmy się o skórzane siedzenia. Długo zaciągnąłem się skrętem i zacząłem się śmiać. Śmiech rozprzestrzenił się w samochodzie, a skręt powędrował do Helgego.

- O zesz kurwa. - Zaniósł się ostrym, suchym kaszlem. - Ale chce mi się pić.

- Mi też - powiedział Rune.

- Gęba jak pieprzona pustynia - dodałem.

Zamknąłem oczy. Świat wokół mnie wirował, zapomniałem o Yngvem, o Katrine, ledwie wiedziałem, że pałę trawę w obcym samochodzie, w środku nocy.

- Kurwa - usłyszałem Helgego.

Po krótkiej chwili pochyliłem się do niego. Rune nadal siedział obok mnie z zamkniętymi oczami. Spojrzałem na Helgego. Co takiego robił? Siedział na miejscu kierowcy, w ustach trzymał resztkę skręta i pochylał się nad siedzeniem obok. Co tam, kurwa, robił?

Helge drapał siedzenie kluczami. Przesuwał metalem po skórze.

- Nie no, do chuja - Zaśmiałem się. - Będziemy mieć kłopoty, Hegga.

- Nie - odparł. - Zaslugują na to.

- Hę? - wymamrotał Rune z miejsca z tyłu.

- Zaslugują na to! - krzyknął Helge.

- Na co?

- Zapomnij - powiedział i ostatni raz zaciągnął się skrętem, po czym upuścił go na dywanik pod nogami.

Wtedy wpadł w szal. Pamiętam, że pomyślałem: „Teraz musisz coś zrobić, Jarle, nie możesz tylko się przyglądać”, ale ciało nie zareagowało. Nadal się śmiałem, nadal szczyrzyłem zęby, myśląc: „Boże, Boże” i patrząc, jak Helge szaleje - wbija klucze w sufit, dziurawi materiał, rysuje deskę rozdzielczą, przystawia zapalniczkę do siedzenia i pali je - a my siedzieliśmy z tyłu, naćpani i tępi.

Spojrzałem na Runego.

- Rune - powiedziałem. - Ty...

Rune nie wyglądał za dobrze. Próbował utrzymać wzrok, próbował wziąć się w garść, ale nie czuł się dobrze. W dłoni trzymał skręta. „Kurwa - pomyślałem - sam go wypalił?” Podczas gdy Helge nadal przekłuyał sufit opła „Pp. Torkildsen”, Rune zaczął kaszleć, zemdlilo go, próbował coś powiedzieć, ale było za późno. Nie zdążył nawet się odwrócić i otworzyć drzwi, a ja zareagowałem na to, co się z nim stało, takim samym otępieniem jak na zachowanie Helgego. Po prostu zaczęło z niego cieknać, ciało zgięło się w pół, a z ust popłynęły wymiociny.

Helge zauważył, że z tyłu coś się dzieje, i się odwrócił.

- O kurwa - zaklął, zobaczywszy, jak młodszy brat wymiotuje na siebie i auto. -

Przecież on rzyga.

- Mhm - potwierdziłem. - I to mocno.

Helge ocknął się, otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu, wsunął się na tylne siedzenie, chwycił młodszego brata i wyciągnął go na deszcz. Pokuśtykałem za nimi, widziałem, jak bracia zataczają się po trawniku wielkości pola golfowego, a przez deszcz usłyszałem, jak Helge mówi: - No, wyrzuć z siebie to świństwo. - Widziałem też jego ręce obejmujące Runego, który padł na kolana i zgiął się w pół, wymiotując. Na pierwszym piętrze ktoś otworzył okno, ktoś wskazywał palcem i śmiał się, a Helge odwrócił się i krzyknął: - Zamknij ryj, chciwa pizdo! - Wtedy niebo rozbłysło, noc przeciął ostry piorun, a mnie zakręciło się w głowie, cała ta sytuacja wydawała mi się zabawna, ten potężny deszcz, olbrzymi trawnik, Helge wrzeszczący z błyskawicą w tle, jego młodszy brat, który wyglądał, jakby opił się amoniaku, wszystko to było ogromnie zabawne. Śmiałem się, wypaliłem do końca ostatniego skręta, aż maleńki pet parzył mi palce, i potrafiłem jedynie się śmiać. W końcu Rune wyłożył się jak długi na trawie. - Odwróć się - usłyszałem Helgego, podczas gdy sam się śmiałem. - Odwróć się, Rulle, to deszcz cię trochę umyje.

- Kurna, Hegga! - zawołałem. - Widziałeś? Piorun bez grzmotu!

Kilka minut później chwiejnym krokiem weszliśmy do domu, Helge i Rune byli przemoczeni, a Rune wyglądał jak trup. Ja szczyrzyłem zęby. Helge utorował sobie drogę do łazienki na parterze, po czym usadził brata w wannie, zamknął drzwi na klucz, zdarł z siebie ciuchy, wyżał je i się wysuszył. Osunąłem się na klapę ubikacji i nadal zanosilem się śmiechem.

Helge spojrzał na mnie. Też zaczął się śmiać. Rozejrzał się wokół. Łazienka była duża. Mnóstwo ładnych ręczników, marmurowe kafelki, na pęczki kremów, kosmetyków do makijażu, szamponów i Bóg wie czego. Helge spojrzał na mnie. Ja na niego. Wywrócił oczy w oczekiwaniu. Ja uniosłem brwi. Helge skinął głową.

Ja też.

Helge otworzył szafkę nad umywalką. Znalazł pomadkę, za pomocą której zaczął przyozdabiać łazienkę, wielkimi literami nasmarował: BURŻUJSKA ŚWINIA, KAPITALISTYCZNA PIZDA, ŚMIERĆ KAPITAŁOWI, PETRODZIWKA. Ja sam wykazałem się mniejszą inwencją - śmiejąc się do rozpuku, otwierałem wszystkie butelki i opakowania, jakie udało mi się znaleźć - kremy, szampony, mydła w płynie, perfumy - wylewałem to na ściany i podłogę, wyginałem nożyczki do paznokci, pincety i pilniki. Gdy śmieciliśmy w łazience, ktoś dobijał się do drzwi i ciągnął za klamkę.

- Zajęte! - krzyknął Helge. - Spadać!

Próbowałem wetrzeć żel do włosów w ręczniki. Nagle przerwałem, spostrzegłszy listek pigułek. Zawołałem do Helgego.

- Co?

- Patrz na to!

- Co to jest?

- Pigułki antykoncepcyjne, do chuja - powiedziałem, po czym wziąłem trzy i je połknąłem.

- Nie, czekaj! - Helge rzucił się w moją stronę. Wydarł mi z rąk listek, wierzchem dłoni zrobił miejsce na szklanej półce nad umywalką i wydusił kilka pigułek na szkło.

- Co, kurwa, robisz?

Helge uśmiechnął się szeroko i wyjął scyzoryk. Zaczął kroić pigułki. Chichotałem, widząc, jak się kruszą. Helge wyjął tytoń do skręcania, który ze sobą wzięliśmy, i zabrał się za robienie skręta z pigułkami antykoncepcyjnymi.

- Ja pierdolę! - odezwałem się, pełen uznania.

- No nie?

- Spalimy je?

- Tak! No pewnie, kurwa!

Spaliliśmy je. Każdy po skręcie z proszkiem z pigułek. I sądziliśmy, że to wspaniale. Potem skręciliśmy jeszcze jednego, z mieszanką tytoniu, pigułek i marihuany. Paliliśmy go, leżąc na plecach wśród szamponów, balsamów i przyborów kąpielowych.

- Dobra impreza - powiedział Helge.

- No - potwierdziłem. - Niesamowicie dobra impreza.

- Matka wszystkich imprez - dodał Helge.

- Tak - zgodziłem się. - I ojciec.

- Dobry z ciebie, kurwa, kumpel, Jarle - powiedział Helge.

- Z ciebie też zajebisty kumpel, Helge - odparłem, przekręciwszy się na bok, po czym go uścisnąłem.

- Kurwa - skomentował Helge. - Męskie przytulanie. Mocne.

Wreszcie stanęliśmy na nogach. Zostawiliśmy Runego w wannie, żeby odespał szok odurzenia, a my dopełniliśmy dzieła, zdemolowaliśmy całe pomieszczenie, zerwaliśmy klapę z ubikacji, porysowaliśmy porcelanę, przy czym ciągle śmialiśmy się jak szaleni, przekonani, że mieszanka piwa, wódki, marihuany i pigułek antykoncepcyjnych daje królewski rausz. Później poszliśmy na piętro. Tam impreza stale się rozkręcała, zaczęła przerażać się w chaos. Ludzie plątali się w koło z flaszki z barku w dłoniach, a ja chwyciłem butelkę

tequili. Szukałem wzrokiem Katrine. Yngve wyparował z mojej głowy. Stary Jarle przejął kontrolę, zauroczenie zniknęło, wszystko, co dobre, zniknęło, byłem tylko ja, pijany, głośny, arogancki. Przyłożyłem butelkę tequili do ust i wlałem w siebie płyn. Kątem oka zobaczyłem, jak Helge wyciąga z półki książkę o meblach ogrodowych i zaczyna ją czytać na głos.

Wtedy upadłem na ziemię.

W tym miejscu urwał mi się film. Ostatnie, co pamiętam sprzed przebudzenia, po którym jestem gotów na więcej picia i jarania, to upadek na ziemię i upuszczenie butelki. Po odzyskaniu przytomności leżę na kanapie z idiotycznym uśmiechem, na kolanach Katrine, która próbuje mnie zrzucić. Na sofie Torill śpi koło Ingara. A Katrine jest wściekła. Co powiedziałem?

- Tak, no jakby w zasadzie - słyszę swój głos.

- Boże! - odzywa się ona.

- Po prostu tak jest - mówię ja.

O czym rozmawiamy?

- Okej, Katri, znaczy, jeśli tam postawisz cipę - mówię, unosząc rękę. - No nie? I tam postawisz cipę, no nie?

Czy ja to mówię? Boże, czy ja to mówię?

Wtedy jej kolano uderza mnie w potylicę, Katrine podnosi się i staje przede mną. Jest wściekła.

- Powtórz to.

Rozglądam się. Na krześle obok siedzi Helge, szczyrzy zęby i kręci głową. Na kanapie przede mną siedzi Yngve, je chipsy i się rumieni. W jaką sytuację ja się wpłatałem? Która jest godzina? Dlaczego trzymam ręce w górze, śmieję się i mówię: - Okej, jedna cipa tam, jedna tam, można je przelecieć, no nie? To znaczy, Katri, oprócz tej jednej między twoimi nogami, no nie, to można je przelecieć, co?

Śmieję się do rozpuku. Nad sobą dostrzegam jej twarz, spływające po policzkach, rozmywające makijaż łzy, po chwili zaś na mojej twarzy ląduje zawartość miski chipsów, a następnie pół litra coli, Katrine krzyczy, płacze i wrzeszczy: - To koniec, Jarle! Rozumiesz?! To koniec! Jesteś aroganckim, pieprzonym, zarozumiałym, użalającym się nad sobą, obraźliwym chujem! ROZUMIESZ?! TO, KURWA, JEBANY KONIEC!

Ledwie widzę, jak śpiesznie wychodzi z pokoju, a ja tarzam się ze śmiechu, patrząc na Helgego. On przechyla głowę w tył i zamyka oczy.

Co takiego robię?

Czy znam tego człowieka? Jarle Klepp, czy to on?

Tak, to Jarle Klepp. Nie znam go.

Ja, Jarle Klepp, śmieję się i staję chybottliwie na nogach, z twarzą klejącą się od coli, zdrapuję cząstki chipsów, które przykleiły mi się do policzków, parę zjadam, chwytam butelkę piwa ze stołu, wlewam ją w siebie i opadam na kanapę obok Yngvego. On wygląda na przerażonego, wpatruje się we mnie wielkimi oczyma.

Co, Yngve, co jest? Nie poznajesz mnie, co? Przecież to ja, Jarle, twój kumpel od tenisa? Co?

- O co chciałeś zapytać Yngvego? - mówię głośno, odwracając się do Helgego, który siedzi po drugiej stronie stołu... nie, nie ma go tam. Gdzie Helge? Mrużę oczy przez alkoholowe zamroczenie, gdzie ten Helge? - Widziałeś Helgego? - pytam, a Yngve zdaje się wystraszony. Co jest Yngve, boisz się mnie, Jarlego, swojego kumpla od tenisa? Nie bój się! Boże! Przecież to ja, Jarle! Teraz widzę też Helgego, tak, to on, całuje się z Siv Therese z klasy A, o kurwa, z tą pruderyjną, burżuazyjną panną o wielkich cyckach, panną, której obaj nienawidzimy. „Dopadnę cię za to” - udaje mi się jeszcze pomyśleć, nim obejmuję Yngvego, przysuwam się do niego i spoglądam mu w oczy.

- Co?

Nic nie mówi. Siadam bliżej niego.

- Co, Yngve?

Siadam tak blisko, jak tylko się da.

- Nic nie powiesz?

Tylko się na mnie gapi.

- Kurwa, co jest z tobą nie tak? - mówię z szerokim uśmiechem. - Nic nie powiesz? Będziesz tu tak tylko siedział? Co? Boże, czy tylko tenis ci w głowie, jesteś tylko małym chłopcem z Haugesund, co myśli o Egipcjanach i tenisie? To wszystko? A w środku pustka? Yngve, no dalej, co? Powiedz coś! Nie siedź tak tylko i nie udawaj! Chyba musisz coś myśleć? Dlaczego ciągle, kurwa, chorujesz? Co z tobą? Gejem jesteś, to o to chodzi? Wiesz, że wszyscy w Egipcie byli gejami? Wiesz, że chcieli tylko wsadzać sobie fiuty w dupę i jednocześnie sobie obciążać? Też taki jesteś, Yngvis, co? Będziesz tu tak siedział? I gmerał sobie przez kieszeń w sprzącie, co, Yngvis? Co z tobą, kurwa, no weź!

Uderzam go w plecy. Tak, to właśnie robię. Robię zamach pół metra od niego i uderzam go dłonią w plecy. Później chwytam butelkę ze stołu, wyciągam do niego, przystawiam mu do gęby i co takiego mówię?

- Napij się trochę, Yngve, co? Czy nie dasz rady?

- Dlaczego zrobiłeś to swojej dziewczynie? - Słyszę, jak mówi, odtrącając butelkę.

- O, to umiesz gadać?

- Cały wieczór mówiła mi, jak bardzo cię kocha.

- Tak, widziałem, jak rozmawialiście, myślałem, że na ciebie leci, ale ty jesteś chyba homo?

Yngve drżał. Patrzył na mnie. Siedział przede mną przerażony i drżał. Ale mnie tylko to bawiło. Jarle Klepp, ten człowiek, którego nie znam, siedział przed nim i dobrze się bawił.

Szepnąłem:

- Yngve, jestem w tobie zakochany.

- Co?

Znów szepnąłem:

- Słyszałeś, co powiedziałem, Yngve. Jestem w tobie zakochany.

Wstał. Jąkał się.

- Ja też jestem w tobie zakochany.

Co takiego powiedział?

Yngve stał przede mną, przerażony, ze strachem w oczach, i powiedział, że jest we mnie zakochany. Uniósł ręce do twarzy, zatopił paznokcie w policzkach i patrzył na mnie, zagubiony.

Wybuchnąłem śmiechem.

- Boże! Myślisz, kurwa, że jestem gejem?! Myślisz, że mi się podobasz?! Boże!

Yngve gapił się na mnie. Śmiałem się głośniej, przechyliłem głowę w tył, kręciłem nią i rozglądałem się za Helgem. Yngve gapił się na mnie, jego usta drżały. Po chwili spuścił wzrok, utkwił go w swoich stopach, uspokoił oddech i ruszył w stronę drzwi. Ja ciągle się śmiałem, kręcąc głową i powtarzając:

- Boże, co sobie, kurwa, myślisz?

Zobaczyłem, jak Yngve opuszcza pokój. Ledwie dotarło do mnie, że doszedł do korytarza, położyłem dłoń na poręczy schodów.

- Co się dzieje? - usłyszałem głos Ingara, który nagle przebudził się na kanapie obok.

Nic więcej nie pamiętam. Znów osunąłem się na ziemię.

O wpół do szóstej obudziłem się, poczuwszy na twarzy chluśnięcie lodowatej wody. Nad sobą ujrzałem niewyraźnie dwie klaszczące dłonie, rozpoznawałem też głos mówiący: - Jarle! Obudź się! Jesteś tam? Jalla! Obudź się!

To był Helge. Podskoczyłem jak oparzony. Rozejrzałem się wokół.

Sypialnia. Obok mnie leżała dziewczyna. Spojrzałem zdezorientowany na Helgego, który wzruszał ramionami i wyglądał na zmartwionego.

Gdzie jestem? Co się stało? Kto leży koło mnie w łóżku? Gdzie Katrine? Gdzie Yngve? Co Yngve mi powiedział? Co ja mu powiedziałem?

Zerknąłem na pannę leżącą obok. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, a przynajmniej sobie tego nie przypominałem. Miała długie, ciemnobrązowe włosy, była silnie zbudowana, ale nie gruba. Szminka rozmazana na twarzy. Naga. Popatrzyłem na dół swojego ciała. Byłem goły, ale na stopach miałem czarne skarpetki. Co, kurwa? Usiadłem na łóżku, spoglądając na Helgego. Co to, kurwa, jest?

- Kto... - wyjąkałem. - Kto to jest?

- Anette - odpowiedział Helge. - Na imię ma chyba Anette. Chodzi chyba do dziewiątej.

- Do *dziewiątej*?

Zeskoczyłem z łóżka, znalazłem na podłodze ubrania, rozglądałem się też, zdezorientowany, wokół. Znajdowaliśmy się w pełnym lalek i misiów dziewczęcym pokoju, którego ściany zdobiła różowa tapeta i plakat z koniem. Pokój musiał należeć do znacznie młodszej dziewczynki niż owa Anette, która leżała obok mnie.

Wciągnąłem koszulkę przez głowę. Helge usiadł na krześle i zapalił fajkę. Skrzywił się.

- Helge... co to, kurwa, znaczy? Dziewiąta klasa?

- Co to znaczy? - zapytał i rozłożył ręce.

Zapiąłem zamek błyskawiczny spodni, włożyłem pasek, po czym znów zerknąłem na „Anette”. Czy my... czy ja z nią spałem?

- Co to, kurwa, znaczy, tak - odezwał się Helge. - Jak obraziłeś Katrine i poniżyłeś tego tam Yngvego, w środku nocy wszedłem do tego pokoju, gdzie ty posuwałaś tę tutaj. Tak, tak, nie wiem, ile do niej dotarło, chyba spała, jak ją brałeś. Tyle to, kurwa, znaczy. - Zaśmiał się. - Dobrze było?

Gapilem się na niego. Co takiego powiedział? Obraziłem Katrine? Poniżyłem Yngvego? Spałem z tą dziewiątoklasistką?

- Katrine! Gdzie jest Katrine?

- Na pewno nie tutaj - powiedział.

- A Yngve? Gdzie on jest?

- Nie tutaj - powtórzył i podał mi papierosa.

Przyjąłem go, zdjęty paniką, i poczułem, jak wszystko, co zrobiłem, do mnie wraca. Noc gotowała mi się w głowie, wirowała w panicznym strachu, kolejne wydarzenia goniły się w moich myślach, próbując przed sobą uciec, lecz na próżno. Widziałem, jak Helge niszczy

samochód „Pp. Torkildsen”, widziałem, jak razem z Helgem demolujemy ich łazienkę, jak opowiadam Katrine, że „wszystkie kobiety można przelecieć”, jak wyzywam Yngvego. Co właściwie mu powiedziałem? Czy on mi coś powiedział? Widziałem też, jak chwytam zupełnie obcą dziewczynę o ciemnobrązowych włosach i mówię do niej: - Będę cię pieprzył, aż się poryczysz, okej? - A ona patrzy na mnie, senna i niewyraźna, mówiąc: - Tak? Teraz?

Jarle. Jarle Klepp.

- To spadamy? - zapytał Helge.

Popatrzyłem na Anette leżącą na łóżku. A jeśli zaszła w ciążę? Zerknąłem w dół na siebie, pomacałem się, miałem wrażenie, że się spuściłem. Nie mogę mieć teraz dziecka, Boże. Może tylko mi obciągnęła? Nie, Helge mówił, że na niej leżałem, a ona była zmęczona, nie mogła zrobić mi laski. Może wyjąłem w trakcie?

- Spadamy?

Podszedłem do łóżka, odsunąłem błękitną kołdrę zakrywającą jej nogi. Helge zbliżył się do mnie.

- Co, kurwa, robisz? Nie dość ci?

Rzuciłem na nią okiem. Próbowałem dojrzeć jej krocze. Ciężko coś rozpoznać.

- Co robisz? - Helge stanął obok. - Niezła laska - ocenił, spojrzawszy na nią. Uśmiechnął się. - Mi też się jedna skapnęła - dodał. - Siv Therese.

Popatrzyłem na niego.

- Jezu! Siv Therese!

Wzruszył ramionami.

- No. Umie się pieprzyć, poza tym że jest idiotką.

Znów spojrzałem na dziewczynę przede mną. Pochyliłem się nad nią. Spała jak kamień. Usiłowałem zobaczyć, czy na jej kroczu nie ma jakichś śladów po mnie, które wskazywałyby, że dokończyłem w środku. Może tak było, ale ona brała pigułki? Może byłem chwilowo nieplodny po tym, jak spaliliśmy pigułki pani Torkildsen? Gapiałem się na jej krocze, próbując coś znaleźć. Nie mogłem przecież rozłożyć jej nóg, nie tutaj, mogła się obudzić.

- Nie, spadamy - powiedziałem.

- Jesteś jeszcze pijany - stwierdził Helge.

Ludzie spali, rozłożeni po całym domu. Pięć-sześć osób puszczało w salonie płyty. Trond leżał na kanapie z zamkniętymi oczami.

- A gdzie Rune? - zapytałem.

- Olej go - powiedział Helge. - Rune da sobie radę.

Wyszliśmy. Nadal padało. Helge zatrzymał się, by spojrzeć na dom. Nagle podbiegł do trawnika, podniósł kamień i rzucił nim w okno, które rozbiło się na tysiąc kawałków.

- Chodź! - powiedział i odciągnął mnie w stronę ulicy. Pobiegliśmy.

- Boże! Po co to, kurwa, zrobiłeś? - krzyknąłem, gdy odbiliśmy na główną drogę.

- A jak myślisz? - krzyknął Helge.

- Nie, nie, ale, kurwa!

- No?

- Nie, ale... kurwa!

- Tak, dokładnie! - powiedział Helge.

Moje myśli wirowały, gdy biegliśmy w stronę Mostu Miejskiego, umysł szukał wydarzeń minionej nocy, nie chciał w nie wierzyć, nie chciał wierzyć w Jarlego. Czy mogłem to wszystko zrobić? I co powiedział mi Yngve?

Przestaliśmy biec dopiero, gdy dotarliśmy do mostu. Odwróciłem się i powiedziałem:

- Masz więcej picia?

Helge usiłował zatrzymać dziesiątą mijającą nas taksówkę, bezskutecznie, więc wyjął z wewnętrznej kieszeni półlitrowkę. Podał mi ją.

- Pewien? - zapytał.

- Jasne, że pewien - odparłem, przytknąłem ją do ust i wypilem. Wlałem w siebie, ile mogłem, choć gardło miałem ściśnięte i zmuszałem się do przełykania.

- Nie, zostaw to, Jalla! - zawołał Helge i chwycił mnie za rękę.

Powstrzymałem się od przełknięcia. Ni chuja, na pewno nie zabierze mi butelki. Wypiję, choćbym miał zdechnąć. Zebrałem wszystkie siły i dalej piłem.

- Jesteśmy znów przyjaciółmi, Helge? - zapytałem, wyrzuciwszy pustą flaszkę do morza.

- Jak to przyjaciółmi? O czym ty gadasz?

- Dobrze - odparłem i runąłem na ziemię.

Kolejne oprzytomnienie miało miejsce na ławce w parku Bjergsted. Na samej górze, skąd w dole widać salę koncertową. Helge siedział obok. Spojrzałem na niego. Wstałem. Było jasno. Przestało padać, trząsałem się z zimna, byłem przemoczony do suchej nitki. Odwróciłem się. Kilkaset metrów dalej stał dom mamy.

- Hegga, mamy niedzielę?

Helge popatrzył na mnie.

- O zesz kurwa - odpowiedział. - Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak ryczał.

- He?

- Ty - wyjaśnił. - Leżałeś tu i becząłeś przez dwie godziny, wyleś i darłeś się jak dzieciak.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Bo odtrąciłeś wszystkich, których lubisz - powiedział.

- Nie ciebie.

Helge pokręcił głową.

- Nie, to cud.

- Która jest? - zapytałem.

- Wpół do dziewiątej.

- Piekielny ziąb.

- No raczej, kurwa.

- Jest niedziela?

- Tak, tak. Ile razy będziesz się pytał?

- Kurde, ale jestem głodny - oznajmiłem.

- Nic dziwnego po tym, ile wyrzygałeś.

- Rzygałem?

- Boże, fiord miejski nie będzie taki sam, odkąd go zasilileś, na dnie dojdzie pewnie do mutacji.

- Czuję się beznadziejnie. Jesteś głodny?

Helge skinął głową.

Spojrzałem w stronę domu mamy. Wstaliśmy.

- Mama na pewno ma coś do jedzenia.

Podreptaliśmy ulicą. Problemy nawarstwiały się w mojej głowie, czasem jednak można tak zawalić sprawę, że braknie sił, by się tym przejąć. Niekiedy bywa, że wszystko tak fatalnie się posypie, że nic nie może pomóc, a jedyne, o czym da się myśleć, to jedzenie. „Tylko parę kanapek - pomyślałem - i jajecznica, muszę zjeść jajecznicę, z dużą ilością soli, i pomidory, pomidory, muszę zjeść pomidory, i szynkę, właśnie to musimy zjeść, z majonezem, mnóstwem majonezu, i buraczki, je też musimy zjeść, i paprykę, ser i paprykę, muszę zjeść paprykę”.

Okej, Jarle. A więc nieco zjesz. Pewnie tak. Staniesz w progu domu swojej matki, razem z Helgem. Wyrecytujesz jakąś historyjkę na uzasadnienie tego, że cały jesteś brudny od wymiocin, że jest wpół do dziewiątej rano, że cuchniesz. Jakoś da radę. Uda się. Zjesz co nieco. Chyba będzie dobrze.

Ale jednak.

Jak z tego wybrniesz?

^[18] Sonja - od roku 1991 królowa Norwegii, żona króla Haralda V [przyp. tłum.].

Wstydz się, Jarle

what a terrible mess I've made of my life

The Smiths

- Wszyscy byliśmy młodzi, Jarle.

Rodzice na całej ziemi wierzą we wszystko, co usłyszą od swoich dzieci. To niesamowite, przecież sami byli kiedyś młodzi. Właśnie to mówią, uśmiechając się do swoich pociech, które powołały do życia niezdarną historię w celu przysłonięcia zbyt okrutnej prawdy: *Też byłem młody, wiesz, rozumiem, przez co przechodzisz*. Później rodzice mogą oprzeć się wygodnie, myśląc: „Żyjemy w otwartych relacjach, jesteśmy wobec siebie szczerzy, to nie tak, jak za mojej młodości, gdy serwowałem kłamstwo za kłamstwem swoim rodzicom, którzy nie mieli pojęcia, co *naprawdę robiłem*”. To niesamowite, tuż po zakochanych nikt nie przejawia większej ufności od rodziców. Byłem zakochany. Mama była moją matką.

- Nie, nie jestem na ciebie zła - powiedziała i zmierzwiła mi włosy. - Jak mogę być na ciebie zła?

Czasem może się wydawać, że im więcej dzieli fakty od opowieści, tym bardziej wiarygodna się ona staje. Mama pewnie nie uwierzyłaby mi, gdybym powiedział prawdę - zdemolowany samochód, zdemolowana łazienka, Jarle, który obraził swoich przyjaciół, przespał się z obcą czternasto - czy piętnastolatką, nadużył narkotyków - ale w to uwierzyła.

- Dostałem coś do picia na imprezie. Tak, poszliśmy po koncercie na imprezę w Storhaug, a wiesz, jaki mam stosunek do alkoholu.

Skinęła głową.

- Tak, wiem, że jesteś ostrożny.

- Prawda? - ciągnąłem. - Ale koncert się nie udał, nastrój był fatalny, więc wziąłem jakiegoś drinka.

Drinka.

Drinka?

Nie piliśmy drinków, tak dla jasności. Jeśli czegoś nie piliśmy, to właśnie *drinków*. Burzuje pili drinki, James Bond pił drinki, w *Dynastii* pito drinki, pokolenie naszych

rodziców piło *drinki*. My po prostu piliśmy.

- To niedobrze, że koncert się nie udał - powiedziała mama. - A tyle ćwiczyliście.

- Tak - zgodziłem się. - Nerwy i tak dalej. No, ale w każdym razie jakiś drink, potem jedzenie, zagranicznie.

- Oj, ostre?

- Tak - potwierdziłem. - Masa ostrych rzeczy, meksykańskie sosy i Bóg wie co jeszcze, a potem znów te drinki. Zaszкодziło mi. Gdy mieliśmy wyjść na inną imprezę, zakręciło mi się w głowie, musiałem zwymiotować, a wiesz, byliśmy właśnie przy kąpielisku Badedammen i wtedy jeden mój kumpel, nie znasz go, taki kumpel z Kongsgård podszedł do wody, a że był zalany, to poślizgnął się i wpadł do środka.

- Nie może być! - powiedziała mama. - Do Badedammen?

- Tak! Właśnie tam! Inni szli kawałek przede mną, a ja wymiotowałem pod ogrodzeniem i tylko ja go widziałem, na imię ma Trond, widziałem, jak wpadł do wody, kiedy ja zwracałem te zielone drinki, które dostaliśmy na Opheimsgata w Storhaug, więc cóż mogłem zrobić? Co mogłem zrobić, mamó?

- Ktoś musiał mu pomóc.

- No nie?

Boże. Jakie to dobre uczucie. Uczucie, gdy przekonało się kogoś do własnego kłamstwa, powiększającego siebie w oczach drugiej osoby, kłamstwa mówiącego o człowieku, któremu przytrafił się wypadek, bo był *grzeczny, nieszczęśliwy, nieświadomy i dobry* - właśnie to wmawiałem mamie, taką wizję przed nią roztaczałem, kłamliwą wizję grzecznego Jarlego, który chciał pomóc koledze, nieszczęśliwego Jarlego, któremu nie powiodło się na koncercie, nieświadomego Jarlego, który pochłaniał drinki i potrawy, nie mając nad nimi kontroli, dobrego Jarlego, który zdecydował się być szczery z matką i o wszystkim jej opowiedzieć. Dlaczego to uczucie nie jest złe? Dlaczego tak dobrze jest patrzeć, jak twój słuchacz bez cienia podejrzeń przyjmuje opowiadaną historię, jak jego twarz przybiera empatyczny wyraz, jak ma o tobie dobre zdanie? Spotykasz się ze współczuciem, troską, rośniesz. Dlaczego czujesz się tak dobrze? Przecież skłamałeś? Przecież byłeś fałszywy? Czujesz się dobrze, bo drugi człowiek postrzega cię jako bohatera twojej opowieści: *grzecznego, nieświadomego, nieszczęśliwego i dobrego*.

To żałosne. Boże. Tak piekielnie nisko upadłeś.

Dobrze, że żyjemy w społeczeństwie, w którym idee godności, honoru, spójności, zasad moralnych i osobowości nic już nie znaczą. Dobrze, że żyjemy w społeczeństwie całkowicie narażonym na autosymulację, autotransformację i autofałszerstwo. W przeciwnym

razie byśmy nie przeżyli.

Mama usiadła bliżej mnie.

- Uważaj, żebyś się nie zaraziła - ostrzegłem.

Przytuliła mnie.

- No i przez resztę nocy chodziliśmy tam razem, Trond i ja - powiedziałem. - Obaj przemoczeni po kąpieli w Badedammen i wymiotujący.

- Ale dlaczego nie wróciliście wtedy do domu? - zapytała mama. - Przecież wiesz, że zawsze możesz tu wrócić, prawda?

- No. Wiem. Ale nie miałem odwagi.

Jeszcze raz mnie przytuliła. Mocniej.

- Teraz na pewno się zarazisz - powiedziałem.

- To się zarazę - odparła. - Ale dobrze, że spotkałeś Helgego.

Co miała na myśli? Helgego?

- Co?

- No, że spotkałeś Helgego. Przecież wróciłeś razem z nim.

- A tak, Helgego! - wykrzyknąłem o wiele za głośno. - Tak, w końcu znaleźliśmy resztę.

- To dobrze - powiedziała mama.

Byłem uratowany. Póki co. Mama mi wierzyła. Przytuliliśmy się. Ja kaszlałem, mama się uśmiechała i się ściskaliśmy.

Głowa mi ciążyła, czoło, nos i policzki wypełniały smarki, usta miałem suche i popękane, ponieważ od doby ich nie zamykałem, nie mogąc oddychać przez nos, kończyny były zeszywniałe i wrażliwe, gardło bolało, jakby ktoś traktował je papierem ściernym, a w żołądku panował katastrofalny chaos. Wszystko naraz. Jarle chorował. Był poniedziałek. Czterdzieści stopni gorączki, majestatyczna grypa z bólem gardła, zapaleniem zatok, kaszlem i pękającą głową. Czegóż jednak można się było spodziewać? Czy sądziłem, że ten weekend fizycznie mnie wzmocni? Przecież rzeczywistość nie miała nic wspólnego z wypiciem kilku drinków i rzuceniem się do Badedammen, by uratować kumpla.

Właściwie to mama była chora, nie ja. Zawsze najlepszym lekiem na jej własne strapienia była pomoc innym. W przeciwieństwie do wielu ludzi mama nie powiększa swoich zmartwień, słuchając o problemach innych, nie czuje się częścią zbawiennej wspólnoty zdołowanych, nie odczuwa depresyjnej solidarności i nie daje się zmusić do uzalania się nad sobą, o nie, ją to wzmacnia. Zamiast doznawać smutku, widząc zmartwienia innych, mama czuje radość, bo ktoś jest w gorszej sytuacji niż ona. Nie znajdowałem się przecież w gorszej

sytuacji od niej, w końcu to ona straciła pracę i przechodziła prawdziwy życiowy kryzys, a ja byłem tylko szczeniakiem, który się upił, zawałił sprawy z przyjaciółmi, a do tego doświadczał właśnie pierwszego w życiu kaca moralnego.

Kac moralny.

Ten stan zasługuje na uwagę.

Znam ludzi, bliskich przyjaciół, którzy przyjaźnią się też z alkoholem, twierdzących, że nigdy nie mieli kaca moralnego. Dziwni to ludzie. Niezwykli. Do tego weekendu w lutym 1990 roku ja także nie wiedziałem, czym jest moralniak. Po kilku wypadach na miasto zdarzało mi się co prawda spędzić sobotnie przedpołudnie w łóżku z bólem głowy, nieraz bywałem skacowany, czasem myślałem też: „Kurna, nie powinienem był wczoraj tego robić”, jednak nie bywało na tyle źle, by myśl o kolejnej imprezie tego samego wieczoru nie rozwiewała wszystkich problemów.

Więcej piwa? No pewnie!

W niedzielę rano nie zjadłem śniadania z Helgem i mamą. Helge dostarczył mnie tylko pod dom niczym worek i wrócił do siebie taksówką, a ja poszedłem się położyć. Próbowałem spokojnie przemyśleć swój plan działania na nadchodzący tydzień, udało mi się wmówić sobie, że nie ma takich ran, których nie dałoby się wyleczyć - tylko żebym mógł pogadać z Yngvem. Żebym mógł pogadać z Katrine. Będzie dobrze. Nikt na pewno nie odkrył, kto zdemolował samochód, łazienkę i wybił szyby na Buøy. Będzie dobrze. Całą niedzielę przeleżałem w łóżku, z regularnymi przerwami na wizyty w toalecie, by wymiotować, wstałem zaś dopiero późnym wieczorem, żeby spróbować wmusić w siebie parę kromek chleba, po czym znów się położyłem. Czułem się tak źle, jak nigdy wcześniej. Mama o mnie dbała, było jej mnie żal.

I wtedy pojawił się on. *Kac moralny*. Aż do tamtej chwili odsuwałem od siebie Yngvego, sobotnią noc, Katrine, Anette i wszystko inne, myśląc: „Okej, Jarle, okej, ułoży się, zapanujesz nad tym”. Ale wtedy przyszedł on. Około jedenastej w niedzielę wieczorem poszedłem na górę spać. Nie wymiotowałem od kilku godzin, jednak przeziębienie, kaszel i odrętwienie ciała zaczęły brać górę, zrozumiałem więc, że przez parę dni będę musiał zostać w domu. Życzyłem dobrej nocy mamie, która na dole prała moje zarzygane ciuchy (- Jest tu parę dużych plam, Jarle). Poszedłem do pokoju, rozebrałem się, zgasilem światło, wpełzłem pod kołdrę. Tam mnie dopadł.

Gdy coś przychodzi po raz pierwszy, nie wiadomo, co to jest, i można pomylić się w ocenie. Czułem, że nie utrzymuję ciepła w ciele, więc myślałem, że to gorączka albo że na zewnątrz jest chłodno. Zlał mnie zimny pot, krople wystąpiły na czoło, a temperatura to

opadała, to rosła. Wpatrywałem się w ciemność, rzucałem się na łóżku, na przemian zamykałem i otwierałem oczy w panicznym strachu. Przed czym? Przed sobą samym, przed Jarlem. Przerazenie pojawiło się znikąd, a strach dotyczył mnie samego. Ścigał mnie wczorajszy dzień, męczył mnie Jarle, ten Jarle, który nagle jął jawić się jako zły człowiek, podły człowiek. Przeklęte samozrozumienie, przeklęta samoświadomość.

Czy tata miał tak co weekend? Nie. To niemożliwe. Całe dorosłe życie z tą nienawiścią do samego siebie przez kilka dni, każdego tygodnia? Nienawidzić własnych rąk, własnego języka, własnych czynów, ciała co tydzień przez całe życie?

Dopadła mnie panika. Boże, co ja zrobiłem? Nagle byłem przekonany, że złapałem chorobę weneryczną. Pomyślałem, że na pewno już coś mam, po czym zsunąłem spodnie, usiadłem na łóżku, spocony i wystraszony, utkwilem wzrok w podbrzuszu, odsunąłem napletek, pewien, że pod spodem ujrzę brodawki, podrażnienie, parchy, cokolwiek. Może coś tam jest? Jakieś czerwone plamy? Pobiegłem do łazienki, zamknąłem drzwi na klucz, rzuciłem się pod prysznic i tak wymyłem podbrzusze, jakbym chciał zmyć z siebie fiuta, ta dziewiętoklasistka na pewno nosiła w sobie pełno chorób wenerycznych, a co z AIDS? Boże!

Wybiegłem na korytarz, powiedziałem mamie, że muszę gdzieś zadzwonić, uważałem, by mnie nie usłyszała, w panice odszukałem numer w książce telefonicznej.

- Tu apteka „Pod Lwem”.

Dobrze. Jeszcze nie zamknęli.

- Tak, tak - szepnąłem. - Jak... jak sprawdzić, czy ma się AIDS?

Po drugiej stronie nastąpiła cisza.

- AIDS, ee... tak, no najprościej jest zrobić test. Uprawiał pan seks bez zabezpieczenia?

- Tak! Wczoraj!

- To... pewnie nic pan nie zobaczy. Jeśli ma pan podejrzenia, powinien pan skontaktować się z lekarzem i zrobić test.

- Okej... iść do lekarza, tak - szepnąłem przerażony. Kobieta po drugiej stronie chciała już odłożyć słuchawkę. - Nie, jeszcze jedno - szepnąłem.

- Tak?

- Co się stanie, jeśli... no, spali się pigułki antykoncepcyjne?

Znowu cisza.

- Spali pigułki antykoncepcyjne?

- Tak, znam jedną osobę w wieku czternastu lat, która paliła pigułki.

- Dlaczego paliła pigułki?

- Nie no, ee... wie pani, jakie są dzieciaki.
- To chłopak czy dziewczyna?
- Chłopak - szepnąłem. - To groźne?
- Proszę poczekać, zapytam kogoś, kto się lepiej zna.

Znów nastała cisza. Mdlilo mnie, marzłem, widziałem też, że mama siedzi w salonie i czyta gazetę. Aptekarka wróciła.

- Tak? - szepnąłem. - Co się stanie? Może zostać bezpłodnym?
- To nie jest groźne. Przypuszczalnie będzie się bardzo źle czuł.
- Tak - odparłem.
- Ale to niegroźne.
- Czy test na AIDS boli? - zapytałem.
- Nie - odpowiedziała.

Odłożyłem słuchawkę.

Kac moralny odbiera poczucie własnej wartości. Podczas gdy samozrozumienie na ogół przyczynia się do mądrej oceny własnych działań, a z czasem wzmacnia osobowość, paranoiczne analizy kaca moralnego jedynie umniejszają wartość człowieka. Przez niego standardy niezwykłych stanów, wydarzeń, które miały miejsce *raz w życiu*, zaczynają tworzyć część tego, kim *naprawdę jesteś*. Kac moralny mówi ci, że *taki jesteś naprawdę*, i właśnie to powiedział mi tamtej nocy, gdy nie mogłem zasnąć ani trochę nieuspokojony po rozmowie z kobietą z apteki. Moja głowa stała się balonem napełnionym grypą, gardło piekło, a umysł gotował się własnym żarem. Taki jesteś, Jarle. Poniżasz ludzi. Niszczysz cudzą własność. Jesteś narkomanem. Łapiesz AIDS. Nie masz zasad moralnych. Oczywiście brak samokontroli jest najgorszy. Leżysz tu, masz siedemnaście lat i po raz pierwszy pojmujesz, że brak ci kontroli. Myślałeś, biedaku, że wiesz, kim jesteś. Myślałeś, głupku, że masz kontrolę. Myślałeś, idioto, że życie jest proste, ale nie jest. A skoro tak bardzo nienawidzisz sam siebie, jak okrutny musisz się zdawać w oczach innych?

Katrine?

Yngvego?

Helgego?

I nie tylko ich.

Kac moralny zaprasza wszystkich na przyjęcie pogardliwego śmiechu, cały świat dostaje zaproszenie - *chodźcie zobaczyć upadek Jarlego Kleppa, chodźcie zobaczyć, jak Jarle Klepp zostaje idiotą, jak Jarle Klepp staje się nikczemnym, złym, małym człowieczkiem* - i proszę, oto cały świat przychodzi oglądać twój upadek. Czujesz to, wijąc się spazmatycznie

na łóżku, miotając się w pościeli, otwierasz oczy, by uciec od szlamu, w który wpatrujesz się, gdy są zamknięte, zamykasz oczy, by uciec od wzroku ludzi gapiących się na ciebie, kiedy są otwarte - przyszli w odwiedzinę. Byli tam, *cały świat tam był i cię widział*, wszyscy widzieli, co zrobiłeś, wszyscy byli tam, gdy podszedłeś do tamtej dziewczyny i powiedziałeś: „Będę cię pieprzył, aż się poryczysz”, wszyscy tam byli, gdy tłukłeś butelki z szamponem i pisałeś PETRODZIWKĄ na lustrze w łazience, wszyscy tam byli, kiedy stałeś na Moście Miejskim, wmuszałeś w siebie wódkę i rzygałeś do fiordu, obok przejeżdżały tysiące samochodów i wszyscy się na ciebie gapili, wszyscy myśleli: *O kurwa, to Jarle Klepp, nigdy go nie zapomnimy*. I nie zapomną cię, bo cię widzieli, gdy unosiłeś rękę w górę, mówiąc: „Okej, mamy tu cipę, no nie?”, widzieli cię, jak śmiałeś się swojej dziewczynie w twarz, kiedy ona płakała, widzieli, jak zdeptałeś tego, w którym jesteś zakochany, widzieli cię. Widzieli cię, Jarle. I nigdy cię nie zapomną, a ty nigdy - *nigdy* - nie spojrzysz znów świata w oczy, bo świat przyszedł na twoje przyjęcie i nienawidzi ciebie tak samo, jak ty nienawidzisz siebie. W każdym domu na całej ziemi siedzą ludzie, którzy cię widzieli, a kiedy rodzina w Polsce dyskutuje przy obiedzie o złu, o *małych, nikczemnych, złych ludziach*, ma na to słowo, tak właśnie, w Polsce mają na to słowo, mówią po prostu JARLE: - JARLE - mówi ojciec do dzieci i wszystkie rozumieją, co ma na myśli. - Nie wolno tak robić - mówi. - To JARLE^[19] tak robić - mówi ojciec, a dzieci w przerażeniu wywracają oczy, matka wzdryga się, bo znów jest mowa o JARLE, a ty wiesz tak dobrze, wijąc się w pościeli, tak dobrze wiesz, że Polacy mają rację, Polacy mają rację, to JARLE tak robić, wiesz o tym i nie możesz od siebie uciec; jak miałyby ci się to udać? Teraz? Teraz, kiedy cały świat wie, kim jesteś i co zrobiłeś, jak mały, niegodny i zły jesteś, teraz, gdy trafisz do encyklopedii i podręczników historii jako przykład tego, jak nie należy żyć? Jak teraz chcesz uciec? Bo oni zawsze mają rację - Polacy, Rosjanie, Amerykanie, Argentyńczycy, Chińczycy, którzy w swoich językach mówią to samo, *to JARLE tak robić*. Jak możesz uciec? Kiedy świat wreszcie ma coś, co jednoczy ludzi w różnych krajach, precyzyjne uczucie rozpoznawane przez wszystkie nacje, we wszystkich kulturach, coś, co określi zarówno Włoch, jak i mieszkańiec RPA, to *zachowanie JARLE*, jak możesz więc uciec? A poza tym - ono właśnie jednoczy cały świat, umacnia wspólnotę, lecz odtrąca jedną, jedyną rzecz, ciebie samego.

Teraz jesteś sam.

Tam jest świat.

A ty jesteś sam.

Jest zimno. To surowy świat. Jesteś zły w dobrym świecie. To ty czynisz życie okrutnym. Jesteś ucieleśnieniem zła, małostkowości, okrucieństwa i zaraziłeś się AIDS. Jesteś

sam. I musisz z tym żyć. Świat jest piękny. Ty jesteś zły, bo jesteś JARLE.

Przesada?

Zupełnie nie. Tak właśnie jest.

Jesteś kłamcą, Jarle Kleppie. Jesteś złym człowiekiem, Jarle Kleppie. Wstydz się, Jarle Kleppie. Nigdy więcej nie zaznasz spokoju.

^[19] Autor używa w tym fragmencie imienia „JARLE” jako przysłówka albo rzeczownika [przyp. tłum.].

Może prześpimy się ze sobą ostatni raz?

I came to disappear

R.E.M.

Nikt nie odebrał telefonu. Cały poniedziałek przesiedziałem z mamą w domu. Na dworze padało, unosiła się mgła i wiał wiatr. Piliśmy herbatę, rozmawialiśmy, oboje chorzy, a ja usiłowałem odsuwać od siebie kaca moralnego, stając się synkiem mamusi, kryjąc się przed światem w jej trosce. Próbowałem podnieść się na duchu, powtarzałem sobie, że na pewno nie mam AIDS, oczywiście że nie, nie muszę się badać, próbowałem też myśleć jasno, aby móc wyjść na korytarz, do telefonu, i wybrać numer Yngvego.

Wieczorem stałem ze słuchawką przy policzku. Nikt nie odbierał. Ani o ósmej, ani o dziewiątej, o wpół do dziesiątej, za kwadrans dziesiąta, o dziesiątej. Nic nie może być bardziej ponure. Sygnał zajętości potrafi irytować, ale niepodnoszenie słuchawki wcale nie pomaga rozgorączkowanemu człowiekowi pełnemu wyrzutów sumienia. Od razu można zacząć się obwiniać: Co zrobiłem nie tak? Dlaczego nie odbierają?

Przez ten tydzień każdego popołudnia Helge przynosił mi lekcje. Nie rozchorował się po pijatyce, nie zniechęcił się. Wręcz przeciwnie, wydawał się radosny i beztroski.

- Olej to - powiedział. - Jakoś to załatwimy. Wyszło dennie, ale olej to. Między nami jest okej, Jalla, wiesz przecież. Zespół też ma się dobrze. Jakoś się ułoży.

- No - odparłem i zaznaczyłem coś w podręczniku do norweskiego. Mieliśmy przeczytać sagę islandzką. - No tak, pewnie się ułoży. - Odkaslnąłem, wydmuchałem nos i rzuciłem kolejną chusteczkę na podłogę przy łóżku.

- Kurde, nie za dobrze z tobą - stwierdził.

- Ty za to jesteś cholernie nakręcony - przyznałem. Naprawdę był. Cieszył się nieludzko dobrą formą i zdrowiem.

- Wiesz, ja wytrzymam wszystko. Trzeba więcej niż trochę piwa, wódki, trawy i pigułek antykoncepcyjnych, żeby mnie złamać.

- Ale... a co z Katrine?

Helge spuścił wzrok.

- Jak ona się ma?

- Nie, no wiesz...

- Nie, nie wiem, Helge. Powinienem do niej zadzwonić?

- Nie... może jeszcze nie.

- Zła jest?

Nic nie powiedział.

- Co? Jest zła? Tak?

Skinął głową, po czym wyjął i dał mi kasetę.

- Nagrałem dla ciebie - powiedział. - Velvet i Iggy. *Loaded* i *Lust for life*. Zajebiste. Żebyś miał czego słuchać podczas choroby.

- Dziękuję. Ale... - zawahałem się. Jak miałem o to zapytać? Musiałem przecież się dowiedzieć. - Ale... a Yngve, to znaczy, czy... widziałeś go może?

Pokręcił głową.

- Nie, nie wiem, chyba go nie ma.

Tak myślałem. Znowu był chory.

Przed położeniem się spać próbowałem przejrzeć lekcje. Bezskutecznie. Włączyłem Velvet Underground i pozwoliłem „Who loves the sun” wypełnić pokój. Co teraz? Yngve nie odbierał telefonu i najwidoczniej był chory. Katrine nie chciała ze mną rozmawiać. Co teraz? Mam napisać listy? Może tak będzie najlepiej? Jeden do Yngvego, drugi do Katrine, gdzie wyjaśniłbym, jak się sprawy mają?

A jak się sprawy mają?

Jarle, jak się masz?

Zasnąłem.

Następnego dnia obudziłem się późno. Słyszałem dobiegające z salonu głosy i poczułem zapach Pall Malli. Ragnhild znowu odwiedzała mamę. W głowie słyszałem słowa taty: „Zaczyna się” i wkurzyłem się, gdy spostrzegłem, że znów myślę jego głową, naprawdę sędzę, że „się zaczęło”. Jakie to małostkowe. Wiem, co to. To zazdrość. Nie potrafiłem znieść myśli, że mama potrzebuje kogoś poza mną. Po prostu. Kiedy już raz człowiek znajdzie się w okresie, gdy na wierzch wychodzą jego złe cechy, często pojawiają się kolejne.

- Cześć, Jarle, fajnie cię widzieć - przywitała się Ragnhild, gdy zszedłem na dół po prysznicu. - Też jesteś chory?

Palila, siedząc w fotelu. Mama zajmowała miejsce na kanapie, jak ostatnio. Pewnie opowiedziała, co się stało, ale nie miałem pewności, że Ragnhild ot tak kupiła moją wizję soboty. Wręcz przeciwnie, Ragnhild należała do kobiet, które myślały odwrotnie niż mama i podczas gdy mama chciała mi wierzyć, zawsze gotowa sądzić, że mówię prawdę, Ragnhild

przyjmowała przeciwną pozycję - zawsze jest gorzej niż chłopak mówi. Nie miała złudzeń, jeśli chodzi o dorastające pokolenie.

- No, słabo tu u nas - powiedziałem. - Mamy coś do jedzenia?

Mama skinęła głową. Poszedłem do lodówki.

Z kuchni widziałem, jak Ragnhild pochyla się w stronę mamy i chwyta jej rękę. Nic do siebie nie mówiły. Obie miały łzy w oczach, jednak w przeciwieństwie do poprzednich odwiedzin przyjaciółki, kiedy mama leżała na deskach, drżąc nerwowo z kubkiem kawy w dłoniach, tego dnia wyglądała na silniejszą. Przygotowywałem sobie śniadanie, a stojąc, zwrócony do nich plecami, rozpoznawałem uczucie silnej kobiecej więzi, w której nie mogłem uczestniczyć.

Ragnhild wyszła na korytarz. Mama ruszyła za nią.

- Zrobisz to? - zapytała przyjaciółka.

- Tak.

- Nie ma się czego bać. Wiesz przecież. To żaden wstyd. Słyszysz?

- Tak.

Gdy wszedłem do salonu, widziałem, że coś jest na rzeczy. Mama jakby na mnie czekała. Postawiłem spodek i szklanę z mlekiem na stole i spojrzałem na nią. Tak? O co chodzi? Powiedz, mamo.

- Skończył się papier toaletowy - odezwałem się i odgryzłem kawałek kanapki.

Mama skinęła głową. Spojrzałem na nią. No powiedz to, mamo.

Zrobiła to kwadrans później.

- Jarle, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Nic gorszego?

- Jasne.

- Potrzebuję wsparcia w jednej sprawie - powiedziała.

Nic gorszego?

Jeśli czegoś pragnąłem, to kogoś wesprzeć, nic nie mogło bardziej pomóc mojemu zszarpanemu sumieniu grzesznika, niemocy i żalosemu samopoczuciu.

- Jasne, mamo - powtórzyłem. - W czym?

Wtedy zaczęła płakać. Znów spuściła wzrok i cicho szlochała, siedząc przede mną na kanapie. Ostrożnie łkała, jej pierś unosiła się i opadała, kąciaki oczu powędrowały w dół, a przed każdym z trudem przychodzącym jej wdechem pociągała nosem.

- Ale mamo, o co chodzi?

- Potrzebuję pomocy, Jarle - wyrzuciła z siebie.

- Tak, jestem tutaj, o co chodzi?

- Musisz ze mną pójść - powiedziała.

- Tak, ale o co chodzi, dokąd mam z tobą pójść?

- Do urzędu pracy.

- No... to aż takie straszne? - wymknęło mi się. - To przez to płaczesz? Że masz iść do urzędu pracy?

Mama otworzyła oczy i gapiła się na mnie przez łzy. Nie była już smutna. Patrzyła na mnie surowo. Co jest? Co znów zrobiłem? Wstała i stanęła przede mną.

- Tak, Jarle - powiedziała ze złością. - To przez to twoja matka płacze. Bo jutro ma iść do urzędu pracy. Dlatego chciałaby, żebyś jej towarzyszył.

Wtedy nagle wypadła na korytarz i narzuciła na siebie ubrania. Wołałem ją, gorączkowo szukając w głowie odrobiny zrozumienia, które pozwoliłoby mi pojąć, co się właśnie stało, ale ona już wyszła, a ja zostałem z kromką chleba w dłoni i pustką w głowie.

Co?

Urząd pracy?

Co takiego się dzieje?

Dystans dzielący moje rozumowanie od wydarzeń świata zawsze był nierówny, jednak chyba nigdy nie stał się tak potężny jak w czasie, gdy miałem siedemnaście lat, gdyż podobnie jak wielu innych siedemnastolatków cierpiałem na chorobę zwaną *pewnością*. Oczywiście zdarzało mi się wątpić w samego siebie, zwłaszcza w ostatnich dniach, kiedy w moich uczuciach zapanował całkowity chaos, jednak nigdy nie wątpiłem w słuszność swoich przekonań. Choroba zwana *pewnością* charakteryzuje się tym, iż dotknięta nią osoba uważa, że *wie wszystko*, rozumie wszystko, ma na wszystko odpowiedź. W rzeczywistości jednak wie bardzo mało, lecz siła jej blasku dobrze ukrywa chorobę. W końcu to wśród siedemnastolatków można znaleźć największych fanatyków. Hitlerjugend, podpalaczy kościołów, neonazistów, członków fanklubów. Niektórzy nigdy nie zdrowieją, przez co siedemnastoletnią naturę można odkryć u wielu czterdziestolatków, najczęściej mężczyzn. To niemiła myśl, gdyż albo z przyczyn biologicznych, albo z powodu dziedzictwa kulturowego faktem zdaje się zasada, że mężczyźni są bardziej podatni na *pewność* od kobiet. Kobiety z kolei często zapadają na chorobę zwaną *zwątpieniem*, która każe im godzinami zastanawiać się, czy kupić tę sukienkę, czy inną. Nie jestem pewien, kto najlepiej na tym wychodzi. Mogę wypowiedzieć się jedynie o schorzeniu zwanym *pewnością*. Na ową diabelską *pewność* byłem śmiertelnie chory w wieku siedemnastu lat. To jedna z gaf przyrody, że coś tak niedoświadczonego, młodego i targanego hormonami jak siedemnastoletni chłopak może

cierpieć na tę chorobę. Niemal tak samo durne jest to, że lata czysto fizycznej, seksualnej świetności mężczyzny przypadają na okres między czternastym a dwudziestym rokiem życia, z absolutnym szczytem formy w wieku lat siedemnastu. Z całą pewnością twierdzą, że dużo więcej szczęścia mają kobiety, które osiągają ponoć optimum swoich możliwości po trzydziestce. Człowiek posiada już wtedy doświadczenie pozwalające mu opanować dopadające go podniecenie, w tym wieku wiadomo już, na czym wszystko polega, często wspaniałe może być wrażenie przeżywania tak zwanej drugiej młodości, a napalone trzydziestolatki przypuszczalnie czują też, że są mądrzejsze. Siedemnastoletni chłopiec tego nie odczuwa. Jest głupi. Młody. Nie ma pojęcia, co zrobić ze swoimi doznaniem, jednak nie ma wątpliwości, że *czegoś doznaje*, bez wątpienia, bo musi się *pieprzyć. Teraz*. Człowieka skonstruowano w żaloszny sposób. Nigdy nie pojmowałem bezmysłnego zachwytu nad człowiekiem, przywoływanego od czasu do czasu przez chrześcijan. Drzewo jarzębiny tworzyłoby lepszą istotę od człowieka, a jedną z pierwszych cech, jakie bym mu przypisał, to popęd seksualny dostosowany do wieku i płci. Kolejna rzecz, o jaką bym poprosił, to mniej pewności wśród siedemnastolatków, żebym ja sam wraz z innymi nie musiał się zastanawiać: *Co, urząd pracy? Co takiego się dzieje?*

Działo się to, że mama zaczęła pojmować, w jakim okresie straciła pracę. W branży biurowej bezrobocie podwoiło się w ciągu zaledwie dwóch lat, między rokiem 1988 a 1990, najmocniej zaś wzrósł poziom bezrobocia długoterminowego. Pracy biurowej nie można było znaleźć od ręki, bo liczba niezatrudnionych wzrosła dwukrotnie, a jednocześnie liczba wolnych stanowisk w tym samym czasie zmniejszyła się o połowę. Mama straciła pracę w najgorszym czasie. W roku 1990 zawsze dostępnych było średnio 279 wolnych posad w jej branży, a starało się o nie przeciętnie 2700 osób. Wtedy nie widzieliśmy, że socjaldemokracja pękła, że rządzić nami zaczął turbokapitalizm, że lata osiemdziesiąte, czasy yuppie i kryzys bankowy złamały społeczne ramy. A komu najtrudniej było to dostrzec? Chronionej klasie średniej, na przykład kobiecie po czterdziestce, jak moja matka, przyzwyczajonej do postrzegania bezrobocia jako efektu własnych poczynań. Kobiecie jak ona, która nie potrafiła zdać sobie sprawy, że zatrudnienie w Norwegii podlega bezwzględnym siłom rynku. Paradoksalnie mama nigdy nie głosowała na socjaldemokartów czy też *socjalistów*, jak mawiał tata, gdy był trzeźwy, bądź *komunistów*, jak mawiał po pijaku - zawsze polegała na porządnych, odpowiedzialnych siłach Prawicy. Oni się nami zajmą. Będą o nas dbać. Teraz jednak rzeczywistość okazała się inna: w roku 1990 Urząd Pracy w rejonie Rogaland odnotował 537 wolnych stanowisk i 7900 poszukujących pracy. Do tego osoby niezarejestrowane. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Właśnie to Ragnhild wpajała mamie

przez ostatnie dni, próbując wypłenić z niej przekonanie, że to ona popełniła błąd, że w pracy dobrze się do niej odnoszono, że Bærheim i reszta naprawdę się nią przejmowali, że załatwią jej nową posadę w West-Consult, jeśli nie będą mogli ponownie jej przyjąć, że wszystko będzie dobrze. Ragnhild powiedziała, jak było - że wyrzucono ją na ziąb, że nie wróci tam, że nadszedł czas, aby walczyć.

Co, urząd pracy?

O co chodziło?

Jarle, lat siedemnaście, czy nie rozumiesz, o co chodzi, kiedy tak siedzisz i wkładasz kanapkę do ust, otępiały i pełen smarków, czując, jak jedzenie przesuwa się przez obolałe gardło, krzywisz się, wyglądając przez okno i rozmyślając, co takiego mama robi sama we mgle?

Nie, nie rozumiesz. Oto siedzi tu młody chłopak, który nie rozumie swojej matki. Nie rozumie wstydu, obawy i strachu, z którymi wyszła we mgłę. Nie rozumie, dlaczego tak nagle wybuchła płaczem. Myślał, że to coś poważnego, może coś z babcią, z jej zdrowiem, że będzie musiał pójść z nią do szpitala, ale nie do urzędu pracy, co w tym takiego złego?

Wstyd. Strach, wstyd i obawa. Mówi się, że w Norwegii nie ma klas, skąd jednak pochodzi strach przed zdeklasowaniem? Bo to właśnie on dopadł tak mocno mamę w roku 1990, to on szargał ją na strzępy, to on ją deptał, ta okrutna myśl, że znajdzie się w urzędzie pracy i będzie taka, jak *oni*. Ludzie, z którymi nigdy się nie porównywała, z którymi w najodważniejszych myślach nie połączyłaby swojej osoby - Murzyni, biedacy, alkoholicy, narkomani, ludzie, którzy nie radzili sobie w życiu. Taka jest logika klasy średniej, logika osób chronionych, która wszędzie mocno się przebija - nie możemy stać się tacy jak oni. Biedni dążą w górę, aby stać się częścią burżuazji, może pewnego dnia zyskać fortunę i kto wie, w petrokraju pełnym nowobogackich może im się uda? Jest nadzieja, prawda?

Po raz kolejny przeżyłem coś, co bez problemu zrozumiałbym, gdyby przedstawiono mi to w artykule prasowym. W prawdziwym życiu byłem zbyt głupi, by to pojąć. Gdybym o tym przeczytał albo usłyszał od Helgego, z miejsca bym załapał. Teraz jednak zastanawiałem się, co takiego *się dzieje*.

A gdybym wiedział, co się dzieje, w momencie gdy nawet nie zdziwiło mnie, że coś się stało?

Tomasz Mann napisał gdzieś, że można brać udział w historii, w ogóle jej nie rozumiejąc. Miał rację. Ludzie, którzy twierdzą, że mają oczy dookoła głowy, rzadko zastanawiają się, czego nie widzą bez oczu na biodrach.

Przeglądałem wczorajszą gazetę. „Moskwa wstrzymuje oddech” - brzmiał nagłówek

na pierwszej stronie. Komitet Centralny partii komunistycznej przez dwa dni odbywał „jedno z najważniejszych zebrań w historii”. Właśnie decydowały się losy walki między siłami radykalnymi i konserwatywnymi, sporną kwestią był paragraf o monopolu władzy, to, czy partia miała dalej rządzić samodzielnie, czy w Związku Radzieckim należało wprowadzić wielopartyjność. Ponad pół miliona ludzi zebrało się w Moskwie, by wziąć udział w demonstracji na rzecz demokracji, największy tłum od czasów rewolucji w 1917.

„Ja pierdolę - pomyślałem podczas czytania »Stavanger Aftenblad «. - Czyżby Związek Radziecki miał się rozpaść? Tak po prostu? To takie łatwe?” W przeciwieństwie do Helgego darzyłem sympatią Gorbaczowa, ale czy to nie zaszło już trochę za daleko?

Niedługo później wróciła mama, mokra od deszczu. Nadal przypominałem znak zapytania, nadal rozumiałem jedynie tyle, że „Co, urząd pracy?” nie było z mojej strony najmądrzejszą odpowiedzią.

Odwiesiła płaszcz w korytarzu i weszła. Ustawiła na pufie przed sobą paczkę papieru toaletowego.

- Przepraszam, Jarle. Wielu rzeczy nie możesz zrozumieć.

- Tak? - odparłem słabo, po czym odkaszlnąłem.

- Chcę tylko, żebyś jutro poszedł ze mną do urzędu pracy. Żebyś po prostu tam był.

Okej? Tylko mnie odprowadź. To dla mnie trudne.

- No, ale mogłaś tak powiedzieć od razu!

- Nie jesteś zbyt chory?

- Nie - powiedziałem ze śmiechem.

Mama też się zaśmiała.

To samo wydarzyło się we wtorkowe popołudnie. Helge wpadł z lekcjami, w znakomitym humorze, jeszcze lepszym niż poprzedniego dnia, i powtórzył, że powinienem trzymać się z dala od Katrine, a Yngvego nie było w szkole. Patrzyłem na niego, gdy stał przed moją kolekcją płyt, z której wydobył *Beggars Banquet* Stonesów. „Jak możesz się tak cieszyć?” - pomyślałem.

- A jak tam twoja matka? - zapytał Helge.

- Idzie jutro do urzędu pracy.

- Dobrze. Poradzi sobie?

- Jak to, czy sobie poradzi?

Później słuchaliśmy *Beggars Banquet*, kiwaliśmy do siebie głowami, podczas gdy genialne piosenki wydobywały się z głośników, i paliliśmy Marlboro. W ogóle nie czułem dymu, ale było dobrze. Byłem z Helgem. Słuchaliśmy Stonesów, paląc Marlboro.

Nikt nie odbierał. Kiedy Helge wyszedł, dzwoniłem do Yngvego, kilka razy, ale nikt nie odbierał telefonu. „To cała rodzina jest teraz chora?” - pomyślałem.

- Mamo, mamy jakieś książki o Egipcie?

Wyobraziłem go sobie. Jego miłe oczy, uśmiech ściągniętych w dół kącików ust, spokojne ciało siedzące przede mną na łóżku, żwawe ciało grające w tenisa, jego ciało pod prysznicem. Jego głos, proste zdania.

Mama wstała z kanapy, gdzie czytała powieść Grahama Greene ‘a. Podeszła do półki z książkami.

- O Egipcie? Dlaczego?

- Nie no, po prostu... zajmujemy się tym w szkole.

Jego energiczne spojrzenie, gdy opowiadał o piramidzie Cheopsa. Spokojne ciało siedzące przede mną na łóżku, pełne tęsknoty za dawną, obcą kulturą.

- Nie, mamy oczywiście leksykon, ale żadnych książek tylko o Egipcie - powiedziała mama.

- Okej, w porządku - odparłem.

- Nie kładź się dzisiaj tak późno - ostrzegła. - Musimy jutro wcześniej wstać. W urzędzie pracy może nam zejść trochę czasu. Pewnie będzie kolejka.

Siedziała z papierami rozłożonymi przed sobą. Dokumentacja dochodów z trzech ostatnich lat, umowy o pracę, karty podatkowe.

- Poradzisz sobie? - zapytała. - Ech, że też muszę cię w to wciągać, kiedy jesteś chory.

- Oczywiście, że sobie poradzę. - Odkaslnąłem.

Zadzwoił telefon. Ścisnęło mnie w żołądku, mama i ja wstaliśmy jednocześnie.

- Ja odbiorę - powiedziałem prędko. - To pewnie Helge, muszę z nim coś uzgodnić.

Pobiegłem do korytarza: Yngve. *Teraz dzwoni. Oczywiście, że to on dzwoni.* Zamknąłem za sobą drzwi i chwyciłem słuchawkę.

- Halo, mówi Jarle.

- Jarle, tu tata.

Wystraszyłem się. Tata. Znowu zaczniesz wydzwaniać? Od bardzo dawna nie odważył się tego robić, jednak moja wizyta u niego poprzedniego tygodnia chyba skłoniła go do wykorzystania szansy. To ja miałem do niego telefonować, taka była umowa, którą on teraz naruszył. Na szczęście to nie mama podniosła słuchawkę.

- Tak... cześć - odpowiedziałem, rozczarowany, że to nie Yngve.

- Chciałem tak po prostu zadzwonić. Tyle o was myślałem - powiedział z troską w głosie. - Jak tam mama?

- No - zacząłem. Z całych sił pragnąłem zakończyć tę rozmowę. - Chyba w porządku.

Jutro idzie do urzędu pracy.

- Dobrze - odparł tata.

- Tak.

- A ty? Uporządkowałeś już sprawy z... no, dziewczyną i Helgem?

- Tak, tak, już się ułożyło.

Po drugiej stronie zapadła cisza, po czym tata znów się odezwał.

- To co, wpadniesz do mnie w weekend?

- No.

- Dobrze, cieszę się - powiedział zuchwałym tonem, czym pokazał, że ma przewagę. -

To pozdrów mamę.

- Tak - odpowiedziałem i już miałem ostrzec go, żeby tak nie dzwonił, że to ja miałem odzywać się pierwszy, ale on zdążył się pożegnać i odłożyć słuchawkę.

Poszedłem do mamy.

- Kto to był?

- Katrine - odparłem i uścisnąłem ją. Później zjedliśmy razem kolację. Niewiele do siebie mówiliśmy, czasem tylko niepewnie się uśmiechaliśmy, przeczuwając, co ma się wydarzyć. Próbowałem wyrzucić z głowy myśl o tacie.

Tuż po wpół do jedenastej telefon znów zadzwonił. W obawie, że to tata chce coś jeszcze powiedzieć, i z wątlą nadzieją, że Yngve nadal może się odezwać, wstałem i poszedłem na korytarz.

- To pewnie znów Katrine - skłamałem, po czym zamknąłem za sobą drzwi.

Podniosłem słuchawkę.

- Tak, halo?

- Czy zastałem Jarlego Kleppa? - Chłodny męski głos.

- Tak, przy telefonie.

- Mówi Arne Torkildsen.

Zdziwiłem się. Arne Torkildsen? Znam jakiegoś Arnego Torkildsena?

- Tak?

- Mam dla ciebie rachunek - powiedział męski głos, nadal tak samo zimny i rzeczowy.

- Rachunek, dla mnie?

- Wybite okno, obicie sufitu w oplu, skórzane siedzenie, zniszczona łazienka - wymienił.

Nastała cisza. O, kurwa. Ojciec Tronda.

- To... - zacząłem, a myśli wirowały mi w głowie w poszukiwaniu wymówki, którą mógłbym się zasłonić. - To...

- Tak?

Poddałem się.

- Tak - powiedziałem. - Przepraszam. Na ile opiewa? Ten rachunek.

- Kwota została zaokrąglona w dół do dwudziestu tysięcy.

Ciężko przełknąłem ślinę. Dwadzieścia tysięcy koron.

- Czy mogę zapytać, jak doszedł pan do tego, że to ja mam zapłacić? - zapytałem i odkaszlnąłem.

- Nie. To nieistotne. Będziesz protestował?

- Nie - odparłem bezradnie. - Nie, nie będę.

- Pewnie zechcesz się z kimś podzielić tym rachunkiem - stwierdził sucho.

Nie odpowiedziałem.

- I zakładam, że już was u nas nie zobaczymy? Dobrze?

- Tak - zgodziłem się łagodnym tonem.

- W takim razie poproszę tylko o twój adres zamieszkania - powiedział.

Podąłem mu go.

- Mam nadzieję, że przemyślisz swoje postępowanie - dodał Torkildsen.

- A ja mam nadzieję, że pan przemyśli sytuację swojego syna - powiedziałem spokojnie.

- Co?

- Słyszał pan, mam nadzieję, że przemyśli pan sytuację swojego syna, sytuację społeczeństwa, w jakim pan żyje, i to, jakim pan jest cholernym krwiopijcą.

Odłożył słuchawkę.

- Kto dzwonił? - zapytała mama.

- Tylko Helge - odpowiedziałem.

Dwadzieścia tysięcy. Okej. Dwadzieścia tysięcy podzielone na trzy, prawie siedem na każdego z nas, Runego, Helgego i mnie, jeśli by dzielić po równo, chociaż to Helge zniszczył najwięcej. Siedem tysięcy. Skąd, kurna, wezmę siedem tysiaków? Nie powiem o tym mamie, więc jak, do diabła, skombinuję siedem kawałków?

Tylko w jednym miejscu mogłem zdobyć siedem tysięcy.

U taty. „To będzie mój projekt na weekend - pomyślałem. - Muszę zarobić siedem tysięcy. W jeden weekend”.

Zadzwoiłem do Helgego i opowiedziałem mu, co się stało, nie ukrywałem też, że

obciążam go winą za większość szkód.

- Mam to w dupie - powiedział. - Zasłużyli na to.

- Boże - odparłem. - Srasz kasą?

- Nie. Ale to było, kurwa, tego warte.

Poszedłem do salonu, gdzie życzyłem mamie dobrej nocy.

- Obudzę cię jutro - powiedziała.

Minęło trochę czasu, zanim zasnąłem. Moja głowa pełna była pogmatwanych myśli, a przy tym ciasna jak schron bombowy. Gdzie jest Yngve? Jak potoczą się losy zespołu? Do tego Katrine, muszę uporządkować tę sprawę. I mama, która ma iść do urzędu pracy, tata, od którego muszę zdobyć pieniądze. Zaaplikowałem sobie spray do nosa, bez skutku, i wierciłem się w pościeli.

Główny Urząd Pracy w Stavanger znajdował się tam gdzie obecnie, na rogu przy Sverdrupsgate 27, na wzgórzu rozciągającym się od Sali Koncertowej w stronę ulicy Tanke Svilanda. Zaledwie parę minut pieszo od domu mamy. Urząd pracy w zasadzie z nami sąsiadował.

Mama krzątała się już na całego, kiedy następnego ranka zszedłem do kuchni. Nakryła do śniadania, na stole postawiła dzbanek świeżo zaparzonej herbaty, pokrojony chleb, składniki do kanapek, jajecznicę, świeczki, położyła obrus. Była rozpromieniona i ładnie ubrana, miała świeżo umyte włosy.

Co jest grane?

- Dzień dobry, zjesz grzanki?

- Tak, poproszę.

Jeżeli nie bezpośrednio mądry po szkodzie, to przynajmniej z ostrożności wolałem nic nie mówić, jednak za dziwny uważałem widok, jaki przed sobą miałem - mamę, która poprzedniego dnia była załamana, a teraz kręciła się po kuchni, jakby ktoś miał urodziny.

- No, to kiedy idziemy? - zapytałem, bo wieczorem mówiliśmy, żeby wyjść wcześniej.

- A, pójdziemy, jak będziemy gotowi, nie ma pośpiechu.

Zrobiłem sobie kanapkę z szynką i jajecznicą.

- Ale nie wypadałoby stawić się wcześniej?

- Będzie dobrze, Jarle - uspokoiła mnie mama i nalała mi herbaty. - Mamy dużo czasu.

Dobrze spałeś? Trochę dzisiaj lepiej? Wyglądasz nieco lepiej.

- Aha.

Mama włączyła radio. Nadawano wiadomości. Zbliżał się tryumf Gorbaczowa w ZSRR i kres monopolu władzy partii. Mama skinęła głową, słysząc te wieści. Popierała

Gorbiego. Nie skupiałem się na wiadomościach, tylko patrzyłem na mamę, próbując zrozumieć, co się z nią dzieje. Od czasu do czasu uśmiechała się, podawała mi składniki do kanapek i tosty, słuchała uważnie, uważniej niż zwykle, zapamiętywała każde wypowiedziane przez spikera zdanie, kiwała głową, mówiła „mhm” i „tak”, kiedy się z czymś zgadzała, wywracała oczy, gdy wiadomości ją martwiły, na przykład o starszych ludziach, którzy czuli się zdradzeni przez polityków i kierowali ostrą krytykę w stronę władz w związku z niegodną, ich zdaniem, sytuacją w opiece społecznej dla osób starszych. Jedyny raz, kiedy podczas serwisu wiadomości mama nie była skoncentrowana, miał miejsce, gdy mówiono o tymczasowych zwolnieniach w dużej firmie - wtedy spostrzegłem, jak na sekundę odwraca oczy, w których błysk na powrót pojawił się podczas prognozy pogody: więcej wiatru, więcej deszczu.

- Jeszcze kromkę?

- Nie, wystarczy już - odpowiedziałem. - Tak, to ja tylko pójdę się ubrać.

Zerknąłem na zegar. Było po dziewiątej. Otwarto urząd pracy.

- Jesteś gotowa? - zapytałem.

- A, ja. O tak - powiedziała mama, jakby było to najnaturalniejsze w świecie, jakby robiła to codziennie.

Udaliśmy się w górę ulicą Christena Tranego. Mama komentowała pogodę, to, jak jest zimno i nieprzyjemnie, uśmiechała się, mówiąc, że fajnie jest mieć mnie w domu. Nic nie odpowiadałem, po prostu szedłem tam z mamą, która w torebce niosła swoje papiery, włożyła ładny płaszcz, pomalowała usta szminką, uczesała włosy i chroniła je teraz przed wiatrem. Gdy dotarliśmy na róg Sverdrupsgate i zobaczyliśmy budynek, powiedziała:

- Tak, to przecież tu.

Urząd pracy nie wyglądał groźnie, miał kształt nieforemnego klocka, był jedynie nieprecyzyjnym kawałkiem srebrnoszarej architektury na szarej ulicy.

- Tak. Pewnie musimy tu wejść - powiedziała mama i zwróciła się do wejścia. - To pewnie na górze, tak, tam w środku, musimy wziąć kwit kolejkowy, o tak, a potem poczekać, żeby wejść, tak właśnie jest, mam też przy sobie potrzebne papiery, prawda?

Nagle mama zaczęła mówić bez przerwy, zatrzymała się przed wejściem, w środku gwałtownego, nerwowego potoku słów, i zaczęła grzebać w swojej torebce, wyjęła dużą kopertę formatu A 4 ze wszystkimi papierami, które teraz prędko przeglądała, podczas gdy oboje staliśmy pod wejściem do urzędu pracy. Nie zaglądała do środka i nie widziała tego, co ja dostrzegałem za szklanymi drzwiami, mówiła tylko, przerzucając dokumenty: - Tak, po prostu tu wejdziemy, weźmiemy kwit kolejkowy, mam ze sobą wszystkie papiery, informacje

podatkowe... czy nie mam... tak, tu jest, no więc tylko tu wejdziemy, a potem weźmiemy numerki, będziemy może musieli trochę poczekać, może jest kolejka...

Zajrzałem za szklane drzwi. Nie wyglądało to dobrze.

- Mamo - powiedziałem, czym próbowałem powstrzymać wywołany paniką słowotok.

- Mamo... teraz wchodzimy. Będzie dobrze.

Spojrzała na mnie.

- Pewnie, że będzie dobrze!

Otworzyłem drzwi, a teraz mama ujrzała to co ja - Główny Urząd Pracy w Stavanger w śróde, w lutym 1990 roku. Pośrodku stało kilka kanap, a za nimi, pod ścianami, rozdzielone przepierzeniami boksy, w których urzędnicy obsługiwali poszukujących pracy. Pomieszczenie wypełniali ludzie, pewnie 50-60 bezrobotnych, stojących lub siedzących w poniżającej kolejce, większość wyglądała bezradnie, miała wymalowane na twarzach to samo odarcie z godności, brak pewności siebie i narastającą irytację - ludzie młodzi, starzy, w średnim wieku, o nerwowych dłoniach, niepotrafiący robić niczego innego poza trzymaniem plastikowego kubeczka z kawą, bezmyślnym przerzucaniem własnych dokumentów, ludzie o zmieniających pozycję stopach, niespokojnie przemierzających podłogę, rozbieganych spojrzeniach, zębach zagryzających wargi. Na ścianach wisiały tablice ogłoszeń z bardzo nielicznymi ofertami pracy i bardzo licznymi ofertami kursów: szkolenia dla poszukujących pracy, doszkalanie zawodowe, informatyka, edycja tekstu, arkusz kalkulacyjny.

- Oj - odezwała się mama. - Może wrócimy kiedy indziej?

Odwróciłem się do niej.

- Mamo, weź numerki.

- Tak, tak będzie chyba najlepiej.

Czas oczekiwania okazał się długi. Przez ponad dwie godziny siedzieliśmy w dobijającej ciszy, w pomieszczeniu, w którym próbuje się uniknąć wzroku innych, jak w gigantycznej windzie, gdzie nienaturalna wydaje się rozmowa, gdzie trzeba czekać. Gdy czeka się na swoją kolej w urzędzie pracy, nie można tak po prostu wyjąć dobrej powieści i się zrelaksować. Obserwowałem ludzi wokół mnie, czekających i stale wchodzących przez drzwi. Był to mylący widok. Wszystko łatwiej byłoby umiejscowić i wytłumaczyć, gdyby ci ludzie wyglądali na bezrobotnych, gdyby wyglądali tak, jak bezrobotni *powinni wyglądać* - pożółkłe od papierosów palce, sine wory pod oczami, niechlujne, biedne, znoszone ubrania wiszące na zmęczonych ludziach, jasny akcent biedy, wyraźny znak klasy, umiejscawiający ich tam, gdzie było ich miejsce - pod nami. Rzeczywistość była jednak inna. Nie tylko mama, w swoich ładnie uczesanych włosach, w pięknym płaszczu, zdawała się tu nie pasować,

zgodnie z mieszczańską mitologią mówiącą o tym, kto powinien odwiedzać urząd pracy - wręcz przeciwnie, większość otaczających nas osób była podobna do niej, pochodziła z jej klasy społecznej i siedziała tu z takim samym zdziwieniem, tym samym zdumionym wzrokiem, przez co cały ten seans stawał się dziwnym przeżyciem - grupa zebranych w jednym miejscu osób, rzucających sobie ukradkowe spojrzenia, które mówiły: „Czy mamy tu być? Czy to tu mamy się spotykać, my, którzy zwykli jesteśmy widywać się w teatrze, w restauracjach, w sobotnie przedpołudnie mijać się na parkingu pod jednym z lepszych sklepów spożywczych - czy mamy się tu spotykać?”.

Wokół nas siedziało więcej osób ubranych w garnitury i trzymających w rękach nesesery niż ludzi ze skrętami i plastikowymi siatkami i nawet ja, siedemnastolatek nieobeznany w rzeczywistym świecie, miałem poczucie nierealności: „Czy ktoś tu robi nas w konia?”. Czulem, jakbym tylko czekał, aż zaczną się rozbierać, nagle zdemaskują żart, pokażą znoszone dzinsy i sprane swetry schowane pod ładnym strojem - tak tak, to tylko zgryw. „I gdzie ci wszyscy cudzoziemcy” - pomyślałem niechętnie. Ja, który nosiłem przypinkę *Nie dręcz mojego kolegi*, zastanawiałem się, gdzie są wszyscy czarni, aż w końcu zobaczyłem jednego z nich, wszedł do środka, rozejrzał się zdezorientowany, by po chwili pojąć to, czego ja nie rozumiałem - podobni jemu uchodźcy mieli zgłaszać się w piwnicy. Gdyby był tam Helge, prędko przeanalizowałby sytuację, umiejscowił ją w kontekście politycznym, wyjaśnił wszystkim, co się dzieje, stwierdził, że taką cenę nasze społeczeństwo musi zapłacić za kapitalizm, a teraz zobaczycie, jak jest, teraz klasa średnia pozna robotnika, jakiego nigdy nie znała.

Po odczekaniu dwudziestu minut dobiegł nas słaby szloch. Mimowolnie słuchający wokół nas usilnie starali się pokazać, że nic do nich nie dociera. Niektórzy poruszali stopami, wiercili się nieco na krzesłach, inni posyłali dodatkowy uśmiech osobie siedzącej obok, wszyscy jednak słyszeliśmy cichy szloch płynący spomiędzy przepierzeń do otwartej przestrzeni Głównego Urzędu Pracy w Stavanger w roku 1990.

- Uch - usłyszałem głos mamy. - Czy nikt nie może jej pomóc?

Szloch umilkł, a po pół minucie minęła nas kobieta, która właśnie płakała, i skierowała się do drzwi. Wychodząc, przeszła obok innej kobiety wchodzącej do środka. Mama nagle spuściła wzrok.

- Co jest?

Nie odpowiedziała. Jednak stało się to, czego chciała uniknąć.

- Sara!

Kobieta, która właśnie weszła, zbliżała się do nas. Nie znałem jej, ale mama

najwyraźniej tak.

- Saro, ty tutaj?

- O, cześć, Jorunn, to ty? - Mama usiłowała brzmieć, jakby spotkały się przed sklepem odzieżowym w centrum.

- Dawno się nie widziałyśmy - powiedziała kobieta, którą mama nazwała Jorunn, i spojrzała na mnie. - Nie, nie... czy to Jarle? Co? To Jarle?

- Tak - potwierdziła mama z uśmiechem.

- Na pewno mnie nie pamiętasz - powiedziała Jorunn.

Uśmiechnąłem się niepewnie i spojrzałem na mamę.

- Byłeś jeszcze malutki, kiedy cię widziałam - dodała, wyciągnawszy rękę na wysokość biodra.

- To Jorunn - wyjaśniła mama. - Koleżanka z czasów szkolnych, tak, spotkałeś ją, gdy byłeś mały, ale pewnie nie pamiętasz.

- Nie - powiedziałem.

- No więc... jesteś tutaj? - zapytała Jorunn.

- Tak.

- Tak.

Nagle stare koleżanki nie miały sobie nic do powiedzenia, stały przed sobą w krępującym milczeniu, uśmiechając się z wysiłkiem.

- No to chyba wezmę numerek - odezwała się Jorunn.

Spojrzałem na mamę. Wstałem, powiedziałem, że pewnie się to przeciągnie, i zapytałem, czy pójść do piekarni w sąsiednim budynku po bułki i gazetę. Skinęła głową.

Było po jedenastej, kiedy mama została przyjęta przez urzędniczkę. Uzgodniliśmy, że pójdę z nią. Obsługiwała nas sztywno wyglądająca kobieta po czterdziestce, w neutralnym stroju i okularach. Mama przedstawiła się, powiedziała, kim jest, jaka jest jej sytuacja, a urzędniczka prędko i profesjonalnie zarejestrowała wszystkie jej dane osobowe.

Nazwisko? Wiek? Stan cywilny? Numer osobowy? Wcześniejsze zatrudnienie? Obecna sytuacja? Dochody w trzech ostatnich latach? Zaświadczenia?

- Pani dokumenty są w porządku - powiedziała. - To dobrze, pójdzie szybciej. - Mama uśmiechnęła się, jak gdyby spodziewane tempo rozpatrzenia sprawy miało od ręki zapewnić jej pracę. - Praca biurowa - ciągnęła urzędniczka. - Nie jest to obecnie najkorzystniejsza branża, jak może pani wie.

- Wiem - odparła mama.

- Spojrzała pani na tablicę ogłoszeń przed przyjściem tutaj?

- Tak.

- Nic tam pani nie znalazła?

- Nie.

- Nie. W tej sytuacji musimy wysłać pani wniosek o zasiłek dla bezrobotnych, kilka tygodni potrwa, zanim go pani otrzyma, a następnie skupimy się na przywróceniu pani do pracy, dobrze?

Mama skinęła głową.

- Polecam rozważenie zarówno oferty kursowej, jak i zgłoszenie się do biura pracy tymczasowej, mamy dobre kursy dla poszukujących pracy, które mogą pani pomóc, a w biurze pracy tymczasowej zawsze może się coś pojawić.

Mama skinęła głową.

- Na pewno ma pani świadomość, że będzie to wymagało od pani cierpliwości.

Mama skinęła głową. Tylko tyle robiła, słuchając urzędniczki. Podczas gdy w boksie obok jakiś głośny mężczyzna przeklinał system publiczny, wylewał całą swoją frustrację na zatrudnionego przez państwo pracownika, moja matka siedziała tylko i kiwała głową, czasem odpowiadała krótkim „tak”, „nie” czy „owszem”. To wszystko. Zachowywała się. Mama się zachowywała.

Urzędniczka stwierdziła, że gdyby wszyscy robili tak jak mama, i przychodzili tak dobrze przygotowani, aby zarejestrować się jako bezrobotni, kolejki zmniejszyłyby się o połowę. Mama się uśmiechnęła.

- Tak, chyba wszystko w porządku - powiedziała urzędniczka, czym zasygnalizowała, że pierwsza runda się skończyła. Mogliśmy iść. Mama podziękowała.

Zmarszczyłem nos. Iść? Nie odezwałem się ani słowem podczas całego spotkania, tylko siedziałem tam z zatkanym nosem, zanosząc się kaszlem i patrząc, jak mama się zachowuje.

- Czy mama dostała pracę? - zapytałem.

Urzędniczka uśmiechnęła się grzecznie.

- Nie, jeszcze nie.

- A dostanie?

- Miejmy nadzieję.

Miejmy nadzieję? To wszystko? Czy nie przyszliśmy tu, żeby mama dostała pracę? Mieliśmy odejść, mając nadzieję, że wszystko się ułoży?

- Ale pani w to nie wierzy - powiedziałem.

- To nie tak - wyjaśniła. - Cały czas musimy myśleć, że znajdzie się praca.

- Ale pani wie, że ona się nie pojawi.

Urzędniczka zamilkła. Mama spuściła wzrok.

Wstałem, zrobiłem krok w stronę urzędniczki, a mama spojrzała na mnie niepewnie.

- Wie pani, że mama będzie musiała długo tak chodzić - mówiłem spokojnie, patrząc urzędniczce w oczy. - Wie pani. Pani kłamie. Wie pani, co się stanie, czyli nic, prawda? Nic się nie stanie, prawda?

- Jarle... - zaczęła mama nerwowo. - Nie...

- Nie, ale kurde, mamó! Oni cię okłamują!

Urzędniczka ściągnęła usta, a ja nadal stałem.

- Nie możemy zrobić nic więcej - powiedziała.

- Kłamie pani czy nie? - zapytałem.

Mama wstała, chwyciła mnie za ramię.

- Jarle... chodź.

- Kłamie pani?

Urzędniczka popatrzyła na mnie. Zrobiłem kolejny krok naprzód, wziąłem papiery z wnioskiem o zasiłek dla mamy.

- Tylko o to tutaj chodzi, co? Żeby załatwić mamie pieniądze? Nie będzie żadnej pracy, co?

Urzędniczka szukała spojrzenia mamy, unikając mojego.

Odwrociłem się i poszedłem. Mama dalej stała, ujęła dłoń urzędniczki.

Wyszędłszy z pomieszczenia, nagle stanąłem przestraszony.

Czy to możliwe?

Patrzyłem na jego plecy. Plecy w niebieskiej marynarce, siwe włosy na potylicy, uszy, garniturowe spodnie, czarne buty, które nosił do pracy. Siedział na krześle, odwrócony do mnie plecami, a ja stałem sztywno pośrodku pomieszczenia.

Boże. On tu jest.

Mama wyszła za mną z boksu urzędniczki. Co miałem robić? Nie może być. Gapiłem się na tatę, jego ciężkie plecy, czując drżenie ramion, urząd pracy zniknął, stał się naszym domem, a te plecy nie siedziały tu, w godzinach pracy w środę, 7 lutego 1990 roku, tylko przemieszczały się w górę schodów w domu, ciężkie, unoszone oddechem plecy, zimne i samotne w środku tygodnia w połowie lat osiemdziesiątych, zniknęły za zatrzaśniętymi drzwiami, a w salonie na parterze siedziała mama, równie samotna, słysząc ten sam trzask co ja, trzask drzwi zamykanych za mężczyzną, z którym nigdy nie rozmawiała w ciągu tygodnia, a może to plecy innego mężczyzny, który schodził po schodach w sobotnie popołudnie, z

wilgotnym uśmiechem na ustach, mówiąc: „To jak, Jarle, teraz?”.

Teraz?

Słyszałem za sobą kroki mamy, wychodziła od urzędniczki, nie mogła go zobaczyć, ale czy ja mogłem temu zapobiec? Siedział przed nami i na pewno wszystko słyszał, całą rozmowę, uległość mamy, mój wybuch, poniżenie, niemoc. Siedział tu, wiedząc, co robi - tata, który otrzymał ode mnie wszelkie niezbędne informacje, ode mnie, to ja mu to umożliwiłem, Boże, właściwie go tu zaprosiłem, by z pierwszego rzędu mógł obejrzeć upadek mamy. To moja wina, a teraz stałem tu, irracjonalnie bojąc się własnego ojca, przerażony nadejściem nieuniknionego - tego, że mama go tu zobaczy.

Na podłodze za sobą usłyszałem dźwięk butów mamy. Zatrzymała się, równie nagle jak ja.

Trwało to tylko kilka sekund, lecz ja miałem wrażenie, że odsiadujemy dożywocie. Mama za mną, całkiem nieruchoma, nie słyszałem nawet jej oddechu. Ja przed nią, równie cichy, a przed nami odwrócony plecami tata.

Czekał? Przeciągał to?

Tata zaczął wstawać. Odwrócił się, stał parę metrów od nas ze swoim najłagodniejszym uśmiechem na ustach. W dłoniach trzymał wielki bukiet róż. Skinął do nas głową. Nie śmiałem spojrzeć na mamę.

- Saro - odezwał się i podszedł nieco bliżej. Podał jej kwiaty. - Saro, ja... to dla ciebie. Taki mały... tak, smutne wieści.

Mama szła naprzód. Była blada.

Minęła nas Jorunn. Sytuacja stała się jeszcze bardziej żenująca, gdy z uśmiechem wtrąciła pytanie o to, jak poszło.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała mama łagodnie. - Całkiem porządnie.

- Świetnie - skomentowała Jorunn. - Znakomicie.

Tata nadal stał przed nami, ze spojrzeniem utkwionym w mamę i wyciągniętą ręką dzierżącą różę.

- Tak, Jarle powiedział mi, jak się sprawy mają, więc chciałem tylko dać ci znać, że o tobie myślę.

- Tak... - wyjąkała mama cicho. - Ale...

Tata zrobił krok naprzód. Ja się nie ruszałem. Nie potrafiłem się ruszyć. Położył dłoń na jej ramieniu. Nie wolno mu było tak się zachowywać. Chciałem zabronić mu ją dotykać, ale on już to zrobił. Ciężko położył dłoń na jej ramieniu, niemal wcisnął jej kwiaty w objęcia i mocno się do niej zbliżył.

- Tak, ciężkie czasy przysły dla tej branży - powiedział. - Daj znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy.

Pomocy? Jaką pomoc mógł jej ofiarować? Stał przed nami, w ogóle nie okazując, że nie tak dawno wdarł się do nas, wręcz przeciwnie, zachowywał się najnaturalniej w świecie, wiedział oczywiście, że kontroluje sytuację - to on nas zaskoczył, to on sterował przestrzenią w miejscu publicznym, w otoczeniu tylu gapiów, a co najważniejsze, przypadkowi świadkowie tej sceny mogli pomyśleć: „Jaki on miły. To dobry mężczyzna”.

- Dziękuję - odparła mama.

- Nie ma za co - powiedział. - To nic takiego, Saro. Odwieźć was do domu?

Wtedy po raz pierwszy odwrócił się do mnie i spojrzał mi prosto w oczy. Dumnie skinął głową.

- To dobrze, Jarle - powiedział. - To dobrze.

Napiąłem szczęki, zacisnąłem zęby, zanim otworzyłem usta. Popatrzyłem na mamę.

- Chodź - odezwałem się. - Chodź, mamó, idziemy do domu.

Kiwnęła głową, po czym znalazła się u mojego boku. Ruszyliśmy w stronę drzwi. Tata szedł z drugiej strony. Ja w środku. Mama po mojej lewej. Tata po prawej. Nas troje. Z trudem opanowywałem płacz. Brakowało tylko, żeby chwycili mnie za ręce, żebyśmy wyszli na zewnątrz, gdzie świeciło słońce, żeby na parkingu stał nasz stary, szary samochód z lat osiemdziesiątych, żebyśmy wsiedli do niego i tak po prostu pojechali w jakieś ładne miejsce, abysmy we troje - mama, tata i ja - mogli żyć życiem, którego nigdy nie było.

- Podwieźć was?

Mama pokręciła głową.

- Nie, przecież to tak blisko - powiedział z uśmiechem. - To uważaj na siebie - dodał. - Nie pozwól, by cię to złamało, wiem, że sobie z tym poradzisz, znam cię. Do pogadania. - Poszedł do samochodu. - Muszę wracać do pracy - oznajmił, po czym wszedł.

Idealnie. Zrobił to tak dobrze, jak tylko się dało. Tata tak potrafił. Nikt nie mógł mu nic zarzucić. Nikt nie mógł stwierdzić, że tata przekroczył granice lub zachował się niewłaściwie. Nikt, poza mamą i mną. Reszta świata, wraz z nim samym, myślała tylko jedno: to dobry mężczyzna.

Mama i ja widzieliśmy, jak jego samochód odjeżdża.

- Źle było? - zapytałem, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi do domu.

- Czuję się tylko całkiem pusta, Jarle. - Mama odłożyła bukiet na kuchenny blat. - Jest po prostu całkiem pusto.

Przerwałem jej.

- Przepraszam, mamó, nie chciałem tego, nie sądziłem, że on przyjdzie i...

Uśmiechnęła się do mnie słabo.

- Tak.

- Przepraszam.

- To nic.

Mama poszła się położyć. Nie było po niej widać śladu gniewu, jedynie przytłaczające osłabienie. Byłem wkurzony. Przez tatę znalazłem się w trudnym położeniu. Miał nade mną emocjonalną i finansową przewagę, do tego zdeptał mamę, zanim zdołała podnieść się na nogi. Musiałem jechać do niego w weekend, musiałem być dla niego miły, bo potrzebowałem pieniędzy.

Kurwa, kurwa, kurwa. Czy on nigdy nie zniknie z mojego życia?

W czwartek leżałem w łóżku, wyprawa do urzędu pracy chyba mnie osłabiła, bo nagle mi się pogorszyło, gorączka wzrosła, żołądek wywrócił się na drugą stronę, gardło się zaogniło. Poza tym wewnątrz czułem się równie fatalnie. Wielokrotnie próbowałem zadzwonić się do Yngvego, pytałem Helgego, gdzie on jest, ale wyglądało, jakby zapadł się pod ziemię. Nikt nie odbierał telefonu, a Helge nie widział nawet jego cienia. Zacząłem się martwić, że coś się stało. Martwiłem się też, że mam z tym coś wspólnego.

W środku dnia zaciągnąłem kołdrę do salonu, zaparzyłem herbatę i rozłożyłem się wygodnie na kanapie. Włączyłem telewizor. Na NRK leciał sport, na ekranie migali narciarze na biegówkach, stali na wpół wyprostowani z kijkami po bokach, wchodząc w ostry zakręt w świerkowym lesie, a ja wywróciłem oczy, wzdychając, poirytowany tym, na co NRK traci czas i pieniądze, zamiast emitować dokumenty o polityce czy stare filmy. Dalej będą tak robić? Kto ogląda telewizję w środku dnia? Starsi ludzie, bezrobotni, chorzy, osoby pozostające w domu. I na to mają patrzeć? Sport, sport i jeszcze raz sport, czy tylko o nim myślą ludzie w tym kraju? Jeszcze do tego sporty zimowe, którymi zajmuje się tylko marna garstka mieszkańców północnej Europy? Ludzie na łyżwach, na nartach, kręcący się w koło na chłodzie, oglądani przez kilku stojących w śniegu kibiców o zmarzniętych palcach, z kakao i krowimi dzwonekami w dłoniach, wołających „Dalej! Dalej! Dalej!”, podczas gdy dumny biegacz ze świstem mija ich i próbuje pokonać ostry zakręt w świerkowym lesie. Nie wyłączyłem telewizora, patrzyłem, jak chudzi, ubrani w trykoty narciarze biegną przez las, wspinają się po stromych zboczach, i znienacka dopadły mnie myśli o Yngvem. Czy on też chorował? Nagle pocieszenie przyniosła mi myśl, że Yngve też jest chory, oczywiście, że jest, i pewnie to tylko przypadek, że nie mogłem się do niego zadzwonić, oczywiście, a Yngve jest tylko chory, leży w salonie pod swoją kołdrą, pije herbatę i ogląda sporty zimowe, patrzy na

Mistrzostwa Norwegii w narciarstwie tak jak ja, patrzy na to samo co ja, właśnie teraz, właśnie w tej chwili widzi, jak jeden biegacz oddala się od innych, ma silne uda, mocno pracuje rękami, narty suną przez śnieg: Yngve i ja oglądamy to samo. To my, Yngve.

Później tego przedpołudnia zasnąłem, a dopiero koło trzeciej obudziła mnie mama. Zjedliśmy razem obiad, a mama powiedziała:

- Jarle, następnym razem, kiedy on przyjdzie, musimy to zgłosić. Nie dam rady. Nie chcę, żeby tak było.

- Tak - powiedziałem.

Było po dziewiątej, kiedy usłyszałem na schodach kroki zbliżające się z parteru. To nie były stopy mamy, jej kroki tak nie brzmiały. Jednak wyraźnie należały do osoby zmierzającej do mojego pokoju. Odwróciłem się i spojrzałem na drzwi, czekałem, aż się otworzą, a widząc, jak klamka się zapada, pomyślałem: „Yngve, to Yngve, właśnie do mnie idzie, patrzył na Mistrzostwa Norwegii w narciarstwie, myślał o mnie, wszystko będzie dobrze”.

Czasem wydaje się, że umysł wie, co się zdarzy, lecz nie śmie nam tego przekazać, w zamian zgłasza więc utopię, tak jak w dawnych sztukach teatralnych zdenerwowany król potrafił zacząć wydawać mieszkańcom złote monety, kiedy kraj się rozpadał. Wiedziałem przecież, kto idzie, do kogo należą te żwawe, złowróźbne kroki, przecież je rozpoznawałem, a jednak gapiłem się na klamkę, wyobrażając sobie Yngvego, chociaż wiedziałem, że to ona.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi i stanęła przy moim łóżku, pomyślałem, że nigdy wcześniej nie widziałem Katrine tak wściekłej. Skuliłem się pod kołdrą, gdzie leżałem w samych szortach, zlany zimnym potem i chory, patrząc na Katrine, która stała przede mną, milcząca, surowa, o czarnych oczach.

- Cześć - odezwałem się.

- Będę mówiła cicho, Jarle - zaczęła. - Ale tylko ze względu na twoją matkę na parterze, gdyby nie ona, krzyczałabym.

- O co chodzi? - powiedziałem bezradnie, jakbym nic nie rozumiał.

- Wiesz, że przez całą pierwszą klasę uważałam cię za idiotę? - powiedziała cicho. -

Wiesz?

Potrząsnąłem głową.

- Miałam rację - ciągnęła. - Jesteś małym, tchórzliwym człowieczkiem, tak mocnym w gębie jak słabym w życiu.

- Ale, co jest... - powiedziałem, nim mi przerwała.

- Przejrzałam cię, Jarle, cholernie cię przejrzałam, jesteś do cna fałszywy, traktujesz

ludzi jak powietrze, mnie, swoją matkę, Helgego, Andreasa i tego biednego Yngvego. Kurwa mać.

- Co masz na myśli? - wyjąkałem. - Co takiego zrobiłem?

Katrine otworzyła pięść i rzuciła czymś we mnie. Wisiorek, który dałem jej parę tygodni po tym, jak zostaliśmy parą, wylądował przede mną na pościeli.

- Wiesz, kurwa, co zrobiłeś - syknęła. - Znakomicie wiesz. W ogóle cię nie obchodzę, wykorzystujesz mnie, jak wszystkich innych.

Stała przede mną, starała się być twarda i zimna, lecz jej oczy zaczęły błyszczeć, zaszczyły wodą, a usta ogarnęło drżenie.

- Wierzyłam ci, Jarle - powiedziała i pociągnęła nosem. - Wiesz?

- Ale... ja wierzę w nas!

- Przestań! - krzyknęła zrozpaczona. - Bawisz się ludźmi, używasz wielkich słów, ale wcale tak nie myślisz, ty... ty... wierzyłam ci, Jarle. Mówiłeś, że będziemy razem, wierzyłam ci.

Katrine otarła łzy, znów zacisnęła usta.

- Widziałas Yngvego? - zapytałem.

Odetchnęła ciężko.

- Widziałas? - powtórzyłem.

- Nie można ci, kurwa, wierzyć - powiedziała.

Wtedy coś we mnie pękło, ogarnęła mnie potężna desperacja, zacząłem płakać, łkać, strasznie dramatycznie.

- Nie możesz mnie przytulić? - wyszlochałem. - Co? Nie możesz? Może prześpimy się ze sobą ostatni raz?

Katrine wyglądała, jakby chciała na miejscu mnie zabić, ale wtedy drzwi znów się uchyliły i weszła mama. Odwróciłem wzrok.

- Przygotować coś dla was?

- Nie - powiedziała Katrine. - Dziękuję, pójdę już, chciałam tylko coś dać Jarlemu.

Odwróciła się, by odejść. Jednak w drodze znów się zatrzymała, tym razem przed mamą. W ybuchnęła płaczem. Mama stała przed nią zupełnie zdziwiona, spojrzała na mnie, potem na Katrine, która płakała. Płakała, uścisnęła mamę i powiedziała:

- Do widzenia, Saro, do widzenia, Saro.

Poszła. Opadłem na łóżko. Mama stała skonfundowana, patrząc na mnie. Usłyszeliśmy trzask drzwi na dole.

- Co... Jarle? Co to ma być?

- Nie mam już dziewczyny - szepnąłem.

Mama odwróciła się, jakby chciała ruszyć za Katrine i ją tu przyprowadzić.

Podeszła do mnie.

- Ale Jarle...

Odwróciłem się do ściany.

- Zostaw mnie w spokoju, mamó.

Zaskoczenie

it wasn't a rock

it was a rock lobster

The B-52's

Żal uszlachetnia, smutek upiększa, nienawiść doskonali, słabość czyni ludzkim, miłość sprawia, że dni są warte swego ciężaru i lekkości, a cóż można rzec o użalaniu się nad sobą?

Głupie to uczucie. Jednak podobnie jak większość głupich uczuć - zazdrość, małostkowość, zadowolenie z siebie, zaciekłość, brak wielkoduszności - użalanie się nad sobą wynagradza sytuację skąpanej w nim osobie. To żalosne, dobroczynne, doraźne rozwiązanie, które pozwala przeżyć noc, jeśli jest ci zbyt ciężko.

Przeżyłem noc. Wywróciłem na drugą stronę płaszcz, w który odziały mnie okoliczności, wmówiwszy sobie, że jestem księciem, zranionym księciem, opuszczonym i niesprawiedliwie potraktowanym. „Nie rozumieją mnie - myślałem. - Nie widzą mnie. Nie wiedzą, co czuję. Tylko mama mnie rozumie. I Yngve, on by mnie zrozumiał”.

W piątek po południu Helge stanął przede mną w kuchni z uśmiechem.

- Może wyjdziemy dziś wieczorem, co? Jalla? Ty i ja? Chyba jesteś już dość zdrowy?
- powiedział.

Tyle czasu zajmuje zmiana uczuć. Jeszcze parę sekund temu, dotknięty i urażony, myślałem o wszystkich: „Niech się wypchają”, jednak w czasie, jaki zajęło Helgemu pokazanie swojej twarzy w drzwiach, wszystko wywróciło się do góry nogami, użalanie się nad sobą oczywiście zniknęło - przecież jest wyrazem samotności. Teraz był tu Helge. Stary Helge. Mój najlepszy przyjaciel. Nie wiedziałem o tym? Mogłem stracić wszystkich, ale Helge pozostał, Helge i ja jesteśmy niczym góry, dwie wielkie góry stojące obok siebie w starym górskim łańcuchu, i potrzeba, kurde, dużo gorszych zdarzeń, większego trzęsienia ziemi, by nas zniszczyć.

- Jasne - powiedziałem.

- Super - odparł Helge.

- Pójdziemy gdzieś, gdzie jest mało ludzi, co? Tylko ty i ja, dawno nie było okazji, pogramy w bilard, co?

- Pewnie, kurna - ucieszyłem się i poczułem ulgę, że jeden wieczór z Helgem naprawi wszystko, co poszło nie tak.

- Wychodzisz? - usłyszałem głos mamy z salonu. - Wychodzisz? Znow się rozchorujesz.

- Nie, nie - krzyknąłem. - Jestem już zdrowy, mam, bardziej rozchorować mogę się od siedzenia z założonymi rękami.

Umówiliśmy się o ósmej pod domem kultury. Helge dał mi lekcje, a ja odprowadziłem go na korytarz.

- Kupiłem dzisiaj *Tender Prey* - powiedział i zaczął zakładać kurtkę.

- To ta z „The Mercy Seat”?

Helge skinął głową.

- Zajebista płyta.

- Musisz ją dla mnie przegrać. Ale... rozmawiałeś może z Katrine?

Otworzył drzwi, uderzył w nas wiatr, na zewnątrz mocno padało.

- Tak - odpowiedział.

- Więc... wiesz?

Skinął głową.

- Widzimy się wieczorem!

Uśmiechnąłem się szeroko. Tak niewiele trzeba. Nagle zapomniałem o wszystkim innym. Tęsknocie za Yngvem, niesmaku po rozstaniu z Katrine, strachu, chaosie, całym poprzednim weekendzie, tacie, dwudziestu tysiącach - wszystko zniknęło. Był tu przecież Helge. Helge, kurwa.

Cieszyłem się jak dziecko na wieczór z nim, zadzwoniłem do taty, by powiedzieć, że przyjdę dopiero jutro, pilnowałem też, by się nie spóźnić na spotkanie z Helgem. Mieliśmy zająć się naszymi sprawami, pograć w bilard, planować przyszłość Mathias Rust Band, pić piwo, być tylko we dwóch, Helge i ja.

Przyszedł pięć po ósmej. Chowałem się przed deszczem pod zadaszeniem domu kultury.

- To dokąd idziemy? - zapytałem.

- Myślałem, że może do Ferdinanda? - powiedział. - Nie powinno być problemu, żeby tam wejść.

- Do Ferdinanda?

- Cholernie ńędzne miejsce - dodał. - Naprawdę *cholernie* ńędzne. Wiesz, to ten pub przy Breiavannet.

- O w mordę - powiedziałem. - *Tam* pójdziemy?

Helge miał rację, bardzo niewiele problemów sprawiło nam wejście do pubu Ferdinand, ciemnego lokalu w starym drewnianym domu przy stawie Breiavannet, o klienteli w średnim wieku pięćdziesięciu lat, baru jeszcze gorszego niż Skipperstuen czy Korvetten, pewnie nie aż tak fatalnego jak Christians Bodega, ale prawie, jednego z tych miejsc, które pełniły w mieście funkcję przystani alkoholików. Lokal wypełniali starzy pijacy. To tutaj siedzieli ludzie, których spodziewałem się zobaczyć w urzędzie pracy. Czuliśmy się tam niemile widziani, pochylone nad swoimi kufłami i skrętami stare pryki ewidentnie nie chciały się z nami witać, a w każdym razie nie tak wczesnym wieczorem. Kupiliśmy piwo i zarezerwowaliśmy stół bilardowy.

- Na zdrowie - powiedziałem z uśmiechem i podałem kufel Helgemu. - Super, że mnie zabrałeś.

- Jasne - odparł. - Kto rozbija?

- Ty - powiedziałem. - Ja jestem w tym kiepski.

- Przecież ty nie umiesz, kurna, grać w bilard - zaśmiał się Helge.

Niesamowicie cieszyłem się, że Helge chce ze mną spędzić ten wieczór, ale denerwowałem się też, że pomyśli o mnie to samo co Katrine. Chyba musieli rozmawiać, uznałem, a Helge był przecież na mnie ostatnio wkurzony, więc tak zupełnie wszystko na pewno nie było w porządku. Ale nie odzywał się. Piliśmy ostro, rozegraliśmy kilka rund i paliliśmy, jakbyśmy jutro mieli rzucić. Helge zapytał, jak ma się mama, a ja opowiedziałem o naszej wizycie w urzędzie pracy, o tym, jak wyzwiałem urzędniczkę, co nie spodobało się Hellemu.

- Jalla, to jej praca, ta praca też jest potrzebna - powiedział.

- No tak, ale mogliby, kurwa, mówić prawdę - oponowałem.

- Więc twoja matka dała sobie jakoś radę? Pozbierała się? - zapytał Helge, uderzywszy bilę.

- Tak myślę - odpowiedziałem.

- Dobrze. A jak tam ojciec?

- Nie... - zacząłem i zrobiłem sobie przerwę na łyk piwa. - Nic nowego. Idę do niego jutro. Załatwić kasę.

- Kurwa.

Nie powiedziałem mu, że tata przyszedł do urzędu pracy. Nie miałem siły.

Wypiwszy więcej piwa, zaczęliśmy gadać o zespole, zgodziliśmy się, że nieudany koncert z zeszłego tygodnia nas wzmocni, ja stwierdziłem też, że nadeszła już pora, by pojechać do studia i nagrać ten siedmiocalowy singiel. Helge skinął głową, no pewnie, to jasne, musimy wyjść z sali prób.

Około wpół do jedenastej poczułem się dość ogłuszony, przestałem liczyć kufle, a umysł miałem mocno otępiały.

- Helge - odezwałem się. - Kiedy znajdziesz sobie laskę, co? Nie jesteś przecież tak potwornie brzydki?

- Nie no, samo pewnie przyjdzie - odparł.

Zaśmiałem się.

- Z tego, co zrozumiałem, to przyszło w zeszły weekend. Siv Therese! Kurwa. Są pewne granice.

- Nie mówmy o tym - powiedział. - Była w sumie dość sflaczała.

- Sflaczałe cipki trzeba, kurna, omijać z daleka - stwierdziłem i wlałem w siebie resztę piwa. - Zupełnie z daleka. Już wolałbym zostać gejem.

- Pewnie, że byś wolał - skomentował Helge.

Drgnąłem.

- Co?

- Nic - powiedział.

Nic? Co sobie myślał? Podszedłem do baru, była właśnie moja kolejka, zamówiłem dwa piwa i dwa porto. Barman spojrzał na mnie surowo, jakby chciał spytać na swój inkwizytorski barmański sposób, czy dobrze się czujemy.

- Ej, Hegga - zawołałem i podałem mu alkohol. - Była u mnie wczoraj Katrine, no i wiesz, jest na mnie strasznie wkurwiona. Wyzywa mnie od najgorszych, bez jebanego umiaru, a w zeszły weekend oczywiście przebrała się miarka, ale... To znaczy, jest tak?

Helge odstawił kij i spuścił wzrok.

- Hegga, znaczy się, co takiego się dzieje, ona ze mną zerwała, a ja jestem, kurwa, totalnie skołowany.

Wierzyłem w swoje słowa, czy chciałem go tylko sprawdzić? Spojrzał na mnie poważnie.

- Jarle, muszę ci coś powiedzieć - odezwał się.

- No dawaj - uśmiechnąłem się. - W końcu jesteśmy, kurwa, sami.

- Rzucam zespół.

- Co?

- Rzucam zespół.

- Rzucasz? Zespół? Przecież właśnie rozmawialiśmy o... kurwa... rzucasz zespół? Jaja sobie robisz?

Usiadłem ciężko na krześle.

- Nie, ja... nigdy nie będziemy dość dobrzy, Jalla, w każdym razie nie tak, żeby mi się podobało... nie no, po prostu się zdecydowałem. Sorry.

- Kurwa mać - zakląłem. - Przejebane. Zespół. Kurwa. Przecież mamy nagrywać w studiu!

- A jeśli chodzi o Katrine - ciągnął. - To...

- No no, dalej, myślisz tak samo jak ona? - Byłem sfrustrowany. - Co to ma być do chuja?

- Nie, nie myślę tak samo jak ona, ona jest zraniona, no nie, a ja tylko... no, nie wiem - Helge szukał słów. - Ostatnio cholernie dużo cię nie było, a ja nie wiem do końca, czy pojmuję, co robisz... ta cała grzywka, ten Yngve i... no, ale walić to. Rzucam zespół. Tylko tyle.

- *Tylko tyle?*

- Tak.

Czy to tylko tyle?

Helge chwycił kij i stwierdził, że nie ma mi nic więcej do powiedzenia. Jednak całym sobą sygnalizował, że jest wręcz przeciwnie. Że było coś jeszcze. Coś większego. Całkiem innego.

- Helge - powiedziałem zupełnie spokojnie. - No dalej.

- Co?

- No dalej. Wyrzuć to z siebie. Nie chce mi się dłużej czekać.

Nigdy wcześniej nie widziałem go bardziej zakłopotanego. Helge Ombo nie bywał w ogóle zakłopotany, to nie była właściwość, jaką można by mu przypisać, nigdy nie okazywał wstydlivosti, zakłopotania czy zwątpienia, teraz jednak widziałem, nagle otrzeźwiający z narastającego odurzenia, jak Helge piekielnie się męczy. Cierpiał. Nie wiedział, jak ma sobie poradzić z tym, o czym nie wiedziałem. Nie rozumiałem, co się dzieje, ale pojmowałem jedno: że Helge nie zaprosił mnie tu tak po prostu. Przyszedł z jakąś sprawą. Z całkiem konkretną sprawą, która najwidoczniej dotyczyła nie tylko zespołu, nie tylko tego, że wpadł na chory pomysł, by go rzucić. Nie przyszedł do mnie, bo Jarle i Helge byli niczym dwie góry, dwaj wieczni kumple.

- To powiesz mi wreszcie - zapytałem spokojnie. - Czy jak?

- Tak - odparł. Patrzył na mnie ze smutkiem.

- No to co jest, aż takie to trudne?

- Właściwie to tak.

- Czekam - powiedziałem i uderzyłem bilę.

- No, chodzi o Katrine - zaczął. - O to, że...

- Tak?

- Jestem z nią.

- Co?

- Jestem z Katrine.

Co?

- Jesteś z Katrine?

- Tak.

Całkiem spokojny. Byłem całkiem spokojny. Czasem przychodzą chwile, kiedy świat zdaje się stać w miejscu, a może naprawdę tak się dzieje. Drzewa się nie rozwijają, wiatr nie hula nad dachami, deszcz nie pada, paznokcie nie rosną. Świat się dla mnie zatrzymał, nie miałem sił. Była to ostatnia rzecz, o której bym pomyślał, ale kiedy już się z nią zetknąłem, wszystko zrozumiałem - sprawa była jasna jak słońce. Helge i Katrine. Jakie to jasne. Widziałem, jak jego usta poruszają się przede mną, mówiąc „przykro mi, Jalla”, ja jednak myślałem tylko: *Boże, jakie to jasne, Helge i Katrine, ja pierdolę, ale jesteś głupi, Jarle, ale z ciebie debil, że tego nie widziałeś od samego początku.*

Helge przełknął ślinę. Ścisnął dłonie. Ja wypilem resztę piwa, chwyciłem z parapetu kieliszek porto.

- No powiedz coś, Jalla!

Dopiłem wino.

- Nie siedź tak! Powiedz coś! Wyzwij mnie, jak, kurwa, chcesz, ale powiedz coś!

Helge mówił dość głośno. Odstawiłem kieliszek. Za jego plecami widziałem parę po pięćdziesiątce, oboje byli ubrani w dresy i ze swojej sofy, gdzie pili, obserwowali przebieg zdarzeń. Kobieta za pomocą specjalnej maszynki zwijała papierosy, które wkładała do pustych paczek po Marlboro, teraz jednak przerwała pracę, by patrzeć na nas. Miałem ich w dupie. Helge był sporo wyższy ode mnie, do tego silniejszy. Nie był gruby, ale mocniej zbudowany.

Cios trafił go w policzek, głowa prędko odskoczyła w tył, Helge zatoczył się pod ścianę. Zaskoczyła mnie moja własna siła, czułem ból w kostkach dłoni, nigdy wcześniej nie

przywalilem nikomu w pysk, nie w ten sposób, nie zaciśniętą pięścią, z potężną agresją, jak uderza się tylko tych, których się kocha. Nie miałem czasu, aby się zastanowić czy ocenić sytuację, gdyż Helge się pozbierał i doskoczył do mnie - teraz to nastąpi, teraz to z siebie wyrzuci. Runął na mnie swoim ciężarem, naparł rękami i łokciami, aż straciłem równowagę i wyrznąłem okolicą lędźwiową w róg stołu bilardowego, ból przeszył całe plecy, a Helge stał nade mną, przycisnął mój tułów do stołu, przedramieniem zgniół mi szyję, aż na karku poczułem filc, próbowałem przekrócić głowę, jednak widziałem tylko czerwone, żółte i zielone bile na zielonej płycie, czułem, że nie mogę oddychać, usiłowałem kopać, ale Helge był silny. W 1988 podczas pieszej wycieczki po Górnym Jæren nienawidziliśmy się tak bardzo, że zostaliśmy przyjaciółmi, mierzyliśmy siły na deszczu, a teraz z nienawiści mieliśmy się, kurwa, bić. Dość tego, do chuja. Czułem, jak nienawidzę tego zarozumiałego, aroganckiego faceta, jebanego komunisty, *pieprzonego Helgego Ombo*, który odebrał mi dziewczynę, i jak długo to już w ogóle, kurwa, trwa, co? Czułem potężne wkurwienie; i co to ma, kurwa, wspólnego z Yngvem? Przecież oni go i tak nie rozumieją, nie widzą, jaki jest piękny, wielki, a jacy mali, naburmuszeni i śmieszni jesteśmy my, a teraz, kurwa, dostaniesz za swoje, Helge, masz mnie, a ja mam ciebie, i teraz dostaniesz za swoje, mamy siebie nawzajem, Helge, no nie? Tak, teraz dostaniemy za swoje.

Helge przewyższał mnie siłą, lecz zaskoczenie to najlepsza broń słabszego, którą ja miałem pod ręką w postaci bili - czerwonej, okrągłutkiej bili z numerem trzecim - a czegoż nie robi się, nienawidząc najlepszych przyjaciół? Tylko taki wybór miałem, ulegając pod jego naporem, z jego ramieniem przytkniętym do gardła, z zablokowanymi nogami i czerwoną trójką parę centymetrów od prawej dłoni, nad którą Helge nie miał pełnej kontroli, prawej dłoni, która zdołała przysunąć do siebie bilę, chwycić ją i rąbnąć nią Helgego w potylicę.

- Kurwa!!!

Odskoczył ode mnie, przykucnął z przeraźliwym grymasem twarzy, by z jękiem dotknąć tyłu głowy. Rozejrzałem się wokół. Starzy alkoholicy tylko się na nas gapili, jakby takie rzeczy działy się tu, w pubie Ferdinand, codziennie - i pewnie tak było. Paru ćpunów stało pod kiblami, szczerząc zęby, a barman właśnie do nas zmierzał. Nie wyglądał na zdenerwowanego, a jedynie poirytowanego, że to znów musiało się stać, czy ludzie nie mogliby się uspokoić? Tak trudno jest wyjść na miasto, pograć w bilard, trochę się napić, skrócić parę fajek i wrócić do domu?

- Chłopcy - powiedział. - Starczy. Co tu się, kurna, stało?

Helge zawodził, trzymając się za potylicę.

- Walnąłeś go bilą?

- Tak - przyznałem.
- Kurwa, nie wolno tego robić.
- Wiem.
- Ja pierdolę!!! - zawołał Helge, odjąwszy od głowy pokrytą krwią dłoń.
- Dżoker! - krzyknął barman. - Przynieś srajtaśmy!
- Tak, tak. - Dobiegł nas głos z lokalu.

Barman podszedł do Helgego, by obejrzeć jego potylicę. Przesunął językiem po zębach.

- Nie, nic ci nie będzie, to tylko draśnięcie, przyłożysz trochę papieru i przestanie krwawić. - Znow na nas spojrzał. - Boże, chłopaki, co to ma, kurna, być?

- Kłóca się o dziewczynę - odezwał się facet w dresie, siwy mężczyzna z czerwonymi plamami na policzkach, palący Gul Mixy. - Koleś, co dostał bilą, odbił dziewczynę temu drugiemu.

- Wcale jej, kurwa, nie odbiłem! - krzyknął Helge, wytarłszy łzy.

- Dla nas tak to brzmiało - oświadczyła kobieta siwego alkoholika. - Całkiem wyraźnie tak właśnie brzmiało.

- Ale ja nie odbijałem, kurwa, nikomu dziewczyn! Ja pierdolę, ale boli!

Spojrzałem na Helgego. „Jesteś moim najlepszym przyjacielem” - pomyślałem.

Dżoker przyniósł ogromny stos papieru toaletowego. Był chudym facetem po czterdziestce, o włosach zaczynających się za uszami, ustach Steve’a Buscemiego i wielkich rybich oczach. Barman wziął od Dżokera papier i kiwnął do niego głową jak przełożony do podwładnego, kiedy zrobił dokładnie to, o co go proszono. Widać było, że Dżoker odnalazł swoje miejsce w życiu jako pomagier w pubie Ferdinand. Mogę sobie wyobrazić, jak w dniu kręcenia filmu dokumentalnego o lokalu stwierdza: „Nie, beze mnie nigdy nie daliby rady. Jak sądzicie, kto podawał srajtaśmę, kiedy ktoś zaczynał krwawić? Kto dzwonił na policję, gdy przebierała się miarka?”.

Barman chwycił potylicę Helgego i przycisnął do niej dłoń, Helge wrzasnął, a barman kazał mu siedzieć spokojnie, jeśli nie chce jechać do szpitala na założenie szwów.

- Ja pierdolę - Helge spojrzał na mnie po raz pierwszy, odkąd przyłożyłem mu bilą w głowę.

- Kurwa - powiedziałem.

Dżoker oparł się o stół bilardowy z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Złożył swoje ekstremalne wargi w ciup i skinął wymownie głową. Barman przytrzymał mocno głowę Helgego, który zacisnął zęby. Oparłem się o parapet. Para alkoholików też do nas podeszła,

staliśmy się ewidentnie obiektem zainteresowania klienteli. Nawet ćpuni pod kiblami patrzyli w naszą stronę.

- Dżoker - powiedział barman prędko. - Staniesz za barem na parę minut, żebym mógł doprowadzić do porządku dzieciaka?

Dżoker zerwał się z miejsca, zapalony do pracy.

- Nie wolno, kurwa, odbijać dziewczyn najlepszym kumplom - odezwał się siwy alkoholik.

- No, Boże - przyłączyła się jego kobieta. - Nie wolno.

- Ja nie... to nie tak! - powiedział Helge. - Jezu, w co wy się tu w ogóle mieszacie?! Spadajcie na drzewo!

- Uspokój się teraz - przykazał barman.

- Może mamy trochę więcej doświadczenia niż wy - stwierdził alkoholik, po czym wlał w siebie pół kufła piwa. - Może wiemy nieco więcej o życiu, więc nie byłbym pewien, czy tak głupio nas słuchać, tyle tylko mówię, że może przechodziliśmy to co wy i może nie tak głupio jest posłuchać kilku rad, mówię tylko jedno - nie wolno, kurwa, odbijać dziewczyn najlepszym kumplom.

- Nie, nie wolno - zawtórowała jego kobieta.

- Słuchajcie, wy nic, kurwa, nie pojmujecie... - zaczął Helge i wiercił się przy tym tak, że barman prawie wypuścił papier, który przyciskał mu do potylicy.

- Stój, kurwa, spokojnie! - rozkazał barman.

- Powiem ci jedno - ciągnął alkoholik, zbliżając się na krok do Helgego. Zupełnie już przestał patrzeć na mnie. - Powiem ci jedno, miałem kiedyś kumpla, dla którego liczyło się, tak, musisz wiedzieć, że dla niego liczyło się to, żeby być tylko z dziewczynami swoich kumpli, więc... rozumiesz?

Kobieta alkoholika pokiwała intensywnie głową i wypła na potwierdzenie łyk piwa, po czym wydobyła gotowego skręta z paczki Marlboro.

- Całkiem wam odbiło - powiedział Helge z rezygnacją.

- Zobaczmy - odezwał się barman i zabrał rękę. Przyglądał się potylicy Helgego, rozsunął palcami włosy. - No. Przestało krawić. Póki co.

- To ja spierdalałam - Helge spojrzał na mnie wściekle.

- Ja też - powiedziałem.

- Nie idziemy, kurwa, w tym samym kierunku - rzucił Helge.

- No na pewno nie, kurwa - potwierdziłem.

Ruszyliśmy do wyjścia. Barman i para alkoholików zostali za nami i patrzyli, jak

zataczamy się do drzwi. Dżoker stał na wysokości zadania za barem. Wyglądał na strapionego, przewracał wciąż rybimi oczyma.

Helge i ja wyszliśmy. Woda z pluskiem opadała do stawu Breiavannet. Popatrzyliśmy na siebie.

- Ano, Fidel - odezwałem się.

Nie tylko Helgego zaskoczyłem tym ciosem w mordę, a później łbem rozwalonym bilą, zaskoczyłem też siebie. Nie byłem przyzwyczajony do bójek, z tego, co pamiętam, przedtem biłem się tylko raz, z tatą. Teraz jednak nadeszła pora, by to Helge zaskoczył mnie.

Zamiast odpowiedzieć, walnął mi z bańki. Upadłem do tyłu na żwir wzdłuż brzegów Breiavannet. Leżąc na plecach, widziałem, jak Helge się do mnie zbliża, cofałem się na czworakach, próbowałem się pozbierać, wstać na nogi. Z trudem wróciłem do pionu, a za Helgem ujrzałem barmana, Dżokera i parę alkoholików, którzy pojawili się w drzwiach Ferdinanda i kręcili głowami, widząc, jak wstaję i z rozpędu rzucam się na najlepszego kumpla oraz jak Helge robi krok w bok i zaczyna biec.

- Nie no, chłopaki, przestańcie już! - usłyszałem głos barmana, gdy biegłem za Helgem.

Helge przewyższał mnie siłą, ale na pewno nie szybkością. Był dość powolny. Biegłem prędko i chociaż byłem wytrącony z równowagi i czułem ból po jego ciosie głową, szybko go doganiałem, pędząc za nim po żwirze wzdłuż Breiavannet. Gdy zbliżyliśmy się do pawilonu, dzieliło mnie od niego już tylko parę metrów, zaraz mogłem go chwycić, zamiast tego wystawiłem jednak stopę i podciąłem nogi Helgemu, który padł jak długi na ziemię. Pochyliłem się nad nim, próbowałem na nim usiąść, ale na co ci szybkość, gdy twoja ofiara jest od ciebie silniejsza? Helge okręcił mnie i przycisnął do ziemi swoim ciężarem. Oddychał ciężko, widziałem, że znów krwawi mu głowa. Wiatr świszczwał nam w uszach, z nieba padał deszcz.

- Mam cię kurewsko dość! - krzyknął.

- A myślisz, że ja nie?! - odkrzyknąłem i z całych sił próbowałem wywinąć się spod niego, jednak było to niemożliwe.

- Masz, kurwa, problemy - powiedział wściekle.

- No dalej - zachęciłem. - Myślisz, że się boję? Co? Myślisz, że się ciebie boję, Helge? Wiesz, czym jesteś? Nie masz ani jednej pieprzonej, oryginalnej myśli, wiesz? Kopiujesz tylko swoich rodziców, jesteś pierdoloną, żalowaną kopią, wiesz?

- Ja pierdolę, a ty czym jesteś? Kopią! Kopią mnie, kurwa! Boże!

- Kopią ciebie?! Ciebie! Ty jebany chuju! No dalej, zbijesz mnie? No chodź! Stłucz

swoją kopię! - krzyknąłem.

Helge walnął moją głowę o ziemię. Otaczał mnie żwir, deszcz i wiatr, w głowie grzechotał mózg, skropiony alkoholem, strachem i wściekłością, Helge siedział na mnie, ruszał ustami, a ja mrugałem tylko, nie słysząc, co mówi.

- Co?

Helge znów uderzył moją głowę o ziemię. Nadal coś mówił.

- Co?

-... i mówią, że to przez ciebie - wyłapałem. Czułem rozbijające się o mnie krople deszczu, opadającą na ziemię głowę i gwizdzący w uszach wiatr.

- Co?

Helge zeskoczył ze mnie, leżałem zбитy na miazgę i zmieszany ze żwirem. Przez sekundę stał i na mnie patrzył, a następnie zaczął iść, widziałem, jak jego potylicą krwawi. *Przeze mnie?* Co takiego powiedział? Podparłem się na łokciach, rozbity i obolały, i krzyknąłem za nim.

- Co przeze mnie?

- Ten pieprzony haugesundczyk! - usłyszałem krzyk znikającego Helgego.

Usiadłem na żwirze - mokry, zбитy na kwaśne jabłko - i widziałem, jak Helge oddala się, idąc wzdłuż Breiavannet, wzdłuż auli Kongsgård.

Yngve?

Całą drogę biegłem ile sił w nogach, a deszcz lał się na mnie strugami, przedostał się przez płaszcz, przez sweter, przez buty, koszulkę, wiatr smagał mi twarz, biegłem, myśląc, że zaraz upadnę, w górę na Våland, obok Gamlingen, przez las pełen stojących nade mną wielkich, mokrych, ciemnych buków, przez most nad autostradą, wzdłuż Mosvannet, poślizgnąłem się i upadłem, ale stanąłem na nogi, cały brudny od zmieszanej z deszczem ziemi, przemoczony, ale biegłem dalej, przez pole kempingowe Mosvangen, na wzgórze, drogą wzdłuż hali sportowej, na Tjensvoll, pijany, pobity, mokry, wystraszony, przerażony; *przeze mnie, przeze mnie?* Co takiego zrobiłem, co się dzieje, coś ty zrobił, Jarle?

Dom Yngvego spowijała ciemność. Żadnych świateł. Deszcz walił w dach, wiatr hulał po Tennisveien, a ja stałem bez tchu, wykończony, dzwoniąc do drzwi. Dzwoniłem do drzwi w środku nocy, słyszałem dźwięk dzwonka w środku, jak opętany przyciskałem guzik, ale nikt nie otwierał. Wycofałem się, przebiegłem przez zmoczoną trawę w ogrodzie, przykleiłem twarz do okna w salonie, próbowałem zajrzeć do środka, ale nic nie widziałem, jedynie pusty dom. Żadnych mebli, ciemno, pusto, nic, puste pokoje, goły parkiet, gołe ściany i sufity, jakby nikt nigdy tam nie mieszkał. Wspiąłem się na dach garażu i wyciągnąłem szyję, by

zajrzeć przez okna na piętrze, dostrzegałem jednak tylko to samo co na parterze - nic. Całkiem pusto, żadnych mebli, gołe ściany, goły parkiet i sufity - *przeze mnie?* Ześlizgnąłem się na ziemię, upadłem i wylądowałem na kamiennych płytach, pokuśtykałem dookoła domu, zerknąłem przez okno od tyłu, ale nie widziałem nic, nic, co takiego się stało, co to ma być, do diaska, Yngve, Yngve, piękny Yngve, co się stało?

Wyszedłem na mały trawnik za opuszczonym domem. Deszcz lał się na mnie z taką siłą, jakby padał tylko z mojej winy, jakby to na mnie chciał padać, na mnie i na nikogo więcej. Byłem tak wyczerpany, że upadłem, bałem się, strasznie się bałem, czułem, jakby serce miało zaraz wyskoczyć mi z piersi.

Otworzyłem usta.

- Yngve, tu Jarle!

Pies nad Rogiem Rennesøy

you and me were never meant to be part of the future

all we have is now

The Flaming Lips

Istnieje już UE, ale nadal nie jesteśmy jej członkami, istnieje Rosja, ale stary komunistyczny bastion nie ma się najlepiej, mówi się też, dość obraźliwie: *Either you are with us or you are with the terrorists*. Odbyła się wojna w Zatoce, świat oburzyło ludobójstwo na Bałkanach, a nie tak dawno w gazetach można było przeczytać o nastolatku, który zmarł od LSD. Prawie wszyscy poniżej wieku emerytalnego mają dostęp do e-maila, nie możemy żyć bez internetu, a ku wielkiemu zmartwieniu branży muzycznej ludzie wypalają własne płyty CD. Minęło już dwanaście lat, odkąd Kurt Cobain śpiewał „Smells like teen spirit” i odkąd liczył się grunge, tylko gdzie on się podział? Z czasem zaserwowano nam Spice Girls, Boyzone i Destiny’s Child, a różne boys - i girlsbandy święcą tryumfy już od dobrych kilku lat. I czy nie wydaje się, że minęło już sporo czasu, odkąd Keanu Reeves pokonał siłę ciężenia w *Matriksie*, Michelle Yeoh ozdabiała korony drzew w *Przyczajonym tygrysie, ukrytym smoku*, a Ernst Hugo Järegård stał na dachu kopenhaskiego Królestwa, krzycząc: „Ci cholerni Duńczycy”? Czy to nie przeszło już do historii? Tak samo jak wszystkie seriale, które oglądaliśmy w latach dziewięćdziesiątych: *Miasteczko Twin Peaks, Przyjaciele, Ostry dyżur i Zdrówko* - czy jeszcze ktoś je pamięta? Tak, to było dawno. Póki co liczą się SMS-y i projektowanie stron internetowych, a jeśli chcesz, możesz znaleźć pracę jako gospodarz chatroomu, kartami płatniczymi posługujemy się, odkąd tylko pamiętamy, o Billu Clintonie już niemal zapomnieliśmy, i o Monice, jak jej tam było, Lewinsky, tak, właśnie tak - to było już dawno, tak dawno. Księżną Dianę chyba jeszcze pamiętamy, zmarła parę lat temu, a Gretę Garbo? Czy nie żyje? Ach, tak, pewnie też już od dawna, tak samo jak Astrid Lindgren i król Olav. Nie ma ich. Niektórzy pamiętają jeszcze dwóch chłopców, Roberta Thompsona i Jona Venablesa, którzy zamordowali dwulatka Jamesa Bulgera w pociągu w Manchesterze, dużo mówiło się o tej sprawie w latach dziewięćdziesiątych, inni pamiętają też na pewno Hrabiego,

który w 1993 roku spalił cztery kościoły i dwudziestoma trzema pchnięciami noża zabił kumpla z kapeli blackmetalowej, niektórzy wspomną pewnie Jakoba Malde^[20] z zachodniej Norwegii, odpowiedzialnego za serię morderstw na tle religijnym w grudniu 1998 roku, a wszyscy pamiętają chyba szkolną masakrę w wykonaniu Erica Harrisa i Dylana Klebolda, chłopców, którzy zastrzelili dwunastu uczniów i nauczyciela w Columbine High School w Colorado - no, nie pamiętasz? Już zapomniałeś?

Zbliżaliśmy się do roku 2000, pamiętasz? Y2K? Wielu ludzi sądziło, że maszyna całego świata przestanie działać z powodu liczby. Zabawne, gdyby naprawdę miało się tak stać, tak samo jak ponad dziesięć lat temu wszyscy wierzyli, że warstwa ozonowa całkiem się przedziurawi, by spalić nas w okamgnieniu apokalipsy, ale nas nie spaliła, co? Nie. Nastąpiły za to lata dziewięćdziesiąte.

Żyliśmy. Prawda?

Starzeliśmy się.

A Jarle Klepp? Co się z nim stało? Z małym mężczyzną z małego miasta w małym kraju, dzieciakiem, który tuż przed rozpoczęciem lat dziewięćdziesiątych doświadczył paru intensywnych tygodni.

Gdzie się podział?

- Myślisz, że jestem podobny?

Mama patrzy na mnie. Przekrzywia głowę, kosmyk srebrnych włosów kładzie się łagodnie na jej ramieniu. Zerka na fotografię. A potem znów na mnie.

- No, ale teraz jesteś mężczyzną. A on - mówi z uśmiechem - to chłopiec, który zawsze miał coś do roboty. Teraz jesteś dojrzały.

Mieszam miód z ciepłą herbatą, nie wiedząc, czy podoba mi się bycie dojrzałym, ale odwzajemniam uśmiech mamy, która porównuje dwóch swoich synów - siedemnasto - i trzydziestolatka.

Podaje mi fotografię i nalewa sobie kawy. Jaki jestem młody - ogromnie, niemal niepokojąco uderza mnie, jaki jestem młody na zdjęciu pod domem mamy zimą 1990 roku, a może to grudzień '89? Czarny płaszcz, arafatka, tłuste włosy, pryszcze na twarzy i to ścigające świat spojrzenie, pozbawione spokoju, widzące przed sobą tylko przyszłość, przeszłość i zauroczenia. Gapiąc się prosto w aparat, spoglądający sądzi, że ma kontrolę, ale ja myślę, że wcale tak nie jest. Nie masz kontroli, Jarle Kleppie, masz siedemnaście lat, myślisz, że nad wszystkim panujesz, że wszystko wiesz, jesteś jednak wystawiony na wpływ swojego otoczenia, które kochasz i którego nienawidzisz. Odkładam zdjęcie. Gapi się na mnie. Widzi, że jestem dorosły, że skróciłem włosy, szczęki mam bardziej napięte, pryszcze

zniknęły, że siedzę na kanapie mamy spokojniej niż wtedy. Czy siedemnastolatki się to podoba? Temu, który chciał być większy, który ścigał świat deptający mu po piętach? Czy mu się podobam?

- Którego wolisz? - pytam.

- Żartowniś z ciebie - mówi mama. - Obaj jesteście świetni.

„A mama? - myślę. - Którą wolę?”

Nie mogę odpowiedzieć, tak samo jak ona. Mama przyozdabia świat, w którym się budzi. Przyozdabia go swoją obecnością i własną osobą, a dla nas, którzy mamy ją w swym życiu, nie do pomyślenia byłby jej brak. Co teraz? - mówilibyśmy, gdyby zniknęła. Co teraz? Gdzie podziało się powietrze, którym oddychamy? Gdzie popłynęła woda? Gdzie schowała się ziemia, po której stąpamy?

Nie tak dawno pojechałem do domu, do mamy i Stavanger, naftowego miasta, które ani trochę nie zubożało od chwili, gdy je opuściłem. Od razu to spostrzegłem i dobrze mi to zrobiło. Jeśli masz ku temu predyspozycje, krótsza wizyta w miejscu jak Stavanger czy innych podobnych mu miastach na świecie uczyni cię radykalnym. Burżuazja, naftowe bogactwo i bezwzględne obnoszenie się z własną zamożnością jest nieprzyzwoite. To jakby wieczorem przypadkiem włączyć telewizję i mieć takiego pecha, by trafić na odcinek *Seksu w wielkim mieście* albo jeszcze gorzej, natknąć się na Dorthe Skappel, która siedząc na sofie, radośnie opowiada o kolejnym dniu światowego showbiznesu i pokazuje przy tym swoje długie nogi, swą dumną satysfakcję. Oczywiście Stavanger jest tylko obrazem Norwegii, a Norwegia obrazem Zachodu, jedną ze współczesnych amerykańskich kolonii, ale powrót do domu dobrze mi zrobił po długim okresie spędzonym w uśpieniu lat dziewięćdziesiątych na uniwersytecie w Bergen. Tutaj świat się nie kamufluje, jest sobą - brutalny, bez zahamowań, szczęśliwy.

Mama przeżyła wiele ciężkich lat, mocno się zmieniła, ale ma się dobrze. Nieźle się dogadujemy, jak zawsze. Dlaczego byśmy nie mieli? - mówi mama. Nie zostało jej dużo czasu do emerytury, tylko parę lat. Mówi, że się cieszy. Mama ma teraz srebrnosiwe włosy, które naprawdę jej pasują, wokół jej twarzy widać ładny poblask.

- Będziesz szukał pracy? - pyta.

- No - mówię. - Muszę.

- Z takim wykształceniem pewnie dostaniesz pracę.

- Muszę też znaleźć sobie mieszkanie - dodaję.

- Tak - mówi mama. - Popatrz. - Wskazuje inną fotografię w albumie.

- Tak - odpowiadam ze śmiechem.

- Jak się nazywaliście?

- Mathias Rust Band - mówię, spoglądając na zdjęcie zespołu. Helge o srogim spojrzeniu, Andreas, łagodny i silny, i ja, wpatrzony w dal.

- Ale jesteście młodzi - stwierdza mama.

- Tak - odpowiadam, przypominając sobie debiutancki koncert Mathias Rust Band w Klubie Rekreacyjnym Hundvåg. Przypominam sobie wieczory z Helgem i Andreasem w zadymionej sali prób na Kvernevik, pamiętam Katrine w długim T-shircie - wszystko to, myślę, było tak pełne energii.

Ta opowieść wkrótce się skończy. Nie dotyczy lat spędzonych w Bergen. Nie mówi o tym, kim stałem się po roku 1990. Ani o tym, co wydarzyło się z Helgem i ze mną po naszej bójce nad Breiavannet w piątkowy wieczór, czy o Katrine, nie dotyczy losów mamy i taty w latach dziewięćdziesiątych. Nie jest to opowieść o tym, co zrobiły z nami lata dziewięćdziesiąte, o tym, jak nierealny stał się świat. To całkiem inna historia. Różnica między siedemnastoletnim Jarlem spoglądającym z fotografii w przyszłość, a trzydziestolatkiem oglądającym siebie z roku 1990 jest ogromna. Młody Jarle i ja niezbyt często kontaktujemy się ze sobą, najczęściej tylko się na siebie patrzymy, on szuka wzrokiem mnie, własnej przyszłości, pełen wielkich nadziei, a ja spoglądam na niego, często nieco zdziwiony, rozmyślając, dokąd uciekł. Jednak parę dni temu stopiliśmy się w jedno. Znów podaliśmy sobie ręce.

Ta opowieść wkrótce się skończy.

Jeszcze tylko jedno małe wydarzenie i koniec.

Tydzień temu mama wróciła z pracy, odstawiła siatki z zakupami na stół w kuchni, weszła do salonu, gdzie siedziałem, czytając gazetę i słuchając ostatniej płyty Queens of the Stone Age.

- Jarle, chodziłeś do Kongsgård z chłopakiem o nazwisku Yngve Lima?

Odłożyłem gazetę i poczułem, jak nagle zaschło mi w ustach. Yngve? Nerwy skłębily się w brzuchu. Yngve?

Nigdy nie dowiedziałem się, co się z nim stało. Gdzie się podział? Limowie się wyprowadzili, prawda? Już dawno temu. Próbowałem o nich nie myśleć. Postanowiłem zapomnieć te tygodnie w 1990 r., kiedy tak namieszałem w życiu Yngvego. I nie tylko jego. Czasem jednak pojawiał się we mnie, niemal wbrew mojej woli, niczym pozostałość dawnej, stłumionej fascynacji. A gdy o nim myślałem, oddając się nagłym wspomnieniom, jawił mi się jako coś odmiennego od reszty mojego życia. Może tajemnica? Niemal jak inne życie, inne życie, którego mogłem doświadczyć? Yngve był czymś prostym, prostą, cudowną

tajemnicą. Jak przedmiot trzymany w pudełku, w szufladzie nocnego stolika, który czasem wyjmuję się, by na niego popatrzeć, delikatnie dotknąć, z troską i radością, próbując zrozumieć. W nierzeczywistych latach dziewięćdziesiątych porównywałem czasami zakochanie w Yngvem z zakochaniem w dziewczynach, z którymi chodziłem, i uśmiechałem się. Dlaczego? Było tak inne, niemal mityczne, jasne i proste, silne - było niczym światło w moim życiu, tajemnicze, ostrożne, kruche światło, którego nikt nie mógł zgasić. Miało inny rodzaj siły, wywoływało we mnie całkiem inne uczucia. Porównywanie Yngvego z dziewczynami, w których się kochałem, było jak zestawianie nocy z dniem. Jeśli Yngve spał, inni się budzili. Jeśli inni spali, budził się Yngve. Nadal tkwił we mnie równie samotny jak pierwszego dnia, gdy zobaczyłem go na szkolnym dziedzińcu, tak samo niepokojący i wielki. Pozostawało tylko to małe, dręczące mnie zmartwienie, które zapewne sprawiało, że wspomnienia o Yngvem pojawiały się wbrew mojej woli - czy go zraniłem?

A może było odwrotnie? Czy zraniliśmy się nawzajem?

- Tak - powiedziałem i zacząłem jej pomagać we wkładaniu produktów do lodówki. - Nie chodził z nami zbyt długo, tylko parę miesięcy w drugiej klasie.

- Mam w pracy koleżankę, która nazywa się Unni Lima, to jego matka, twierdzi, że byłeś raz u nich, dawno temu. Opowiedziała mi o synu, okrutna historia.

Przeraziłem się. Okrutna historia?

- Tak, ale pewnie sam ją słyszałeś.

Okrutna historia?

- Tak, no wiesz, chłopak miał schizofrenię.

Schizofrenię?

- Nie, to pewnie ktoś inny - powiedziałem i poczułem, jak przyspiesza mi tętno.

- Naprawdę? Yngve Lima, z Haugesund, mieszkali na Tjensvoll, tak mówi jego matka.

- No... ale, jak to - miał schizofrenię?

Musiałem usiąść. Co takiego mówiła mama?

- Nie wiedzieliście?

- Nie - odparłem słabym głosem.

- Nie, jego matka też nie miała pewności, ile wiecie. Nie no, to okrutna historia. Masz od niej pozdrowienia.

Mama zaczęła parzyć kawę i wstawiła wodę na herbatę. Usiedliśmy w salonie. Nic nie mówiłem, tylko słuchałem, próbując zrozumieć historię, której byłem częścią, której zasięgu nigdy nie znałem, tak jak jego rodzice nie widzieli, co dzieje się z ich synem w latach jego

młodości w Haugesund.

W wieku czternastu lat Yngve był zdrowym, radosnym chłopcem. Przyjaznym, o tak zwanych zdrowych zainteresowaniach - zajmował go tenis, bieganie, piłka nożna. Zwyczajny chłopak. Ani Unni, ani Steinar Lima nie zareagowali szczególnie, kiedy Yngve zaczął się zachowywać inaczej w okresie dojrzewania, chyba naturalne było, że odsunął się nieco od kolegów, nie wychodził zbyt często, zapuścił włosy i często się zamyślał. Chyba wszyscy mają tak w okresie dojrzewania. Nie zastanowiło ich też za bardzo nagłe zainteresowanie Egiptem, kiedy Yngve wrócił z biblioteki ze wszystkimi książkami na ten temat i całymi dniami czytał w swoim pokoju o antycznej, zafascynowanej śmiercią kulturze. To chyba też zdrowe hobby? Dużo czasu spędzał wtedy w łóżku, opowiadała matka, nie myślała wówczas o tym, ile godzin potrafił spokojnie przeleżeć, wyciągnięty na plecach, z łagodnym, jasnym wyrazem twarzy. Przecież nic nie mówił, na nic się nie uskarżał. Pewnego dnia Unni dostała telefon w pracy, była nauczycielką w podstawówce w Haugesund. Dzwoniła sąsiadka. Musiała wrócić do domu. I co? Co się stało? Sąsiadka, która opiekowała się w domu dwójką małych dzieci, jakąś godzinę wcześniej usłyszała okropne stukanie i hałas dobiegający z ich ogrodu. Podeszła do okna, skąd widziała duży ogród Limów. Aha? I co? Sąsiadka powiedziała, że Yngve wyciął wszystkie drzewa. Co? Yngve wyciął wszystkie drzewa? Jabłonek? Tak. Brzozę? Tak. Jarzębinę? Tak. Sąsiadka patrzyła, jak Yngve, szczupły piętnastolatek o długich kończynach, zaciekle uderza siekierą w pnie. Z początku myślała, że kazano mu to zrobić, że Limowie chcieli pozbyć się z ogrodu drzew. Po chwili jednak zareagowała, bo Yngve pracował tak intensywnie, niemal maniackalnie, wyglądał groźnie, i dlaczego właściwie nie był w szkole? Przecież była środa? Czy nie powinien być w szkole? Więc poszła do niego, z dwójką małych dzieci na ramieniu, i próbowała nawiązać kontakt z chłopakiem, który tylko uderzał siekierą w drzewa. Wreszcie na nią spojrział.

- Co robisz, Yngve? - zapytała.

- Ścinam drzewa.

- Tak, widzę, ale... dlaczego je ścinasz?

- Bo tak hałasują.

Był to pierwszy atak psychotyczny Yngvego, chociaż później stwierdzono, że choroba rozwijała się przez dłuższy czas. Nie można go było powstrzymać, wywijał na oślep siekierą, ścinając drzewa i zagrażając ludziom w pobliżu, skończyło się więc przybyciem karetki pod dom w Haugesund, położeniem go przez personel na ziemi i odwiezieniem na oddział psychiatryczny.

Według Yngvego drzewa zbyt mocno hałasowały. Wczesnym rankiem zaczynały

skrzypiec, z drewna wydobywał się głęboki, przeciągły, trzeszczący dźwięk, dziwny język, mieszanka skrzypienia i mowy. W ciągu dnia cały ogród zalewał niepowstrzymany potok słów. Drzewa opowiadały, że nigdy nie umierają, gdyż pokonały śmierć, że muszą tylko tak stać, rok w rok, na wietrze, deszczu, i rosnać, rosnać, trzeszcząc od podmuchów. Nagle jednak zmieniły mowę. Zaczęły rozmawiać po egipsku, w języku zrozumiałym dla Yngvego, możliwym do powtórzenia, często przez niego używanym. Ich mowa brzmiała jak nieprzerwany potok dziwnych, gardłowych dźwięków, których Yngve w okresach zdrowia nie potrafił wyjaśnić. Rozumiał jednak, co drzewa mówią, co mu opowiadają, że pracują nad przezwyciężeniem śmierci już od zarania dziejów. Drzewa rozmawiały bez ustanku, opowiadały wszystkie swoje dawne historie, w końcu jednak Yngve miał dość tego skrzypienia, dobiegającego z ogrodu wyczerpującego słowotoku, który z czasem przypisał drzewom całego miasta, całej Norwegii, całego świata - drzewa trzeba było ścinać. Musiały zostać ścięte, gdyż wszystko musi umrzeć, wszystko musi minąć, rozumiał Yngve, wszystko też mówi za dużo, rzeczy całego świata zbyt dużo mówią. Pozostawało więc jedno do zrobienia. Drzewa darzyły szacunkiem jedynie siekierę, którą Yngve przyniósł z garażu i którą zaczął wymachiwać w ich stronę.

Mama powiedziała, że nie był to ostatni raz, kiedy Yngve ścinał drzewa, ani w Haugesund, ani w Stavanger. Lecz po pierwszym napadzie psychiatrycznym chłopak trafił na oddział psychiatryczny, gdzie przeszedł długi okres leczenia metodą prób i błędów, aż wreszcie w wieku szesnastu lat usłyszał diagnozę - schizofrenia.

Zażywał leki uspokajające i antypsychotyczne, dzięki czemu jego choroba okresowo bardzo się wyciszała. W końcu ataki ustąpiły i zarówno rodzina, jak i lekarze byli pełni optymizmu. Twierdzili, że zatrzymali rozwój choroby w na tyle wczesnym stadium, że istniały spore szanse na wyzdrowienie Yngvego. On sam mówił, że czuje się bardzo dobrze, z dużym dystansem wypowiadał się o psychozach, wiedział, że miały miejsce, ale zdecydowanie twierdził, że nie był wtedy sobą. Zaczął znów grać w tenisa, poszedł do szkoły, dbał o siebie, normalnie odpowiadał na pytania, nie leżał godzinami spokojnie w łóżku niczym mumia, nie czytał o Egipcie, nie odzywał się w obcych językach, zwyczajnie traktował kumpli. Lekarze wspólnie z rodziną zdecydowali, że może przestać brać leki. W tym samym czasie ojciec Yngvego dostał pracę w Stavanger, atrakcyjną pracę w branży naftowej, i rodzina zdecydowała się na przeprowadzkę. Dyskutowali z personelem oddziału psychiatrycznego, czy Yngvememu nie zaszkodzią przenosiny tak szybko po wyzdrowieniu, i zdecydowali, że jest dość silny, że powinno się udać, grunt, żeby rodzice bacznie go obserwowali. Samemu Yngvememu ta idea niezbyt się podobała, ale nie protestował. Nie miał w

zwyczaju protestować, powiedziała Unni, Yngve taki nie był.

Późną jesienią 1990 roku przybyli do Stavanger, kupili dom w zabudowie szeregowej na Tjensvoll, przy Tennisveien. Załatwili Yngvemu miejsce w Kongsgård, gdzie miał kontynuować drugą klasę, w której uczył się w Haugesund po blisko rocznej nieobecności w szkole z powodu ostatniego napadu choroby. Yngve wyrażał radość w związku ze szkołą, mówiła Unni. Dobrze pamiętała pierwsze tygodnie w Kongsgård, jego wesołość, pomimo zdenerwowania, z którym początkowo walczył. Obawiał się, że trudno będzie mu znaleźć nowych przyjaciół, martwił się, że ludzie dowiedzą się o jego chorobie, i to dlatego nie chodził do trzeciej klasy, chociaż urodził się w 1971, jednak rodzina zdecydowała się go ochronić i wymyśliła historię o rocznym pobycie za granicą.

- Unni pamiętała dobrze pierwsze tygodnie, to z tamtym okresem jej się kojarzysz - powiedziała mama. - Twierdziła, że to z tamtego czasu cię zapamiętała, że Yngve mówił o tobie jako o jednym z lubianych przez siebie kolegów, którzy dobrze przyjęli go w Kongsgård. Zgadza się, prawda? Chyba byłeś wtedy z Katrine? A może właśnie się rozstaliście? To było w tym samym czasie?

- Tak - powiedziałem, strapiiony tą myślą. - Mniej więcej.

- Tak - potwierdziła mama. - Katrine była fajna. W każdym razie Unni twierdzi, że pierwsze tygodnie były świetne. Yngve chodził do szkoły, nie opuszczał za dużo lekcji, tylko kiedy miał wizyty u psychologa albo czuł się zdenerwowany. Ale grał w tenisa, miał się dobrze. To wtedy rozwiązaliście też zespół? - zapytała mama.

- Tak. Wtedy.

- Pamiętam - powiedziała.

- A co działo się potem? - spytałem nerwowo.

Czułem, jak dłonie pokrywa mi zimny pot.

W środku najlepszego, zdaniem Unni, okresu w życiu Yngvego, w pierwszych tygodniach w Kongsgård, w styczniu i lutym 1990 roku, nastąpił nagły, ostry nawrót choroby. Zaskoczył rodzinę. Pewnej sobotniej nocy na Tennisveien zadzwonił telefon. To była policja. Zatrzymali chłopaka, który przedstawił się jako Yngve Lima. Znaleźli go w lesie Våland, przemoczonego do suchej nitki i podekscytowanego, gdzie próbował ściąć piłą buk, mówił w niezrozumiałym języku, krzyczał i wył. Włamał się do garażu w Våland, zabrał piłę i poszedł do lasu, gdzie rzucił się na jeden z buków. Unni nigdy nie zrozumiała, co się stało. Yngve był tego wieczoru na imprezie w Hundvåg czy na Buøy i wtedy to się stało, potężny nawrót choroby. Yngvego przyjęto od razu na oddział psychiatryczny w Haugesund, gdyż rodzice zdecydowali się wrócić do rodzinnego miasta.

- Chłopak nigdy całkiem nie wyzdrowiał - powiedziała mama. - Miewa lepsze i gorsze okresy, ale musi zażywać leki i być pod stałym nadzorem. Rodzina wróciła do Stavanger.

- Pamiętasz go dobrze? - zapytała.

Czy pamiętam Yngvego?

- Tak. Pamiętam go dobrze.

- Musiałeś zrobić na nim wrażenie - stwierdziła.

Wczoraj wczesnie wstałem, zjadłem śniadanie z mamą. Zdziwiła się, że nie spałem dłużej, tak jak zwykle.

- Ty i ten twój studencki rytm - powiedziała z uśmiechem. - Śpisz do późna.

Poinformowałem ją, że wybieram się do miasta, żeby posiedzieć w bibliotece, poczytać, rozejrzeć się za pracą.

- Dobrze - powiedziała mama. - Z takim wykształceniem od razu coś znajdziesz.

Zjedliśmy śniadanie. Jajecznice, kawę, herbatę, szynkę, dokładnie jak kiedyś.

- Pamiętasz - zapytała mama - nasze śniadania z twoich szkolnych czasów?

Skinąłem głową.

- Fajnie było - stwierdziła - no nie?

- Tak - zgodziłem się - było fajnie.

Posmarowała masłem kromkę chleba, po czym zrobiła to, co zawsze - podzieliła ją na dwie części. Na jednej położyła dżem jabłkowy, a na drugiej ser z pomidorem. Spojrzała na mnie.

- Wystroiłeś się dziś - powiedziała z uśmiechem.

Poszedłem do łazienki, przejrzałem się w lustrze. „Wyglądam na wykończonego - uznałem - taki nieporządny i zmęczony. Powiniennem ściąć włosy”.

Wziąłem długi prysznic, dokładnie się umyłem, pożyczyłem od mamy krem, nasmarowałem się, ułożyłem ładnie włosy.

Mama przytuliła mnie przed swoim wyjściem.

- Do zobaczenia, Jarle.

- Tak, mamó, do zobaczenia.

Nie poszedłem do biblioteki, udałem się na dworzec miejski, gdzie wsiadłem do pierwszego autobusu do Sandnes. Włożyłem ładną kurtkę i czarno-białe adidas.

- Jeden do Sandnes - powiedziałem do kierowcy. - Który przystanek jest najbliższym Aspervika?

- Będzie się pan musiał przesiąść - odparł. - W Ruten, musi pan się przesiąść w Ruten.

- Nie da się dojść z Ruten do Aspervika?

- Da się.

Usiadłem z tyłu. W środku dnia niewiele osób jeździ autobusami. To nieco dziwna mieszanka. Jakież dzieciaki, które z niewiadomych przyczyn znalazły się w autobusie, gdy powinny być w szkole. Skończyły lekcje? Wagarują? Rzuciły szkołę? Jacyś dorośli, w drodze z jednego miejsca w drugie. Na zwolnieniu chorobowym? Bezrobotni? I starsi. Starsi jeżdżą autobusami w środku dnia. W drodze z jednego miejsca w drugie. Może w odwiedziny do koleżanki. Albo byli już w mieście na zakupach, a teraz wracają do domu, do Hinna, może do Gausel, bo załatwili, co chcieli. Przyglądałem się ludziom wokół. A o mnie co sobie myśleli? Ile mam lat? Co ich zdaniem planuję? Czy w ogóle o tym myślą? Może ktoś z nich stwierdził, że ten tam wygląda na zdenerwowanego. Jakby zarówno czuł obawę i radość z jakiegoś powodu, siedząc tak i błędząc spojrzeniem, ściskając dłonie, wierząc się na siedzeniu. Co takiego zamierza? Chce się z kimś zobaczyć? Odwiedzić kogoś, z kim obawia się spotkać, lecz jednocześnie cieszy się na to spotkanie?

Tak.

Chce odwiedzić kogoś, za kim tęskni?

Tak.

Wysiadłem z autobusu w Sandnes i zdecydowałem się przejść wzdłuż fiordu do Aspervika. Adres miałem zapisany na karteczce, zerknąłem też na mapę w książce telefonicznej. Nie będzie trudno znaleźć.

Co takiego mnie czekało? Yngve nie wydawał mi się psychicznie chorym pacjentem - ani wtedy, ani teraz. W 1990 r. nie był chłopcem z zaburzeniami psychicznymi, a teraz nie był mężczyzną, który przechorował pół życia. Czułem obawę i radość, oczekiwałem Yngvego, pięknego Yngvego.

Gdy wysiadłem z autobusu i ruszyłem w stronę Aspervika, stało się coś dziwnego. Wiem, że coś takiego nie może się wydarzyć, a jednak, poruszając się naprzód po asfalcie, czułem, jakbym cofnął się w czasie. Chmury wisiały nad moją głową, drzewa wyrastały prosto z pagórków, niebo tkwiło zwarte w sobie, a ja stałem się mniejszy. Świat wokół mnie był prastary, morze pokazywało swój oszałamiający wiek, drzewa opowiadały o swoich przodkach, chmury o przyjacielach ze średniowiecza, a ja zostałem wciągnięty, przywołany przez to co stare, jednak mogłem cofnąć się tylko o parę kroków w moim krótkim życiu. Wiatr smagał mi twarz, uderzał mnie w oczy, drażnił wzrok, aż pod powiekami zebrały się łzy. Pasowało mi to, bo idąc i czując po raz pierwszy od wielu lat, że znów nazywam się Jarle Klepp i mam siedemnaście lat, chciałem płakać. Nie z sentymentalizmu, nie z uzalania się nad sobą, lecz z radości. Ale nie płakałem, moje łzy wywołał wiatr, nie pochodziły ode mnie, ale z

zewnątrz, jak gdyby ktoś pomagał mi je ronić.

Mknący po ścieżce rowerzysta minął mnie zaledwie o pół metra i na powrót się przebudziłem. „Co takiego robisz, Jarle? - pomyślałem i próbowałem zdystansować się wobec siebie. - Dlaczego tu idziesz? Czy coś powinieneś był zrobić?”

Spojrzałem w niebo. Wisiało na swoim miejscu. Wtedy odbiłem w prawo i zacząłem wspinać się po wzgórzu.

Czy doznałeś tego uczucia, kiedy nagle ma się wrażenie, że jakieś odległe zdarzenie z przeszłości nigdy nie zyskało ciągu dalszego czy zakończenia? Minął czas, dni płynęły jeden za drugim, ale tamten dzień, tamto zdarzenie nigdy nie ujrzało jutra. Nadal wisi w powietrzu, oddycha własną niedokończonością, z tobą w środku.

Stałem przed niskim dwupiętrowym blokiem. Budynkiem z lat siedemdziesiątych. Prostym, ani ładnym, ani brzydkim, funkcjonalnym, niezbyt rzucającym się w oczy. „Tam mieszka - pomyślałem. - Tam mieszka, razem z innymi ludźmi, których nie wybrał sobie na współmieszkańców, ludźmi, którzy czują się tak jak on, dla których tutejsza codzienność wśród innych jest zbyt trudna, którzy potrzebują wokół siebie prostych, stałych ram”. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale uderzyło mnie, jak wiele jest tych bloków, tych anonimowych, funkcjonalnych miejsc, zamieszkałych przez tych z nas, którzy nie potrafią wieść tak zwanego zwykłego życia.

Zadzwoiłem. Próbowałem wyczuć, czy moje napięcie, które sprawiało, że stale przełykałem ślinę i przesuwałem językiem po zębach, brało się z radości, czy ze smutku. Nic się nie stało.

Zadzwoiłem po raz drugi. Minęło kilka kolejnych sekund, zanim ktoś odpowiedział. Męski głos.

- Halo?

Czy to on?

- Tak, ee, szukam Yngvego Limy.

Cisza. Czy właściciel głosu znów sobie poszedł?

- Halo? - odezwałem się.

- Kto tam?

- Tak, nazywam się Jarle Klepp, chodziłem do szkoły z Yngvem, czy... tylko przez krótki czas w liceum, w Kongsgård, myślałem, czy...

- Cześć, Jarle.

Zatrzymałem się. Nagle dźwięk głosu zmienił się, teraz go rozpoznawałem. Jego ciepły, młody, melodyjny głos, haugesundzki dialekt chłopaka, który spoglądał w górę, stojąc

na szkolnym dziedzińcu, brzmienie głosu chłopaka, który pił z fontanny i zawsze uśmiechał się, lekko opuszczając kąciki ust.

- Cześć - powiedziałem ostrożnie.

- Cześć, Jarle - powtórzył.

- Cześć. Pamiętasz mnie?

Pochyliłem się bardziej do mikrofonu, przez który płynął do niego mój głos, a jego głos płynął do mnie.

- Cześć, Jarle - powiedział po raz trzeci, nieco ciszej niż poprzednio, ale tym samym ciepłym tonem. Nie brzmiał starzej.

- Cześć, Yngve.

Przelknąłem ślinę. Mam iść? Mam stąd odejść?

Nadal tam był. Słyszałem jego oddech przez domofon.

- Można cię odwiedzić? Chcesz, żebym wszedł na górę?

- Tak.

Nacisnął przycisk otwierania drzwi. Próbowałem zapytać, które to piętro, ale mnie nie słyszał. Wszedłem.

We wszystkich tego typu blokach z lat siedemdziesiątych panuje taka sama akustyka, słyhać w nich śpiew ścian, kiedy idziesz, kiedy ktoś odbiera pocztę, otwiera lub zamyka drzwi. Nie mieszkał na parterze, patrzyłem na wszystkie drzwi, ale nie zauważyłem jego nazwiska.

Na pierwszym piętrze drzwi były tylko jedne. W ciągu lat chyba dokonano tu przebudowy. Drzwi były uchylone. Ostrożnie do nich podszedłem i zauważyłem, że lekko drżą mi palce, a mięśnie twarzy są napięte. Wszedłem do korytarza z większą liczbą drzwi. To piętro zamieszkiwali chorzy psychicznie, pewnie cztery, pięć, może sześć osób, sześć różnych historii. Nie czułem się tu dobrze, jak gdybym przynosił im wstyd, przychodząc tu i zaglądając do nich, widząc ich osobne wejścia do mieszkań, wspólny pokój dzienny, dostrzegając drobne znaki regulacji warunków: telefon w korytarzu, kartkę z numerem do szpitala.

Rozejrzałem się. Było tu dość spokojnie. Usłyszałem dźwięk radia płynący z pokoju - może Yngvego? W pokoju dziennym siedział odwrócony do mnie plecami mężczyzna, ale widziałem, że to nie on. Mężczyzna był silny, gruby, miał brodę i palił. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

Zajrzawszy do salonu, skierowałem wzrok na prawo.

Stał na samym końcu korytarza.

Na sekundę musiałem spojrzeć w dół i zacisnąć zęby, by się nie rozpląkać. Yngve stał na końcu korytarza. Na nogach miał szare kapcie, białe tenisowe skarpetki, błękitne dzinsy wyglądające na co najmniej dwa numery za duże. Nosił sportową bluzę, niebieską z czerwonymi paskami na ramionach, niemal jak czerwone żałobne wstęgi. Włosy miał dużo dłuższe, niż pamiętałem, i cieńsze niż kiedyś.

Poszedłem naprzód korytarzem. Yngve czekał na mnie spokojnie. W ogóle się nie ruszał, stał tylko lekko zgarbiony. Uśmiechał się z zamkniętymi ustami, miał duże, nieco smutne oczy. Zbliżyłem się do niego.

- Cześć, Jarle.

- Cześć - wyrzuciłem z siebie i z trudem przełknąłem ślinę.

Wszedł pierwszy do mieszkania: mały salon, łazienka, mała sypialnia i skromna kuchnia. Yngve podszedł do sofy pod oknem i usiadł. Rozejrzałem się. Wystrój był oszczędny. Telewizor, radio, sofa, parę krzeseł, stół. Na ścianach plakaty. Wiedziałem, nie byłem zaskoczony - wszystkie z Egiptu. Nad telewizorem wisiał ten sam plakat, który miał w swoim pokoju trzynaście lat temu, przedstawiający piramidę Cheopsa.

- Pamiętasz mnie? - zapytałem, usiadłszy obok niego.

Yngve siedział w całkowitym milczeniu.

- To było dawno - powiedziałem.

Nie zareagował.

- Egipt? - wskazałem na jeden z plakatów.

Skinął głową.

- Byłeś już tam?

Yngve potrząsnął głową i wyjrzał przez okno. „Musi przyjmować dużo leków” - pomyślałem, gdy przyjrzałem się z bliska jego oczom i ruchom. Wszystko działo się później, niż powinno, jak w zwolnionym tempie.

- Dobrze ci tu?

- Tak - powiedział. - Jest mi bardzo dobrze, podoba mi się tutaj, jest spokojnie.

- Robisz coś? Grasz w tenisa?

- Nie, ale jeździmy na spływy kajakowe, a w piątki możemy grać w bingo, w piłkę nożną albo pływać. Podoba mi się.

Spływy kajakowe, bingo, piłka i pływanie. To wszystko? To obecne życie Yngvego?

- Napijesz się soku? - zapytał z uśmiechem.

Skinąłem głową. Miałem ochotę siedzieć tam i pić z nim sok. Patrzyłem, jak miesza go dla nas, myśląc o tym, że Yngve napędza mnie tym samym spokojem, tym samym

dziwacznym żarem, co trzynaście lat temu.

- Yngve - powiedziałem ostrożnie, kiedy wrócił ze szklanką. - Muszę cię o coś zapytać.

Unikał mojego wzroku.

- Powiedz, jeśli nie chcesz, żebym pytał - zacząłem.

Nie zareagował.

- A więc mówię. - Starłem się brzmieć łagodnie. - Chciałem tylko zapytać, czy jesteś na mnie zły? Czy cię zraniłem?

Yngve odwrócił do mnie twarz. Żadnej reakcji. Żadnego ruchu, nawet zmarszczki wokół oczu, żadnego błysku w nich. Nic nie wskazywało na to, że usłyszał moje słowa albo się nimi przejął.

- Zraniłem cię?

Nagle wstał. Podeszedł do komody i otworzył drzwiczki szafy. Szukał czegoś. Po chwili odwrócił się do mnie. W jednej dłoni trzymał płytę, a w drugiej książkę. Wrócił do mnie, usiadł na sofie.

- Zobacz - odezwał się i wyciągnął do mnie *365 Fri Tre Små Kinesere*. - Bardzo dziękuję za płytę, którą mi dałeś, bardzo mi się podobała.

- Ee, tak...? - wyjąkałem. - Dobrze.

- Zagrasz w środę w tenisa? - zapytał Yngve.

- Teraz? W środę? - Zdziwiłem się i popatrzyłem na niego.

- Tak?

- Ee... nie, nie sądzę?

- Dlaczego nie? - Wyglądał smutno. - Nie możesz?

- Ostatnio było fajnie - dodał z uśmiechem. - Dobrze ci szło.

Teraz zrozumiałem. Skinąłem głową.

- Nie - powiedziałem. - To ty umiesz grać w tenisa, ja dopiero zaczynam. - Wskazałem na winylową płytę, którą trzymał w ręku.

- Podobała ci się płyta? - spytałem.

- Bardzo - odparł Yngve. - To moja najładniejsza. Często jej słucham.

- Ja też - skłamałem. Wyjąłem książeczkę z tekstami. - Zobacz, podoba ci się ta piosenka? - Wskazałem na utwór numer dwa.

- Tak - powiedział Yngve. - Ładna jest.

- Posłuchamy jej?

Skinął głową. Nastawiłem płytę.

*Nikt nie wie kim
i nikt nie wie gdzie*

ale chyba tam jesteś?

Nikt nie wie czym

i nikt nie wie czemu

jesteś

Nagle Yngve wstał, podszedł do odtwarzacza i wyłączył muzykę. Nie wydawał się zły, ale było widać, że nie chce dłużej słuchać. Wróciwszy, wyciągnął przed siebie książkę wyjętą z komody. Widziałem ją wcześniej. Była to różowa książka, dość duża, a odręczny napis na okładce głosił: „Album Yngvego, lat 12”. Na okładce widniał otoczony aureolą rok „1984”, zdobiły ją też zdjęcia Big Bena, krzywej wieży w Pizie, piramidy i Wielkiego Muru Chińskiego.

Yngve zaczął kartkować album.

- Dzisiaj też chcesz przejrzeć - powiedział. Nie było to pytanie. Mówił tak, jakby to była rutyna, jakbyśmy robili to codziennie - spotykali się tu, pili sok, słuchali jednej płyty i oglądali jego album z wycinkami.

- Tak - odparłem.

Kiedy on przerzucał strony, dostrzegłem bilety kolejowe, bilety do kina, wycinki z czasopism. Wyraźnie wiedział, co chce mi pokazać.

Zatrzymał się na jednej ze stron.

- Tutaj. - Wskazał palcem. - Popatrz. To jestem ja, a to jest Simon le Bon.

Spojrzałem na fotografię. Yngve i Simon le Bon. Radosny Yngve i nieco wymęczony wokalista.

- To ja - powtórzył Yngve. - Myślisz, że wyglądam kretyńsko?

- Nie - odpowiedziałem. - Wyglądasz rewelacyjnie. To on wygląda kretyńsko.

Uśmiechnąłem się do niego. „Jak bardzo jesteś chory? - pomyślałem. - Jak chory jesteś w tej chwili?” Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Zawsze taki był? Czy to świat Yngvego, zarówno teraz, jak i wtedy? Egipt, parę dawnych wspomnień, płyta, której lubi słuchać?

Yngve traktował czas inaczej niż ja, a może to czas traktował inaczej jego, trudno powiedzieć. Mówił, jakbyśmy od trzynastu lat się nie rozstawali, jakby minęło parę sekund, odkąd spotkaliśmy się na dziedzińcu Kongsgård, pewnego styczniowego dnia 1990 roku, jakbyśmy właśnie mieli opuścić to miejsce w deszczu i na wietrze, pójść do miasta, do kawiarni. Nie wiedziałem, czy robi to celowo, umyślnie wykrzywia czas, czy naprawdę taki już był. Ale słuchałem go. Też chciałem, żeby nadszedł kolejny dzień.

- Jesteś na mnie zły, Yngve? - zapytałem znowu. - To znaczy na to, co zrobiłem na tamtej imprezie?

Nie spojrzał na mnie, nie zareagował.

- Jesteś?

Yngve się uśmiechnął.

- Powiedzieć ci coś, Jarle?

Skinąłem głową.

- Jeśli wejdiesz na wieżę Våland w Stavanger - zaczął - zobaczysz stamtąd całe miasto. Pewnego dnia byłem tam i widziałem mnóstwo chmur przypominających koty, psy i inne zwierzęta. Widziałeś je? Wisiały tam na niebie. Wtedy spostrzegłem jedną chmurę, która wisiała nad Rogiem Rennesøy. Wiesz, gdzie leży Róg Rennesøy?

Skinąłem głową.

- Tak, to wystająca w górę grań, niczym róg, na wyspie Rennesøy, prawda?

Przytaknął.

- Tak, nad Rogiem Rennesøy wisiała chmura przypominająca biegnącego golden retrievera, a wiesz, że chmura udawała?

- Udawała?

- Wiesz, że chmura udawała?

- Nie - powiedziałem niepewnie. - Co masz na myśli?

- Ona udawała golden retrievera, nie przypominała go, to tylko ja się pomyliłem, ona go udawała. Unosiła się nad Rogiem Rennesøy i bawiła się w to, że jest psem. Widziałem to, szczekała i merdała ogonem na niebie, bawiła się w psa, którego zobaczyła na ziemi, w psa goniącego wróbla, widziałem to, skakała na przednich łapach, chmura skakała na przednich łapach, drapała pień drzewa, i wiesz co, Jarle?

Pokręciłem głową.

- Ona to wie - powiedział Yngve.

- Wie? - spytałem zbity z tropu. - Co takiego wie?

- Wie, że zaraz nadejdzie koniec - wyjaśnił Yngve. - Wkrótce zatęskni za czasem, gdy

wisiała nad Rogiem Rennesøy i była psem. Kiedy chmura się rozplynie, wiesz, jedna z kropel deszczu pomyśli, opadając na Jæren i trafiając ziemię, że teraz, teraz właśnie zginie. Tak, teraz zginę. Uderzę w ziemię i stanę się częścią tego wszystkiego, dzięki czemu rosną marchewki i ziemniaki na polach. Ale wiesz co, Jarle?

- Nie?

- Myśląc tak i smucąc się, przypomina sobie to, czym była. Że była psem. Że ta kropla deszczu, która przestanie nią być, była małą częścią ogona merdającego nim psa. Wisiałam nad Rogiem Rennesøy i byłam psem, myśli chmura.

- Tak - powiedziałem.

- Tak właśnie jest - powiedział Yngve.

- Tak.

Wskazał palcem na plakat z piramidą Cheopsa.

- Wiesz, dlaczego Egipcjanie zbudowali piramidy?

- Tak - powiedziałem.

- Chcieli ochronić się przed śmiercią.

- Tak - powtórzyłem.

- Ale im się nie udało.

- Nie - powiedziałem.

- Czasami leżę całkiem spokojnie - wyznał Yngve. - Leżę całkiem spokojnie w łóżku, na plecach.

Spojrzałem na niego. Przestał mówić. Nagły potok słów uspokoił się, Yngve nie odzywał się już wcale. Pochylił się nad stołem, chwycił szklankę z sokiem i wypił. Całą szklankę. Później oparł się o poduszkę sofy. Odetchnął. Jego usta spokojnie tkwiły w twarzy. Usta Yngvego. Dość pełne wargi, mocne, wcale nie kobiece, ostrożnie wydęte, tworzące lekko dziewczęcy łuk, i te lekko opadające kąciki. Uśmiechał się. Nie patrzył na mnie, siedział tylko na sofie i uśmiechał się, miał zamknięte usta, a opadające, nieco smutne kąciki przeistaczały się w uśmiech. Jego policzki nabrały cieplejszych barw, stały się bardziej czerwone, zarumieniły się, jakby cieszyły się z tego uśmiechu.

Yngve odwrócił się do mnie. Oczy miał radosne i piękne, wyglądał teraz jaśniej, przytępienie zniknęło.

- Przyjdiesz też jutro? - zapytał.

- Tak - odparłem.

Uśmiechnął się. Taki był piękny.

- Zagramy w środę w tenisa?

Skinąłem głową.

- Tak. Zagramy.

Wtedy to zrobiłem. Pochyliłem się w jego stronę. Pocałowałem Yngvego.

^[20] Postać fikcyjna, główny bohater powieści Torego Renberga pt. *Renselse* (Oczyszczenie) z 1998 r. [przyp. tłum.].

Źródła cytatów

- Talking Heads, 77, „Uh-Oh, Love Comes to Town”, (David Byrne), 1977.
- Eric Hobsbawm, *Wiek skrajności: spojrzenie na Krótkie Dwudzieste Stulecie*, przeł. Julia Kalinowska-Król, Marcin Król, Bertelsmann Media 1999, s. 13.
- Tomasz Mann, *Józef i jego bracia. Historie Jakubowe. Młody Józef*, przeł. Edyta Sicińska, Czytelnik 1961, s. 36.
- Bob Hund, *Ett fall och en lösning*, „Nöden kräver handling”, (Bob Hund), 1997.
- Ben Folds, *Rockin' the Suburbs*, „Still Fighting It”, (Ben Folds), 2001.
- Pere Ubu, *The Modern Dance*, „Humor Me”, (Herman, Krauss, Maimone, Thomas, Ravenstine), 1978.
- XTC, *Wasp Star* (Apple Venus vol. 2), „Playground”, (Andy Partridge), 2000.
- Björk, *Homogenic*, „Pluto”, (Björk), 1997.
- The Smiths, *The Smiths*, „Hand in Glove”, (Morrissey), 1984.
- Bonnie ‘Prince’ Billy, *I See a Darkness*, „I See a Darkness”, (Will Oldham), 1999.
- Che Guevara, cytata za: Andre Sinclair, *Che Guevara*, przeł. Ewa Spirydowicz, Wiedza Powszechna 2000, s. 19.
- Eels, *Electro-Shock-Blues*, „Climbing to the Moon”, (E), 1998.
- The Stone Roses, *The Stone Roses*, „She Bangs the Drums” (Squire, Brown), 1989.
- Doktor Kosmos, *Evas Story*, „Doktor Vänster”, (Doktor Kosmos), 1999.
- Honoriusz Balzac, *Stracone złudzenia*, przeł. Tadeusz Żeleński - Boy, Wydawnictwo Dolnośląskie, 1997, s. 430.
- Tre Små Kinesere oraz Tre Små Kinesere, *365 Fri*, „Du er der væl?”, (Ulf Riisnes), 1990.
- Kent, *Kent*, „Pojken med hålet i handen”, (Joakim Berg), 1995.
- Pixies, *Doolittle*, „Hey”, (Black Francis), 1989.
- Karl Ove Knausgård, *Ute av verden*, Tiden, 1998.
- The Smiths, *The Smiths*, „You’ve Got Everything Now”, (Morrissey), 1984.
- R.E.M., *Reveal*, „Disappear”, (Bucks, Mills, Stipe), 2001.
- The B-52’s, *The B -52’s*, „Rock Lobster”, (Schneider, Wilson), 1979.
- The Flaming Lips, *Yoshimi Battles the Pink Robots*, „All We Have Is Now”, (Coyne, Drozd, Ivins), 2002.